EUROPA JESIENIĄ

„PIERWSZORZĘDNA SF Z FABUŁĄ SZPIEGOWSKĄ W STYLU JOHNA LE CARRÉ".

ADRIAN TCHAIKOVSKY

DAVE HUTCHINSON

REBIS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

EUROPA JESIENIĄ

Przełożył Jan Pyka

DAVE HUTCHINSON

Dom Wydawniczy REBIS

Bo
trwasz,
Śpiewające żebro w moim
marzycielskim
boku;
Wciąż
tutaj
jesteś.

Alun
Lewis,
For
Gweno

CZĘŚĆ PIERWSZA

EUROPA JESIENIĄ

KUZYN MAKSA

1

Węgrzy, ośmiu wielkich mężczyzn w świetnie skrojonych garniturach, ręcznie szytych włoskich butach i z fryzurami za sto złotych od łebka, weszli do restauracji około dziewiątej wieczorem. Michał, kierownik sali, usiłował im powiedzieć, że nie ma wolnych miejsc, ale podeszli do dużego stołu i rozsiedli się przy nim. Jeden z nich podniósł karteczkę z napisem „Zarezerwowane” i z niedźwiedziowatym uśmiechem śmignął nią na drugi koniec sali, zmuszając innych gości do schylenia głów.

Maks, właściciel, miał układ o ochronie z Wesołym Ptakiem, ale zamiast wezwać jego ludzi albo policję – co w obu wypadkach zapewne skończyłoby się rozlewem krwi – wziął notatnik i przeszedł przez salę, żeby przyjąć od Węgrów zamówienie. Ten pokaz opanowania nie powstrzymał kilkorga gości od gorączkowego sygnalizowania, że chcą zapłacić rachunek.

Węgrzy, od początku hałaśliwi, pokrzykiwali i śmiali się z Maksa, gdy próbował się dowiedzieć, czego sobie życzą. Co rusz zmieniali zdanie, zmuszając go do notowania od nowa. W końcu zostawił ich i przeszedł do baru, gdzie stała Gosia, która aż zamarła ze strachu.

– Sześć butelek żubrówki na koszt firmy – rzucił do niej spokojnie, idąc do kuchni. – Postaraj się szybko uwinąć.

Rudi, który stał w drzwiach kuchni, obserwując z zainteresowaniem rozwój wypadków, powiedział:

– Kroi się coś paskudnego, Maks.

– Gotuj – odparł Maks. – I to szybko.

Do dziesiątej Węgrzy poluźnili krawaty, pozdejmowali marynarki i rozkręcili się do tego stopnia, że zaczęli śpiewać, przekrzykując się nawzajem i zaśmiewając z niezrozumiałych dla innych żartów. Zjedli już

trzy dania z pięciu, które zamówili. Byli w restauracji sami, bo Rudi, stwierdziwszy, że większość zamówienia została już zrealizowana, posłał swoich ludzi do domu.

Nagle jeden z Węgrów, olbrzym z twarzą koloru barszczu, zaczął wrzeszczeć na pozostałych. Wstał, lekko się chwiejąc, i wydzierał się na swoich towarzyszy, którzy dobrodusznie krzyczeli do niego, żeby usiadł. Twarz mężczyzny spływała potem. Po chwili obrócił się, chwycił krzesło stojące przy sąsiednim stole i jednym płynnym ruchem rzucił je na drugą stronę sali. Uderzyło w ścianę, rozbiło kinkiet i strąciło lustro.

Zapadła cisza. Olbrzym, marszcząc brwi, przez chwilę wpatrywał się we wgniecenie w tapecie, po czym usiadł. Jeden z jego przyjaciół nalał mu wódki i poklepał po plecach, a Maks podał następne danie.

Gdy zrobiło się późno, Węgrzy się rozrzewnili. Położyli sobie ręce na ramionach i zaczęli śpiewać. Piosenki, w miarę jak zbliżała się północ, robiły się coraz smutniejsze.

Rudi, który skończył już gotować i zdążył nawet posprzątać kuchnię, stał w drzwiach, słuchając. Węgrzy mieli piękne głosy. Nie rozumiał słów, ale melodie były boleśnie tęskne.

Jeden z Węgrów dostrzegł go i machnął ręką, żeby do nich podszedł. Inni odwrócili się, żeby zobaczyć, co się dzieje, i też zaczęli go przywoływać.

– Idź do nich – powiedział Maks zza baru.

– Chyba żartujesz – odparł Rudi.

– Nie żartuję. Idź i zobacz, czego chcą.

– A jeśli chcą mi spuścić manto?

– Szybko im się znudzi.

– Wielkie dzięki, Maks – powiedział Rudi, ruszając w poprzek sali.

Stół Węgrów wyglądał tak, jakby ktoś zrzucił na niego pięciodaniowy obiad z wysokości sufitu. Podłoga dookoła chrzęściła rozbitym szkłem i potłuczonymi naczyniami, a dywan był lepki od sosów i wdeptanego jedzenia.

– Ty kucharz? – zapytał jeden okropną polszczyzną, gdy Rudi do nich podszedł.

– Tak – odpowiedział Rudi, balansując na palcach, na wypadek gdyby musiał się szybko oddalić.

Ten, który mówił po polsku, wyglądał jak półtusza wołowa zaszyta w garnitur od Armaniego. Twarz miał bladą i spoconą, a z kabury pod pachą wystawała mu rękojeść monstrualnego pistoletu. Zgiął palec wskazujący wielkości kiełbaski. Rudi pochylił się tak bardzo, że ich twarze dzieliło tylko kilka centymetrów.

– Szacunek! – ryknął Węgier. Rudi aż się wzdrygnął uderzony jego mięsnym, korzennym i tytoniowo-alkoholowym oddechem. – Nigdzie, my iść to pieprzone miasto, nie ma szacunek!

To oświadczenie zdawało się wymagać odpowiedzi, więc Rudi bąknął:

– Aha.

– Nie ma szacunek – powtórzył Węgier, kręcąc ze smutkiem głową. Jego twarz nagle pojaśniała. – Tutaj, w restauracja Maks, my mieć szacunek!

– My szanujemy naszych klientów – wymamrotał Maks, podchodząc bezszelestnie do Rudiego.

– Tak, cholera! – rzucił głośno Węgier. – Tak, cholera. Restauracja Maks większy szacunek.

– A jedzenie? – zapytał z uśmiechem Maks.

– Dobre, kurwa, jedzenie – odparł Węgier. Wokół stołu zaczęło się ogólne kiwanie głowami na znak zgody. Rozmówca Rudiego popatrzył na niego i beknął. – Dobry, kurwa, kucharz. Polskie jedzenie dla cholernych świń, ale dobry, kurwa, kucharz.

Rudi się uśmiechnął.

– Dziękuję panu – powiedział.

Węgier nagle spojrzał nań przenikliwie.

– Dobrze – rzekł. – My iść. – Rzucił kilka słów ostrym tonem i wszyscy siedzący przy stole wstali. Wszyscy z wyjątkiem tego, który cisnął krzesłem i spał teraz z głową na blacie, cicho pochrapując. Dwóch jego przyjaciół chwyciło go za ramiona i uniosło. Do twarzy przykleiły mu się z jednej strony kawałki jedzenia.

– Jedzenie dobre – powiedział Rudiemu mówiący po polsku. Zdjął z oparcia krzesła marynarkę i włożył ją, unosząc ramiona. Następnie z kieszeni na piersi wyjął wizytówkę i podał ją kucharzowi, trzymając w dwóch palcach. – Potrzebujesz pracy, dzwoń.

Rudi wziął wizytówkę.

– Dziękuję panu – powtórzył.

– Okay. – Węgier zakrył twarz dłońmi i przez chwilę ją masował. W jakiś magiczny sposób ułożyły mu się od tego włosy i jakby otrzeźwiał. – My iść. – Popatrzył na Maksa. – Sprytny, kurwa, Polak. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął portfel rozmiarów oraz kształtu cegły. – Jak jest?

– Na koszt firmy – odparł Maks. – Prezent.

Rudi popatrzył na szefa, niepewny, co się dzieje pod jego ogolonym skalpem.

Węgier przyjrzał się restauratorowi.

– My dużo potłuc i połamać.

Maks beztrosko wzruszył ramionami.

– Okay. – Węgier wyjął z portfela gruby na centymetr plik polskich banknotów i wyciągnął rękę. – Ty weź.

Maks się uśmiechnął, skłonił się lekko i wziął pieniądze.

Węgrzy ruszyli ku wyjściu. Ostatni wybuch chrapliwej pieśni, ostatni stołek rzucony na drugą stronę restauracji, podmuch zimnego powietrza wpływającego przez otwarte drzwi – i już ich nie było. Rudi usłyszał, jak Maks zamyka za nimi drzwi.

– No cóż – powiedział Maks, wracając po schodach. – To był interesujący wieczór.

Rudi podniósł przewrócony stołek i usiadł przy barze. Odkrył, że całkiem przepocił swój uniform szefa kuchni.

– Myślę – odparł – że powinieneś renegocjować swoją umowę z Wesołym Ptakiem.

Maks wszedł za bar. Schylił się i zaczął czegoś szukać na półkach.

– Gdyby Wesoły Ptak się tu dziś pojawił, połowa z nas skończyłaby w kostnicy. – Wyprostował się, trzymając do połowy pełną butelkę starki i dwa kieliszki.

Rudi wyjął z kieszeni zapalniczkę i papierośnicę z cygaretkami. Zapalił jedną i rozejrzał się po restauracji. Gdyby miał być obiektywny, powiedziałby, że tak naprawdę szkód było bardzo mało. Po prostu duży bałagan, z którym sprzątaczki będą się musiały jakoś uporać. Ale miewali przyjęcia weselne, po których zostawał większy nieporządek.

Maks napełnił wódką dwa kieliszki i uniósł jeden.

– Za dobre, kurwa, jedzenie – powiedział.

Rudi patrzył na niego przez chwilę. Potem wziął drugi kieliszek, wzniósł go w toaście i opróżnił jednym haustem. Obaj zaczęli się śmiać.

– A co, jeśli oni wrócą? – zapytał Rudi.

Ale Maks wciąż się śmiał.

– Dobre, kurwa, jedzenie – powtórzył, kręcąc głową, i ponownie napełnił kieliszki.

Węgrzy nie wrócili, co zdawało się potwierdzać opinię Maksa, że przyszli się po prostu zabawić, a nie wepchnąć się na teren Wesołego Ptaka.

Wesoły Ptak był bardzo zróżnicowaną organizacją. Różne jego oddziały zajmowały się prostytucją, handlem narkotykami, rabunkami z bronią w ręku, jeden prowadził rozlewnię napojów bezalkoholowych pod Krakowem, drugi przedsiębiorstwo przewozów autobusowych, inny pewną liczbę nielegalnych domów gry, a jeszcze inne wymuszały pieniądze za ochronę w rejonie ulicy Floriańskiej, tuż przy Rynku Głównym starej stolicy Polski.

Ogólnie rzecz biorąc, Wesoły Ptak nie był znany z gwałtownych działań, stosował siłę z chirurgiczną precyzją, nie na szeroką skalę. Na przykład restaurator lub sklepikarz, który próbował zorganizować sąsiadów przeciwko gangowi, mógł ocknąć się w szpitalu z anatomicznie nowatorskimi stawami w nogach. Reszta rebeliantów szybko pojmowała taką wiadomość i bunt się kończył. Inny gang przeprowadziłby w takiej sytuacji zmasowaną kampanię z użyciem bomb zapalających lub dokonałby serii spektakularnie krwawych zabójstw, ludzie Wesołego Ptaka kierowali się jednak zasadą „mniej znaczy więcej”.

W następstwie wizyty Węgrów w restauracji Maks właściciele niektórych innych biznesów zaczęli się głośno zastanawiać, za co właściwie płacą Wesołemu Ptakowi. Trwało to dzień lub dwa, a potem syn jednego z nich miał drobny wypadek w szkole. Nic zagrażającego życiu, ledwie kilka siniaków i zadrapań, ale po tym narzekanie przy Floriańskiej ucichło.

Mniej więcej tydzień później Dariusz, przedstawiciel Wesołego Ptaka, odwiedził restaurację Maks. Był już wieczór, tuż przed zamknięciem, i cały personel, z wyjątkiem Rudiego oraz Michała, poszedł do domu. Maks poprosił Rudiego, żeby przyrządził dwa befsztyki tatarskie, po czym on i Dariusz wzięli butelkę wyborowej oraz dwa kieliszki i usiedli przy stole w najciemniejszym rogu opustoszałej restauracji.

Gdy Rudi wyszedł z kuchni ze składnikami tatara na tacy, Maks i Dariusz, siedzący w chmurze papierosowego dymu, którą lekko rozświetlał mały kinkiet, byli pogrążeni w rozmowie.

Gdy Rudi zbliżył się do nich z jedzeniem, Dariusz uniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Kolacja – powiedział.

Rudi rozstawił na stole tacki z sardelami i pokrojoną cebulą, małe miseczki z kiszonymi ogórkami i przyprawami, koszyki z chlebem ryżowym, talerzyki z masłem, a na koniec dwa talerze z mieloną polędwicą wołową, każdą z żółtkiem jajka we wgłębieniu na górze.

– Rozmawiamy o waszych gościach z zeszłego miesiąca – wyjaśnił Dariusz.

– To był wieczór bogaty w wydarzenia – zgodził się Rudi, wymieniając brudną popielniczkę na czystą. – Smacznego.

– A może byś tak usiadł i napił się z nami? – zaproponował Dariusz.

Rudi popatrzył na Maksa, który siedział po drugiej stronie stołu z rękami złożonymi na okazałym brzuchu, przez co wyglądał jak spokojny i zamożny śląski Budda. Nieznacznie skinął głową.

Rudi wzruszył ramionami.

– Dobrze – powiedział, po czym położył tacę i brudną popielniczkę na sąsiednim stole, przysunął sobie krzesło i usiadł.

– Pracowity wieczór – zadudnił niskim głosem Maks, podnosząc widelec.

Rudi pokiwał głową. Przez kilka dni po wizycie Węgrów wpływy kasowe były niższe niż zazwyczaj, ale teraz znowu wzrosły. Kilka dni wcześniej Maks mruknął nawet coś o podwyżce, ale Rudi znał go już wystarczająco dobrze, by nie traktować tych słów poważnie.

– Myślałem o Władku – powiedział Maks.

Władek był ostatnim z długiej linii rzekomych kucharzy, którzy zatrudniali się w restauracji Maks, a następnie odkrywali, że nie zarabiają wystarczająco dużo za tak wiele godzin ciężkiej pracy.

– Wydaje się chętny do pracy – odparł Rudi, obserwując, jak Maks widelcem rozgniata na talerzu mielone mięso z żółtkiem.

– Na początku wszyscy są tacy – zgodził się Maks. – A potem stają się chciwi.

– To nie chciwość, Maks – powiedział mu Rudi.

Maks pokręcił głową.

– Wydaje im się, że mogą tu przyjść i po miesiącu będą gotowi do otwarcia własnej restauracji. Nie rozumieją tego interesu.

Koncepcje Maksa na temat restauratorstwa miały pewne cechy wspólne z buddyzmem zen. Rudi, którego bardziej interesowało gotowanie niż filozofia, odpowiedział:

– To dość rozpowszechnione błędne przekonanie.

– Tak samo jest w moim interesie – włączył się do rozmowy Dariusz. Rudi prawie zapomniał, że ten niewysoki mężczyzna siedzi z nimi przy stole, ale był tam, mieszając z determinacją sardele i cebulę z wołowiną. – Żebyście widzieli niektórych naszych najnowszych ludzi. Myślą, że za rok będą rządzić miastem. – Uśmiechnął się smętnie. – Wyobraźcie sobie ich rozczarowanie.

– Tak – powiedział Rudi. – Jedyną różnicą jest to, że zastępcy szefa kuchni łatwiej jest opuścić restaurację niż komuś z was Wesołego Ptaka. – Maks uniósł na chwilę wzrok znad talerza, westchnął i wrócił do rozgniatania widelcem tatara.

Jeśli Dariusz poczuł się urażony, nie dał tego po sobie poznać.

– Prowadzimy interes jak każdy inny – stwierdził.

– Nie całkiem jak każdy inny – zaoponował Rudi.

Maks znów na niego popatrzył. Tym razem zmarszczył brwi, nim ponownie skupił uwagę na befsztyku.

Dariusz także zmarszczył brwi, ale ledwo dostrzegalnie, i po chwili twarz mu się wygładziła.

– Cóż, my mniej gotujemy, to prawda – powiedział i się roześmiał.

Maks z uśmiechem pokręcił głową.

Rudi wyprostował się i skrzyżował ręce na piersiach. W Wesołym Ptaku nie było niczego niezwykłego – natykał się na takie organizacje w Tallinie, Rydze i Wilnie. Wszystkie były podobne i tylko Dariusz nie pasował do schematu. Wyglądał na zwyczajnego szczupłego mężczyznę w średnim wieku, z tanią fryzurą i kurzymi łapkami wokół oczu. Jeśli był uzbrojony, jego skromny garnitur wcale nie na miarę doskonale to ukrywał.

– Powinniśmy się martwić tymi Węgrami? – zapytał Rudi.

Dariusz oderwał wzrok od posiłku i uniósł brwi.

– Martwić? – zdziwił się. – Dlaczego mielibyście się martwić?

Rudi wzruszył ramionami i popatrzył na Maksa, który wciąż pracował nad swoim tatarem. Rudi nie znosił befsztyków tatarskich. Goście sami je sobie przygotowywali i kiedy to robili, zajmowali całe miejsce na stole. Polacy w szczególności zdawali się to uważać za wydarzenie towarzyskie. Całe to wielokrotne smakowanie i doprawianie zajmowało im wieki. Już dawno postanowił, że kiedy będzie miał własną restaurację, w menu nie będzie tatara.

Dariusz wyciągnął rękę i dotknął przedramienia kucharza. Rudi zauważył, że ma poobgryzane paznokcie.

– Nie musisz się martwić – powiedział Dariusz.

– W porządku – odparł Rudi.

– Takie rzeczy zdarzają się cały czas.

– Ale nie mnie. Dla mnie to coś nowego.

Dariusz się uśmiechnął.

– Musisz myśleć o nas jak o narodach. Polacy i Węgrzy są kryminalnymi książętami Europy.

– I Bułgarzy – wtrącił dobrodusznie Maks.

Dariusz wzruszył ramionami.

– Tak, również Bułgarzy. Musimy nieustannie się odwiedzać, sprawdzać się wzajemnie, badać aktualną sytuację – powiedział Rudiemu. – To kwestia dyplomacji.

– Chcesz powiedzieć, że to, co tu się wydarzyło, było incydentem dyplomatycznym? – zapytał Rudi.

– Mogłoby tak być, gdyby góry nie wzięły chłodniejsze głowy. – Dariusz skinął głową Maksowi.

– Nie masz wódki – zauważył Maks. Spojrzał w stronę baru i Michał, reagując z telepatycznym wyczuciem kierownika sali, natychmiast przyniósł czysty kieliszek dla Rudiego, po czym wrócił za ladę. Maks napełnił kieliszek i powiedział: – Oni po prostu szukali dobrej zabawy, której nikt im nie mógł zapewnić, bo wszyscy się ich bali.

– Trudno im się dziwić – powiedział Dariusz. Posmakował tatara, skrzywił się, sięgnął po buteleczkę tabasco i strząsnął na mięso kilka kropel sosu. – Banda pijanych, uzbrojonych po zęby Węgrów włóczących się po restauracjach i barach. Co można było sobie o tym pomyśleć?

– Rzeczywiście – zgodził się Maks.

– To by była ich wina, gdyby ktoś zareagował zbyt ostro – mówił dalej Dariusz. Znowu spróbował tatara, który wyraźnie bardziej przypadł mu do gustu niż poprzednio. Tym razem włożył do ust znacznie większą porcję i zaczął ją z przyjemnością przeżuwać.

– I nikt by tego nie chciał – dodał Maks. Najwyraźniej jego tatar też był już dobrze przyprawiony, bo zabrał się do jedzenia.

– No właśnie – odezwał się po chwili Dariusz. – Coś takiego mogłoby wywołać wojnę. – Popatrzył na Rudiego i przechylił głowę. – Pochodzisz z Tallina, prawda?

– Urodziłem się w Taevaskoi – odparł Rudi. – Ale mieszkałem w Tallinie.

– Nigdy tam nie byłem. – Dariusz zerknął na kieliszek. Był pusty. – Jak tam jest?

Rudi obserwował, jak Maks napełnia kieliszek Dariusza.

– W porządku.

– Jak na Estończyka mówisz bardzo dobrze po polsku.

Rudi uniósł swój kieliszek i opróżnił go jednym haustem.

– Dziękuję – odpowiedział.

Dariusz odłożył widelec i wybuchnął śmiechem. Wyciągnął rękę i poklepał Maksa po ramieniu.

– Mówiłem ci! – rzucił. – Nie mówiłem?

Maks uśmiechnął się, skinął głową i jadł dalej. Rudi otworzył butelkę wyborowej i znowu napełnił swój kieliszek. Michał powiedział mu, że Wesoły Ptak wziął nazwę od pieśni śpiewanej przez Eugeniusza, jednego z długiej linii polskich społeczno-politycznych balladzistów, którzy na krótko zdobywali sławę, po czym zapijali się na śmierć, ginęli zastrzeleni przez zazdrosnych mężów albo porzucone kochanki. Ptak śpiewa w klatce i jego właściciel myśli, że jest szczęśliwy, powiedział mu Michał, ale ptak wciąż siedzi w klatce. To wyjaśnienie wprawiło Rudiego w głębokie zakłopotanie.

– Dyskutowaliśmy o geopolityce – powiedział mu Dariusz. – A ty? Często myślisz o geopolityce?

– Jestem kucharzem – odparł Rudi. – Nie politykiem.

– Ale przecież musisz mieć jakiś pogląd na tę sprawę. Każdy ma jakiś.

Rudi pokręcił głową.

Dariusz popatrzył na niego z niedowierzaniem. Uniósł kieliszek i wypił łyczek wódki.

– W zeszłym tygodniu mówili w wiadomościach, że tego roku w samej tylko Europie powstało dwanaście nowych państw i państewek.

– I w przyszłym roku w tym czasie większości z nich już nie będzie – odparł Rudi.

– Widzisz? – Dariusz wskazał go palcem. – Masz swoje zdanie na ten temat. Wiedziałem!

Rudi westchnął.

– Wiem tylko to, co usłyszę w wiadomościach.

– Ja widzę Europę jako cielący się lodowiec – powiedział cichym głosem Maks. – Taki, od którego odrywają się góry lodowe. – Włożył do ust dużą porcję tatara i przeżuwał go z wyraźną przyjemnością.

Rudi i Dariusz przyjrzeli mu się uważnie. Po chwili Dariusz znów spojrzał na Rudiego.

– Nie najgorsza analogia – stwierdził. – Europa cieli się stopniowo na coraz mniejsze i mniejsze państwa.

– Na jednostki quasi-państwowe – sprecyzował Rudi. – Państewka.

Dariusz prychnął.

– Sandżaki. Marchie. Księstwa. Landy. Europa cofa się do osiemnastego wieku.

– Zyskujecie nowe terytoria – zauważył Rudi.

– Terytorium to samo – odparł Dariusz. – Więcej granic. Więcej biurokracji. Więcej kontroli. Więcej straży granicznej.

Rudi wzruszył ramionami.

– Weź na przykład Hindenberg – ciągnął Dariusz. – Jakie to musiało być uczucie? Kładziesz się do łóżka we Wrocławiu, a budzisz w Breslau. Jak to było?

Tylko że ta zmiana nie nastąpiła w jedną noc. To, co się stało z Wrocławiem, Opolem i leżącymi między nimi miasteczkami oraz wioskami, zajęło dużo czasu, czasu pełnego goryczy, i jeśli ktoś śledził wiadomości, było dla niego oczywiste, że dla Polaków ta sprawa nie jest jeszcze załatwiona.

– Pomyśl o pierwszych dniach po drugiej wojnie światowej – odpowiedział Rudi. – Churchill, Roosevelt i Stalin spotkali się w Jałcie.

Ludzie poszli do łóżek w Breslau, a następnego dnia obudzili się we Wrocławiu.

Dariusz uśmiechnął się i wycelował w niego widelec, przyznając mu rację.

Nastąpiła krótka przerwa w rozmowie.

– Mam kuzyna w Hindenbergu – zadumał się Maks.

Dariusz popatrzył na niego.

– Jeśli już o to chodzi, to dlaczego sam tam nie mieszkasz? – spytał. – Jesteś Ślązakiem.

Maks tylko chrząknął pod nosem.

– Często widujesz kuzyna? – znowu zapytał Dariusz.

Maks wzruszył ramionami.

– Podróż jest uciążliwa. Wizy i tak dalej. Ja mam polski paszport, on jest obywatelem Hindenbergu.

– Ale dzwoni do ciebie, tak? Wysyła ci e-maile?

Maks przecząco pokręcił głową.

– Polityka polskiego rządu – mruknął.

Dariusz wycelował palec w Rudiego.

– Widzisz? Widzisz, ile cierpień takie rzeczy mogą spowodować?

Rudi nalał sobie kolejny kieliszek wódki. Pomyślał, że rozmowa stała się nagle bardzo konkretna.

Dariusz spojrzał na Maksa.

– Długo już nie widziałeś się z kuzynem? – zapytał.

– Trochę czasu minęło – rzekł Maks po zastanowieniu, jakby już dawno o tym nie myślał. – Nawet poczta w tych czasach jest niepewna.

– Skandal – mruknął Dariusz. – Prawdziwy skandal.

Rudi wypił wódkę i wstał, jakby chciał odejść, żeby sprawdzić, co się stanie.

A stało się to, że Dariusz i Maks nadal patrzyli przed siebie, rozmyślając o Hindenbergu i stosunku Polski do tego państewka. Rudi usiadł i popatrzył na nich.

– I oto jesteśmy – odezwał się w końcu. – Dwóch mężczyzn z polskimi paszportami, którym niełatwo będzie zdobyć wizy uprawniające do wjazdu na teren Hindenbergu. I jeden Estończyk, który może praktycznie bez przeszkód przekroczyć granicę.

Dariusz jakby odzyskał świadomość. Rozpogodził się.

– Oczywiście – powiedział. – Ty jesteś Estończykiem, prawda?

Rudi wciągnął powietrze przez zęby i nalał sobie kolejny kieliszek wódki.

– Rudi jest Estończykiem, Maks – oznajmił Dariusz.

Rudi pomasował oczy.

– Czy chodzi o narkotyki? – zapytał.

Dariusz popatrzył na niego i Rudi przez chwilę myślał, że w pewnych okolicznościach mały mafioso mógł być całkiem przerażający.

– Nie – odparł Dariusz.

– Materiały rozszczepialne?

Dariusz pokręcił głową.

– Szpiegostwo?

– Najlepiej, żebyś nie wiedział – odezwał się Maks.

– Chodzi o przysługę – wyjaśnił poważnie Dariusz. – Wyświadczasz nam przysługę, my jesteśmy ci winni przysługę. – Uśmiechnął się. – To chyba nic złego, prawda?

To mogło być złe pod wieloma nieprzewidzianymi względami. Rudi przeklął się w duchu. Powinien był podać jedzenie i pójść do domu.

– Jak mam zrealizować dostawę?

– Cóż… – Dariusz podrapał się po głowie – to z grubsza zależy od ciebie. I to nie jest dostawa.

Później tego samego wieczoru, wychodząc spod prysznica, Rudi spojrzał na siebie w lustrze nad umywalką. Zdjął ręcznik z wieszaka i przez jakiś czas stał nieruchomo, patrząc na swoje odbicie.

Cóż, oto on. Nieco niższy niż średniego wzrostu. Szczupły. Z krótkimi, brązowoszarymi włosami. Nijaka, niewinnie wyglądająca twarz; ani słowiańska, ani aryjska, tak naprawdę bez żadnych cech szczególnych. Żadnych śladów lapońskiego dziedzictwa, które ojciec zawsze przypisywał rodzinie. Oczy piwne. Tu i tam dziwne blizny, medale zdobyte podczas kariery szefa kuchni. Tę na przedramieniu zostawił przewrócony wok w Wilnie, drugiej, tuż nad pierwszą, dorobił się, gdy się pośliznął w kuchni Turka w Rydze, a nóż do obierania, który miał w ręce, jakoś się obrócił i przebił mankiet uniformu, skórę oraz mięśnie.

– Nie biegaj w mojej kuchni! – krzyknął na Rudiego Turek. A potem zabandażował mu rękę i wezwał pogotowie.

Rudi uniósł prawą rękę nad głowę i obrócił się, żeby móc obejrzeć długą, zakrzywiającą się bliznę, która zaczynała się tuż nad jego kością biodrową, a kończyła obok prawego sutka. To nie był rezultat wypadku kuchennego. Zrobili mu to skinheadzi tego dnia, kiedy próbował znaleźć pracę w Warnemünde. Wciąż nie wiedział, czy mieli zamiar go zabić, czy też tylko wystraszyć, i myślał, że nawet oni nie byli tego pewni. Uznał to za znak, że dni jego wędrówek wzdłuż wybrzeża Bałtyku dobiegły końca, i ruszył w głąb lądu, najpierw do Warszawy, a potem do Krakowa.

Maks, zaraz gdy skończył z nim rozmowę o pracę, wręczył mu mopa.

– Ale ja to wszystko robiłem – zaprotestował Rudi, wskazując na kopertę z referencjami, którą Maks trzymał w drugiej ręce. – W Rydze, Tallinie…

– Chcesz pracować w mojej kuchni, to najpierw ją wysprzątaj – powiedział mu Maks. – Potem zobaczymy.

Rudi przez chwilę zupełnie poważnie się zastanawiał, czy nie powinien natychmiast wyjść z restauracji, na Floriańską, ruszyć na stację i wyjechać z tego zanieczyszczonego małego miasta, ale powstrzymał się, przypomniawszy sobie w porę, że brakuje mu pieniędzy, że chwilowo ma dość podróży i że dodatkową atrakcją tej pracy jest mały, ciasny pokoik kilka pięter nad lokalem Maksa. Wziął zatem mopa, mówiąc sobie, że to jedynie tymczasowe zajęcie, że gdy tylko zarobi dość pieniędzy, znów wyruszy w drogę na poszukiwanie kuchni, w której go docenią.

Wymachiwał tym mopem przez osiem miesięcy, zanim pani Stasia, przerażająca szefowa kuchni Maksa, pozwoliła mu zbliżyć się do żywności. Do tego czasu zdążył się uwikłać w konflikt charakterów z tą zasuszoną małą kobietą i opuścić kuchnię Maksa mógł już tylko nogami naprzód.

Kiedy teraz to wspominał, wydawało mu się niewiarygodne, że zniósł tak dużo. Przetrzymał Siergieja w Tallinie i Turka, i Wielkiego Rona w tej okropnej kuchni w Wilnie, ale pani Stasia traktowała to jak coś osobistego, jakby złamanie go uczyniła celem swojego życia. Stale na niego krzyczała: „Przynieś to! Przynieś tamto! Wyczyść to! Wyczyść tamto! Uważasz, że to jest czyste, ty cholerny Bałcie?! Pospiesz się, pospiesz! Nie biegaj w mojej kuchni! Szybciej, szybciej!”.

Nie był bynajmniej jedynym członkiem personelu, na którego wściekała się pani Stasia. Wszystkich traktowała równo. Miała zdeformowany staw biodrowy i chodziła, podpierając się czarną laską z włókna węglowego, cienką jak ołówek i mocną jak dźwigar. Wszyscy, nawet Maks, słyszeli

kiedyś świst laski pani Stasi, zakreślającej łuk kończący się na ich pośladkach.

W tym interesie przyjmuje się, że wielcy szefowie kuchni mogą być bardzo wybuchowi i jeśli ktoś chce się od nich uczyć, musi znosić wszelkiego rodzaju inwektywy i akty przemocy. Turek, który był wybitnym szefem kuchni, rozwścieczony kiedyś tym, że Rudi rozgotował szparagi, jednym uderzeniem pozbawił go przytomności. Pani Stasia nie była wybitnym szefem. Była kompetentnym szefem kuchni pracującym w małej polskiej restauracji. Ale coś w tych jej napadach furii rozpalało w nim uśpioną zwykle skłonność do oporu i wtedy powtarzał sobie, że ta złośliwa stara kobieta nie przepędzi go ze swojej kuchni, nie złamie go.

Tak więc machał mopem, czyścił, zmywał, aż mu skóra na dłoniach poczerwieniała i popękała, a nogi bolały go tak bardzo, że były noce, kiedy ledwie wchodził po schodach do swej klitki na poddaszu. Mimo to ciągnął to dalej, nie chciał się poddać.

Pani Stasia, wyczuwszy, że w jej kuchni wyrósł jednoosobowy ruch oporu, skupiła uwagę na Rudim. Zyskało mu to popularność wśród innych członków personelu, bo odtąd już tak bardzo nie obrywali.

Pewnego dnia, w wybuchu wściekłości nawet jak na nią niezwykłej, przegoniła go z kuchni za jakieś wyimaginowane przewinienie, kuśtykając za nim zadziwiająco szybko i okładając laską po plecach i głowie. Jedno z uderzeń rozerwało mu lewe ucho i na kilka godzin stracił w nim słuch. Jeden z kucharzy pobiegł do restauracji i powiedział Maksowi, że pani Stasia morduje Rudiego, a kiedy Maks nie zareagował, kucharz poszedł do telefonu przy wejściu i zadzwonił na policję. Dyspozytor jednak uznał, że najlepiej będzie, jeśli tego wieczoru patrole pojadą gdzie indziej, i nie kłopotał się wezwaniem.

Jakiś czas potem Maks znalazł Rudiego, który przykucnął w uliczce obok restauracji. Rękaw kucharskiej bluzy miał poplamiony krwią.

– Lepiej by było dla ciebie, gdybyś odszedł – powiedział mu Maks.

Rudi popatrzył na właściciela i pokręcił głową.

Maks przyglądał mu się dłuższą chwilę, po czym skinął głową i wyciągnął rękę, żeby pomóc mu wstać.

I tak to się ciągnęło, aż do pewnego dnia, kiedy wieczorem, po zamknięciu lokalu, Rudi jak zwykle zaczął zmywać podłogę. Stasia niemal bezszelestnie podkradła się do niego od tyłu i podniosła laskę, ale Rudi

nagle się odwrócił i chwycił narzędzie kaźni, kiedy już na niego spadało. Niemal przez minutę stara kobieta piszczała, przeklinała i szarpała laskę, próbując ją wyrwać z jego zaciśniętej dłoni. W końcu przestała się szamotać i kląć i tylko mierzyła go twardym, gniewnym wzrokiem.

Puścił laskę, a Stasia wsparła się na niej i stała tak, patrząc na niego. W końcu się odwróciła i przeszła ciężkim krokiem przez kuchnię, kierując się do wyjścia.

Następnego dnia rano Maks na powitanie powiadomił go, że daje mu podwyżkę i awans.

Nie żeby to wiele zmieniło. Wciąż musiał myć podłogi, sprzątać, być na każde zawołanie i znosić ataki wściekłości pani Stasi. Jednak teraz ona oczekiwała, że będzie się także uczył gotować.

Karała go za każdy, nawet najmniejszy błąd. Kiedy raz, na wpół przytomny ze zmęczenia, włożył świeżą sałatę do miski, w której była już inna porcja, przyrządzona kilka minut wcześniej, tak go pobiła, że miał sińce prawie na całym ciele.

Jednak się nauczył. Najpierw zrozumiał, że jeśli chce zostać w kuchni pani Stasi, musi zapomnieć wszystko, co poznał podczas swojego czteroletniego dryfowania wzdłuż wybrzeża Bałtyku. To, czego się nauczył od Turka i innych szefów, u których pracował, znaczyło niewiele lub nic dla tej małej starej kobiety.

Stopniowo, miesiąc po miesiącu, jej okresy niezadowolenia stawały się coraz rzadsze, aż pewnego dnia, prawie osiemnaście miesięcy po tym, jak po raz pierwszy postawił stopę w restauracji Maks, pozwoliła mu przygotować danie zamówione przez klienta. Nie pozwoliła go jednak podać. Przyrządziła duplikat zamówienia, kazała to zanieść klientowi, a sama zaczęła kosztować dzieło Rudiego. Obserwujący ją ukradkiem Rudi zdał sobie nagle sprawę, że w całej kuchni zapadła cisza. Rozejrzał się dokoła, przytłoczony przez coś, co przypominało scenę z filmu. Wszyscy w kuchni obserwowali panią Stasię. Nawet Maks, który stał w wahadłowych drzwiach prowadzących do sali restauracyjnej. To była, pomyślał Rudi, ta scena w filmie, kiedy niedojrzały żółtodziób zdobywa w końcu niechętny szacunek swojego mentora. Wiedział również, że życie nie jest takie jak w filmach i że pani Stasia wypluje zaraz jedzenie na wyłożoną kafelkami podłogę, a potem pobije go do nieprzytomności.

W tym wypadku życie i film zeszły się na tyle blisko, że pani Stasia odwróciła się, oparła na lasce i popatrzyła na widownię. Być może zastanowi się, powiedziała im w końcu, czy nie nakarmić dziełem Rudiego swojego psa.

Cały personel zaczął bić brawo. Rudi wcale tego nie słyszał. Pomyślał tylko później, że tylko on, jedyny spośród wszystkich, zauważył, że pani Stasia nagle wydała się stara.

Umarła tego lata i Rudi po prostu ją zastąpił. Nie było żadnego oficjalnego oświadczenia Maksa, żadnego nowego kontraktu ani niczego innego. Nawet podwyżki. Po prostu odziedziczył kuchnię. On i Maks byli jedynymi żałobnikami na pogrzebie.

– Nigdy się o niej niczego nie dowiedziałem – powiedział, gdy odprowadzali spojrzeniami opuszczaną do grobu trumnę.

– Była moją matką – odparł Maks.

2

W Gliwicach padał śnieg. Płaskie białe płatki powoli spływały z nieba, na którym kłębiły się ciemne chmury. Rudi musiał czekać tam dwie godziny na lokalny pociąg do Strzelec Opolskich.

Jadący z miarowym stukotem kół krótki miejscowy skład był pełen Ślązaków mówiących po polsku z niemieckim akcentem i po niemiecku z polskim. Pasażerów dzielących z nim przedział zainteresowało, dlaczego postanowił się wybrać do Hindenbergu, ale ponieważ mówił po niemiecku z silnym akcentem estońskim i najwyraźniej panowało powszechne przekonanie – przynajmniej wśród jego towarzyszy podróży – że mieszkańcy krajów bałtyckich robią, co im się żywnie podoba, łatwo zaspokoił ich ciekawość.

– Mam urlop – powiedział im. – Chcę zobaczyć Hindenberg.

Myśl, że jakiś Estończyk chciałby zobaczyć Hindenberg, była dla nich taką nowością, iż tłumaczyła praktycznie wszystko. Na co właśnie liczył.

Kilka kilometrów za Gliwicami jakieś polskie dzieciaki biegły wzdłuż torów i rzucały w pociąg kamieniami. Nikt nie zwrócił na nie uwagi – w tych dniach było czymś raczej niezwykłym, jeśli się podróżowało pociągiem po Polsce i nikt niczym w ciebie nie ciskał, niczego nie zrzucał z mostów i nie umieszczał na torach przed lokomotywą. Rudi przypuszczał,

że ma to coś wspólnego z polskim rozżaleniem z powodu Linii, ale polskie rozżalenie na Linię było sprawą złożoną, a Polacy mieli obecnie tyle powodów do rozżalenia, że trudno było mieć pewność. A może była to tylko moda, jeden z tych bezsensownych trendów, które czasem opanowywały całe kultury, jak jeżdżenie na dachach wind, budowanie dużych centrów handlowych poza granicami miast czy muzyka crush.

Pociąg kołysał się, sunąc powoli przez brudne przemysłowe miasteczka. Upadek Muru był teraz tylko odległym, mglistym wspomnieniem, ale Europa Wschodnia wciąż potrzebowała dobrego szorowania i maźnięcia farbą. Niektóre z najbardziej zanieczyszczonych miast w Polsce szczyciły się wspaniałymi średniowiecznymi zabytkami, ale wszystkie były pokryte wielowiekową skorupą sadzy. Rudi widział kiedyś program dokumentalny, w którym profesor z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie powiedział, że nikt nie ma odwagi czyścić tych budynków, bo brud jest ich jedyną ochroną przed kwaśnym deszczem.

Za oknem rozciągał się śnieżny krajobraz nieużytków, lasów, zamkniętych hut i rdzewiejących koksowni, nad którymi górowały monolityczne bloki mieszkalne z czasów komunizmu. W pewnej chwili Rudi zauważył mały samochód leżący do góry kołami w rowie obok nasypu kolejowego; na jego oponach były czapy brudnego lodu. Nisko na niebie wisiało słońce, blade i chłodne w padającym śniegu, zbyt słabe, by rzucać cienie. Część Ślązaków w dalszej części wagonu zaczęła śpiewać. Rudi zamknął oczy i zdrzemnął się.

Na północ od Strzelec Opolskich linia kolejowa dochodziła do stacji granicznej, leżącej między dwoma dziesięciometrowymi płotami z gęstej metalowej siatki zwieńczonymi ekstrawaganckimi spiralami drutu ostrzowego. Przez siatkę patrzyło się jak przez mgłę. Rudi zdołał jednak dostrzec po drugiej stronie dworzec autobusowy, ludzi wracających do domu po pracy, samochody objeżdżające wielkie rondo, bloki mieszkalne i pomarańczowo-biały fabryczny komin, który słał w niebo purpurowy dym.

Kiedy miejskie zabudowania stały się rzadsze, pociąg zwolnił. Ślązacy zaczęli wstawać, zdejmować bagaż z półek, wkładać czapki. Rudi siedział nieruchomo i patrzył przez okno. Granice między państwami leżącymi wzdłuż wybrzeża Bałtyku nie były bardziej oficjalne od linii na mapie; cała

ta sprawa była dla niego zupełnie nowym doświadczeniem i był szczerze zainteresowany tym, jak tutaj przekraczało się granicę.

Pociąg zdawał się zbliżać do świata oświetlonego przez słońce młodsze i bardziej niebieskie od tego, które właśnie zachodziło za mgiełką smogu na horyzoncie. Patrzenie wprost na szeregi wysokich słupów z reflektorami było wręcz bolesne. Ich blask wyparł to wszystko, co jeszcze pozostało z naturalnego światła dnia, jak również dużą część naturalnych kolorów na zewnątrz. Cała stacja graniczna leżała w środku wielkiej plamy tego światła. Była tak dobrze oświetlona, że Rudi zaczął się zastanawiać, czy nie jest widoczna z orbity.

Sama stacja była zwartym zbiorowiskiem niskich ceglanych budynków ciągnących się wzdłuż peronu, na którym krążyły patrole polskiej straży granicznej. Za tym kompleksem widać było więcej płotów z siatek drucianych, więcej drutu ostrzowego. Wysiadających pasażerów kierowano do jednego z budynków, gdzie ustawili się w czterech kolejkach do kontroli paszportowej i celnej. Kiedy nadeszła kolej Rudiego, położył swój plecak na taśmie skanera i patrzył, jak polski funkcjonariusz obserwuje jego bagaż na monitorze.

– Paszport – rzucił Polak.

Rudi podał mu paszport i Polak włożył go do wbudowanego w biurko czytnika. Zerknął na jeden z monitorów, a potem na Rudiego.

– Cel wizyty?

– Jestem na urlopie – odpowiedział Rudi.

Polak przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, po czym wyciągnął paszport ze szczeliny czytnika i podał mu go.

– Może pan przejść.

– Dziękuję panu – odparł Rudi. Wziął paszport, minął stanowisko kontroli i odebrał swój plecak ze skanera.

Po drugiej stronie budynku, oddzielone krótkim korytarzem, znajdowało się identyczne stanowisko. Za biurkiem siedział funkcjonariusz w mundurze koloru feldgrau.

– Paszport – powiedział po niemiecku.

Rudi ponownie podał paszport i patrzył, jak Hindenberczyk wsuwa go w szczelinę czytnika. Wyobraził sobie taką samą farsę rozgrywającą się w budynkach po drugiej stronie toru, gdzie identycznym korytarzem przechodzili ludzie chcący wyjechać z Hindenbergu. Dariusz powiedział

mu, że czasem, zależnie od tego, w jak bardzo złośliwym nastroju były tego dnia rządy obu krajów, odprawienie całego pociągu zajmowało nawet cztery godziny.

– Cel wizyty? – zapytał Hindenberczyk.

– Jestem na urlopie.

Funkcjonariusz popatrzył na niego z miną wyrażającą lekkie zdumienie. Jeszcze raz sprawdził swój ekran.

– Estończyk.

– Tak.

Hindenberczyk nieznacznie pokręcił głową.

– Dostaję tylko tydzień urlopu w roku – powiedział mu Rudi. – Jestem szefem kuchni. Jeśli wezmę sobie choć trochę wolnego, właściciel restauracji musi zatrudnić szefa kuchni z agencji.

Hindenberczyk jeszcze raz pokręcił głową. Wyjął paszport Rudiego z czytnika i podał mu go.

– Musisz sobie znaleźć inną pracę, kolego.

– Wiem – odparł Rudi, biorąc swój paszport. Ruszył korytarzem, z którego wyszedł na inny peron, gdzie stał już pociąg do Breslau.

3

W ostatnich latach dwudziestego wieku po Europie niosło się echo odgłosu otwieranych drzwi, w miarę jak powstawał, przy pewnych zastrzeżeniach niektórych państw, pozbawiony granic kontynent układu z Schengen.

Nie przetrwał długo. Wczesne lata dwudziestego pierwszego wieku przyniosły symfonię trzasków zamykanych drzwi. Załamanie gospodarcze, strach przed uchodźcami – i oczywiście GWT, tocząca się nieprzerwanie globalna wojna z terroryzmem – przyczyniły się do powrotu paszportów i kontroli granicznych o zmiennej, zależnej od tego, czyje granice się przekraczało, ostrości. A potem, z atakiem grypy Xian, przywrócono kwarantanny i granice państwowe, by ograniczyć rozprzestrzenianie się choroby, która w samej Europie zabiła, zależnie od tego, w czyje liczby chciało się wierzyć, od 20 do 40 milionów ludzi. W rzeczywistości zabiła również Schengen i podkopała już nieco rozchwiane fundamenty Unii Europejskiej.

Unia weszła w dwudziesty pierwszy wiek z pewnym trudem, zmagając się z problemami, i zdołała przetrwać w jakim takim stylu jeszcze kilkanaście lat ogólnego psioczenia, konfliktów wewnętrznych i kumoterstwa. A potem spontanicznie zaczęła zrzucać coraz mniejsze i coraz bardziej dziwaczne państwa, niczym poparzony słońcem wczasowicz gubiący kawałki naskórka.

I nikt tak naprawdę nie rozumiał, dlaczego tak się działo.

Dziwne było to, że Unia ciągle się łuszczyła, pomalutku, stopniowo, nawet po wygaśnięciu grypy Xian. Oficjalnie wciąż istniała, ale w porozrzucanych kawałkach, jak franczyzy Burger Kinga, głównie w Anglii, Polsce, Hiszpanii oraz Belgii, i większość czasu poświęcała na robienie hałasu w Organizacji Narodów Zjednoczonych. W Europie wciąż powstawały nowe państwa i z każdym rokiem było ich coraz więcej.

Na kontynencie zaroiło się od dziedziców Romanowów, Habsburgów, Koburgów, Grimaldich i rodów, o których nikt nigdy nie słyszał, wydziedziczonych mniej więcej w piętnastym wieku, i wszyscy oni dążyli do założenia własnych kieszonkowych państw. Odkryli też, że muszą współzawodniczyć z tysiącami mikroetnicznych grup, które nagle również zapragnęły mieć europejskie ojczyzny, a także z grupami religijnymi, komunistycznymi, faszystowskimi i fanami zespołu U2. Istniało nawet, bardzo krótko, miasto-państwo – lub dokładniej wioska-państwo – zamieszkane przez wielbicieli pisarstwa Güntera Grassa. Rudiemu było trochę żal, że Grassheim został wchłonięty przez Republikę Pomorską, która sama istniała zaledwie dziesięć lub piętnaście lat. Naprawdę lubił *Blaszany bębenek*.

Niepodległe Śląskie Państwo Hindenberg – dawniej polskie miasta Opole i Wrocław (a jeszcze dawniej niemieckie miasta Oppeln i Breslau – przedtem zaś pruskie miasta… etc., etc.) i tereny wokół nich – było swego rodzaju teutońską wyspą na słowiańskim morzu. Polska, zmuszona przez UE, ONZ i NATO do wyrażenia zgody na powstanie kraju etnicznych Ślązaków, odmówiła przekazania mu dodatkowego terytorium, dzięki któremu młode państwo zyskałoby lądowe połączenie z Wielkimi Niemcami. Hindenberg odpowiedział na to wprowadzeniem drakońskich wymagań wizowych dla Polaków, na co Polska odpowiedziała

utrzymywaniem sztucznie niskiego kursu wymiany złotego na hindenberskie marki.

Były spory graniczne, dochodziło do nadgranicznych utarczek, Polacy prowadzili manewry wojskowe o kilka metrów od hindenberskiego płotu granicznego. Hindenberg nieoficjalnie zaoferował schronienie niektórym z najzamożniejszych i najpotężniejszych bossów mafijnych w Polsce i odmówił podpisania umowy o ekstradycji ze swoim słowiańskim sąsiadem.

Ostatnią z tych wzajemnych złośliwości była decyzja kierownictwa kolei państwowych Hindenbergu o zmianie szerokości torów. Polskie władze odpowiedziały na to zakazem dostarczania przesyłek pocztowych do śląskiego państewka.

Rozum podpowiadał, że koniec końców sprawy się ułożą. Jednak do tego czasu Polacy, którzy wybierali się do Hindenbergu, musieli płacić tysiące złotych za wizę i czekać na nią sześć miesięcy, polskie pociągi nie mogły przejeżdżać przez Hindenberg w drodze do Poznania i granicy Wielkich Niemiec, a w systemie dostaw pocztowych do Hindenbergu zapanował totalny chaos.

Podczas tych kłótni między Polakami i Hindenberczykami wprowadzono podsłuch zarówno linii telefonicznych, jak i przesyłu danych, lub je wręcz poprzecinano, oraz zaczęto kodować sygnały telewizyjne i satelitarne. Nikt z ludzi mieszkających po polskiej stronie do pięciu kilometrów od granicy nie mógł oglądać telewizji ani używać wi-fi.

Rudi uważał, że to groteskowy, ale jakoś bardzo polski stan rzeczy. Wedle starego powiedzenia Polacy nie są naprawdę szczęśliwi, póki ktoś im nie powie, co powinni robić. Rudi zaobserwował, że Polaków najbardziej uszczęśliwia, gdy wysłuchawszy, jak ktoś im mówi, co mają robić, robią to zupełnie na odwrót.

Bahnhof Breslau był pełnym światła, kolosalnym klinem ze szkła i stali wbitym w serce tego starego polsko-niemieckiego miasta. Był wręcz niesamowicie czysty. Rudi naprawdę słyszał echo swoich kroków na marmurowej posadzce, kiedy szedł peronem do głównego wejścia. Tuż za automatycznymi drzwiami zatrzymał się i rozejrzał z niedowierzaniem.

To nie ograniczało się tylko do stacji. Całe miasto było pełne światła.

Chociaż Wielkie Niemcy już dawno zrezygnowały ze swoich konstytucyjnych roszczeń do ziem w zachodniej Polsce, wiadomo było, że Berlin jest całkiem zadowolony, iż etniczni Ślązacy znaleźli w końcu dom. Wielkie Niemcy nie były już tak wielkie jak kiedyś, gdyż zaczęły się dzielić na coraz mniejsze i stopniowo coraz bardziej zanarchizowane autonomiczne regiony, więc perspektywa rozszerzenia niemieckich wpływów na wschód wydawała się dość atrakcyjna. Tak bardzo, że do Narodowego Banku Hindenbergu trafiła bardzo duża suma D-marek, które Hindenberczykom posłużyły do wymazania polskości Wrocławia i rozpoczęcia wszystkiego od nowa.

Dlatego Breslau – oraz Opole i spora część ziem leżących między nimi – bardzo przypominał teraz Berlin: wielkie zbiorowisko biurowców i budynków mieszkalnych przetykanych tymi zabytkami pruskiej architektury, które przetrwały dwie wojny światowe, pięćdziesiąt lat komunistycznej okupacji i sześć dekad polskiej administracji. Na ulicy przed dworcem roiło się od samochodów i autobusów, a po jej drugiej stronie wznosił się lśniący monolit hotelu Marriott. Rudi pomyślał, że to w zasadzie mówi wszystko: gdy do jakiegoś państwa wchodzą wielkie sieci hotelowe, można mieć jaką taką pewność, że ono nie upadnie.

Przed dworcem stał sznur taksówek, wszystkie marki BMW. Rudi wsiadł do jednej i podał kierowcy adres hotelu, w którym zarezerwował pokój, po czym samochód ruszył cicho, kierując się do celu.

Rudi przeczytał spory stosik powieści szpiegowskich, więc sytuacja, w której się znalazł, wydawała mu się znajoma. Prawdę mówiąc, bardziej niż znajoma – trąciła banałem. Podchody spod znaku płaszcza i szpady, potajemne spotkania w ciemnych uliczkach Europy Środkowej… Nie był jakoś szczególnie zdenerwowany. Może tylko lekko zażenowany.

Kiedy taksówka niedaleko od hotelu skręciła we Freytag Allee, Rudi pochylił się do przodu i powiedział do kierowcy:

– Wie pan co, kolego, niech mnie pan tutaj wysadzi. Resztę drogi mogę przejść pieszo.

Taksówkarz zjechał do krawężnika i zatrzymał samochód, a następnie się odwrócił i odchyliwszy głowę, żeby nie zasłaniał jej zagłówek, popatrzył na Rudiego.

– Przyjechałem tu na urlop – wyjaśnił Rudi. – Wydaje się, że to głupie wszędzie jeździć.

– Ostatnio w tej okolicy było wiele napadów – ostrzegł kierowca, ale nie sprawiał wrażenia jakoś szczególnie zaniepokojonego.

– A słyszałem, że w Hindenbergu wykorzeniono przestępczość – odparł Rudi.

Kierowca się roześmiał.

– A to dobre – powiedział, biorąc od Rudiego pieniądze. – Wykorzeniono przestępczość. Bardzo dobre. – Śmiał się jeszcze, gdy odjeżdżał, zostawiwszy Rudiego na chodniku. Rudi odczekał, aż taksówka skręci za róg, po czym ruszył z powrotem ulicą, którą przyjechali.

Freytag Allee nie była, co odkrył z przyjemnością, tak ciemna jak większość ulic w Europie Środkowej. Była to jasno oświetlona ulica handlowa, na której wciąż panował duży ruch, a na chodnikach roiło się od przechodniów. Każdy wydawał się dobrze ubrany, zamożny i szczęśliwy, do czego Rudi nie był przyzwyczajony w Krakowie. Szedł spacerowym krokiem przed siebie, bez pośpiechu oglądając witryny sklepów. Na pięć minut zatrzymał się przed oknem wystawowym przedstawicielstwa handlowego Peugeota, za którego lekko zieloną, kuloodporną szybą stał tuzin nieskazitelnie czystych samochodów. Popatrzył na ceny, przeliczył je w myślach z marek na złote i oszacował, że musiałby pracować w kuchni Maksa przez następne sto piętnaście lat, gdyby chciał kupić peugeota w Hindenbergu.

Niespiesznie ruszył znów przed siebie. Kawałek dalej do wewnętrznej strony ogromnego okna było przyklejonych mniej więcej sto cienkich jak papier telewizorów, wszystkie włączone na ten sam mecz piłki nożnej. Z koloru koszulek graczy Rudi wywnioskował, że to spotkanie drużyn Węgier i Anglii, a z tego, co się działo na boisku i trybunach – że mecz jest niezwykle brutalny.

Po pięciu minutach na chodniku zatrzymał się jakiś mężczyzna. Stanął obok niego i przez jakiś czas oglądali mecz razem.

– To nie był gol – nagle powiedział przybysz po niemiecku.

– Mógł być – odparł Rudi. – Myślę, że nikt już nie rozumie, na czym polega pułapka ofsajdowa.

– To prawda – zgodził się nieznajomy. – Ja z pewnością tego nie rozumiem.

Rudi zerknął nań i zobaczył masywnego, szczelnie opatulonego mężczyznę. Wieczór był chłodny, nieznajomy podniósł więc kołnierz długiego płaszcza, a kapelusz z szerokim rondem naciągnął aż na brwi. Szalikiem zakrył dolną część twarzy, tak więc Rudi widział tylko jego oczy oraz to, jak się poruszał, mowę jego ciała.

– To bardzo smutne miasto – powiedział mężczyzna.

– Wiele miast jest takich – zgodził się Rudi, jak mu kazał Dariusz.

Zwalisty mężczyzna obok niego wyraźnie się odprężył.

– Pięćdziesiąt siedem – rzekł.

– Pięćdziesiąt siedem – powtórzył Rudi.

Mężczyzna włożył ręce do kieszeni i zaczął się oddalać. Po kilku krokach zatrzymał się, odwrócił i popatrzył na Rudiego.

– Jesteś bardzo młody – stwierdził.

Rudi próbował sobie przypomnieć, czy Dariusz podał mu jakąś odpowiedź na to konkretne zdanie. Po chwili uznał, że był to po prostu dalszy ciąg ich rozmowy, i ku swemu zaskoczeniu poczuł się z tego powodu niezręcznie.

– Przykro mi – odpowiedział.

Masywny mężczyzna przyglądał mu się jeszcze przez chwilę. W końcu wzruszył ramionami, odwrócił się i odszedł. Rudi odprowadzał go wzrokiem do chwili, gdy skręcił na rogu i zniknął za przedstawicielstwem handlowym Peugeota.

I to było wszystko. Rudi stał przed oknem sklepu i oglądał mecz Węgry–Anglia. Nie bardzo rozumiał, skąd dochodził sygnał. Z pewnością nie ze źródeł naziemnych lub satelitarnych – Polacy na pewno je zagłuszali. Tak samo łącza kablowe z Wielkich Niemiec. Może ktoś wcześniej tego dnia przywiózł nagranie na nośniku pamięci. Kamery pokazywały właśnie obraz trybun. W pewnej chwili w morzu falujących ciał buchnął gęsty pomarańczowy dym, zasłaniając tłum. Komuś udało się wnieść na stadion rację, mimo wykrywaczy metalu, wykrywaczy materiałów wybuchowych i losowo przeprowadzanych rewizji osobistych.

Rudi stał tam dziesięć do piętnastu minut. Sędzia podyktował karnego dla Węgier, które dzięki temu zdobyły gola. Nie było żadnych syren. Nikt

do niego nie podszedł. Nikt nie chciał go aresztować. Nikt też nie próbował go obrabować. W końcu wrócił do hotelu.

4

Kraków wyglądał brudno. Nie można było tego inaczej nazwać; po Breslau wyglądał brudno. Był majestatyczny, piękny, ale zapuszczony. Wychodząc z pociągu na stacji Kraków Główny, odkrył, że po raz pierwszy od lat zwraca uwagę na smog w powietrzu. To był przepiękny wschód słońca. Z powodu smogu Kraków miał mnóstwo pięknych wschodów słońca. Z tego samego powodu miewał też jego apokaliptyczne zachody.

Rudi poszedł w kierunku centrum miasta. Część stoisk z kiełbaskami i pizzą przed Barbakanem była już otwarta i niesione porannym wiaterkiem zapachy pieczonego mięsa oraz gorącego oleju sprawiły, że popłynęła mu ślinka, ale przeszedł obok nich, nie zatrzymując się. Pomyślał, że jedynie turyści są tak głupi, by ryzykować kupno kawałka pizzy w jednym z takich kramików.

Floriańska była prawie pusta. Rudi wszedł przed frontowe drzwi restauracji Maks i zamknął je za sobą na klucz.

Na parterze stoły i krzesła były ustawione pod ścianami sali i jedna z filipińskich sprzątaczek Maksa pchała po dywanie stary odkurzacz firmy Dyson. Rudi pomachał jej na powitanie i pchnąwszy wahadłowe drzwi, wszedł do kuchni.

Pośród powierzchni wyłożonych kafelkami lub nierdzewną stalą stał Maks z podkładką do pisania w ręce. Odhaczał na przypiętej do niej liście kolejne pozycje z porannych dostaw żywności.

– Ten sukinsyn Tomek znowu oszukuje na wadze wieprzowiny – powiedział do Rudiego.

– Gdzie jest Mirek? – Mirek, zastępca Rudiego, w kuchni bywał tylko od czasu do czasu i Rudi najchętniej by go zwolnił, ale musiał się jeszcze zebrać na odwagę, żeby to zrobić.

Maks wzruszył ramionami. W przeciwieństwie do swojej matki Maks nie potrafił sobie radzić z personelem kuchennym. Pod nieobecność Rudiego to Mirek powinien nią kierować, ale Mirek był niczym siła natury, kapryśny i niepewny. Był także, niestety, wybitnym kucharzem i klientom

Maksa będzie go brakowało, nawet jeśli Rudi nie odczuje tego zbyt boleśnie.

– Zadzwonię do Tomka – powiedział, wpychając swój plecak pod jeden z blatów.

Tomek miał własne problemy, głównie dotyczące dostawców, personelu i łapówek. Biznes restauracyjny miał wiele wspólnego ze stosunkami międzynarodowymi; ogromną rolę odgrywała w nim dyplomacja, i to zazwyczaj dyplomacja kanonierek.

Zdjął kurtkę.

– Tęskniłeś za mną?

– Byłoby lepiej, gdybyś był tutaj – przyznał Maks.

– Czy to mi zapewni podwyżkę?

Maks machnął ręką, w której trzymał podkładkę do pisania.

Rudi powiesił kurtkę w szafie i potarł oczy. Wydawało się czymś absurdalnym, że był tak zmęczony po tak krótkiej podróży.

– Zajmę się Mirkiem.

– Wczoraj wieczorem musiałem wziąć szefa kuchni z agencji – powiedział mu Maks.

A to w świecie Rudiego i Maksa było czymś niemal najgorszym, co się mogło przydarzyć restauracji. Rudi pomyślał, ile wysiłku będzie go kosztowało załagodzenie wzburzonych nastrojów personelu, i zapytał:

– Kto to był?

– Paweł Grabiński.

Co nie było tak katastrofalne, jak mogło być, chociaż podwładni Rudiego mogliby dawać sobie radę bez niego i bez Mirka. Uważał, że przygotował ich wystarczająco dobrze. Powinno wśród nich dojść do przetasowania, zmiany porządku dziobania. Ktoś powinien przejąć kierownictwo. Uświadomił sobie, że będzie musiał im nawymyślać, czyli zrobić coś, czego obiecał sobie nigdy nie robić we własnej kuchni.

– Paweł jest całkiem dobrym szefem – powiedział bez przekonania.

– Tylko że wygląda tak żałośnie – odparł Maks – jakby za chwilę miał się rozpłakać.

– Sam miewałem takie dni – rzekł Rudi, wyjmując podkładkę do pisania z jego nie stawiających oporu palców. Szef sprawdził tylko kilka pozycji spośród piętrzących się pośrodku kuchni skrzynek z recyklingowanego plastiku.

– Wyglądasz na zmęczonego – zauważył Maks.

– Uprzątnę wszystko i zdrzemnę się parę godzin, dobrze?

– Powinieneś pójść do domu i porządnie się wyspać. Zadzwonię do agencji i ściągnę kogoś do dzisiejszego obiadu.

– Znów mogą przysłać Pawła.

Maks się zawahał.

– Nic mi nie będzie – zapewnił go Rudi. Włożył podkładkę pod pachę i poszedł nalać sobie filiżankę kawy z ekspresu, którego instalację w kuchni wymusił na Maksie.

Maks wyraźnie starał się nie zapytać, jak było w Hindenbergu.

– Spotkałem się z nim – powiedział w końcu Rudi.

– I jak wyglądał?

– Było ciemno; twarz miał w cieniu. – Rudi zastanawiał się, jak długo będą ciągnąć tę szaradę o „kuzynie” Maksa. – Muszę porozmawiać z Dariuszem – dodał.

– I porozmawiasz – odezwał się Dariusz, wchodząc do kuchni z korytarza prowadzącego na podwórko za restauracją. – A magiczny numer to…?

– Pięćdziesiąt siedem – odparł Rudi.

– Jesteś pewny? – zapytał Dariusz.

– Pięćdziesiąt siedem – powtórzył Rudi.

– Świetnie się spisałeś – pochwalił go Dariusz, a potem odwrócił się i wyszedł z powrotem na korytarz. Rudi usłyszał jeszcze, jak otwiera drzwi na podwórko, a potem je zatrzaskuje. On i Maks spojrzeli po sobie.

– Wyglądał zdrowo? – zapytał Maks.

Rudi nalał sobie filiżankę kawy.

– Powiedziałem ci: było ciemno. – To najwyraźniej nie wystarczyło Maksowi, więc dodał: – Jego głos brzmiał tak, jakby nic mu nie dolegało.

Maks pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział z lekkim zakłopotaniem, jak pomyślał Rudi. Odwrócił się i ruszył w stronę wahadłowych drzwi do sali jadalnej. – Dobrze.

I to wydawało się końcem małej przygody Rudiego. Maks nie wspominał o tym więcej, a Dariusz nie przychodził do restauracji. Było tak, jakby nic się nie wydarzyło, jakby nigdy nie wsiadł do pociągu do Hindenbergu.

Gotował, obserwował zastępców szefa, którzy pojawiali się w kuchni, a po kilku dniach odchodzili, krzycząc o niskich zarobkach i nietypowych godzinach pracy. Maks tylko kręcił ze smutkiem głową i wracali do normalnego życia.

Chłodna polska wiosna stopniowo przeszła w bujne, męczące polskie lato. Zepsuł się klimatyzator w kuchni i personel zaczął opadać z sił, a niekiedy nawet mdleć. Kraków skwierczał w upale. Miasto pękało w szwach pod naporem turystów.

Pewnego pracowitego czerwcowego wieczoru jeden z gości zapytał, czy mógłby złożyć wyrazy uznania szefowi kuchni, i Rudi przyszedł do sali restauracyjnej, żeby wysłuchać komplementów.

Klient był wysokim, chudym jak szczapa mężczyzną z nażelowanymi włosami i sumiastymi wąsami, jakich nie widywało się już zbyt często w Europie Środkowej. Miał na sobie drogi niemiecki garnitur, a jego żona zaskakująco odważną purpurową suknię wieczorową z odkrytymi ramionami i plecami, zdecydowanie zbyt wydekoltowaną.

Rudi usiadł z nimi i pozwolił mężczyźnie nalać sobie drinka oraz złożyć gratulacje. Kobieta uśmiechnęła się, pochwaliła go za dania, po czym pochyliła się, żeby poklepać go po kolanie i zapytać o jego przepis na bigos, on zaś odkrył, że może zajrzeć w głąb jej sukni aż do włosów łonowych.

Odwrócił wzrok i zobaczył, że Maks stoi twarzą w twarz z jakimś mężczyzną w jednym z najciemniejszych kątów restauracji. Zdawali się prowadzić bardzo cichą, bardzo poważną rozmowę. Rudi pomyślał, że w sylwetce rozmówcy szefa i mowie jego ciała jest coś znajomego. A potem sobie uświadomił, że widział już sylwetkę tego człowieka i miał okazję poznać mowę jego ciała. I wtedy Maks oraz ów mężczyzna się objęli. Jak kuzyni, którzy od dawna się nie widzieli.

Kilka tygodni później – Rudi doszedł później do wniosku, że dali mu czas, aby sobie wszystko przemyślał – Dariusz przyszedł do restauracji; chciał się z nim zobaczyć.

– Powinieneś wiedzieć, że kuzyn Maksa jest ci bardzo wdzięczny – powiedział mały mafioso.

– Maks o tym wspomniał – odparł Rudi.

Dariusz rozsiadł się wygodnie, zapalił papierosa i rozejrzał się po restauracji.

– Chciałbyś zarabiać na życie w taki sposób? – zapytał.

– Jestem szefem kuchni – odpowiedział Rudi. – Tak zarabiam na życie.

Dariusz zaciągnął się papierosem, przetrzymał dym w płucach dłużej, niż zdaniem Rudiego było medycznie dopuszczalne, po czym wypuścił wąską smugę aromatycznej mgiełki.

– A jak by ci się podobało robienie tego w ramach hobby? – zapytał.

– Zgoda – powiedział Rudi. – Pod warunkiem że będzie to hobby z tych dobrze płatnych.

UCZEŃ CZARNOKSIĘŻNIKA

1

Fabio przyleciał z Londynu z piętnastogodzinnym opóźnieniem.

– Pieprzeni Angole – powiedział, gdy Rudi w końcu znalazł go na lotnisku Jana Pawła II w Krakowie-Balicach. – Stracili jakieś tysiąc lat na zastanawianie się, czy chcą wstąpić do Unii, a kiedy już to zrobili, stali się kompletnymi fanatykami. Chcę powiedzieć, że to odrażające. Masz, ponieś.

Rudi wziął podręczną torbę Fabia, która była znacznie cięższa, niż wyglądała, i ruszył za małym Szwajcarem o włoskich korzeniach przez halę przylotów.

Między halą przylotów a postojem taksówek okazało się, że Anglicy mieli jeden ze swoich periodycznych napadów paranoi – narkotyki, terroryzm, szczepienia i tak dalej – i Fabio został zatrzymany; musiał czekać, aż dogłębnie sprawdzą jego paszport oraz dokumenty podróży.

– Mogę jeszcze zrozumieć, że nie chcą człowieka wpuścić do kraju – wściekał się. – Ale żeby nie pozwolić mu wyjechać? Jaki umysł wpadł na coś takiego? – Popatrzył na zbieraninę różnorodnych samochodów stojących jeden za drugim przed terminalem lotniska i pokręcił głową. – Nie, nie wsiądę do żadnej z tych taksówek. Gdy ostatnio wziąłem jedną z tego lotniska, taksiarz kompletnie mnie orżnął. Powinienem był polecieć do Katowic. Nigdy nie miałem żadnych problemów z taksówkarzami z Katowic. Pojedziemy autobusem. Idź za mną.

Rudi poszedł za nim.

– A kiedy czekałem, umieścili mnie w tym obrzydliwym hotelu na Heathrow – dodał jeszcze Fabio.

Każdy uczeń potrzebuje nauczyciela, powiedział mu Dariusz, i Fabio miał być kimś takim dla niego. Był niski, pucołowaty i dostatecznie dobrze

ubrany, by obrabowano go w pięć minut po postawieniu stopy na dowolnej ulicy w Europie Zachodniej. Miał garnitur z najnowszej kolekcji Armaniego, a jego buty zostały uszyte przez starych rzemieślników z Kordoby. Jego bagaż kosztował więcej niż mieszkanie w centrum Krakowa. Rudi pomyślał, że Fabio jest jednym z najbardziej rzucających się w oczy ludzi, jakich kiedykolwiek widział. To cud, że angielskie władze go nie aresztowały i nie wynalazły jakiegoś przestępstwa, którym mogłyby go obciążyć, niewiele mu bowiem brakowało do karykatury środkowoeuropejskiego biznesmena.

Fabio nie miał najlepszego zdania o krakowskich hotelach. Cracovia nie była dla niego wystarczająco dobra. Nie chciał nawet przekroczyć progu Europy i utrzymywał, że szef kuchni w Bristolu jest notorycznym trucicielem. Skończyło się na tym, że wylądował w mieszkaniu Rudiego.

– Zapomnij o tych wszystkich pieprzonych ideach związanych z Schengen – powiedział pierwszego wieczoru, pochłonąwszy posiłek, który Rudi dla niego ugotował. – Ludzie w tym interesie dbają tylko o dwie rzeczy: o pieniądze i prestiż. Dostajesz pieniądze za swoją robotę i zyskujesz prestiż za podejmowanie szalonego ryzyka. – Jednym haustem opróżnił kieliszek wina i skrzywił się. – Okropne.

– To mouton rothschild ’41 – zaprotestował Rudi.

– Czterdziesty pierwszy – rzekł Fabio, patrząc na kieliszek tak, jakby wyrządził mu osobistą krzywdę. – Co za paskudny rok.

– To był dobry rok.

– Nie dla mnie. Czy nie masz czegoś innego do picia? A ten befsztyk był zbyt mocno wysmażony, nawiasem mówiąc.

Nazywali siebie Les Coureurs des Bois [1] i dostarczali pocztę.

Zanim jeszcze Europa rozkwitła nowymi krajami, istniał już dobrze prosperujący interes kurierski, częściowo legalny, w większości jednak nie. Niektóre rzeczy były po prostu zbyt delikatne lub ważne, albo wprost nielegalne, i nie można ich było powierzyć publicznej poczcie ani przekazać elektronicznie. W tamtych dniach sprytny kurier mógł sobie załatwić tani przelot do dowolnego miejsca na Ziemi, jeśli tylko dobrze wybierał zlecenia.

Obecnie sytuacja była bardziej skomplikowana. Z powodu sporów granicznych dostarczanie poczty z państewka A do państewka B często było niemożliwe. Ludzie kontaktowali się zatem z Les Coureurs i poczta dochodziła na miejsce. Czasem tą pocztą byli ludzie, dla których przedostanie się z państewka A do państewka B mogło być w przeciwnym razie czymś niemożliwie delikatnym. Czasem były to rzeczy, które kraj B mógł, z powodu ciasnoty poglądów, uznać za nielegalne.

Innymi słowy, byli przemytnikami, chociaż gdy Rudi wyraził tę opinię, Fabio zwrócił mu uwagę, że tak jak w tylu innych sprawach, określenie to w wielkiej mierze zależy od punktu widzenia.

Nikt nie wiedział, kim byli. Według popularnego poglądu stanowili zjawisko typowe dla tych czasów, byli wynikiem stopniowego zrastania się małych firm kurierskich w organizację, która miała wiele wspólnego zarówno z CIA, jak i pocztą. Nawiązywało się z nimi kontakt w ten sam kłopotliwy sposób, w jaki po raz pierwszy człowiek kontaktuje się z dilerem narkotyków – dzięki temu, że zna kogoś, kto zna kogoś, kto zna jeszcze kogoś.

Rudi uważał, że media traktowały ich poważniej, niż na to zasługiwali. Byli po prostu kurierami, a ludzie rozwozili różne rzeczy po Europie przynajmniej od średniowiecza i przemycali je znacznie dłużej. Byli także, jeśli Fabio był postacią reprezentatywną dla nich wszystkich, okropnymi gośćmi. Oprócz licznych innych drobnych dziwactw Fabio miał jeszcze i to, że nie mógł się oprzeć potrzebie przestawiania mebli. Każdego wieczoru, gdy Rudi wracał do mieszkania, zastawał meble w jakiejś nowej konfiguracji, a pośrodku salonu, patrząc na swoje dzieło, stał Fabio. Początkowo myślał, że mały pulchny *coureur* praktykuje jakąś dziwaczną szwajcarską formę feng shui, ale mniej więcej po tygodniu zaczął się zastanawiać, czy nie jest on aby trochę stuknięty.

Wielokrotnie, z wręcz obsesyjną dbałością o szczegóły omawiali jego podróż do Hindenbergu. Mówił, co zapamiętał, z kim rozmawiał, gdzie był, co zaobserwował, i o ludziach, z którymi się zetknął, od funkcjonariuszy na granicy przez taksówkarza w Breslau do kelnera, który następnego ranka podawał mu śniadanie w Pension Adler.

– Załatwiłeś to prosto i dobrze – powiedział mu Fabio. – Prosto często oznacza najlepiej, ale nie zawsze. Czasem konieczne jest jak największe skomplikowanie spraw. A czasem musisz po prostu improwizować, zdać się

na ślepy los. – Upił łyk z filiżanki i zniesmaczony wydął wargi. – Co to jest? Jak ty to nazywasz?

Rudi popatrzył na filiżankę.

– To jest kawa – odpowiedział.

Fabio odstawił filiżankę na spodek.

– Nie tam, skąd pochodzę.

– Piłeś ją przez cały tydzień.

Fabio pokręcił głową.

– Nie mogę znieść tego „palenia na sposób kontynentalny”. Co to ma znaczyć? Kontynentalne palenie…

Rudi wstał.

– Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

– On jest bardzo dobry – powiedział Dariusz.

– Doprowadza mnie do szału – odparł Rudi.

Dariusz zapalił papierosa.

– Co cię właściwie w nim irytuje?

– Ile masz czasu?

Dariusz zachichotał.

Rudi westchnął. Byli w restauracji U Haliny przy Senatorskiej. Ponieważ Rudi znał tu szefa kuchni, a Dariusz był tym, kim był, dostali jeden z prywatnych stolików, z dala do tłumu jedzących obiad studentów, turystów i bezrobotnych aktorów.

– Nic, co dla niego gotuję, nie jest wystarczająco dobre – pożalił się.

Dariusz prychnął pogodnie.

– Myślę, że jeszcze się przekonasz, że ludzie mają własne upodobania kulinarne.

– Tam, skąd pochodzę, przejawem dobrych manier jest niekrytykowanie kuchni gospodarza.

– Może w Szwajcarii jest inaczej. – Mały mafioso wzruszył ramionami. – Nie wiem, nigdy tam nie byłem. Co jeszcze?

– Przestawia moje meble.

Dariusz popatrzył na niego i zmrużył oczy. Znowu wzruszył ramionami.

– Fabio żyje bardzo aktywnie, nie przywykł do kiszenia się w twoim mieszkaniu. To wygląda tak, jakby się niecierpliwił.

– Niecierpliwił?

– Posłuchaj. – Dariusz machnięciem ręki zbył wątpliwości Rudiego. – Jest tutaj, żeby cię uczyć. Ma się stać dla ciebie kimś takim… jak Merlin dla Artura. Obi-Wan dla Anakina. Musimy być pobłażliwi dla geniuszy.

– A czy musimy im pozwalać, żeby przestawiali nasze meble?

– Jeśli przestawianie mebli ich uszczęśliwia.

– Dariusz, z nim jest coś nie tak.

Dariusz pokręcił głową.

– Pobłażaj mu, Rudi. Słuchaj go i ucz się.

Zdaniem Rudiego ten, kto założył Les Coureurs, przedawkował literaturę szpiegowską z końca dwudziestego wieku. Żargon operacyjny *coureurs*, z którym zapoznał go Fabio, brzmiał, jakby pochodził z książek Johna le Carrégo. „Legendy", były fikcyjnymi tożsamościami. „Korespondentami" nazywano członków personelu nie biorących bezpośredniego udziału w operacjach lub początkujących *coureurs*, których zadaniem było sprawdzanie określonych miejsc w terenie lub podtrzymywanie „legend". „Pianiści" byli hakerami, „krawcy" zapewniali wsparcie techniczne, a „szewcy" podrabiali dokumenty – Rudi wiedział, że ten eufemizm był w użyciu w kręgach wywiadu od lat trzydziestych dwudziestego wieku. Uważał, że to idiotyczne.

Sprawa z kuzynem Maksa była testem – stało się to teraz oczywiste. Jak to opisał Dariusz, kuzyn Maksa nawiązał już przedtem kontakt z *coureurs* i otrzymał wykaz sposobów przeprowadzenia jego ucieczki z Hindenbergu. Rudi jedynie przekazał numer wybranej przez niego opcji. Mógł to zrobić każdy „korespondent"; kuzyn Maksa, wobec problemów z pocztą i telefonami, zagłuszania radia i przechwytywania e-maili, mógł zacząć wysyłać sygnały dymne. Ogólnie rzecz ujmując, był to, bardziej niż cokolwiek innego, test wytrzymałości nerwowej, sprawdzian tego, jak Rudi poradzi sobie z problemem.

Wyglądało na to, że zdał ten test. I Fabio był jego nagrodą.

– Nigdy, przenigdy nie bagatelizuj wartości „korespondenta" – powiedział mu Fabio. – Weźmy pod uwagę typowego „korespondenta"… będziemy go nazywać Ralf. Ralf pracuje w delikatesach w Lozannie. Ma żonę o imieniu Chantelle, kilkoro dzieci i być może psa. Przez większość czasu wiedzie normalne życie. Nienawidzi swojego szefa. Pieprzy żonę. Bawi się z dziećmi. Wyprowadza psa na spacer.

– Może – wtrącił Rudi.

– Przerywasz mi – ostrzegł Fabio.

– Powiedziałeś, że być może ma psa. – Po dwóch miesiącach z Fabiem Rudi nauczył się cieszyć przyjemnościami, gdy tylko miał po temu okazję. – A teraz mi mówisz, że wyprowadza go na spacer.

Fabio zmrużył oczy.

– Zastanawiam się po prostu, czy powinniśmy teraz traktować istnienie tego psa jako coś oczywistego – mówił dalej Rudi.

Fabio zmarszczył brwi.

– Takie sprawy są ważne – dodał Rudi. – Musisz to przyznać.

Fabio przypatrywał mu się jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił wzrok i popatrzył gdzieś w dal.

– Ale od czasu do czasu Ralf dostaje specjalistyczne zadanie – podjął przerwany wątek. – Przedłużenie ważności paszportu na fałszywe nazwisko, załatwienie karty parkingowej czy wynajęcie mieszkania w Genewie. To wszystko tworzy legendę. I Ralf zna wszystkie składające się na nią szczegóły. To bezcenna wiedza operacyjna. Gdyby wpadł w ręce jakichś niemiłych ludzi i powiedział wszystko, co wie, jego informacje mogłyby się przyczynić do tego, że wiele „sytuacji” ległoby nagle w gruzach.

To nie tylko żargon, pomyślał Rudi. Jeśli Fabio był typowym ich przedstawicielem, znaczyło to, że Les Coureurs naprawdę uważali się za swego rodzaju agencję szpiegowską. Potajemne spotkania, ciemne ulice Europy Środkowej, szyfry z kluczem jednorazowym, cały ten entourage. Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien sobie uciąć kolejnej dyskretnej pogawędki z Dariuszem.

Fabio popatrzył na niego spokojnie.

– Teraz możesz mi ugotować obiad – powiedział. – A potem będę miał dla ciebie pracę domową. I nie chcę tych obrzydliwych flaków, które podałeś wczoraj wieczorem; moje wnętrzności nie doszły jeszcze do siebie.

Pracą domową była nie kończąca się wędrówka po urzędach. Umowa najmu podpisana w jednym miejscu, wniosek o wydanie prawa jazdy złożony gdzie indziej, wszystko to na różne nazwiska. Miał się przygotować do kupna samochodu, przedłużyć ważność paszportu, pojechać pociągiem do Sosnowca i wrócić ze skasowanymi biletami,

otworzyć rachunek w banku na nazwisko Anton Blum, zadzwonić do człowieka nazwiskiem Grudziński i poskarżyć się na złe działanie kuchennego rozdrabniacza odpadków w swoim mieszkaniu. I w pewnym momencie, zmęczony, z obolałymi stopami i niezbyt zachwycony życiem „korespondenta”, pomyślał, że dostrzegł w końcu sens w opowieści Fabia o Ralfie i jego być może istniejącym psie. Rzeczywiście mógł popsuć wiele różnych „sytuacji”. Gdyby miał choćby najmniejsze pojęcie, co właściwie robił. I dla kogo. I dlaczego.

– Myślę, że gdybyś chciał, mógłbyś w każdej chwili przestać – powiedział Maks, co tak naprawdę znaczyło: „Spędzasz zbyt dużo czasu jako *coureur*, a ja wydaję zbyt dużo pieniędzy na szefów z agencji”.

– To już nie może długo potrwać – odparł Rudi. – Dariusz mówi, że gdy Fabio ze mną skończy, może nie będę im potrzebny przez następne dziesięć lat.

Maks prychnął.

– W takim razie w Europie musi się roić od *coureurs*.

Rudi domyślał się mgliście, że Maks był teraz, albo kiedyś w przeszłości, związany w jakiś sposób z Coureur Central, ale pytanie o to wydawało mu się niedelikatne.

– Tak z ciekawości: ilu twoim zdaniem ich jest? – zapytał.

Maks roześmiał się.

– Ja znam dwóch. Ciebie i Fabia. – Poprzedniego wieczoru Rudi przyprowadził Fabia do restauracji na kolację. Nie było to radosne wydarzenie, dla nikogo.

– W takim razie będę bardzo zajęty.

– Na to wygląda – zgodził się Maks i westchnął.

2

Więcej „prac domowych”. Rozmowy telefoniczne, wnioski o wydanie paszportów, rozmowy o pracę. Pewnego dnia spędził cały ranek w bardzo zabałaganionym mieszkaniu w Sosnowcu. W końcu przyszedł policjant i wypytał go o szczegóły włamania, do którego rzekomo tam doszło. Rudi przekazał mu listę brakujących rzeczy. Policjant wziął ją i poszedł.

Nagle Rudi uświadomił sobie, że chociaż on z pewnością oswaja się z pracą „korespondenta”, to Centrala także odnosi korzyści z jego

szkolenia. Zapomniał już, w tworzeniu ilu legend brał udział. Zakładał rachunki bankowe. Wynajął biuro w Zabrzu. Fabio dał mu cienką aktówkę i kazał włożyć do skrytki w banku w Katowicach.

Do „prac domowych” doszła nauka rzemiosła, czyli szkolenie z technik szpiegowskich. A te okazały się rozczarowująco zwyczajne. Skrzynki kontaktowe, błyskawiczne przekazywanie materiałów podczas krótkiego, przelotnego kontaktu ciał, wskazówki, jak zgubić ogon, jak najlepiej kogoś śledzić. Wszystko to było jakby wprost wyjęte z książek Lena Deightona lub Alana Fursta. Prawie komiczne. Rudi wątpił, by nawet służby bezpieczeństwa działały jeszcze w ten sposób.

Fabio zmusił go, żeby ułożył plany ucieczek z pół tuzina polskich miast, kreśląc na mapach alternatywne drogi ewakuacji. A potem rozniósł je wszystkie w pył, pytając wysokim, napastliwym tonem: „Niczego się nie nauczyłeś? Wciąż do ciebie nie dociera, co mówię?”.

Po jakimś czasie Fabio zaczął znikać na kilka dni z rzędu. Rudi budził się rano i nagle odkrywał, że w jego życiu zieje dziura kształtu Fabia. Żadnego narzekania na jedzenie ani przestawiania mebli. Za pierwszym razem pomyślał, że coureur po prostu dał sobie z nim spokój i pojechał do domu, ale dzień czy dwa później Fabio wrócił, czyniąc nieprzyzwoite komentarze na temat Polaków i prowokując Rudiego do ugotowania mu posiłku, który naprawdę by mu smakował. Te jego nieobecności powtarzały się, w nieregularnych odstępach czasu, jeszcze wiele razy.

Robili jednodniowe wycieczki do sąsiednich miast i miasteczek, a Rudi musiał bez zastanowienia przedstawiać improwizowane plany ucieczek z najróżniejszych urzędów lub posterunków policji. Fabio następnie rwał je na strzępy.

– To niezła zabawa – przyznał znużony Rudi, gdy wracali z jednej z takich wycieczek – ale ja mam prawdziwą pracę, o której także muszę myśleć.

– Oczywiście, że masz – odparł Fabio. – I w każdej chwili możesz do niej wrócić. A ja mogę pojechać gdzie indziej. – Uśmiechnął się promiennie. – Może tam będzie porządne jedzenie. Jak myślisz?

Pieprz się, Fabio, pomyślał Rudi, co zdarzało mu się coraz częściej. Ale odpowiedział:

– Myślę, że będziesz na mnie skazany jeszcze jakiś czas.

Fabio westchnął.

– No tak. Tego się obawiałem.

Pewnej nocy, dziesięć tygodni po rozpoczęciu nauki rzemiosła, Rudiego obudziło dziwne przeświadczenie, że w jego sypialni jest ktoś jeszcze. Przewrócił się na plecy, otworzył oczy i zobaczył Fabia stojącego obok łóżka.

– Ubieraj się – powiedział mały *coureur*. – Idziemy poćwiczyć.

Rudi popatrzył na zegar.

– Jest trzecia nad ranem.

– W takim razie powinieneś wcześniej chodzić spać – warknął Fabio.

Rudi, który obiecał Maksowi, że tego dnia pojawi się w restauracji, co ostatnio robił coraz rzadziej, zapytał:

– Nie możemy tego zrobić jutro? Albo w piątek? Piątek byłby lepszy.

Fabio odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

– Chcesz znowu być kucharzem, dobrze – powiedział. – Spakuję się, odwieziesz mnie na lotnisko i będę mógł opuścić to śmierdzące miasteczko.

Rudi poczuł drgnięcie ducha oporu, którego rozbudziła w nim pani Stasia. Wstał z łóżka, włożył dżinsy i T-shirt.

– Jestem szefem kuchni, ty śmieszny mały sukinsynu! – krzyknął.

Fabio wrócił do drzwi, stanął w progu i popatrzył na Rudiego. Sypialnia tonęła w ciemności i mały Szwajcar był tylko sylwetką zarysowaną przez światła w korytarzu, więc Rudi nie widział wyrazu jego twarzy.

– A to jest miasto – dodał Rudi spokojniejszym głosem. – Nie miasteczko.

Fabio odwrócił się i wszedł do salonu.

– Miasto czy miasteczko… Co za różnica? – odparł.

Doszli do końca ulicy, gdzie stał lexus. Fabio włożył do bagażnika ciężką walizkę i powiedział Rudiemu, żeby jechał do Częstochowy.

Na miejscu kazał mu zaparkować przed dworcem kolejowym. Wyjął walizkę i ruszyli pieszo. Mniej więcej po czterdziestu minutach Fabio zatrzymał się przy zaparkowanym mercedesie, wyjął kluczyki i powiedział:

– Wsiadaj. Ja poprowadzę.

– Daleko jedziemy? – zapytał Rudi.

Fabio prychnął.

– A co cię to obchodzi, szefie kuchni?

Popatrzyli na siebie ponad dachem samochodu.

– Może będę miał czas trochę się zdrzemnąć – powiedział Rudi.

Fabio otworzył drzwi od strony kierowcy.

– Wsiadaj – rzucił.

W wyglądającym na opuszczone gospodarstwie za miastem jeszcze raz zmienili samochód. Tym razem przesiedli się do zdezelowanej simki z ogniwem paliwowym. Fabio długo krążył, nim wrócił na główną drogę, a potem odczekał trochę, zanim pojechał z powrotem do Częstochowy, po czym znów jeździł po mieście około czterdziestu minut. Rudi zdrzemnął się nieco i kiedy otworzył oczy, ponownie byli na drodze za miastem, a on nie miał pojęcia, w jakim kierunku zmierzają.

Jechali przez cztery godziny. Drogi były w przerażającym stanie; wiele z nich zbudowali jeszcze zwycięscy Niemcy w latach czterdziestych dwudziestego wieku, a że potem remontowano je po łebkach, pełne były dziur, wybojów i kolein. Polska nigdy nie miała wystarczająco dużo pieniędzy na roboty publiczne, a z pewnością nie na roboty publiczne w skali potrzebnej, by doprowadzić kraj do poziomu, powiedzmy, Wielkich Niemiec, gdzie drogi były wręcz zmysłowo gładkie. Hindenberg, który istniał trochę ponad dekadę, był w porównaniu z Polską krajem zachodnioeuropejskim.

Wiele z tego było konsekwencją upartego trwania Polaków w Unii Europejskiej. Tak długo czekali na akcesję, pomyślał Rudi, że postanowili, iż nikt i nic ich z niej nie usunie. Polska miała opuścić Unię jedynie nogami do przodu, kraj był zatem nieustannie wykrwawiany różnymi subsydiami oraz taryfami i raz za razem odkrywał, że dał się wciągnąć w kolejną wojnę handlową, które EU najwyraźniej była zdecydowana wszczynać ze wszystkim, co miało głowę państwa.

– Polacy… – wymamrotał Fabio, kiedy Rudi wspomniał o tym, by nawiązać rozmowę. – Kto ich zrozumie?

– Mądra myśl, Obi-Wan – powiedział Rudi.

Fabio rzucił mu przelotne spojrzenie.

– Co?

Rudi znowu się zdrzemnął. Fabio nie chciał mu powiedzieć, dokąd jadą, nie było więc sensu proponować mu, że zmieni go za kierownicą. Za oknem przesuwały się miasteczka i wioski, oazy światła w wielkiej

ciemności. Połowa znaków drogowych, które widział w światłach simki, była pozbawionymi wszelkich cech szczególnych różowymi prostokątami, a trawę i asfalt pod nimi znaczyła różowa farba.

– Armia Różowych Pilotów – powiedział po polsku Rudi, kiedy Fabio zaczął narzekać na różowe znaki.

– Że co, do cholery? – Fabio nie mówił zbyt dobrze po polsku, a przynajmniej się do tego nie przyznał, zawsze więc rozmawiali po angielsku.

– The Army of the Pink Pilots – przetłumaczył Rudi. – Myślałem, że takie rzeczy to tylko w Warszawie.

– Jakiś ruch walczący o prawa homoseksualistów?

Rudi zaśmiał się. Różowy Pilot był rodzimą polską legendą, zajmującą miejsce gdzieś pomiędzy Janem Sobieskim a Sikorskim.

– Tu chodzi o Pałac Kultury – powiedział. Fabio zmarszczył pytająco brwi, dodał więc: – W Warszawie. Pałac Kultury i Nauki. Dar Stalina i narodu radzieckiego dla narodu polskiego. Jeden z najbrzydszych budynków w Europie.

Fabio prychnął, jakby chciał powiedzieć, że w Europie aż roi się od budynków stanowiących obrazę dla jego wrażliwości estetycznej.

Mówiło się, że jedyną zaletą Pałacu Kultury jest to, że widać go z każdego miejsca w Warszawie. Oczywiście było to także jego największą wadą, ale przynajmniej nie można się było dzięki temu zgubić w tym mieście. Po upadku Muru toczyło się wiele dyskusji o tym, co zrobić z tym okropnym stalinowskim gmaszyskiem, i – jak to było z większością spraw w Polsce – niewiele z tym zrobiono.

A potem, pewnej nocy, na niebie rozległ się warkot silników, nad centrum Warszawy rozeszła się woń farby i kiedy ludzie obudzili się rano, odkryli, że Pałac Kultury przeszedł całkowitą odmianę.

Tymczasem za południowymi rogatkami miasta wylądował na łące śmigłowiec Mi-2 wyposażony w urządzenie do opryskiwania roślin, z którego na trawę wciąż ciekła różowa farba. Prowadzące od niego różowe, stopniowo zanikające ślady butów znaczyły drogę, którą odszedł Różowy Pilot, przechodząc zarazem do legendy.

Zgodnie z długoletnią tradycją różne frakcje w Sejmie obrzuciły się wzajemnie gniewnymi oskarżeniami. Były także rezygnacje z pracy,

głównie wśród kontrolerów ruchu lotniczego, którzy nie zauważyli przelotu Różowego Pilota.

Natomiast warszawiakom jego dzieło ogromnie się spodobało. Twierdzili, że dzięki temu budowla stała się tak cholernie widoczna, iż przestali ją w ogóle dostrzegać, a kiedy kilka tygodni później władze próbowały ją oczyścić, doszło do niewielkich rozruchów.

Wszystko to stało się mniej więcej rok przed przybyciem Rudiego do Krakowa i nie miał on jeszcze okazji wybrać się do Warszawy. Widywał ją jednak czasem w wiadomościach i niezależnie od miejsca, w którym stała kamera, w tle zawsze zdawał się sterczeć Różowy Pałac, rzucający się w oczy niczym śmiertelnie trzeźwy gość na przyjęciu weselnym. Rudi uważał, że wygląda nieprzyzwoicie zmysłowo.

– No tak, Polacy… – westchnął Fabio, kiedy Rudi mu wszystko wytłumaczył. – Nigdy nie przewidzisz, co zrobią. Za cholerę. A teraz jest ich cała armia.

– Cóż, nikt nie mówi, że to Różowy Pilot zamalowuje znaki drogowe – powiedział Rudi. – Po prostu jacyś ludzie idą za jego przykładem.

– I nikt nigdy nie złapał tego różowego pojeba.

– Nie – przyznał Rudi – nikt nigdy nie złapał różowego pojeba.

– Cóż, no proszę, sam widzisz – powiedział Fabio, kiwając palcem.

– Co widzę? – zapytał zdziwiony Rudi.

– To musi być on. To on zamalowuje te znaki drogowe. Każdy, kto jest gotów pomalować na różowo jeden duży budynek, niemal na pewno zrobi coś takiego jeszcze raz.

Rudi popatrzył na niego zdumiony.

Kimkolwiek byli członkowie ARP i skądkolwiek się wzięli, było oczywiste, że szczególnie dużo uwagi poświęcili temu odcinkowi szosy. Zamalowana była większość znaków, które mijali. Mogło to stanowić problem dla nie znających drogi kierowców, ale Fabio nigdy się nie zawahał.

W końcu wstało słońce. Rudi, który znowu przysnął, otworzył oczy i zobaczył mgliste światło poranka. Następnie, nawet o tym nie myśląc, ustalił swoje położenie w stosunku do osi północ-południe oraz wschód-zachód.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał, prostując zesztywniałe ciało.

– Nie wiem – odparł Fabio. – Wiem tylko, dokąd jedziemy.

– To świetnie – mruknął Rudi. – Dziękuję, Fabio.

Jak się okazało, wczesnym rankiem wyjechali z obszaru ozdobionego rękodziełami ARP na tereny nietkniętych znaków drogowych. Zorientowanie się, dokąd jadą, nie zajęło Rudiemu dużo czasu, i mniej więcej godzinę później przybyli do Poznania.

– Mogłeś mi powiedzieć, dokąd nas wieziesz – powiedział Rudi, gdy jechali w stronę centrum miasta.

– Mogłem – zgodził się Fabio. – Ale i tak jest nam pisane kroczyć przez życie ze zbyt małą ilością informacji. Im prędzej się z tym pogodzisz, tym lepiej.

Rudi popatrzył na niego.

– Czy to miał być żart?

– Po dwóch i pół miesiąca twojego gotowania – odparł Fabio – człowiek nabiera dosyć gorzkiego poczucia humoru.

Rudi jeszcze nigdy nie był w Poznaniu, ale Michał, kierownik sali restauracji Maks, urodził się we wsi leżącej pod tym miastem i niekiedy wieczorem, gdy nie było dużo pracy i ogarniała go tęsknota za domem, zabawiał słuchaczy, wśród których byli Krakowiacy, Ślązacy, Kurdowie, Albańczycy z Kosowa i Estończycy, opowieściami o rodzinnym mieście. Rudi wiedział zatem, że Poznań ma Stary Rynek ustępujący jedynie krakowskiemu i że przez długi czas był pruskim miastem o nazwie Posen. Wiedział, że pochowano tam Mieszka I, zdobywcę Śląska oraz Małopolski i pierwszego historycznego władcę Polski, a po nim jeszcze kilku innych władców oraz ich żony. Wiedział, że jest tam najstarsza katedra w Polsce – i znał ludzi w Krakowie, którzy wciąż nie mogli tego przeboleć. Wiedział, że nazwa miasta mogła pochodzić od imienia Poznan – zapewne wodza jakiegoś lokalnego plemienia – albo też jest zniekształconą formą polskiego czasownika „poznać”. Wiedział, że w ciągu wieków miasto miało wiele nazw. Wiedział, że przebiegała przez nie Linia, ale tak naprawdę nigdy nie poświęcił mu głębszej myśli.

Fabio zaparkował simkę na parkingu jakiegoś urzędu tuż przy centrum miasta i poszli do małego hotelu niedaleko Starego Rynku. Zarezerwowano

dla nich przylegające pokoje. Rudi poświęcił około trzydziestu sekund na zapoznanie się ze swoim, po czym rzucił się na łóżko.

3

O siódmej wieczorem tego dnia Fabio zapukał do jego pokoju, żeby zabrać go na kolację w małej restauracji hotelowej. Niegdyś, przed wielu laty, było przyjęte umieszczanie na górze menu informacji o kategorii lokalu. Najbardziej luksusowe były kategorii pierwszej lub drugiej, najtańsze zaś miały kategorię czwartą – i zazwyczaj były w miejscach, których turystom radzono unikać, chyba że uważali się za szczęściarzy.

Jednakże prace dwóch pokoleń zachodnich krytyków kulinarnych zaowocowały pewnymi zmianami. Polska obecnie usiana była gwiazdkami Michelina i rekomendacjami przewodników gastronomicznych Les Routiers oraz AA. Dlatego też z raczej zamierającym sercem Rudi przeczytał napis „kat. 3” wydrukowany w nagłówku menu. Postanowiwszy poeksperymentować, zamówił kotlet schabowy z plackami ziemniaczanymi i ku swemu przyjemnemu zaskoczeniu odkrył, że jedzenie jest kompetentnie przyrządzone i atrakcyjnie podane. Może to był jakiś chwyt reklamowy z tą kategorią trzecią.

– Dlaczego nie gotujesz czegoś takiego? – zapytał Fabio, z entuzjazmem wcinając gołąbki.

– Gotowałbym, gdybym wiedział, że lubisz liście kapusty z nadzieniem – odpowiedział Rudi.

Fabio wskazał widelcem jego danie.

– Co to jest?

Rudi popatrzył na swój talerz.

– Kotlet wieprzowy i placki ziemniaczane.

– Dobre?

– Trochę za dużo papryki w sosie.

– Nie cierpię szefów kuchni – powiedział Fabio, opychając się gołąbkami.

– Wiem.

– Małe nerwowe primadonny – ciągnął Fabio, stukając w stół rękojeścią noża. – Każdy półmózg korzystający z książki kucharskiej może ugotować przynajmniej coś tak dobrego jak to.

– Ale czy mógłby to robić codziennie dla restauracji na siedemdziesiąt stolików?

Fabio upił łyczek wina.

– Wszystko zależy od planowania, no nie? Byle głupek by to potrafił.

Rudi pogrzebał widelcem w sałatce.

– Mogę wiedzieć, o co chodzi w tym ćwiczeniu? – zapytał.

– Zrobimy skok na konsulat Linii i zabierzemy stamtąd „pakunek" – odpowiedział Fabio, nie przerywając romansu z gołąbkami. – Jak byś się do tego zabrał?

– Nie mam pojęcia.

– Cóż, na szczęście w tym ćwiczeniu od ucznia wymaga się jedynie, żeby patrzył i się uczył. To wino jest naprawdę dobre. Co to za jedno?

Rudi sprawdził w menu.

– Domowe czerwone.

– Doprawdy? Wiesz, powinieneś pogadać z kimś z personelu, jak jeden gość z branży z drugim. Może załatwiłbyś dla nas kilka butelek; zabralibyśmy je do Krakowa. To wino jest znaczne lepsze od tych sików, które mi podajesz.

Trasa Kolei Transeuropejskiej była ostatnim wielkim przedsięwzięciem inżynierii lądowej epoki europejskiej, bezpośrednim połączeniem kolejowym między Lizboną a Czukotką na dalekim wschodzie Syberii, z odgałęzieniami do wszystkich stolic Europy.

Przynajmniej taki był plan. Kiedy jednak przystąpiono do budowy linii, różne zaangażowane w ten projekt władze narodowe wszczęły wieloletnie kłótnie o pieniądze, tabor, szerokości torów, a nawet uniformy obsługi. Transeuropejska Spółka Kolejowa stała się miniaturą coraz bardziej marudnego Parlamentu Europejskiego, łącznie z głosowaniami, wetami, lobbingiem, korupcją i wszystkimi innymi sprawami tak miłymi demokracjom. Jeszcze zanim położono pierwszy metr torów lub kupiono pierwszą lokomotywę, spółka cztery razy znalazła się na krawędzi bankructwa, ale za każdym razem jakoś z tego wychodziła. Krążyły pogłoski o udziale w tym projekcie mafii, faszystów czy też komunistów, prowadzono dochodzenia i przesłuchania, powoływano komisje, wyrzucano ludzi z pracy, dochodziło do samobójstw, morderstw i porwań.

W końcu, ku lekkiemu zdumieniu większości obserwatorów, spółka przystąpiła do układania torów w Portugalii. Plan zakładał budowę trasy od obu końców – Lizbony oraz Czukotki – i posuwanie się w kierunku punktu połączenia gdzieś w pobliżu granicy polsko-ukraińskiej, ale nieokreślone problemy zatrzymały prace na Syberii początkowo na nieokreślony czas, a koniec końców na stałe.

I tak rok po roku Linia pełzła przez Europę, mniej więcej w tym samym czasie, gdy Europa rozsypywała się wokół niej. Unia Europejska rozpadła się, a Linia sunęła dalej. Europejska gospodarka załamała się, a Linia sunęła dalej. Powstały pierwsze państewka, Linia sunęła dalej, a spółka negocjowała prawa tranzytu tam, gdzie przechodziła przez tereny nowych, suwerennych państw. Wydawała się niezniszczalna. Zanim dotarła do granicy francusko-niemieckiej, nabrała, jak się wydawało, jakiegoś dziwacznego pędu, który pchał ją na wschód przez wszystkie przeszkody. Nikt już nie wiedział, skąd się brały pieniądze na budowę – płynęły z dziwnej plątaniny funduszów offshore'owych, od różnych przedsiębiorstw oraz prywatnych inwestorów – i chociaż różne narodowe linie kolejowe upadały, ona trwała i nikt nie potrafił do końca zrozumieć, jak to się dzieje, że jeszcze nie splajtowała.

Po dziewięciu latach Linia dotarła do granicy ukraińskiej, gdzie zgodnie z planem miała się połączyć ze swoją prącą na zachód kuzynką. Z tej okazji odbyła się krótka uroczystość, a potem Linia popełzła dalej, cierpliwa, wytrwała i nie do zatrzymania. Sunęła przez wojny i spory graniczne, ponad rzekami, wzdłuż brzegów jezior i pod górami. Przetoczyła się przez grypę Xian. Jej budowa wydawała się niewytłumaczalna i bezcelowa.

Spółka miała kolejno siedemdziesięciu dwóch prezesów i przeszła przez trzy pełne zmiany członków z prawem głosu. Obrosła w biurokrację niemal tak wielką i niewydolną jak ta, która kiedyś administrowała Unią Europejską. Ginęły gdzieś kolosalne sumy pieniędzy, które następnie były odnajdowane, po czym znowu ginęły.

Koniec końców, w środku śnieżycy o biblijnych rozmiarach, Linia dotarła na Półwysep Czukocki. Autorzy co bardziej kpiarskich komentarzy sugerowali, że kolejnym oczywistym krokiem powinno być rozpoczęcie drążenia tunelu w kierunku Alaski.

Zamiast tego spółka wypuściła jeden czterdziestowagonowy TransEuropeExpress w inauguracyjną podróż z Portugalii na Syberię

i z powrotem, specjalnie dla prasy i przywódców tych wszystkich krajów i państewek, przez które przechodziła Linia, oraz różnych nie rzucających się w oczy ludzi, których pochodzenie nigdy nie zostało nikomu wytłumaczone. A potem ogłosiła, że jest suwerennym terytorium, i nadała obywatelstwo wszystkim swoim pracownikom.

O co może od początku w tym przedsięwzięciu chodziło.

Mówiło się, że im więcej jakieś państwo miało stacji Linii, tym było ważniejsze. To był oczywiście nonsens, ale Polaków drażniło to, że chociaż Linia przecinała ich kraj z zachodu na wschód, była w nim tylko jedna stacja. Większość państw miała dwie lub trzy; niektóre państewka dwie.

Polski rząd udawał, że nie zauważa tego, co najwyraźniej było rozmyślnym afrontem. Oczywiście, kiedy polski rząd udawał, że czegoś nie dostrzega, stawało się to natychmiast zauważalne dzięki wotom nieufności, które nawet jeśli niczego nie zmieniały, prowadziły do licznych rezygnacji. A jeśli to nie zadziałało, załamywał się cały rząd. Premier próbował złożyć rezygnację, Sejm jej nie przyjmował, sprawy kulały przez jakiś czas, a potem komuniści – przepraszam, socjaldemokraci – wygrywali następne wybory. I tak to się ciągnęło przez dziesięciolecia. Polaków ten proces dawno już przestał zaskakiwać, chociaż zawsze dawał początek wyrażającym zdumienie artykułom w takich czasopismach jak „Time/Stone”.

Za swego rodzaju afront uważano także to, że jedyny w Polsce konsulat Linii nie znajdował się w stolicy. Był w Poznaniu, który się tym bardzo chlubił. Miasto przez stulecia było głównym bastionem Polski na jej zachodniej granicy, a linia kolejowa Paryż–Berlin–Moskwa biegła przez nie już dawniej. Dla poznaniaków to, że Linia powinna również zawitać do ich miasta, było jedynym rozsądnym rozwiązaniem i z entuzjazmem zgodzili się na wyburzenie sporej części zabudowy, żeby można było poprowadzić jej odgałęzienie.

Zaczęto nawet mówić o odłączeniu się Poznania od Rzeczypospolitej Polskiej, co rzecz jasna rozwścieczyło rząd. W pewnym momencie jednak interweniowały chłodniejsze głowy. Zdecydowały one, że byłoby bardziej pożądane, gdyby Linia miała konsulat w Poznaniu wciąż należącym do Polski, i że dla dobra ogółu lepiej zrezygnować z murowanych korzyści finansowych, a potem ministrowie z rządu centralnego poświęcili jeszcze sporo czasu na uspokajanie nastrojów w mieście. Niewiele jednak

brakowało, żeby wypadki potoczyły się zupełnie inaczej, i wciąż jeszcze można było kupić T-shirty oraz magnesy na lodówkę z logo Republiki Poznańskiej – wymyślonym przez firmę reklamową z Luksemburga. Takie drobne przypomnienie dla rządu centralnego o wysokości stawki, o jaką toczyła się gra.

– Co widzisz? – zapytał Fabio.

Rudi popatrzył na niego.

– Drzewa – odpowiedział, a potem wyciągnął rękę i dodał: – O, popatrz, i jezioro.

Fabio zerknął na niego i uniósł brew.

– Co widzisz? – zapytał ponownie.

Choć w żadnym razie nie było tego po nim widać, Rudi podejrzewał, że Fabio ma ciężkiego kaca. Tak mu smakowało wino, które pił poprzedniego dnia do kolacji, że zamówił jeszcze dwie butelki i kiedy Rudi widział go po raz ostatni, człapał ku windzie, niosąc po jednej w każdej ręce. Nie zszedł rano do restauracji, a kilka dyskretnych pytań zadanych recepcjoniście zaowocowało informacją, że w nocy dżentelmen z pokoju 302 zostawił na drzwiach zawieszkę z prośbą, by przyniesiono mu śniadanie do pokoju. Którego prawie nie tknął.

Rudi jadł właśnie lunch, kiedy Fabio w końcu się pojawił. Wszedł zamaszystym krokiem do sali, z twarzą zarumienioną po niedawnym goleniu, starannie uczesanymi włosami, w świeżo wyprasowanym garniturze, nowej koszuli z dobranym krawatem i idealnie wypolerowanych butach. Nie usiadł jednak, żeby coś zjeść. Zamiast tego stanął przy stoliku i poinformował Rudiego, że idą na spacer.

W rzeczywistości poszli na najbliższy przystanek i wsiedli do tramwaju. Wysiedli, przejechawszy kilkanaście przystanków, przeszli na postój taksówek i wzięli jedną z nich. Przejechali nią mniej więcej kilometr, kiedy Fabio kazał kierowcy stanąć, zapłacił mu, po czym wysiedli i złapali autobus. Do czasu, gdy przy wejściu do parku wyszli z autobusu, Rudi był już kompletnie zagubiony. Spacerowali po parku około pół godziny, gdy Fabio zaczął go pytać, co widzi.

Rudi miał już wszystkiego dość.

– Nawiasem mówiąc, lunch bardzo mi smakował – powiedział.

– Co widzisz? – zapytał po raz trzeci Fabio.

Rudi westchnął i rozejrzał się dokoła. Drzewa. Jezioro. Spacerujący ludzie. Przechylił głowę. Po drugiej stronie małego parku, między drzewami, dostrzegł matowoszary połysk gęstej metalowej siatki.

– Płot – powiedział.

Fabio prychnął i ruszył w stronę płotu.

– Chodź.

Płot miał mniej więcej dziesięć metrów wysokości i wyznaczał granice parku. W jednym kierunku zakręcał łukiem, ginąc z oczu; w drugim biegł idealnie prosto i najwyraźniej w nieskończoność. Za nim było około stu metrów otwartej przestrzeni, a dalej jeszcze jeden płot. Patrząc przez oba, Rudi widział tylko niewyraźne kształty, ale ponad drugim płotem wyrastały szczudłonogie sylwetki urządzeń przeładunkowych. Plac składowy.

– Linia przebiega około dziesięciu kilometrów na południe od Poznania – powiedział cicho Fabio, kiedy szli wzdłuż ogrodzenia. – W żaden sposób nie mogli przeprowadzić jej przez miasto. Musieliby je zburzyć. I tak trzeba było rozebrać wiele budynków, żeby poprowadzić odgałęzienie. Odchodzi ono od niej w miejscu, gdzie Linia przecina Wartę, i kończy się właśnie tam… – Od niechcenia skinął głową w stronę, gdzie płot skręcał w kierunku miasta. – Masz tam dwa tory ogrodzone z obu stron. Na zewnątrz ciągnie się oczyszczony z roślinności pas ziemi. Jest stale patrolowany i nadzorowany, usiany czujnikami i jeśli wierzyć opowieściom, minami przeciwpiechotnymi. Na zewnątrz ciągnie się jeszcze jedna para płotów… – Klepnął płaską dłonią siatkę, wzdłuż której szli. – Inteligentne ogrodzenie. Pasywne urządzenia obserwacyjne. Całość ma trochę ponad pięćset metrów szerokości. – Potarł dłonie, jakby chciał usunąć jakiś brud z ogrodzenia, i odszedł od niego. Rudi ruszył za nim. – Jak byś się tam przedostał?

Rudi się zastanowił. Zewnętrzne ogrodzenie, które wykryje każdego, kto będzie próbował się na nie wspiąć lub wyciąć w nim dziurę. Potem stumetrowy sprint przez odkryty teren – w zasadzie strefę śmierci – i jeszcze jedno ogrodzenie.

– Nawet bym nie próbował – odpowiedział. – Chyba że mógłbym wyłączyć ogrodzenie oraz kamery i znałbym rozmieszczenie czujników po drugiej stronie, a i wtedy dałbym temu spokój.

Fabio skinął głową.

Rudi popatrzył na niego.

Fabio spojrzał tam, gdzie ogrodzenie zakręcało łukiem.

– Jakiś kilometr stąd oba płoty się rozchodzą, a potem znów się zbiegają. Obejmują obszar w kształcie łzy, liczący dwa kilometry w najszerszym miejscu. To tam są stacje rozrządowe i placówki dyplomatyczne. To tam jest przejście graniczne między Linią a Polską. – Włożył rękę do kieszeni marynarki i wyjął z niej małą plastikową kartę. – I dlatego właśnie masz w paszporcie wizę do Linii.

Rudi wziął kartę. Na pierwszej stronie była jego fotografia, ale nazwisko do niego nie należało.

– Nie pamiętam, kiedy zrobiłem to zdjęcie – powiedział.

– Hm – mruknął Fabio.

– Fotografowałeś mnie bez mojej wiedzy? – zapytał gniewnie.

– Wszystko, co masz zrobić, to obserwować – powiedział mu Fabio. – Chyba dasz sobie z tym radę, prawda?

Rudi jeszcze raz popatrzył na kartę.

– Wyglądam jak półgłówek.

– To naprawdę wierna podobizna, zgadzam się – mruknął Fabio.

Rudi włożył kartę do wewnętrznej kieszeni swojej dżinsowej kurtki. A potem uświadomił sobie, że Fabio trzyma w ręce ciężką aktówkę. Nie miał jej, gdy wychodzili z hotelu, ani kilka chwil wcześniej, kiedy uderzył otwartą dłonią w ogrodzenie. Rudi rozejrzał się dookoła, zastanawiając się, która ze spacerujących po parku osób przekazała ją Fabiowi. Nie widział momentu przekazania, nie zauważył nawet, żeby ktoś zbliżył się do nich na pięć metrów. Wszystko to stało się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Och, nie – jęknął.

– Nazywam się Rausching – powiedział Fabio, wymachując radośnie aktówką, kiedy zbliżali się do granicy. – Możesz do mnie mówić Herr Rausching. Jesteś moim osobistym asystentem.

– Nie jestem odpowiednio ubrany do tej roli – odparł zrzędliwie Rudi, wciąż poirytowany.

Fabio wzruszył ramionami.

– Jest sobota. Właśnie wybierałeś się na mecz piłki nożnej, kiedy do ciebie zadzwoniłem. Byłeś na zakupach z narzeczoną. A może wyprowadziłeś psa na spacer. Jeśli ktoś zapyta, wymyśl coś, obojętne co.

– To mogłoby się lepiej udać, gdybyśmy mieli trochę czasu na zrobienie paru prób – powiedział Rudi.

– W życiu na ogół nie dostajesz szansy przeprowadzenia próby, prawda?

– Czy nie mamy legend?

– Cóż, ja mam, z pewnością.

Rudi z trudem pokonał chęć zatrzymania się i wrzaśnięcia na cały głos, co zostałoby zauważone przez wszystkie kamery zainstalowane wokół posterunku granicznego Linii.

– Zwariowałeś? – spytał cicho.

Fabio westchnął.

– Czy będziesz miał szansę przeprowadzić jakąś próbę, gdy zostaniesz napadnięty i okradziony ze wszystkich pieniędzy? – zapytał. – Albo gdy ktoś z twoich bliskich wpadnie pod tramwaj? Nie. Czy będziesz miał czas przeprowadzić próbę, kiedy jesteś w jakimś okropnym kraiku i coś idzie kosmicznie źle z „sytuacją”? Nie.

– Ja przynajmniej przemyślałbym wcześniej wszystkie możliwości.

Fabio prychnął lekceważąco.

– Nie sposób przemyśleć wszystkich możliwości. Jest ich po prostu zbyt dużo. Oszalałbyś, próbując je wszystkie rozważyć. Czasem możesz jedynie improwizować.

Rudi nachmurzył się.

– Czy to jest test?

Fabio wzruszył ramionami.

– Jasne. Dlaczego nie? – Przechylił głowę i popatrzył krytycznie na Rudiego. – Powiedziałem ci wszystko, co wiem o tym biznesie. Czy cię czegoś nauczyłem, trudno powiedzieć. Zapewne nie. Ale teraz idę na drugą stronę i chcę, żebyś poszedł ze mną i wykorzystał wszystkie swoje umiejętności, choć mogą się one okazać niewystarczające. Niezależnie od tego, czy pójdziesz ze mną, czy się wycofasz i wrócisz do zawodu kucharza, ja teraz idę na drugą stronę.

Rudi popatrzył na małego Szwajcara i spróbował wrócić myślą do punktu, w którym jego życie przestało mieć sens.

– Mówiłem ci – odezwał się w końcu – że jestem szefem kuchni.

Posterunek graniczny był nijakim ceglanym sześcianem zatopionym w siatce ogrodzenia. Był prosty, nie ozdobiony żadnymi symbolami państwowymi, chociaż z dachu wyrastał mu las anten i kamer. Miał

pojedyncze drzwi, których pilnowali uzbrojeni polscy żołnierze. Z jednej strony posterunku przez ogromną przesuwną bramę w ogrodzeniu przebiegała droga o szerokości autostrady. Przy bramie stali na baczność kolejni żołnierze. Wszystko to sprawiało, że przejście graniczne między Polską a Hindenbergiem wyglądało równie kusząco jak przydrożna oberża dla strudzonego wędrowca.

Przed wejściem do budynku wiła się kolejka ludzi, ale Fabio po prostu przeszedł wzdłuż niej i pomachał paszportem pod nosem jednego z żołnierzy strzegących drzwi.

– Dzień dobry, Piotr – powiedział, przechodząc obok niego. – Co słychać u żony? Ach, to jest Rocco, mój osobisty asystent. Na twoim miejscu nie wpuściłbym go do środka. Bardzo podejrzany osobnik, ten nasz Rocco, cha, cha. Pokaż Piotrowi swój paszport, Rocco, ty półgłówku.

Czując na sobie wzrok wartownika i słysząc narastające utyskiwania ludzi stojących w kolejce, Rudi wyjął paszport i uniósł go wysoko. Próbował uśmiechnąć się uspokajająco, co jednak niezbyt mu się udało, ale Piotr tylko machnął ręką na znak, że może wejść, więc ruszył za Fabiem na posterunek.

Fabio był już w połowie wąskiego korytarza za drzwiami. Rudi przyspieszył, żeby go dogonić i powiedzieć małemu Szwajcarowi, co o tym wszystkim myśli, ale gdy znalazł się przy nim, Fabio odwrócił się i powiedział serdecznym tonem:

– Ruszaj się, Rocco. Mówiłem ci, żebyś się nie szwendał. Myślisz, że płacę ci od godziny czy co? – i Rudi uświadomił sobie, że wszystko, co zostało powiedziane lub zrobione w tym budynku, było nagrywane, zapewne przez urządzenia o nieprzyzwoitej czułości.

– Przepraszam, Herr Rausching – powiedział uniżenie, próbując budować od podstaw swoją legendę.

W pokoju na końcu korytarza był polski punkt odprawy celnej i kontroli paszportowej. Za biurkiem siedział polski funkcjonariusz straży granicznej, który wyglądał na znudzonego, ale na widok Fabia zaraz się rozpromienił.

– Dzień dobry, Herr Rausching – powiedział radośnie, kiedy Fabio i Rudi stanęli przed biurkiem.

– Dzień dobry, Przemek. – Fabio był ucieleśnieniem dobrego humoru i serdeczności, niczym spec od gry w trzy karty. – Dobrze się miewasz? – Aktówka w ręce, klepanie po kieszeniach w poszukiwaniu paszportu. –

A rodzina? – Aktówka na biurku, przeszukiwanie kieszeni. – Świetnie, świetnie. – Wyjęcie paszportu i podanie go funkcjonariuszowi. – Parę dni temu rozmawiałem z przyjacielem o szkole dla Agaty; powinniśmy coś wiedzieć mniej więcej w przyszłym tygodniu. – Poklepanie aktówki. – Musisz to przeszukać? A, poznaj Rocca, mojego osobistego asystenta. Prawdziwy kryminalista; wystarczy na niego spojrzeć, nieprawda? Cha, cha. Daj Przemkowi paszport, Rocco. – Aktówka na podłodze.

Rudi podał pogranicznikowi paszport. Przemek włożył ich dokumenty do czytnika na biurku, sprawdził rezultaty na monitorze, oddał paszporty i życzył im dobrego dnia. Fabio podniósł aktówkę i dał Rudiemu znak, żeby szedł za nim.

Idąc korytarzem, który ciągnął się za pokojem, Rudi z trudem opanował chęć odwrócenia się i spojrzenia za siebie, zadając sobie przy tym pytanie, czy aby nie wyobraził sobie tego, co właśnie zobaczył. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie znalazł się u boku kogoś, kto był prawdziwą wielkością.

W następnym pokoju był punkt kontroli celnej i paszportowej Linii. Był identyczny z polskim z wyjątkiem tego, że za biurkiem siedział drobny mężczyzna o bardzo jasnych włosach, mający na sobie nieefektowny, ale wyglądający bardzo wygodnie, czarny mundur.

– Lars – powiedział Fabio. – Dzień dobry. – Dla Larsa nieco zmodyfikował swoje zachowanie. Bardzo mało rozmowy o niczym, mało manipulacji z aktówką, żadnych wzmianek o „przestępczych skłonnościach” asystenta. Z Larsem Fabio poradził sobie, o ile Rudi zdołał się zorientować, językiem ciała. Z operacyjnego punktu widzenia była to koronkowa robota i czuł się zaszczycony, że mógł ją zobaczyć. Jak Brytyjczykom udało się kiedykolwiek zatrzymać Fabia? Dlaczego po prostu nie wyszedł z ich kraju?

– Tak, witam, Gerald. Jak rodzina? Dobrze. Po prostu wybieram się do Polski, w porządku? Świetnie. Równy z ciebie gość. Do widzenia.

Kiedy Rudi wyszedł na słońce po drugiej stronie budynku, przez chwilę czuł, że kręci mu się w głowie. Było oczywiste, że Fabio już wiele razy przekraczał w tym miejscu granicę, sprawdzając teren przed skokiem i niezauważalnie urabiając strażników, ale nie zmieniało to faktu, że właśnie przeprowadził ich obu przez granicę, posługując się fałszywymi dokumentami i tak wszystkich zagadując, że nikt po obu stronach

ogrodzenia nie sprawdził, co ma w aktówce. Rudi pomyślał, że nawet gdyby nie mieli paszportów, Fabio i tak zdołałby przeprowadzić ich na drugą stronę.

– Wciąż tu jesteś, Rocco? – zapytał Fabio z lekkim uśmiechem. – Równy z ciebie gość. Tyko tak dalej.

– Tak, Herr Rausching – odparł Rudi.

– To nie powinno zabrać dużo czasu. Zdążysz jeszcze na końcówkę meczu, który oglądałeś.

– Robiłem zakupy z narzeczoną – powiedział automatycznie Rudi, a potem zaczął się zastanawiać, skąd mu to przyszło na myśl.

Fabio jednak skinął nieznacznie głową, jakby z uznaniem.

– Przekaż moje przeprosiny… eee…?

– Danucie. – Rudi podał pierwsze imię, które mu wpadło do głowy, i zaraz zaczął się martwić, że go sobie nie przypomni, jeśli ten temat znów wypłynie.

– Danuta – powtórzył Fabio. – Zrobisz z niej kiedyś uczciwą kobietę, Rocco?

– Prawdopodobnie, Herr Rausching.

– I zaprosisz mnie na wesele? Tylko nie bierz mnie na drużbę; nie znoszę takich nonsensów. Będę sobie po prostu stał z tyłu i życzył wam wszystkiego dobrego.

– Tak, Herr Rausching. – W tym momencie Rudi poszedłby za Fabiem do bram piekieł. Gdzie Fabio bez wątpienia przekonałby diabła, żeby go wpuścił, a potem wypuścił nawet odrobinę nie przypieczonego.

Zamiast tego poszedł za Fabiem przez rozległy, wysypany żwirem plac do skromnego dwupiętrowego budynku krytego tynkiem i różową dachówką. Dalej ciągnął się kolejny płot, za którym Rudi dostrzegł szereg torów i zwrotnic, a także dwie wielkie obrotnice kolejowe i jeden skład Linii, lśniący, niebiesko-zielony, liczący trzydzieści do czterdziestu wagonów i napędzany, jeśli wierzyć opowieściom, przez dwa bliźniacze tokamaki, chociaż technologia termojądrowa wciąż była na niemowlęcym i zasadniczo wybuchowym etapie swojego rozwoju.

Przy drzwiach do białego budynku wisiała skromna mosiężna tabliczka z napisem „Konsulat Niepodległej Republiki Transeuropejskiej”. Fabio, stanąwszy u wejścia, zaczął, patrząc w oko zamontowanej nad nadprożem

kamery, słać całusy. Po chwili cicho szczęknął zamek, Fabio zasalutował kamerze i pchnął drzwi.

W środku był skromny pokój recepcyjny z niebieskim dywanem, białymi ścianami i kilkoma anonimowymi roślinami w glinianych donicach. Przy jednej ze ścian stała masywna biała sofa, a naprzeciw niej, po drugiej stronie niskiego stolika z blatem z przydymionego szkła, dwa masywne białe fotele. Oprócz tego w pokoju znajdowała się jeszcze wbudowana w tylną ścianę drewniana lada recepcyjna, po której obu stronach widać było schody prowadzące na piętro. Zanim Rudi zamknął drzwi i usłyszał szczęknięcie elektronicznego zamka, Fabio zdążył podejść do lady i wdać się w pogaduszkę z siedzącą za nią młodą szatynką.

– Hazel, moja droga – mówił mocno akcentowaną angielszczyzną, dużo mocniej niż na co dzień – twój widok raduje serce starego człowieka.

– Herr Rausching – odpowiedziała dziewczyna. Angielski jest jej rodzimym językiem, pomyślał Rudi. Była bardzo szczupła, miała wychudłą twarz i nosiła schludny ciemnoszary kostium, do którego włożyła świeżo wyprasowaną białą bluzkę. – Pracuje pan w sobotę?

– To coś, co spokojnie mogłoby poczekać do poniedziałku, ale ktoś w Mediolanie uważa, że muszą to mieć jeszcze dzisiaj – odpowiedział smętnie Fabio. Położył dłoń na sercu. – Wszystkim się śpieszy. Ach, nawiasem mówiąc, to jest Rocco, mój osobisty asystent. W przyszłości może mi czasem towarzyszyć, więc trzeba go będzie wprowadzić do systemu. – Wyjął z kieszeni małe plastikowe pudełko wielkości mniej więcej znaczka pocztowego. – Wszystkie szczegóły są tutaj, nie musisz się więc trudzić wpisywaniem tego wszystkiego.

Hazel spojrzała z powątpiewaniem na kartę pamięci w pudełeczku.

– To niezbyt przepisowe, Herr Rausching – powiedziała.

– Wiem, wiem. – Fabio wzruszył ramionami. – Ale co możemy zrobić? Już prawie od miesiąca czekam, aż ochrona odeśle mi jego dokumenty, żeby mógł się starać o kartę stałego pobytu, ale wiesz, jacy oni są. Nad każdym „i” musi być kropka, każde „t” musi być przekreślone na górze, a jeśli zapomnisz o jednej kropce, wszystkie dokumenty trzeba wypełniać od początku. A ja w tym czasie potrzebuję jego pomocy, Hazel. – Lekko uderzył się pięścią w pierś. – Hazel, tylko ten jeden raz, co? Za tydzień lub za dwa ochrona odeśle dokumenty i Rocco będzie w pełni legalny. My tutaj

tylko odrobinę wychodzimy przed szereg, to wszystko. A poza tym, kogo to będzie obchodzić za sto lat?

Hazel znów popatrzyła na pudełeczko i przeniosła wzrok na Rudiego. Rudi uśmiechnął się do niej. Popatrzyła na Fabia. Fabio też się do niej uśmiechnął.

Koniec końców górę w niej wzięła życzliwość. Wyjęła kartę pamięci z pudełeczka, w którym przyniósł ją Fabio, i wsunęła do pudełeczka na ladzie. Pisała przez chwilę na klawiaturze, przeczytała to na ekranie, po czym dopisała coś jeszcze. Następnie popatrzyła na nich obu i uśmiechnęła się.

– Gotowe – powiedziała. Sięgnęła pod ladę i wyjęła stamtąd mały biały identyfikator. Przypięła go do smyczy i podała Rudiemu.

– Proszę, Rocco. Witaj w rodzinie.

Rudi popatrzył na kartę, wciąż ciepłą po przejściu przez drukarkę. Była na niej jego fotografia, rząd złotych styków wzdłuż jednej z krótkich krawędzi i nazwisko „Rocco Siffredi”. Uniósł brew.

– Dziękuję pani.

– Jesteś dobrą dziewczyną – powiedział jej Fabio. – Zawsze wiedziałem, że nam pomożesz. Czy nie mówiłem, że Hazel nam pomoże, Rocco?

– Wspomniał pan o tym, Herr Rausching – odparł Rudi.

– Cóż. – Fabio podniósł aktówkę. – Jestem ci winny przysługę, Hazel. Wielkie dzięki.

– Nie ma za co, Herr Rausching. Chętnie pomogłam.

– No cóż, zobaczymy się później. Rocco? Idziemy? Im szybciej to zrobimy, tym szybciej będziesz mógł wrócić do Diany.

– Danuty – powiedział Rudi, dostrzegłszy złośliwy błysk w oku Fabia.

– Danuty? – zapytał niewinnie Fabio. – Przepraszam; mógłbym przysiąc, że powiedziałeś „Diana”.

Rudi pokręcił głową.

– Danuta, Herr Rausching.

– Rocco ma narzeczoną – scenicznym szeptem Fabio poinformował Hazel.

– Szczęśliwy Rocco – odparła Hazel. Uśmiechnęła się do Rudiego.

– Tędy, Rocco – rzucił Fabio, wskazując jedne ze schodów, i pomachał na pożegnanie Hazel. W połowie drogi na piętro Rudi zbliżył się do Fabia i powiedział bardzo, bardzo cichym głosem:

– Rocco Siffredi był gwiazdą porno.

– Czyżby? – odparł Fabio równie cicho. – No cóż, trudno.

Na górze był korytarz, który biegł dokoła całego pierwszego piętra budynku, połączony ze światem zewnętrznym oknami, a z wnętrzem budynku szeregiem ponumerowanych drzwi. Fabio doprowadził go do drzwi z numerem 73, wyjął kartę magnetyczną i je otworzył.

W środku był przytulny mały gabinet z biurkiem, głębokimi fotelami i jeszcze jedną z tych niemożliwych do zidentyfikowania roślin doniczkowych. Na półkach stało kilka fotografii przedstawiających Fabia obejmującego ramieniem przysadzistą kobietę o smutnej twarzy na tle krajobrazów z różnych miejsc w Europie. W Alpach. Na łodzi gdzieś w jakimś ciepłym kraju. Na wyścigach samochodowych, które wyglądały jak zawody Formuły 1.

– Frau Rausching? – zapytał Rudi.

– Hannelore – potwierdził Fabio. – Niech Bóg ją błogosławi.

– Od jak dawna tu pracujesz?

Fabio mierzył go przez chwilę nieruchomym spojrzeniem, ale jeśli pokój był na podsłuchu, mógł uznać to pytanie za uzasadnione.

– Około osiemnastu miesięcy, z przerwami.

Rudi pokiwał głową. To było interesujące. A przynajmniej wyjaśniało sporadyczne wyjazdy Fabia z Krakowa.

– Rozgość się i poczekaj tu chwilę – zwrócił się do niego Fabio. – Muszę wpaść do jednego z kolegów i poradzić się go w pewnej sprawie. Zaraz wrócę. – Powiedziawszy to, wyszedł z pokoju.

Rudi stał, patrząc na zamknięte drzwi, jeszcze jakąś minutę po wyjściu Fabia. Z zaskoczeniem odkrył, że w swojej pierwszej prawdziwej „sytuacji” czuje się jak dziecko przyprowadzone do miejsca pracy ojca.

Fabio w ostatnim miesiącu niemal cały tydzień zasypywał go aforyzmami. Jeden z nich brzmiał: „Na terenie nieprzyjaciela zawsze zakładaj, że jesteś obserwowany”. Pamiętając o tym, Rudi postanowił zachowywać się jak Rocco. Znudzony, lekko rozżalony, że oderwano go od Danuty (którą na wypadek, gdyby ktoś pytał, wyobraził sobie jako kobietę z krótkimi włosami i wspaniałym biustem). Obszedł biuro dookoła. Jeszcze raz przyjrzał się fotografiom. Fabio i… kto? „Korespondentka” pozująca do zdjęć w zamian za coś, co wyglądało na bogate w wydarzenia wakacje

w różnych miejscach Europy? Trudno powiedzieć, ale wątpił, czy jest jakaś pani Fabiowa. Wątpił, czy jakakolwiek kobieta wytrzymałaby z Fabiem wystarczająco długo, by doprowadzić go do ołtarza.

Usiadł za biurkiem Fabia i obrócił się na jego obrotowym krześle. Pomachał ręką przed jego monitorem, uruchamiając wygaszacz ekranu, na którym pojawiła się fotografia dość zapuszczonego perskiego kota. Nie było sensu robić niczego innego. Nie znał hasła Fabia. A nawet gdyby je znał i gdyby, wbrew zasadom, Fabio przechowywał coś interesującego w systemie konsulatu, byłoby to zaszyfrowane, a wszystko inne stanowiłoby po prostu część legendy Herr Rauschinga. Warto byłoby na to spojrzeć, żeby się nauczyć, jak uzupełnić własną legendę, ale oprogramowanie zabezpieczające obserwowałoby jego poczynania i zastanawiałoby się, dlaczego on się tym interesuje.

Rudi popatrzył na zegarek. Od wyjścia Fabia upłynęło dziesięć minut. Wstał i podszedł do foteli ustawionych dokoła jednego z tych stolików z blatami z przydymionego szkła. Leżało na nim kilka polskich magazynów lifestyle’owych. Wziął jeden z nich i usiadłszy na fotelu, przewertował, kręcąc głową z dezaprobatą, kiedy dotarł do przepisów kulinarnych. Popatrzył na swoją zawieszoną na szyi przepustkę dla gościa. Rocco Siffredi. Znowu pokręcił głową.

Minęło kolejne dziesięć minut. W pewnej chwili otworzyły się drzwi. Rudi uniósł wzrok znad magazynu, który czytał, spodziewając się ujrzeć Fabia, ale zamiast tego zobaczył dwóch mężczyzn o ogolonych głowach i w identycznych garniturach, którzy stali w progu. Mieli ten bezszyjny wygląd osób zawodowo nadużywających steroidów i po malutkiej słuchawce w jednym uchu.

Rudi uśmiechnął się niepewnie.

Byli bardzo uprzejmi. Zabrali mu ubranie. Zamknęli go w celi bez okien, betonowym sześcianie o boku długości około czterech metrów, której jedynymi wyróżniającymi się cechami był otwór odpływowy na środku podłogi i klosz z pancernego szkła osłaniający źródło światła na suficie, które nigdy nie było wyłączane.

Rudi przez długie okresy siedział na podłodze. Kiedy pod nagimi pośladkami robiło mu się zbyt zimno, wstawał i chodził po celi. Stracił rachubę czasu, ale się nie martwił. To wszystko było testem.

Przeklął się w duchu za to, że nie zorientował się od razu. Było czymś ewidentnie absurdalnym, że Fabio mógł ot tak przekroczyć granicę bez żadnych przygotowań. Zatem to był test. Było czymś ewidentnie absurdalnym, iż mógł tak zagadać strażników granicznych, że przepuścili go w zasadzie na piękne oczy. Zatem pogranicznicy musieli brać w tym udział. Było czymś ewidentnie absurdalnym, że Fabio mógł przez nikogo nie zaczepiany kręcić się po konsulacie Linii. A zatem wszyscy musieli brać w tym udział. Podobnie jak w wypadku „sytuacji" z kuzynem Maksa, wszystko to musiało być próbą wytrzymałości nerwowej i charakteru. I wszystko, co musiał zrobić, to siedzieć tam i czekać, aż ten test się skończy, a on będzie mógł wrócić do restauracji Maks.

Myślał tak do chwili, gdy funkcjonariusze służby ochrony Linii pierwszy raz poddali go podtapianiu.

Pewnego dnia wydali mu pomarańczowy kombinezon, ale że nie miał pojęcia, jak coś takiego się wkłada, ktoś musiał mu pomóc. Następnie poprowadzili go korytarzem, nawet dość delikatnie, do małego pokoju, w którym był stół i trzy krzesła. Na jednym z nich siedział już zwyczajnie ubrany mężczyzna w średnim wieku. Rudiego poproszono, żeby usiadł naprzeciw niego za stołem. Trzecie krzesło zajął ktoś wielki i ponury.

Rudi i mężczyzna w średnim wieku najpierw przez dłuższy czas patrzyli na siebie ponad stołem. Rudiego bolały nogi, nie mógł przestać się trząść i co jakiś czas ogarniało go na krótko uczucie niezwykłej lekkości.

– Nazywam się Kaunas – odezwał się w końcu mężczyzna w średnim wieku.

– To nie jest nazwisko – powiedział Rudi ostrożnie z uwagi na rozciętą wargę. – To miasto.

Kaunas znowu przez długi czas siedział w milczeniu. Miał twardy wyraz twarzy i zaczesane do tyłu siwiejące brązowe włosy. Koniec końców zapytał:

– Jak jest pan traktowany?

– Torturują mnie – odparł Rudi. – Niech pan na mnie popatrzy.

– Gdzie jest Fabio? – zapytał Kaunas.

– Poszedł do kolegi, żeby się go poradzić w jakiejś sprawie – odpowiedział Rudi. – Jaki dzień dzisiaj mamy?

Kaunas długo patrzył na Rudiego, nic nie mówiąc. W końcu spojrzał w róg sufitu i powiedział:

– Wystosujemy oficjalny protest dyplomatyczny. On nic nie wie.

Róg sufitu nie odpowiedział, ale wielki ponury mężczyzna z trzeciego krzesła wstał i podniósł Rudiego, stawiając go na nogi.

– To miasto – jeszcze raz powiedział Rudi do Kaunasa, gdy wyprowadzano go z pokoju.

Zamiast z powrotem do celi albo któregoś z pozostałych pomieszczeń, w których tu bywał, poprowadzono go schodami na dół i nagle znalazł się w pokoju recepcyjnym konsulatu. Hazel wciąż siedziała za ladą. Uśmiechnął się do niej, przechodząc, ale jego warga zaczęła przez to krwawić, a Hazel i tak odwróciła wzrok.

Na zewnątrz oślepiło go słońce, ale tylko na chwilę. Ktoś pomógł mu wejść do jednego z tych samochodów z przyciemnionymi szybami i fotelami tak wygodnymi, że odniósł wrażenie, iż siedzi na skórzanej chmurze, i na chwilę zasnął.

Obudził się, gdy samochód się zatrzymał, i ktoś pomógł mu z niego wyjść. Poprowadzono go przez otwartą przestrzeń, w której panował duży hałas, potem w górę po kilku schodach, a następnie korytarzem do pokoju z rozsuwanymi drzwiami, wielkim oknem i siedzeniami ustawionymi naprzeciw siebie pod dwoma ścianami. Posadzono go na jednym z tych siedzeń. Drzwi się zamknęły. Popatrzył przez okno i jego umysł odmówił zaakceptowania widoku, kiedy wszystko na zewnątrz zaczęło przesuwać się do tyłu. Ponownie zasnął.

Jakiś czas później znowu się obudził i stwierdził, że widok za oknem jest inny niż poprzednio. Tuż za szybą stała wielka tablica z napisem „Kraków”, który, jak mu się zdawało, coś dla niego znaczył. Potem rozsunęły się drzwi, ktoś wszedł do pomieszczenia i chciał mu pomóc wstać, ale bolące nogi odmawiały posłuszeństwa, a potem zwymiotował resztkę tego, co miał jeszcze w żołądku, i na jakiś czas stracił przytomność.

W szpitalu odwiedził go Dariusz. Nie od razu, ale po kilku dniach. Po tym, gdy przyszli Maks, personel kuchni i niektórzy (niezbyt wielu, jak stwierdził rozczarowany Rudi, przyrzekając sobie w duchu, że się im zrewanżuje) znajomi z innych restauracji. Pojawił się nie zapowiedziany, poza godzinami odwiedzin. Rudi, który właśnie drzemał, otworzył oczy

i zobaczył małego mafiosa siedzącego przy łóżku i wyglądającego tak, jakby chciał zapalić papierosa.

– Nie spieszyłeś się – rzekł Rudi.

– Przyjmij nasze najszczersze przeprosiny – powiedział bez wstępu Dariusz.

– A niech to – odparł Rudi. – Najszczersze przeprosiny. O rany.

Dariusz pochylił się nieco do przodu.

– Jesteś zły, ale…

– Tak – przerwał mu Rudi. – Jestem zły. Mówiłem ci, że z Fabiem jest coś nie tak, ale nie słuchałeś. „To geniusz, Rudi". „Musimy być tolerancyjni wobec naszych geniuszy, Rudi". Pieprz się, Dariusz.

Dariusz zawahał się, ale po chwili rzekł:

– Jesteś zły, ale muszę wiedzieć, co im powiedziałeś.

Rudi popatrzył na niego.

– Co?

Dariusz wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia.

– Muszę wiedzieć, co im powiedziałeś.

– Odpieprz się, Dariusz – warknął Rudi i odwrócił się do niego plecami.

– To ważne – kontynuował łagodnym tonem Dariusz. – Nie wiesz zbyt dużo, ale to, co wiesz, mogłoby zagrozić… pewnym sprawom.

Rudi odwrócił się, żeby na niego popatrzeć.

– Nie zdradziłem twojego nazwiska, jeśli to cię pocieszy. Ale Fabia unurzałem w gównie tak głęboko, jak tylko mogłem.

Dariusz wyprostował się na krześle i pokiwał głową, jakby usłyszał potwierdzenie czegoś.

– Stało się coś strasznego – powiedział. – Ale to nie miało nic wspólnego z Les Coureurs. Było od nich tak dalekie, jak to tylko możliwe. Musisz to zrozumieć.

– Muszę? – Rudi z wysiłkiem przyjął pozycję siedzącą, ugniatając poduszki, które miał za sobą. – Muszę? Sprowadziłeś mi nauczyciela, który prawie doprowadził do mojej śmierci. Czy muszę to zrozumieć?

– Fabio wyłamał się spod rozkazów. Prowadził własną operację. To, co zrobił, nie miało aprobaty Centrali. Wziął cię do konsulatu jako jelenia, żeby zyskać czas na ucieczkę.

Jeleń.

– Cóż, wspaniale.

Dariusz nie spieszył się z zadaniem następnego pytania. Popatrzył na Rudiego. Rozejrzał się po pokoju. Wrócił wzrokiem do Rudiego. A potem zapytał:

– Czy nadal chcesz się przyłączyć do Les Coureurs?

– Słucham?! – ryknął Rudi, wystarczająco głośno, by ściągnąć pielęgniarki, które natychmiast przybiegły sprawdzić, co się dzieje.

Oczywiście do tego czasu Dariusz już zniknął.

1. *Les coureurs des bois* (dosł. gońcy leśni) – myśliwi, traperzy i handlarze z Nowej Francji (Kanady), którzy w XVII i XVIII wieku wyruszali na zachód po futra bobrów i innych zwierząt (przyp. tłum.). [wróć]

ŚWIATŁO GRANICZNE

1

– Małe państwa są jak mali ludzie – powiedział „szewc”. – Paranoiczne. Niespokojne. Skore do gniewu.

– Hmm – mruknął Rudi.

– Nie nazywałbym ich także państwami – ciągnął „szewc”. – Większość z nich rozpada się po roku lub dwóch. Popatrz na mnie. Nie uśmiechaj się. – Skierował mały aparat na Rudiego, przez chwilę kadrował ujęcie, po czym zrobił cztery fotografie. Aparat wraz z kilkoma innymi małymi urządzeniami i pudełkami o niewiadomym przeznaczeniu był podłączony do dość poobijanego, starego telefonu Motoroli. – Dziękuję. Moim zdaniem one nie powinny mieć prawa nazywać się państwami, dopóki nie będą istnieć przez wiek lub coś koło tego.

– Długo to potrwa? – zapytał Rudi. – Muszę zdążyć na pociąg.

„Szewc” popatrzył na niego.

– Dostać się do Strefy lub z niej wydostać jest łatwo – powiedział rzeczowo. – Wizy pobytowe i zezwolenia na pracę są dużo trudniejsze.

– Wiem – rzekł Rudi.

– Mój stały „pianista” był nieosiągalny; musiałem wynająć kogoś na własny koszt.

– Przykro mi – powiedział Rudi, mając nadzieję, że zastępczy „pianista” jest godny zaufania.

„Szewc” przyjrzał mu się kolejny raz.

– Jesteś bardzo młody – stwierdził.

Trudno było zaprzeczyć. Rudi wzruszył ramionami.

– Zmień kolor włosów – powiedział „szewc”. – Zapuść wąsy.

– Nie mam czasu na zapuszczanie wąsów.

– No to się ostrzyż – rzucił z irytacją „szewc”. – Masz czas na fryzjera? Zmień jakoś wygląd. Nikt nie wygląda dokładnie tak samo jak na zdjęciu paszportowym; jeśli ludzie tak wyglądają, budzi to podejrzliwość urzędników.

– Może powinienem włożyć kapelusz… – zastanawiał się głośno Rudi.

„Szewc” przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, aż w końcu smętnie pokręcił głową. Podszedł do telefonu i zaczął się bawić małym ekranem dotykowym urządzenia.

– I oczywiście w Strefie mają te papierowe paszporty – powiedział, wpatrując się intensywnie w ekranik. Zobaczywszy coś, znów pokręcił głową i postukał weń kilka razy. – Z chipami jest o wiele łatwiej.

– A miało był trudniej.

„Szewc” znów niemo zaprzeczył. Puknął knykciem w telefon.

– Z chipami mogę zrobić wszystko. Z drukami… cóż, trzeba znaleźć właściwy papier, właściwe tusze, właściwe pieczątki… to dużo trudniejsze.

– Racja – zgodził się Rudi.

– Włamanie się do komputera urzędu imigracyjnego Strefy mojemu „pianiście” zajęło dziesięć minut. Gdzie tu bezpieczeństwo?

– Racja – przyznał Rudi.

– Wszyscy powinni robić takie paszporty – ciągnął „szewc”. – Każdy „pianista” może podrobić paszport z chipem, ale trzeba artysty, żeby pracować z papierem i tuszem.

– Racja – powtórzył Rudi.

„Szewc” zerknął na niego, unosząc wzrok znad ekranu.

– Ty pewnie uważasz, że wiesz wszystko.

– Pierwszy raz ktoś mnie o to oskarżył – powiedział mu Rudi.

Za oknem pracowni „szewca” roztaczał się widok na spadziste dachy urozmaicone kominami i mniej więcej setką różnych anten radiowych, telewizyjnych i satelitarnych. W oddali widać było żurawie gdańskiej stoczni. Stocznia upadła gdzieś na początku wieku i obecnie teren zajmowały modne budynki mieszkaniowe, pracownie artystów i te małe firmy designerskie, których sensu istnienia nikt tak do końca nie rozumiał. Żurawie zostały zachowane jako pomniki historii, ale że wciąż nie potrafiono uzgodnić, kto powinien zajmować się ich konserwacją, powoli niszczały zżerane przez rdzę.

Sama pracownia „szewca” była najwyraźniej jednym z bezliku tymczasowych pomieszczeń Centrali co miesiąc wynajmowanych przez „korespondentów” i wykorzystywanych, gdy wymagały tego okoliczności. Był to zakurzony pokoik na samej górze wysokiego ceglanego domu z pokojami do wynajęcia, z linoleum na podłodze, które wyglądało tak, jakby pochodziło z czasów drugiej wojny światowej. W jednym rogu leżał stos skrzynek po herbacie, a pod oknem stał wiekowy drewniany konik na biegunach. W razie konieczności cały sprzęt „szewca” można było zapakować do dwóch średniej wielkości walizeczek i przenosić z miejsca na miejsce. Sam „szewc” był tak samo anonimowy jak pokój. Niski, drobny, w średnim wieku, z dużymi zakolami, w podniszczonym, nieco staroświeckim ubraniu.

– Mówisz po estońsku? – zapytał, czytając coś na ekranie laptopa.

– Daję sobie radę – odparł Rudi.

„Szewc” pokiwał głową.

– Bardzo dobrze mówisz po polsku – stwierdził, wracając wzrokiem do ekranu. – Ale pochodzisz z któregoś z krajów bałtyckich; słyszę twój akcent.

Ze sterty mebli w rogu pokoju, Rudi wziął podniszczony stołek z giętego drewna i usiadł na nim, kładąc ręce na kolanach.

– Wiem – kontynuował „szewc”. – To nie mój interes. Wszyscy w Strefie i tak mówią po angielsku. – Wyjął z kieszeni paczuszkę zawiniętą w coś, co wyglądało jak ircha. Kiedy ją rozwinął, okazało się, że trzyma w ręce cienką książeczkę w laurowozielonej okładce. Na jej pierwszej stronie był złoty znaczek z ekstremalnie stylizowanym orłem i jakimś napisem.

– Więcej wart niż jego waga w złocie – powiedział. – Dosłownie. Dziewiczy; nigdy nie był użyty. Przynieś go z powrotem.

– Dobrze – obiecał Rudi.

„Szewc” otworzył paszport i położył na jednej z kartek cienki arkusz przezroczystej folii. Następnie włożył to wszystko do jednego z małych pudełek podłączonych do telefonu.

– Nie dostajemy ich wiele – powiedział, a Rudi zaczął się zastanawiać, czy miał na myśli dziewicze paszporty, czy coś innego. „Szewc” wystukał kilka poleceń na ekranowej klawiaturze i chwilę później z pudełka wysunął

się paszport. Mężczyzna oderwał folię i Rudi zobaczył, że na stronie jest teraz jego fotografia i jakiś napis.

– Prawdę powiedziawszy – kontynuował „szewc” – oni byli bardzo przemyślni.

– Tak? – odezwał się Rudi z udawanym zainteresowaniem.

– Niewielu ludzi ma obecnie odpowiednie narzędzia do takiej roboty. – „Szewc” wyjął z walizeczki dwie pieczątki i dwie poduszki do tuszu. – Musiałem sam mieszać tusze. Specyficzna fluorescencja, cząsteczki magnetyczne. Bardzo skomplikowane.

Rudi popatrzył na zegarek.

„Szewc” starannie nasączył pieczątki tuszem i wbił do paszportu wizę pobytową oraz pozwolenie na pracę. Następnie wziął do ręki wspaniałe staroświeckie pióro wieczne Sheaffera, podpisał wizę inicjałami i dodał datę. Następnie, kilkoma innymi pięknymi piórami, złożył jeszcze kilka różnych podpisów.

– Potem, oczywiście, musieli to wszystko popsuć. – Wstukał kilka kolejnych poleceń i z jeszcze jednego małego pudełka wysunął się wąski pasek plastiku zadrukowany kodem kreskowym. „Szewc” oderwał od niego podklejkę i odcisnął kod kreskowy na ostatniej kartce paszportu.

Na koniec otworzył paszport kolejno na kilku różnych stronach i powyginał w różne strony, po czym zamknął go i zgiął w dłoniach. A potem pochylił się i przesunął po zakurzonej podłodze obu okładkami i krawędziami.

– Moje gratulacje – powiedział, podając paszport Rudiemu. – Jesteś Tonu Laara.

– Dziękuję – odrzekł Rudi, biorąc paszport. – Ale mówi się Tõnu.

„Szewc” się uśmiechnął.

– No proszę. Jak tu nie lubić człowieka, który wie, jak się wymawia jego imię.

2

Polacy zaczęli się zjeżdżać kilka dni przed sylwestrem.

Najpierw, 29 grudnia, przyjechało dwunastu, trzema samochodami, z nartami przypiętymi do bagażników dachowych. Wszyscy najwyraźniej znali się nawzajem i zameldowawszy się w hotelu, poszli od razu na stoki.

Wieczorem tego samego dnia autobusem przybyło ich jeszcze mniej więcej trzydzieścioro, wszyscy obładowani sprzętem narciarskim. Ze swojego okienka Rudi obserwował ich podczas kolacji, naśmiewających się z jedzenia i obrzucających się żartobliwymi wyzwiskami.

Następnego dnia pojawiły się kolejne samochody i jeszcze jeden autobus. Jan powiedział mu w zaufaniu, że to wyjazd zorganizowany przez jakąś firmę z Górnego Śląska.

– Zatrzymują się w mieście i wykupują cały alkohol w supermarkecie, a potem przyjeżdżają tutaj i piją jak szaleni – dodał.

– Dlaczego? – zapytał Rudi.

Jan wzruszył wymownie ramionami, jakby chciał powiedzieć, że motywy postępowania Polaków są równie tajemnicze jak funkcjonowanie Wszechświata.

Nieważne. Następnego ranka większość pasażerów pierwszego autobusu wyszła na narty niemal zaraz po tym, jak ponad dalekie szczyty gór wzniosło się słońce. Reszta pozostała w pokojach i zaczęła pić swoje zakupy, a kiedy wczesnym popołudniem przybyła druga gromada, już pijana i głośna, doszło do kłótni i przepychanek między obu grupami.

Rudi znał niektórych z tych ludzi. Narciarze byli po prostu zwykłymi Polakami, którzy przyjechali tu, żeby przyjemnie spędzić czas na stokach i dobrze się zabawić w sylwestra. Pijacy, dwudziestokilkuletni i dobrze ubrani, byli młodymi polskimi przedsiębiorcami, którzy bardzo szybko zarobili dużo pieniędzy i chcieli zabrać swoje dziewczyny na tanie, głośne i zakrapiane alkoholem wakacje. Podczas kolacji tego wieczoru było dużo krzyków i trochę rzucania jedzeniem. Później doszło do kolejnych bójek, poszły w ruch gaśnice, a po korytarzach biegały, krzycząc, zapłakane dziewczyny z rozmazanym od łez makijażem.

W kuchni Rudi układał kosze brudnych naczyń na przenośniku starej zmywarki marki Hobart, przechodził na jej drugi koniec i wyjmował kosze czystych naczyń – podgrzanych do temperatury odrobinę niższej od temperatury topnienia ołowiu, jak mu się zdawało. W ciągu trzech miesięcy pracy z rozgrzanymi niemal do czerwoności – jak mu się zdawało – talerzami i filiżankami tyle razy z poparzonych palców schodziła mu skóra, że prawie nie zostawiał już odcisków linii papilarnych, co uznał za interesujący efekt.

– W zeszłym roku było tak samo – powiedział ponuro Jan, który przysiadł na jednym z blatów kuchennych z nierdzewnej stali. – Kłótnie, bójki, zatrucia alkoholowe. Doszło nawet do tego, że puszczali fajerwerki z hotelu. Musiałem wzywać policję.

– Ale wyobraź sobie dochód – odparł Rudi, wkładając do hobarta kolejny kosz filiżanek do kawy.

Jan wzruszył ramionami. Tak naprawdę był kierownikiem hotelu i zawsze brakowało mu czasu, bo zwykle miał jakieś nie cierpiące zwłoki sprawy do załatwienia, więc rzadko kładł się spać przed trzecią nad ranem. Ale karierę w hotelarstwie rozpoczął jako skromny pomocnik kuchenny – na stanowisku Rudiego – i najwyraźniej czuł się w kuchni swobodniej niż gdziekolwiek indziej. Studiował w London School of Economics i bardzo dobrze mówił po angielsku, który był drugim językiem Rudiego. Całe szczęście, bo jego znajomość czeskiego – opierająca się głównie na podobieństwie tego języka do polskiego – była mniej niż szczątkowa.

– Dochód – powtórzył Jan, jakby ta perspektywa była bardziej przygnębiająca, niż mógł sobie wyobrazić. – I co z tego mamy? Większość pieniędzy wydamy na naprawy zniszczeń. Po ostatnim roku chciałem przestać przyjmować Polaków, ale właściciele powiedzieli, że nie mogę tego zrobić. Ty mówisz bardzo dobrze po polsku, prawda?

– Nie – odparł Rudi. – Ani słowa.

– Parę dni temu słyszałem, jak rozmawiałeś z tą dziewczyną, Martą. Tą, która sprząta na wieczornej zmianie. Brzmiało to tak, jakbyście rozmawiali po polsku.

– Źle słyszałeś, Jan. – Z operacyjnego punktu widzenia nie było wskazane, żeby ktokolwiek wiedział, skąd Rudi przyjechał. Na poziomie praktycznym tym bardziej nie chciał uspokajać bandy bajecznie napranych Polaków, do czego musiało dojść, jeśli Jan będzie myślał, że swobodnie mówi w ich języku.

– Ach, być może. – Jan ciężko westchnął i popatrzył na zegarek. Gdzieś z wyższych pięter hotelu dobiegł ich głuchy łoskot i dalekie krzyki, słyszalne nawet mimo terkotu przenośnika zmywarki i szumu jej strumieni wody. – Chryste, oni wciąż to robią.

– To tylko dzieciaki, które mają za dużo pieniędzy – powiedział Rudi, przechodząc na drugi koniec zmywarki i podnosząc kosz z czystymi naczyniami.

– Za dużo pieniędzy? – odrzekł Jan. – Spróbuj ich skłonić, żeby zapłacili za szkody, które wyrządzili. Wtedy zobaczysz, ile mają pieniędzy. – Znowu popatrzył na zegarek. – Czas na mój obchód – powiedział niechętnie. – Na pewno nie mówisz po polsku?

– Zauważyłbym. – Rudi zaczął wyjmować naczynia i ustawiać je na tacy. Prawie już nie czuł ich gorąca; kiedy po raz pierwszy chwycił talerz, który wyjął ze zmywarki, wrzasnął z bólu i rzucił go na drugi koniec kuchni.

Jan pokręcił głową.

– Nie rozumiem, co sprowadza takiego człowieka jak ty w takie miejsce.

– Ścieżki życia są nieskończenie różnorodne – odparł Rudi. To zdanie stało się jego sloganem od czasu, gdy przybył do Pustevny.

Jan uśmiechnął się.

– Okay, panie Estończyku. – Zeskoczył z blatu i przeciągnął dłońmi po nogawkach, żeby je wygładzić. – Wrzucaj dalej naczynia i rondle do zmywarki. Wiem, że przed czymś uciekasz.

Na początku Rudi bał się, że Jan go rozszyfrował. Jednak później doszedł do wniosku, że był on jednym z najgorszych na świecie znawców ludzkiej natury; po prostu podejrzewał każdego, zakładając, że kiedyś musi mieć rację.

Rudi się uśmiechnął.

– Podoba mi się tutaj, Jan. Po prostu mi się podoba.

I tak było naprawdę. Po miesiącach życia w cieniu pozostawionym przez katastrofalną wizytę Fabia w Poznaniu wszystko stało się niewiarygodnie proste. Wstać, umyć naczynia, pójść spać. Poczekać na przybycie „pakunku” i ujawnić się.

Beskidzka Strefa Ekonomiczna nie była państwem jako takim. Już raczej autonomicznym parkiem narodowym mającym na celu ogałacanie turystów z pieniędzy. Płaciła kadłubowemu rządowi Czech za użytkowanie ziemi, ale czynsz ten był niewielkim ułamkiem megaton franków, szylingów, marek, złotych, euro, funtów szterlingów i dolarów, które rok w rok rwącą rzeką spływały do tego regionu. Ta część wschodnich Czech zawsze była popularnym miejscem spędzania urlopów narciarskich dla mieszkańców sąsiednich krajów. Pozostała taka, nawet gdy zaczęła wydawać wizy – za małą opłatą – i do cen karnetów na wyciągi dodawać podatki wjazdowe

i wyjazdowe. Była to wielka zaśnieżona i górzysta machina do zarabiania pieniędzy oraz jeden z najbogatszych kraików w Europie Środkowej.

Była idealnie położona. Do polskiej granicy jechało się tylko trzy kwadranse samochodem, Praga leżała niewiele dalej w przeciwnym kierunku, a do Wiednia były jedynie dwie kolejne godziny. Strefa szybko się dorabiała i Rudi pomyślał, że autobusy pełne pijanych Polaków są niewielką ceną za taki rozwój.

Wyjął ostatni zasobnik z umytymi sztućcami, wyłączył zmywarkę i zaczął ją czyścić. Wymagało to opróżnienia zbiorników, wyjęcia filtrów z nierdzewnej stali i wypłukania z nich wszelkich nieczystości. Ta rutynowa i nudna praca dziwnie go uspokajała.

Tak jak mu powiedział „szewc", przedostanie się do Strefy było bardzo łatwe. Pokazał swój paszport, pozując po prostu na jeszcze jednego mieszkańca Strefy wracającego z wakacji, i urzędnik kontroli paszportowej przepuścił go, nie zawracając sobie głowy sprawdzaniem kodu kreskowego i nie pobierając od niego nałożonego na turystów podatku wjazdowego.

Nikt nie wiedział dokładnie, ilu *coureurs* snuło się po tym, co kiedyś było Europą. Mogło ich być stu, może tysiąc, a może i dziesięć razy więcej. Charakter ich pracy sprawiał, że trudno było ich znaleźć; popularna legenda głosiła, że to oni znajdą ciebie. Pojawią się na twoim progu pewnej ciemnej nocy, gdy będziesz ich najbardziej potrzebował, ubrani w stroje maskujące wykonane w technologii stealth i ukryte pod długimi czarnymi trenczami, w kapeluszach nasuniętych nisko na czoło, by zasłonić oczy. To było oczywiście niedorzeczne, jak mógł powiedzieć każdy, kto naprawdę się nad tym zastanowił; wszyscy ludzie, którzy by się tak ubierali, zasługiwaliby na to, żeby ich aresztowano.

To, co się naprawdę działo, było o wiele mniej uporządkowane i o wiele bardziej skryte. Centrala lubiła, kiedy te sprawy pozostawały mgliste, niejasne: nawet sami *coureurs* zwykle nie wiedzieli, kto wprowadzał ich w „sytuację". Wykorzystywano plątaniny haseł, skrzynki kontaktowe i programy umożliwiające połączenia do sieci telefonicznej, z którymi Rudi się jeszcze nie zetknął.

Po zniknięciu Fabia został bez nauczyciela, ale Dariusz szybko wypełnił tę lukę, ucząc go różnych technik wywiadowczych w różnych restauracjach i kryjówkach. Listy ciągów słów do zapamiętania, planowanie rozmieszczenia skrzynek kontaktowych za pomocą map miast i fotografii,

ćwiczenie błyskawicznego przekazywania materiałów. Prawie jakby pracował znów pod nadzorem pani Stasi.

– Prawdopodobnie nigdy nie będziesz musiał wykorzystać żadnej z tych metod – powiedział mu Dariusz pewnego wieczoru w mieszkaniu nad barem w Częstochowie. – Większość *coureurs* nie robi niczego bardziej skomplikowanego lub nielegalnego od dostarczania poczty.

– To dlaczego muszę zapamiętywać to wszystko? – spytał Rudi.

– Bo któregoś dnia możesz tego potrzebować.

– Żeby doręczać przesyłki?

Dariusz wzruszył ramionami.

– Lepiej dmuchać na zimne, nie uważasz?

– A tak swoją drogą – zapytał od niechcenia Rudi, wertując plik planów Zakopanego – co się stało z Fabiem?

– Fabio odszedł – odparł Dariusz i zapalił kolejnego papierosa.

– Mówiłeś, że był dobry.

– Był zmęczony. – Dariusz popatrzył na niego. – Miał cię nauczyć podstaw rzemiosła, ale zamiast tego przeprowadził operację na własny rachunek i bez wahania cię porzucił, żebyś sam poniósł konsekwencje. Nie zapomnij o tym. Zaczął się zastanawiać, dlaczego przyłączył się do *coureurs*. Jedni robią to dla pieniędzy, inni dla okazji przeżycia paru niegroźnych przygód. Fabio już sam nie wiedział, po co w tym siedzi. Ale nie powinniśmy zbytnio się nad nim rozwodzić. I nie pytaj mnie więcej o niego. – Myśląc o miejscu, jakie mały mafioso zajmował w ogólnym schemacie rzeczy, Rudi był coraz bardziej zagubiony. Rozumiał, że na obrzeżach Centrala i kryminalne podziemie nachodzą na siebie wzdłuż linii stale renegocjowanych sojuszy, że różnice między nimi się zacierają, ale nie miał pewności, czy Dariusz jest przestępcą, który współpracuje z Centralą, czy też jednym z *coureurs* współpracujących z Wesołym Ptakiem. Odnosił również wrażenie, że Dariusz też już nie ma pewności, kim właściwie jest.

– Dlaczego to robisz? – zapytał.

– Lubię myśleć, że utrzymuję przy życiu ducha Schengen – odpowiedział Dariusz, stukając papierosem w kryształową popielniczkę, której używał także jako przycisku uniemożliwiającego mapom zwijanie się w rulony. – Każdy, i wszystko, ma prawo swobodnego przekraczania granic państwowych.

– Wszystko? Narkotyki? Broń? Biali niewolnicy?

Dariusz szeroko się uśmiechnął.

– Zwłaszcza narkotyki, broń i biali niewolnicy.

Rudi odkrył, że w głębi ducha zgadza się z Dariuszem. Związał się z Les Coureurs, szukając łatwej przygody, ale im więcej ich doświadczał, tym częściej myślał, że nienawidzi granic i całej tej głupiej biurokracji, która się z nimi wiąże.

Wyjął z maszyny wszystkie filtry i postukał nimi kolejno o ściankę zlewozmywaka, żeby wytrząsnąć różne resztki, które się w nich zebrały. To było zdumiewające, jak zmieniało się jedzenie po przejściu przez maszynę. Przekształcało się w zbryloną różowawoszarą masę, która osadzała się w filtrach, blokując je i utrudniając przepływ gorącej wody. W pierwszych dniach swojej pracy często znajdował w środku zmywarki pojedyncze sztućce – a czasem nawet filiżankę lub kieliszek – ale potem nauczył się tak układać je w koszykach, żeby strumienie wody nie strącały noży i widelców z przenośnika do wnętrza maszyny.

Opłukawszy filtry i tace, zostawił je obok zlewozmywaka, wrócił do zmywarki i zdjął boczne ścianki. Z maszyny buchnął kłąb pary przesiąkniętej wonią detergentu. Rudi sięgnął do środka, zdemontował ramiona natryskowe, a następnie je także opłukał pod bieżącą wodą.

Gdy się z tym uporał, podłączył wąż do kranu, wyjął spod zlewu wycieraczkę do szyb i szybko wymył wnętrze maszyny, które szybko pokrywało się śluzowatą mazią, jeśli się go codziennie nie oczyściło. Następnie zamontował ramiona natryskowe, ponownie napełnił zbiorniki czystą wodą, po czym obszedł kuchnię, sprawdzając, czy nie zostało jeszcze coś do posprzątania. Na koniec włożył ciepłą kurtkę i wyszedł na dwór zapalić papierosa obok punktu rozładunkowego.

Wieczór był bardzo zimny i zupełnie bezchmurny. Rudi niemal całe życie spędził w miastach, gdzie przez pomarańczowożółtą mgiełkę smogu przebijał się blask jedynie najjaśniejszych gwiazd. Tutaj niebo było najczarniejszą czernią, usianą jasnymi, nie migoczącymi gwiazdami, a Mleczna Droga – wspaniałą świetlistą wstęgą.

Za krótką drogą, która prowadziła do stanowiska rozładunkowego, góra opadała stromo w dół, ku malutkim konstelacjom miasteczek mrugających światłami w dolinach pod mglistą warstwą smogu. Rudi widywał te światła każdego wieczoru, kiedy wychodził na ostatniego w tym dniu papierosa, ale nie miał pojęcia, jak większość tych miasteczek się nazywa. Jan pewnego

razu pokazał mu każde z nich palcem i podał ich nazwy, ale Rudi już je zapomniał.

Wskazał także długim kościstym palcem mroczną mglistą dal i powiedział: „Polska”, jakby to miało jakieś wielkie znaczenie. Rudi tylko wzruszył ramionami i podziękował Czechowi za to, że mu pokazał, gdzie wszystko jest. To upieranie się Jana przy tym, że ma on coś wspólnego z Polską, było trochę niepokojące, i Rudi nie wiedział, co o tym sądzić.

W pewnej chwili ktoś nad nim otworzył okno i krzyknął po polsku:

– Cholerni Czesi! Jebane Pepiki!

Coś – Rudi pomyślał, że mogło to być krzesło – wyleciało z ciemności, spadło na śnieg leżący na poboczu drogi, odbiło się i zsunęło się w dół stoku.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedział i rzuciwszy peta na beton, zgasił go podeszwą.

Pokój Rudiego był na parterze, w pewnej odległości od holu, na końcu bocznego korytarza pełnego szaf i małych biur. Sam też wyglądał, jakby kiedyś był szafą; na ścianach pozostały ślady w miejscach, gdzie dawniej wisiały półki. Wysoko na tylnej ścianie było malutkie, prostokątne okno z zamarzniętą szybą, a przy ścianie bocznej stało wąskie łóżko, trochę zbyt krótkie, by można w nim było wygodnie spać. Garderoba Rudiego wisiała na wieszakach na jednej ze ścian, a w niskiej szafce obok łóżka trzymał kosmetyki. Na podłodze było dość miejsca, aby dało się przejść od łóżka do drzwi, nie stawiając stóp jedna za drugą, ale nie więcej. W pokoju było zawsze przyjemnie ciepło, znajdował się bowiem tuż nad hotelową kotłownią, ale Rudi nie chciałby tam spać latem, kiedy temperatura była zapewne nie do zniesienia.

Wszedł do pokoju, chwycił ręcznik, mydło, szampon oraz ubranie na zmianę i ruszył korytarzem do małej łazienki z prysznicem dla personelu. Bez względu na to, jak był ostrożny, zawsze kończył dzień upaćkany resztkami i zatłuszczony jak maszyna, której używał, i usunięcie całego tego brudu wymagało odeń sporego wysiłku.

Po prysznicu zwykle wypijał kilka drinków w barze na dole i szedł spać, ale tym razem, gdy przechodził przez hol, usłyszał krzyki dobiegające z baru i zobaczył dwóch policjantów zmierzających w stronę źródła hałasu. Wrócił więc do swojego pokoju i położył się na łóżku, żeby poczytać.

Jakiś czas później Marta zapukała cicho do jego drzwi i weszła do pokoju.

– Polacy zdemolowali bar – powiedziała, zdejmując podomkę i wieszając ją na haczyku obok drzwi. – Policja aresztowała sześciu z nich. – Odkąd przyjechał pierwszy autobus, mówiła o swoich rodakach z subtelną pogardą, jakby chciała się od nich zdystansować.

Wyciągnięty na łóżku Rudi popatrzył na nią ponad książką i mruknął niezobowiązująco:

– Uhm.

Marta rozpięła suknię czarnego uniformu, zdjęła ją i powiesiła na tym samym haczyku, na którym wisiała już podomka. Pod spodem miała rajstopy i podniszczony czarny biustonosz. Była pulchną, radosną dziewczyną z długimi mysiobrązowymi włosami, które farbowała na kasztanowy brąz.

– Domyśliłam się, że będziesz się tu ukrywał – powiedziała.

– Nie możemy nigdy więcej rozmawiać przy innych po polsku – odrzekł Rudi. – Jan słyszał nas kilka dni temu.

Przestała rozpinać biustonosz i popatrzyła na niego.

– Jeśli przestaniemy, to w ogóle nie będziemy ze sobą rozmawiać przy innych. – W rzeczywistości mówiła zupełnie dobrze po angielsku, ale z jakichś powodów wstydziła się posługiwać tym językiem. Zsunęła rajstopy i majtki i zostawiła je na podłodze. – Posuń się.

Rudi położył książkę na szafce i przycisnął się do ściany, żeby Marta mogła się wsunąć pod kołdrę obok niego. Oficjalnie Jan patrzył niechętnie na związki między pracownikami, ale nieoficjalnie przymykał na nie oko, dopóki zbytnio nie zakłócały hotelowej rutyny.

– Dlaczego nie możemy rozmawiać po polsku? – zapytała Marta.

Rudi objął ją ramieniem i westchnął.

– Nie powiedziałem, że nie możemy rozmawiać po polsku. Tylko że nie powinniśmy tego robić publicznie.

– Ale dlaczego?

Nie było łatwego sposobu załatwienia tej sprawy. Z Martą było tak, że odpowiedź wywoływała następne pytanie; kiedyś takiemu łańcuchowi pytań i odpowiedzi poświęcili niemal całą noc. Rudi w końcu zapomniał, jakie było to pierwsze pytanie, i zupełnie pogubił się w rozmowie.

– Nie będę cię okłamywać, Marta – powiedział.

– Ludzie zwykle tak mówią, kiedy chcą kogoś okłamać – odrzekła, wtulając głowę w krzywiznę jego szyi i barku.

Cóż, było w tym sporo prawdy. Musiał jej to oddać.

– Nie mogę ci powiedzieć dlaczego, Marto.

Wzruszyła ramionami.

– Nie mogę ci powiedzieć dlaczego, bo nie chcę cię w to wciągać – powiedział, co przypadkowo było szczerą prawdą.

– Jest mi to obojętne – odparła sennie. – Kocham cię.

– Ludzie zwykle tak mówią, kiedy chcą powiedzieć coś bardzo niemądrego – powiedział jej, ale ona zdążyła już zasnąć i zaczęła cicho pochrapywać. Jan zdecydowanie przeciążał pracą wszystkie pokojówki, ale w hotelu zostało zbyt mało pracowników, bo większość chciała spędzić Boże Narodzenie i sylwestra z rodzinami.

Rudi uśmiechnął się i pocałował Martę w czubek głowy. Nigdy go nie zapytała, czy jest żonaty, czy ma już kogoś na stałe, i o to, co robił w Strefie. Kiedy się kochali, używali prezerwatyw oraz środków wirusobójczych, i to był cały zakres jej nieufności do niego. Była prostoduszną, nieskomplikowaną osobą, której nigdy jeszcze nie przydarzyło się nic naprawdę złego, podobnie jak dziewięćdziesięciu dziewięciu procentom ludności Europy. Chciał jej powiedzieć, jak szybko może się to zmienić, ale nie wiedział, jak jej to wytłumaczyć.

Przytulił ją i poczuł, że sam zanurza się w nieświadomości niczym nurek, który wypadł z łodzi.

W sylwestra Polacy mieli dyskotekę.

Jan chciał ich wszystkich wyrzucić z hotelu, ale właściciele uparcie mu na to nie pozwalali. Strefa była znana z tego, że przyjmowała wszystkich, o każdej porze, bez względu na to, jak uciążliwe było ich zachowanie. Istniała po to, by przyciągać turystów, i gdyby rozeszła się wieść, że hotele zaczęły wywalać ludzi z tak błahych powodów jak bójki na korytarzach, polewanie się pianą z gaśnic w barze czy wyrzucanie mebli z szóstego piętra, gospodarka Strefy mogłaby na tym ucierpieć.

W tym punkcie, w kategoriach filozoficznych, poglądy Jana i właścicieli hotelu się rozchodziły. Jan chciał prowadzić hotel, właściciele zaś chcieli zarabiać. W idealnym świecie doszliby na pewno do jakiegoś wzajemnie akceptowalnego porozumienia. W świecie realnym Jan – i wszyscy inni

kierownicy hoteli – musieli cierpieć. Gość musiałby się zachowywać wyjątkowo obrzydliwie, żeby wyrzucono go z hotelu w Strefie. Skutkiem tego była ona przez większość czasu miejscem dość hałaśliwym, ale i do zniesienia, z wyjątkiem okresów świątecznych.

Dyskoteka była częścią pakietu świątecznego dla Polaków. A był to program, który zdawał się pochodzić jeszcze z czasów tuż po upadku komunizmu. Podróż do Strefy, wizyta w supermarkecie w dolinie, jazda na nartach dla tych, którzy chcieli sobie pojeździć, i dyskoteka oraz kolacja sylwestrowa. Była jeszcze, jak Rudi zaczął sobie uświadamiać, nieoficjalna część pakietu, obejmująca przemoc oraz morze alkoholu – całkowicie poza kontrolą przedstawicieli organizatorów, którzy towarzyszyli wycieczkom.

Rudi obserwował podawanie kolacji przez okienko między kuchnią a małą jadalnią. Cierpliwość Jana do Polaków, ograniczona nawet w najlepszych czasach, wyczerpała się ostatecznie i dlatego polecił szefowi kuchni, żeby zajął się innymi gośćmi w dużej jadalni. Następnie zdjął marynarkę kierownika, włożył fartuch oraz czapkę szefa kuchni i sam zaczął gotować dla Polaków.

Przez całe popołudnie bił bez opamiętania tłuczkiem do mięsa kawałki schabu, zanurzając je w mące oraz jajkach i obtaczając w tartej bułce. Gdy Rudi przyszedł na swoją zmianę, zobaczył, że wkłada do lodówki całe tace przygotowanych na kolację kotletów schabowych.

Wszyscy Polacy byli odświętnie ubrani. Najgorsi rozrabiacze, ci, którzy wywoływali bójki, uruchamiali gaśnice i wyrzucali przez okna meble, wyglądali najlepiej w świetnie skrojonych drogich garniturach z miękkiego czarnego materiału. Ich dziewczyny miały na sobie suknie z Paryża, które w tym roku były głównie z szyfonu i koronek. Rudi widywał takich ludzi w Krakowie, wysiadających z prowadzonych przez szoferów limuzyn przed kasynami. Nie potrafił pojąć, co oni tu robią, płacąc psie grosze, żeby się mieszać z biednymi ludźmi, skoro mogli wynająć dla siebie całe piętro w hotelu Marriott w dowolnym miejscu Europy. Nie pojmował tego, ale też dawno już przestał próbować zrozumieć motywy postępowania Polaków.

Jan harował w kuchni: smażył kotlety, układał je, wciąż skwierczące tłuszczem, na talerzach, przykrywał każdy sadzonym jajkiem i dodawał gotowane ziemniaki oraz fasolkę szparagową. Twarz kierownika lśniła potem, a w jego oczach Rudi dojrzał coś, co uznał za rodzaj obłąkańczej radości z serwowania takiego byle czego Polakom. Rudi chciał mu

powiedzieć, że Polacy uwielbiają takie potrawy; dla nich to jest dobre, domowe jedzenie, praktycznie kuchnia narodowa, a Jan robi z siebie głupka.

Nic jednak nie powiedział. Wieczór będzie wystarczająco trudny bez odpowiadania na pytania kierownika o Polskę. Kiedy filiżanki, szklanki i talerze zaczęły wracać przez okienko, Rudi włączył hobarta i zaczął ładować to wszystko do koszyków.

Zwykle nie pił do czasu, aż skończył pracę, ale ponieważ był to sylwester, Jan pozwolił na wniesienie do kuchni butelki becherovki i między jednym a drugim daniem oraz napływem brudnych naczyń przysiadali na blacie, dodawali do likieru toniku, żeby zrobić drink, który Czesi nazywali „betonem", i wznosili toasty.

– *Na zdraví* – powiedział Jan, unosząc kieliszek.

– *Cheers* – odparł Rudi, po czym spojrzał na zegarek. Dziesięć po jedenastej, a hałas dochodzący z jadalni był już tak wielki, jakby wszczął go tłum na ważnym meczu piłkarskim.

Jan opróżnił kieliszek i przedramieniem otarł czoło.

– Zapomniałem, jaka to frajda.

Rudi uśmiechnął się szeroko.

– To może zamienimy się rolami?

– Co? – Jan roześmiał się i machnął kieliszkiem w stronę hobarta. – Miałbym wrócić do pracy na tym czymś? Przez wiele lat harowałem po to, żebym już nigdy nie musiał tego robić. – Trącił kieliszkiem kieliszek Rudiego. – Chociaż byłem bardzo dobry.

– Na pewno.

Jan uniósł kieliszek w kolejnym toaście i znowu go opróżnił.

– Byłem. Naprawdę.

Rudi popatrzył na cztery tace filiżanek, talerzy i sztućców, które leżały na kuchennym blacie, i znacząco pokiwał głową.

– Nie – zaprotestował Jan, przenosząc spojrzenie za jego wzrokiem.

– Dlaczego nie?

– One są już czyste. To nie byłoby to samo.

Rudi wzruszył ramionami.

– Jakie to ma znaczenie?

Jan posłał mu szelmowski uśmiech.

– Pięćdziesiąt koron?

Pięćdziesiąt koron Rudi zarabiał podczas całej zmiany, ale co tam, to był sylwester.

– Okay.

– W porządku. – Jan zeskoczył z blatu. – Ty zaczynasz.

Rozdzielili zawartość tac na dwa koszyki i Jan stanął przy Rudim, patrząc na zegarek.

– Przygotuj się… uwaga… Start!

Była to kwestia przyjęcia pewnego rytmu, skręcania ciała w biodrach, bez przesuwania stóp. Najpierw dnem do góry układało się filiżanki, a potem pionowo talerze. Rudi był w tym bardzo dobry. Kiedy skończył ładować jeden pojemnik z naczyniami stołowymi do maszyny, z jej drugiej strony wyjeżdżały już czyste filiżanki i musiał tam przebiec, żeby je zdjąć, a po nich jeszcze talerze. Ułożył je szybko jeden na drugim, po czym wrócił na początek maszyny, żeby załadować następny pojemnik.

– Nie najgorzej – ocenił Jan, zatrzymując sekundnik zegarka, kiedy Rudi ułożył ostatni talerz. – Ale też nie najlepiej. Trzymaj. – Podał Rudiemu zegarek. – Naciśnij ten mały srebrny przycisk, żeby wyzerować sekundnik, a potem jeszcze raz, by go uruchomić.

Rudi obrócił zegarek w ręce.

– Bardzo ładny.

– Prezent od właścicieli – powiedział Jan, ustawiając się na końcu hobarta. – Kiedy otrzymałem awans na kierownika. Gotowy?

– A, racja. – Rudi uniósł zegarek i położył palec na przycisku. – Trzy, dwa, jeden, start.

Jan posługiwał się metodą, która polegała na tym, że zdawał się wsypywać całe naręcza talerzy do maszyny, i to w ostatecznym rozrachunku przeważyło szalę na jego korzyść, choć obaj się zgodzili, że wygrał z niedużą przewagą.

– Do trzech wygranych? – zapytał Jan, gdy pieniądze przeszły już z rąk do rąk, a kieliszki znów były pełne.

– Jestem impulsywny – odpowiedział mu Rudi. – Ale nie głupi. Wiem, kiedy zostałem pokonany.

– Ach – Jan poklepał go po ramieniu – gdyby wszyscy byli tacy jak ty…

Gdy usiłowali się nawzajem pokonać, w okienku uzbierał się stos kompotierek.

– Wracamy do pracy.

– Nie przyjechałeś tu z Polski, prawda? – zapytał Jan, kiedy Rudi zaczął układać kompotierki w pojemniku.

– Nie rozumiem, dlaczego ciągle mnie wypytujesz o Polskę. Jestem Estończykiem, na litość boską. Nigdy nie powiedziałem słowa o Polsce, a ty ciągle wracasz do tego tematu.

– Mój kuzyn jeździ taksówką – odrzekł Jan, opierając się o ścianę. – Był na stacji, kiedy przyjechałeś. Mówi, że wysiadłeś z ekspresu z Krakowa. – Nalał sobie kolejnego drinka. – I mówisz po polsku, prawda?

– Nie. – Rudi zaniósł wypełniony pojemnik do maszyny, postawił go na taśmie przenośnika i nacisnął przycisk, żeby go uruchomić. – A nawet gdybym mówił, to co w tym takiego złego? Dlaczego cię to interesuje?

Jan nagle bardzo spoważniał.

– Ponieważ nie znoszę, gdy ludzie mnie okłamują, nawet w najdrobniejszych sprawach. – Wypił swojego drinka. – Uważam, że jeśli ktoś jest gotów okłamywać mnie w drobnych sprawach, będzie też okłamywać mnie w sprawach ważnych.

Rudi wrócił do okienka i zaczął zapełniać kolejny pojemnik.

– Jestem tym już naprawdę zmęczony, Jan. Twój kuzyn pomylił mnie z jakimś innym facetem. Zobaczył, jak ktoś podobny do mnie wysiadł z pociągu. Mam ci powiedzieć, skąd to wiem? Wiem, ponieważ nie przyjechałem tutaj pociągiem z Krakowa, lecz z Wiednia, a do Wiednia dotarłem z Paryża. – To akurat było prawdą; Rudi bardzo starannie zaplanował trasę, którą przybył do Strefy. – Nie mówię po polsku. Nigdy nie byłem w Polsce.

Jan słuchał tego z powagą, kiwając głową. Gdy Rudi skończył, wzruszył ramionami.

– Zapominasz o mojej sytuacji – powiedział. – Zatrudniam mnóstwo personelu tymczasowego, czasem ludzi, którzy są w Strefie tylko przejazdem. Czy oni są przestępcami? Czy są dezerterami z jakiejś armii? – Popatrzył na Rudiego i przechylił głowę. – Z pewnością powinienem wiedzieć o takich sprawach.

Rudi przez chwilę mierzył Jana wzrokiem, a potem pokręcił głową.

– Jestem mieszkańcem Strefy, Jan. Mieszkam tu od sześciu lat. Mam kartę stałego pobytu. W przyszłym roku mogę wystąpić o przyznanie mi obywatelstwa.

Jan skinął głową.

– Tak, i masz znakomite referencje z ostatniego miejsca pracy. Z twoich trzech ostatnich miejsc pracy, jeśli chodzi o ścisłość. Skontaktowałem się z twoimi trzema ostatnimi pracodawcami i wszyscy oni bardzo cię chwalili. Co właśnie budzi moje podejrzenia.

– Twoja logika jest nienaganna, Janie. Moi poprzedni pracodawcy mówią o mnie wyłącznie dobrze. Dlatego muszę być kryminalistą.

– Weźmy na przykład twoją dziewczynę.

– Co?

– Martę, twoją dziewczynę. Och, daj spokój. Wszyscy w hotelu wiedzą o tobie i o niej.

Cóż, jeśli Rudi się czegoś nauczył podczas pobytu w tym miejscu, to tego, że zachowanie sekretu w hotelu jest niemożliwe.

– Co z nią?

– Przyjechała tu dwa dni przed tobą. Nienaganne referencje. Hotel Bristol w Warszawie. Hotel Warszawa w Warszawie. Cracovia w Krakowie. Cudowne referencje. – Jan miał prawie nostalgiczny wyraz twarzy. – A potem przy tylnych drzwiach pojawiłeś się ty, jedynie z plecakiem i miłym uśmiechem. – Jan pokiwał głową, ponownie napełnił swój kieliszek, najwyraźniej nie przejmując się już, że może się upić w pracy. – Wspaniałe referencje. – Machnął ręką, zapomniawszy, że trzymał w niej kieliszek, i zachlapał jego zawartością betonową podłogę. – Tak jak ty.

– Jan – zaczął Rudi, ale zaraz umilkł.

Kiedy rozmyślał o tym później, doszedł do wniosku, że Jan tak naprawdę usłyszał to, zanim do tego doszło, co zapewne było zdolnością odróżniającą pomocników kuchennych tego świata od kierowników. Obaj przywykli już do coraz głośniejszych wrzasków dobiegających z jadalni, ale Jan nagle przechylił głowę, jakby czegoś uważnie słuchał, a potem rozpętało się istne piekło.

Podbiegli do okienka i wyjrzeli przez nie. Jadalnia została przygotowana na dyskotekę, krzesła i stoły odsunięte pod ściany. Światła były przyciemnione, system nagłaśniający podkręcono zbyt mocno, a totalna bijatyka była widoczna tylko dzięki migającym światłom i błyskom laserów. W powietrzu latały butelki i szklanki, dziewczyny wrzeszczały, mężczyźni tłukli jeden drugiego i rozbijali szkło oraz meble. W pewnej chwili z ogólnego chaosu wyleciał mały okrągły stolik, widoczny

poklatkowo w mrugającym świetle lasera, zawisł na moment w powietrzu, po czym spadł na podłogę.

– Wiedziałem, że tak będzie – spokojnie powiedział Jan, jakby czerpał perwersyjne zadowolenie z tego, że okazało się, iż miał rację. – Mówiłem, że to się stanie.

Rudi popatrzył na swój zegarek. Było dwie po dwunastej.

– Przynajmniej zaczekali do północy – stwierdził.

Jan westchnął.

– Zamknij na klucz wszystkie drzwi, które tu prowadzą, i to okienko. Pójdę zadzwonić po policję. – Powiedziawszy to, wyszedł do jadalni. Zanim Rudi stracił go z oczu, widział, jak brnie przez bijący się tłum ku drzwiom.

Niektórzy ludzie z obsługującego Polaków personelu wepchnęli się do kuchni, zanim Rudi zdążył zamknąć i zaryglować drzwi. Stali teraz zbici w małą grupkę, słuchając brzęku rozbijanych przedmiotów, krzyków ludzi i wystrzałów odpalanych w jadalni fajerwerków. Po jakimś czasie Rudi włożył kurtkę, wyjął plecak z kryjówki pod jednym z blatów i wyszedłszy tylnymi drzwiami na zewnątrz, zatrzymał się obok stanowiska rozładunkowego.

Noc była piękna. Gwiazdy świeciły jasno, nie mrugając, a w dolinie poniżej widać było malutkie wybuchy sztucznych ogni nad miastami. Obserwował je przez chwilę, uderzony myślą, jak dziwnie jest oglądać wybuchy fajerwerków z góry. Słyszał też dobiegające od frontu hotelu krzyki i głęboki bas silników gąsienicowych pojazdów policyjnych.

Za jego plecami, na betonie pokrytym cienką warstwą chrupiącego lodu, zaszurał jakiś but.

Rudi obejrzał się. Kilka metrów dalej stał niski człowiek z walizką w jednej ręce. Po chwili zrobił kolejny krok w stronę świateł stanowiska rozładunkowego i Rudi zobaczył, że to mężczyzna w średnim wieku, dygoczący w nieodpowiednim na tę porę roku płaszczu, z policzkami i nosem szkarłatnymi od zimna. Stali przez chwilę w milczeniu, przyglądając się sobie.

– Czy pan jest *coureur*? – zapytał w końcu mały mężczyzna.

Rudi westchnął. Dariusz powiedział mu, że na ogół podawanie „pakunkom” haseł rozpoznawczych jest bezcelowe. Nigdy ich nie pamiętali, mówił, albo podekscytowani skokiem zapominali ich użyć, albo

po prostu uznawali je za głupie czy dziecinne, co było zresztą zgodne z opinią Rudiego na ten temat.

Ale rzemiosło było rzemiosłem.

– Jestem pomocnikiem kuchennym – odparł Rudi.

Małemu mężczyźnie zrzedła mina, ale potem coś w głębi jego podnieconego, przerażonego umysłu rozpoznało w słowach Rudiego połowę hasła.

– Ach – powiedział. – Racja. Hm, czy służy pan w lotnictwie?

Żenujące. Rudi pomasował oczy.

– Hej! – zahuczał inny, radośniejszy głos. – Hej! Teraz tutaj gotujesz?!

Rudi odjął rękę od oczu. W akompaniamencie chrzęszczącego pod butami śniegu szedł ku nim, wyglądający w wypchanym kombinezonie jak jasnowłosy niedźwiedź kodiacki, Węgier, który przed trzema laty w restauracji Maks pochwalił go za dobre, kurwa, jedzenie.

– Myję naczynia – powiedział mu Rudi, ze względu na „pakunek” starając się emanować spokojem.

– Prawdziwa szkoda – stwierdził Węgier. – To oczywiste, że się tu marnujesz. – Położył na ramieniu małego mężczyzny wielką dłoń w jeszcze większej rękawiczce. – Nie ruszaj się – zagrzmiał dobrodusznie.

„Pakunek” zignorował to polecenie, zdołał jakoś strącić ciężką dłoń Węgra i pomknął w stronę pobocza drogi, porzucając walizkę.

Rudi i Węgier popatrzyli po sobie. Rudi był bez broni i nie użyłby jej, nawet gdyby ją miał. Węgier uśmiechnął się do niego.

Uciekinier dotarł do skraju drogi dojazdowej i krawędzi pochyłości, po czym skoczył w dół, znikając w tumanie śniegu. Po chwili z dołu dobiegł krzyk, potem głuchy odgłos uderzenia, a następnie zapadła cisza.

– Maks cię wylał? – zapytał Węgier.

– Twój polski znacznie się poprawił – zauważył Rudi.

Węgier pochylił wielką głowę z kudłatą blond czupryną.

– Przekonałem się, że jeśli nie szczędzisz wysiłku i uważnie słuchasz, to możesz się nauczyć niemal wszystkiego.

Na poboczu drogi pojawili się jeszcze dwaj ogromni jasnowłosi mężczyźni, którzy mozolnie wspinali się po stoku ze zwisającym między nimi „pakunkiem”. Przenieśli go nad zaspą na skraju drogi i przywlekli do Węgra. Następnie wszyscy trzej odbyli bardzo krótką szeptaną rozmowę, podczas której Węgier ani na chwilę nie oderwał wzroku od Rudiego, po

czym nowo przybyła dwójka zaczęła wlec nieprzytomnego uciekiniera wzdłuż ściany hotelu.

– A więc – odezwał się Węgier, kiedy tamci zniknęli za rogiem budynku – co mamy z tobą zrobić?

– On jest nasz – dobiegł ich głos z tyłu strefy rozładunku.

Rudi się nachmurzył.

– Naprawdę? – zapytał Węgier.

– Naprawdę – potwierdziła Marta. Podeszła do skraju rampy rozładunkowej i patrzyła na nich z góry. Miała na sobie dżinsy, gruby sweter, buty turystyczne i ocieplaną kurtkę. W pierwszej chwili Rudi jej nie poznał. Włosy związała z tyłu i zmyła makijaż. Wyglądała zarazem na naiwną i niewinną, jak i kompetentną oraz rzeczową. – „Pakunek” jest wasz. Ale pomywacz jest mieszkańcem Strefy.

Węgier wyszczerzył zęby w uśmiechu i mrugnął do Rudiego, dając mu w ten sposób do zrozumienia, co myśli o tej zmywarkowej farsie.

– Zdaje się, że masz wielbicielkę.

Rudi popatrzył na Martę i zaczął się zastanawiać, pod iloma względami okazał się głupcem. Było ich, pomyślał, zbyt wiele, aby mógł je zliczyć.

Węgier poszedł po walizkę porzuconą przez „pakunek” i podniósł ją. W jego masywnej dłoni wyglądała jak zabawka.

– Może przyjdę kiedyś do restauracji Maks i zjemy razem kolację.

– Nie spiesz się – odpowiedział mu Rudi.

Wyglądało na to, że tymi słowami sprawił Węgrowi przykrość.

– No cóż – westchnął. Zasalutował Rudiemu, ukłonił się Marcie i odszedł.

Kiedy skręcił za rogiem budynku, znikając im z oczu, Marta zeszła po schodkach z rampy rozładunkowej.

– Czas ruszać w drogę – powiedziała.

Rudi podniósł swój plecak. Nagle poczuł się bardzo ociężały i zmęczony.

Po krótkim zejściu w dół zbocza góry, urozmaiconym ześlizgiwaniem się i zjeżdżaniem w sypkim śniegu, dotarli do wąskiej leśnej drogi. Czekał tam samochód, element przygotowanego przez Rudiego planu ewakuacji. Marta w jakiś sposób zdobyła zapasowy kluczyk. Ona prowadziła.

Rudi siedział i obserwował tunel otulonych śniegiem drzew, które sunęły ku niemu w światłach samochodu. Leśnej drogi nikt nie odśnieżył i dlatego przykrywała ją kilkunastocentymetrowa warstwa śniegu. Samochód jechał z szybkością mniej więcej pięciu kilometrów na godzinę. Łatwo byłoby otworzyć drzwi, stoczyć się w głęboki śnieg na poboczu i uciec, ale nie widział w tym sensu.

– To mogło się udać, jeśli to jakaś pociecha – odezwała się.

Popatrzył na nią.

– Co?

– Tam na górze jest zawsze chaos w sylwestra – wyjaśniła, patrząc zmrużonymi oczami na drogę. – Mogło ci się udać, ale oni przez cały czas śledzili twojego człowieka.

– Kto?

Wzruszyła ramionami.

– Trudno powiedzieć na pewno. Kupili sobie współpracę z naszej strony, w pewnym zakresie i na jakiś czas. – Spojrzała na niego. – Nie rób takiej miny. To był ciekawy plan.

Przez chwilę patrzył na nią. Ostrożnie prowadziła samochód po łagodnie opadającej drodze.

– Jesteś z kontrwywiadu Strefy? – zapytał.

Zaśmiała się.

– To ci dopiero. – Pokręciła głową, zastanawiając się nad czymś. – Ciekawi mnie, czy to była prawdziwa bijatyka, czy też ty ją wywołałeś.

– Przez cały czas byłem w kuchni – odpowiedział Rudi. – Jan to poświadczy.

– Nie ty osobiście – sprecyzowała. – Prowokatorzy wynajęci na taką okazję… jak ich nazywacie?

– „Korespondenci”. Dobrze wiesz.

– „Korespondenci”, tak. Uwielbiam tę waszą terminologię. Jest taka urokliwa. Zastanawiam się, czy wynająłeś jakichś „korespondentów”, którzy mieli wszcząć awanturę, żeby ukryć twoje odejście.

– Jak powiedziałaś – mruknął Rudi – tam zawsze jest chaos w sylwestra.

Przez dziesięć–piętnaście minut jechali w milczeniu. Droga to opadała, to się wznosiła, wreszcie drzewa odsunęły się stopniowo z obu jej stron i zmieniła się w dwupasmową szosę odśnieżoną do tego stopnia, że Marta mogła przyspieszyć do około dwudziestu kilometrów na godzinę.

– Kim był ten Węgier? – spytał Rudi.

– Powiedział, że nazywa się Kerényi. Ale ty mówisz, że na imię masz Tõnu, a ja mówię, że mam na imię Marta. – Wzruszyła ramionami na ten świat, w którym nikt nie mógł być pewny, czy podawane mu przez innych nazwiska i imiona są prawdziwe.

– Wiedzieliście, że przybędę – powiedział.

– Wiedzieliśmy, że on przybędzie – odparła, mając na myśli „pakunek". – Węgrzy powiedzieli nam, gdzie będzie i kiedy tam będzie.

– I musiałaś tylko poczekać, aż się pojawię. – Potarł twarz. – Co ze mną zrobicie?

Tak bardzo pochyliła się nad kierownicą, że jej twarz była o centymetry od przedniej szyby.

– Poczekaj, a zobaczysz.

Samochód najechał na taflę lodu i przez chwilę nim zarzucało. Rudi słuchał przekleństw walczącej z kierownicą Marty. Perspektywa wśliźnięcia się pod nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówkę wydała mu się w tej chwili dość atrakcyjna.

W końcu zapanowała nad pojazdem i spojrzała na niego. Jej twarz, widoczna w świetle lamp drogowych, była blada i trochę spocona.

– Nie jesteśmy nawet szczególnie źli na ciebie – powiedziała.

– Nie?

– Takie rzeczy zdarzają się raz czy dwa w roku. Wywiad jakiegoś kraju decyduje się zadrzeć z jakimś innym wywiadem i postanawiają zrobić to w Strefie. – Zatrzymała samochód na skrzyżowaniu z sygnalizacją świetlną, pierwszą, jaką widział od opuszczenia hotelu. – Nasza gospodarka jest oparta na turystyce i aby właściwie wykorzystać jej potencjał, musimy być neutralni.

– Trudno być neutralnym.

– Żadnych operacji wywiadowczych na naszej ziemi. Jeśli je odkrywamy, rozwalamy je. Psujemy głupie gierki innych. W końcu dotrze to do wszystkich. – Mówiąc to, prawie krzyczała. – Dlaczego wy wszyscy nie pojedziecie bawić się w Baku lub gdzie indziej i nie zostawicie nas w spokoju?

– Ja po prostu jadę tam, dokąd mnie posyłają.

– Obrona norymberska – mruknęła.

Światła się zmieniły. Wrzuciła bieg i samochód ruszył.

Mniej więcej pół godziny później dotarli do granicy między Strefą a Republiką Czeską. Marta zwolniła i nie zatrzymując samochodu, machnęła laminowaną przepustką strażnikom granicznym Strefy, ale po czeskiej stronie przejścia musiała stanąć i poddać się kontroli paszportowej oraz celnej.

Rudi nie zdawał sobie sprawy, jak ciepło było w samochodzie, dopóki nie wyszedł, żeby pozwolić czeskim celnikom zajrzeć do środka. On i Marta stali obok siebie, obserwując, jak pulchny mały Czech i jego springer spaniel gramolą się na tylne siedzenie. Rudi nie był pewien, który z nich ma z tego więcej frajdy.

– To nie była sprawa osobista – powiedziała Marta, a w zimnym powietrzu każde jej słowo zmieniało się w wyraźnie widoczny balonik mgły. – Robiłam tylko to, co do mnie należało.

– Obrona norymberska – rzucił Rudi.

Zaklęła cicho i podniosła kołnierz kurtki.

– Długo to będzie trwało?! – zawołała po czesku, ale gdy z samochodu nie dobiegła żadna odpowiedź, skrzyżowała ramiona i wsunęła dłonie pod pachy, szukając tam ciepła. Rudiego zastanowiło, dlaczego nie nosi rękawiczek.

– Wezmę twój paszport – odezwała się do niego.

– Powiedziano mi, żebym go zwrócił.

– Nie obchodzi mnie, co ci powiedziano. To własność mojego rządu.

Pokręcił głową.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Mogę zabrać cię z powrotem do Strefy i aresztować.

– Ale nie masz prawa aresztować mnie w Republice Czeskiej – zauważył. Wskazał głową małego celnika. – Mógłbym wystąpić o azyl.

– Prawdopodobnie dostałby zawału, gdybyś to zrobił.

– Jednak warto byłoby spróbować.

Pokręciła głową.

– Mamy z Czechami umowę o ekstradycji. Wyciągnęlibyśmy cię stąd w dwie godziny.

Popatrzył na nią z góry.

– Dwie godziny?

– Maksymalnie.

Pomyślał o tym i znów pokręcił głową.

– Powiedziano mi, żebym przywiózł paszport z powrotem.

– Twoi ludzie nigdy już nie użyją legendy Tõnu Laary.

– Och, wyobrażam sobie, że jest jakieś miejsce, gdzie będzie jeszcze użyteczna. – Uśmiechnął się do niej. – Może Baku.

– Możecie jechać – oznajmił celnik.

Marta spojrzała na niego i wyprostowała się na całą wysokość.

– Jeśli ten pies zasikał mi tylne siedzenie, pożałujecie, żeście się urodzili – powiedziała. – Ty i pies.

Po kolejnej, mniej więcej, godzinie dojechali do przejścia granicznego w Czeskim Cieszynie. Marta ominęła samochody stojące w kolejce do granicy i objechawszy rząd budynków z cegły, zatrzymała się za nimi. Rudi wyjrzał na zewnątrz i pokręcił głową. Hektary betonu i asfaltu otoczone wysokim ogrodzeniem i zalane białym światłem, upstrzone ceglanymi budynkami i punktami kontrolnymi. Znów w domu.

– Idę z tobą – powiedziała Marta, otwierając drzwi.

Zimny wiatr z gór, który dął nad pokrytym topniejącym śniegiem betonem, przebił się przez jego kurtkę. Założył plecak i poszli po jasno oświetlonym placu, mijając autobusy, obrzucani obojętnymi spojrzeniami przez ich pasażerów. Po drugiej stronie betonowego placu przy ciągniku siodłowym z naczepą stał kierowca i prowadził ożywioną wymianę zdań z czeskim celnikiem.

– Nie obraź się – powiedział do niej – ale macie bardzo niezwykły sposób załatwiania spraw.

– Jesteśmy Strefą – odparła pogodnie. – Czego się spodziewałeś?

Był tam korytarz z drutu ostrzowego i wysokie ogrodzenie, które ciągnęło się od parkingu dla ciężarówek do granicy. Punkt kontrolny znajdował się w połowie drogi.

– Nie męczy cię to światło? – zapytał Rudi, spoglądając na standardowe lampy, które stały co dziesięć metrów wzdłuż ścieżki. – Tak samo jest w całej Europie. I zapewne na całym świecie. – Pokręcił głową.

– Granica przebiega przez środek miasta – powiedziała Marta. – Po tej stronie jest Czeski Cieszyn. Tam, po drugiej stronie drutu, jest Cieszyn. Polski Cieszyn, jak go nazywają. Nie patrz tak na mnie.

– Jak?

– Jakbyś miał zamiar wygłosić tę coureurską mowę o Schengen i swobodnym przekraczaniu granic. Zawsze to robicie. Nienawidzę idealistów.

– Jak na idealistę nie jestem taki zły.

– Jesteś młody – odparła. – Zmienisz się.

Uśmiechnął się do niej.

– Ty też jesteś młoda.

Uderzyła go w ramię, na tyle mocno, by go zabolało.

– Paszport.

– Nie.

Wyciągnęła rękę.

– Jak mam się bez niego dostać do Polski?

– Możesz użyć paszportu, według którego nazywasz się Jan Paweł Kamiński. – Stali przez chwilę, patrząc sobie w oczy. – To, że go ukryłeś w swoim pokoju, było głupie. Kiepskie rzemiosło.

Przyszło mu do głowy, że ma szczęście, iż wyszedł z tej „sytuacji" cało.

– Myślę, że kiepskie rzemiosło jest obecnie najmniejszym z moich problemów.

– W ilu takich akcjach brałeś udział? – zapytała.

Łącznie ze sprawą z kuzynem Maksa i tym, cokolwiek do diabła to było, co Fabio próbował wykręcić w Poznaniu, była to czwarta prawdziwa „sytuacja" Rudiego.

– W niewielu – odparł, mając nadzieję, że zabrzmiało to mądrze.

– Myślę, że powinieneś rzucić tę robotę – powiedziała. – Nie jesteś w tym zbyt dobry.

Trudno było zaprzeczyć. Wzruszył ramionami i poszedł w stronę punktu kontrolnego. Polskim paszportem Rudiego była plastikowa karta z jego zdjęciem. Czeski pogranicznik wsunął ją do czytnika i maszyna odczytała informacje z wbudowanego układu pamięci. Rudi przyłożył kciuk do czytnika, funkcjonariusz popatrzył na swój ekran, a potem na Martę.

– To przez zmywarkę do naczyń – zaczął tłumaczyć Rudi. – Woda jest za gorąca. Stale robiły mi się pęcherze i w rezultacie nie widać moich linii papilarnych.

– Przepuść go – powiedziała Marta, a urzędnik spojrzał na nią raz jeszcze, po czym oddał kartę Rudiemu, który zaczął się zastanawiać, jakie to porozumienia Strefa zawarła z Republiką Czeską.

– Paszport – powtórzyła Marta, gdy bariera odsunęła się na bok.

Rudi uśmiechnął się do niej i odszedł.

Po przejściu dziesięciu metrów dotarł do polskiego punktu kontrolnego, gdzie pogranicznik sprawdził jego paszport i zapytał, czy ma coś do oclenia. Rudi otworzył plecak, wyciągnął dwie butelki, czeskiego rumu i czeskiej whisky, które wziął na wypadek, gdyby „pakunek” chciał się wzmocnić. Celnik skrzywił się.

– One wszystkie smakują tak samo – powiedział. – Bóg jeden wie, z czego oni je robią.

– Mają za to świetne piwo – odparł Rudi, oglądając się za siebie. Marta wciąż stała przy posterunku granicznym w Czechach – mała postać w dużej kurtce. Widząc, że na nią patrzy, wyciągnęła rękę z kieszeni i pomachała mu. W dłoni miała coś małego, zielonego i prostokątnego.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedział polski pogranicznik.

Rudi uśmiechnął się do niego.

– Wzajemnie – odrzekł. Zamknął plecak, zarzucił go na ramię i ruszył przed siebie, oddalając się od granicy.

Nie licząc polskich nazw ulic, sklepowych szyldów i wrażenia ogólnej ruiny, wydawało się, że polski Cieszyn bardzo niewiele się różni od swego czeskiego odpowiednika. Na zaśnieżonych ulicach widać było wielu noworocznych imprezowiczów i ludzi zmierzających do kościoła lub wracających po nabożeństwie do domu. Rudi dołączył do nich.

Minąwszy kościół, zawrócił i wcisnął się do środka. Świątynia była wypełniona po brzegi i musiał stanąć za tłumem Polaków w topniejącej śnieżnej brei. Po chwili do kościoła wszedł Dariusz i stanął obok niego.

– Sprzedali nas Węgrom – szepnął Rudi.

Dariusz wzruszył ramionami.

– Następnym razem sprzedadzą Węgrów nam – mruknął. – Strefiarze lubią myśleć, że są bardziej papiescy niż papież, ale można ich kupić jak wszystkich innych. W ostatecznym rozrachunku wszyscy są tacy sami.

Rudi popatrzył na niego.

– Ukradli mi paszport.

Dariusz skinął głową.

– Zawsze to robią. Dostaniemy kolejny.

– Węgrzy odzyskali „pakunek”.

– To także się czasem zdarza. – Wyciągnął rękę i poklepał Rudiego po ramieniu. – Ale z tobą wszystko w porządku. To najważniejsze.

– Wcale nie jest ze mną wszystko w porządku.

– Wiem. – Dariusz wyglądał na zasmuconego. – Wiem. Chodźmy do domu, co?

Dopiero później, siedząc na przednim fotelu mercedesa Dariusza i obserwując niedostatecznie oczyszczone pasy autostrady, która ciągnęła się w stronę Krakowa, Rudi włożył rękę do kieszeni kurtki i uświadomił sobie, że jakimś trafem opuścił hotel z zegarkiem Jana.

OSTATNI SKOK LEONA

1

1 listopada, na przekór globalnemu ociepleniu, znad Skandynawii napłynął wyż baryczny, przynosząc na swych ciasno upakowanych izobarach twarde jak kryształ drobinki śniegu.

Przez trzy dni małe państewka północnej i środkowej Europy powoli znikały pod lśniącym, grubym kocem. W pewnych odległych lub źle administrowanych rejonach wsie, a nawet niektóre miasta zostały całkowicie odcięte od świata. Ludzie przeważnie starali się pracować, chociaż w niektórych miejscach trzeba było pozamykać szkoły i biura, kiedy wyczerpały się zapasy paliwa do ich opalanych olejem pieców, ponieważ cysterny z nowymi dostawami nie mogły się przebić przez zaspy.

O północy 4 listopada pan Albrecht zakończył zmianę i wjechał swoim skrzypiącym ze starości pomarańczowym tramwajem do nowej zajezdni przy dworcu kolejowym Potsdam-Stadt.

Przez ostatnią godzinę jedyną inną osobą w tramwaju był mężczyzna po części siedzący, po części leżący na jednym z tylnych siedzeń, z głową opartą o okno i rękami skrzyżowanymi na piersiach, w pozycji raczej niewygodnej do spania.

Albrecht wyszedł z kabiny motorniczego, przewiesił torbę przez ramię i ruszył wzdłuż pokrytego brudem tramwaju do tylnych drzwi.

Kiedy wszedł do środka, stał przez kilka chwil, patrząc na swojego jedynego pasażera. Śpiący był opatulony długim, wywatowanym w ramionach płaszczem, mokrym na dole od topniejącego śniegu, z kapturem okrywającym głowę. Pan Albrecht pochylił się i zobaczył w kapturze szalik owinięty wokół dolnej połowy twarzy pasażera. Chwycił go za ramię i potrząsnął delikatnie.

– Hej, kolego.

Śpiący poruszył się.

– Hm? – mruknął.

– Jeśli chodzi o mnie, możesz zostać – powiedział pan Albrecht – ale ten tramwaj dziś wieczorem już dalej nie pojedzie.

Pasażer popatrzył w górę i zamrugał zapuchniętymi oczami.

– Gdzie…?

– Zajezdnia Potsdam-Stadt.

Oczy, czyli jedyny element twarzy obcego, który pan Albrecht tak naprawdę widział, zwęziły się.

– Jasna cholera. Powinienem był wysiąść w Babelsbergu. Muszę się dostać na Rosa Luxemburg Strasse.

– Będziesz musiał złapać taksówkę.

Pasażer pokręcił głową.

– Nie mam pieniędzy na taksówkę.

Albrecht westchnął. Wsunął dłoń do kieszeni i wyjął złożony banknot pięciomarkowy.

– Weź. – Wcisnął banknot w okrytą rękawiczką dłoń pasażera. – Możesz mi je później oddać. – Wskazał na wielką, jaskrawo oświetloną zajezdnię i szeregi zaparkowanych tam tramwajów. – Po prostu zostaw w głównym biurze i powiedz, że to dla Albrechta. Wszyscy mnie tu znają.

Pasażer wymamrotał podziękowanie, wziął z podłogi pod siedzeniem wielki worek marynarski i wysiadł z tramwaju.

Pan Albrecht patrzył, jak nieznajomy rozpływa się w białej zamieci za bramą zajezdni, i pokręcił głową, oceniwszy, jakie ma szanse złapać taksówkę w taką pogodę.

Była już prawie pierwsza nad ranem, gdy wrócił do swego mieszkania przy Voltaire-Weg z widokiem na znienawidzone ogrodzenie graniczne z drutu ostrzowego, które wznieśli ci cholerni Nowopoczdamczycy, aby trzymać intruzów z dala od ich kieszonkowego królestwa, ale jego żona, z cierpliwością wyrosłą z wieloletniego doświadczenia, wciąż czekała na niego z kolacją.

Pana Albrechta poproszono kiedyś, by nigdy nie mówił o swojej drugiej pracy, chociaż tak rzadko ją wykonywał, ale w dniu ślubu przysiągł sobie, że w ich małżeństwie nie będzie tajemnic, kiedy więc skończył już posiłek i pił kawę, opowiedział żonie o śpiącym pasażerze, którego przywiózł do zajezdni.

– Jaki on był? – zapytała żona.

Pan Albrecht widział tylko oczy pasażera i słyszał jego głos, ale prowadził tramwaje po Poczdamie przez dwadzieścia trzy lata, a kiedy ktoś robi to tak długo, widuje najróżniejszych ludzi i dowiaduje się pewnych rzeczy.

– Był bardzo młody – powiedział.

W bramie domu niedaleko od zajezdni Rudi wyjął pięciomarkowy banknot, który dostał w tramwaju od „korespondenta”. Rozwinął go i pochylił tak, by padło nań światło latarni ulicznej. Zmrużywszy oczy, odczytał godzinę i adres skreślone ołówkiem na jego marginesie. Następnie wyjął z kieszeni kopertę, włożył do niej banknot, zakleił i wyszedł z bramy. Po drodze, idąc w dół ulicy, wrzucił kopertę do skrzynki pocztowej, przerzucając zadanie usunięcia dowodu na niemiecką pocztę.

Starszy od Berlina o dwa wieki Poczdam powstał jako słowiańska wioska rybacka nad brzegiem Haweli. Jego nazwa – w każdym razie jego nazwa słowiańska, Poztupimi – została zapisana po raz pierwszy w roku 993 naszej ery, gdy Otton III nadał ziemię opactwu w Quedlinburgu.

W roku 1660 Fryderyk Wilhelm wybudował sobie letni pałac w pobliżu rzeki i połączył go z Berlinem drogą obsadzoną lipami. Fryderyk Wielki dał miastu Sanssouci, jeden z najwspanialszych pałaców epoki. W roku 1747 roku przyjechał tam Bach, żeby dla niego grać, a trzy lata później dyskutował tam o filozofii z Wolterem.

Prawie dwa wieki później alianckie bombowce zniszczyły całe centrum miasta, a tuż po wojnie Truman, Churchill, Stalin i Attlee spotkali się w Schloss Cecilienhof i zdecydowali, jak podzielą Niemcy. Poczdam znalazł się w sowieckim sektorze okupacyjnym, a w 1961 roku mur berliński odizolował go od Zachodu, przecinając drogę Fryderyka Wilhelma do Berlina w miejscu, gdzie przekraczała Hawelę.

Jakiś czas po tym, jak Poczdam porósł brudem i podupadł pod rządami komunistów, po okresie die Wende, który przyniósł częściową odbudowę, i po tym, jak świat wyleczył się z pierwszego postmilenijnego kaca, grupa anarchistów mieszkających na dziko w budynku przy Hegel-Allee ogłosiła, że ich dom jest niezależnym krajem.

Zrobili tylko to, co od lat, z mniejszym lub większym powodzeniem, robiły na całym świecie setki innych grup. Zaczęli wydawać paszporty, drukować własne pieniądze, wprowadzili własne podatki – to znaczy były to zrozumiałe, godne pożałowania i tymczasowe, ale konieczne środki podjęte w celu ochrony ich nowego kraju przed wrogimi zakusami świata zewnętrznego. Miał to być odpowiednio nieprzyzwoity gest w stosunku do władzy, ale ku konsternacji anarchistów idea ta rozprzestrzeniła się na sąsiedni budynek. A potem następny. I kolejny.

Anarchiści zmuszeni byli tworzyć komitety, aby radzić sobie z finansami, z zapewnieniem dostaw jedzenia, energii elektrycznej, wody i z kanalizacją. Okresowe ataki pijanych młodzieńców z ogolonymi głowami zmusiły ich do utworzenia straży granicznej. Konieczność koordynacji działań związanych z utrzymaniem ich budynków w dobrym stanie wymagała utworzenia swego rodzaju rady pracowniczej. Przyjeżdżali do nich fotoreporterzy z „Die Welt” i „Bildu” oraz „Times/Stone Online”, robili zdjęcia, publikowali artykuły i odjeżdżali.

Był taki moment – wtedy nikt tego nie zauważył i udało się go określić dopiero dużo później – kiedy bieg wydarzeń jakby się zatrzymał.

A potem gest anarchistów skierowany początkowo przeciw władzy był już państwem o szerokości i długości nieco ponad dwóch kilometrów i nazwie Nowy Poczdam.

Po tygodniu nerwowych negocjacji z radą miasta Poczdam – która nie chciała traktować Nowopoczdamczyków poważnie, dopóki nie było już o wiele za późno – anarchiści zostali obaleni w bezkrwawym zamachu przez frakcję neotradycjonalistyczną, która chciała kierować nowym państewkiem według ściśle pruskich zasad. Większość anarchistów odeszła, pomrukując złowrogo w wywiadach dla prasy, ale w duchu byli zadowoleni, że ktoś ich zwolnił z odpowiedzialności za ścieki i gospodarkę.

Tymczasem w Berlinie – który miał już do czynienia ze zbyt wieloma z tych pieprzonych państewek – śledzono przebieg zamachu i dawano Nowemu Poczdamowi najwyżej dwa lata, zanim jego obywatele zaczną się domagać powrotu do Wielkich Niemiec.

A tymczasem Nowopoczdamczycy wciąż próbowali skonsolidować kraj, którego obywatelami stali się tak niespodziewanie. Wszystkie usługi wciąż zależały od Wielkich Niemiec, w tym zaopatrzenie w energię elektryczną.

Odpowiedzialność za jej dostawy do zachodniego kwartału Nowego Poczdamu spoczywała na ludziach pracujących w pewnym czteropiętrowym budynku w Berlinie, który stał nad Sprewą. Tam, w pokoju na trzecim piętrze, była pewna stacja robocza, przy której tego konkretnego wieczoru, na początku swojej zmiany usiadł Wolf i osadziwszy palcem wskazującym okulary wyżej na nosie, wpisał kilka wierszy poleceń.

Na wyświetlaczu przeziernym pojawił się schemat lokalizacji kamer systemu bezpieczeństwa w Nowym Poczdamie i ich właściwych stacji kontroli. Wolf, dobiegający dopiero trzydziestki, ale już ze skłonnością do łysienia, co nadawało mu zwodniczo poważny wygląd, przesunął kursor na ikonę stacji monitorującej pewnej zamkniętej sieci telewizyjnej w Nowym Poczdamie i dwukrotnie kliknął.

Prawie wszystkie budynki w Nowym Poczdamie, które zależały od sieci energetycznej Wielkich Niemiec, miały generatory rezerwowe, ale że generatory kosztowały, a do ich zainstalowania potrzebna była siła robocza, tu i tam były niewielkie martwe strefy. Wolf uaktywnił podmenu i zaplanował piętnastominutowe ograniczenie zużycia energii elektrycznej dla tej konkretnej stacji monitorującej z Nowego Poczdamu.

Uważał, że to dość eleganckie. Całkowitą przerwę w dostawie prądu byłoby równie łatwo zaprogramować, ale zmniejszenie zasilania o osiemdziesiąt procent spowodowałoby wyłączenie systemu monitorowania, a mógł sobie wyobrazić, jak bardzo zirytowałoby to Nowopoczdamczyków.

Dziadek Wolfa nie szczędził mu opowieści o życiu w NRD, które wciąż budziły grozę, mimo że z każdym powtórzeniem coraz bardziej je koloryzował, i chociaż Wolf nieszczególnie interesował się polityką, przejął od staruszka nieufny stosunek do granic. Poza tym robił to też dla Traudl, pokrewnej duszy, która od dwóch miesięcy była jego dziewczyną. Prawdę powiedziawszy, ten niewinny psikus, który miał zamiar spłatać tego wieczoru mieszkańcom Nowego Poczdamu, był jej pomysłem.

Kiedy mu go przedstawiła, Wolfa ogarnęła mania wielkości. Myśl o spowodowaniu przerwy w dostawie prądu bardzo mu się spodobała, ale Traudl przekonała go, że lepsze byłoby subtelniejsze podejście.

– W ten sposób – powiedziała mu nocą w łóżku – możemy to zrobić wielokrotnie. Nikt nie będzie wiedział, że to robimy, a policja

Nowopoczdamczyków będzie z wolna popadać w szaleństwo.

– Kogo masz na myśli, mówiąc „my”? – zapytał Wolf.

Traudl zachichotała i przytuliła się do niego.

– Ciebie, oczywiście – odparła.

Stacja monitorująca, którą wybrał, odbierała sygnały od około sześćdziesięciu kamer zainstalowanych tu i ówdzie wokół Bramy Brandenburskiej i niektórych skrzyżowań komunikacyjnych dalej na południu. Cel również był pomysłem Traudl.

Wolf zamknął kolejno poszczególne podmenu, po czym wywołał schemat sieci energetycznej Berlina, wyprostował się na krześle i zagwizdał bezgłośnie, gdy w pobliżu pojawił się jego szef.

– Jakieś problemy? – zapytał przełożony.

– Na zachodzie bez zmian – odparł Wolf z lekkim uśmiechem.

Pogoda okazała się nieoczekiwaną premią.

Była to noc, o jaką modlą się *coureurs*. Piętnaście centymetrów śniegu i siedem stopni mrozu, a także chłodzący efekt wiatru – a w zasadzie wichury szalejącej na całym obszarze północno-środkowej Europy, tnącej śniegiem niczym śrutem wystrzelonym z wiatrówek – który obniżał odczuwalną temperaturę do minus trzydziestu kilku stopni. W takie noce ludzie popełniają błędy, stają się nieuważni, dbają bardziej o swoją wygodę niż pracę.

Pogoda nie dawała się we znaki Rudiemu, który w śniegu, na wietrze i na mrozie stał na skraju Starego Poczdamu. Jego strój stealth miał taką izolację, że gdyby nie rozpinał go przez dłuższy czas, ugotowałby się we własnym cieple, a warstwy zewnętrzne miały temperaturę otoczenia, tak że wtapiał się w podczerwone tło. Ponadto strój świetnie rozpraszał fale radiowe, aż do milimetrowych, co dawało mu echo radarowe ćmy, a dzięki systemowi mimetycznemu dostosowywał się wyglądem do tego otoczenia, w którym się akurat znalazł, niczym bardzo źle ubrany kameleon.

Wszystko to sprawiało, że był niedostrzegalny w wejściu do sklepu, w którym przykucnął, żeby obserwować jasno oświetloną budkę punktu kontrolnego. Z drugiej strony, gdyby jakiś pijak postanowił się w tym wejściu wysikać, Rudiego nic by nie ocaliło przed zmoczeniem. Był niewidoczny dla większości powszechnie stosowanych urządzeń nadzoru elektronicznego i dla oczu każdej osoby oddalonej od niego o więcej niż

pół metra. Z mniejszej odległości widać było niewyraźny zarys jego postaci, która przypominała sylwetkę owiniętego szmatą goryla w zniekształconym kasku motocyklowym. Nie takiego widoku spodziewasz się w drzwiach sklepowych w Starym Poczdamie, nawet gdy jesteś pijany.

Nieco ponad rok po ogłoszeniu przez Nowy Poczdam niepodległości jego granice wciąż były tymczasowe i nie do końca wyznaczone. Zdaniem Rudiego wyglądało to teatralnie i było najwyraźniej nieprzemyślane, ale tak już było z tymi nowymi państewkami. Ich rządy zwykle w pierwszej kolejności tworzyły struktury obronne. Niezawodną oznaką, że jakiś organizm państwowy osiąga dojrzałość, jest pojawienie się ekip roboczych, które przystępują do demontowania ogrodzeń granicznych. Z wyjątkiem, może, bardziej paranoicznych części świata.

W różnych miejscach dookoła Nowego Poczdamu wyrastał mur, ale większość granicy wyznaczało zalane światłem reflektorów ogrodzenie z gęsto splecionego spiralnego drutu ostrzowego. Przerywane w nieregularnych odstępach przez punkty kontrolne biegło ono środkiem ulic, dzieląc przecznice na pół i ocierając się o narożniki budynków.

Budki punktów kontrolnych, które wyglądały tak, jakby zwieziono je z okolicznych parkingów, miały zamontowane na dachach nieodpowiednio przystosowane radary samochodowe, skanery podczerwieni i czytniki kodów kreskowych, a ich obsady stanowili funkcjonariusze pospiesznie zorganizowanej straży granicznej. Podobnie jak to było z wieloma innymi niedojrzałymi organizmami państwowymi, zadano sobie wielu trudu, projektując jej mundury. W ostatecznej formie były one dziełem berlińskiego kostiumologa teatralnego i bardzo przypominały mundury rurytańskich oficerów z tej wersji *Więźnia Zendy*, w której grał Stewart Granger.

Rudi wyśliznął się z wejścia do sklepu, starając się poruszać powoli i równomiernie, żeby dać systemowi mimetycznemu swojego stroju czas na dostosowanie się do tła. Gdyby ktoś uważnie obserwował to miejsce, mógłby zauważyć, jak w śniegu u podstawy ściany pojawiają się ślady jego stóp, ale nie była to taka noc, kiedy to ludzie wypatrują uważnie czegokolwiek.

Przez dziesięć minut przekradał się wzdłuż rzędu budynków. Nie spieszył się. W pewnym momencie wszedł przez sklepione przejście na podwórko kamienicy i w ciemności pociągnął suwak zamka swojego stroju.

Ze środka buchnęło gorące powietrze, ogrzewając mu twarz. Kiedy poczuł chłód, zapiął ubiór i z powrotem wyszedł na ulicę.

I znów skradał się wzdłuż ścian domów. Przed nim, w połowie dużego skrzyżowania ulic, śnieg niesiony przez wiatr otaczał aureolami lampy na dwudziestometrowych słupach wyrastających z czegoś, co kiedyś było dużym rondem. Ogrodzenie z drutu ostrzowego dochodziło do plam białoniebieskiego światła rzucanego przez te lampy, wspinało się na wysepkę na środku skrzyżowania, spływało z niej po drugiej stronie, przecinając rondo na dwie części, i znikało w ciemnościach. Słychać było tylko wycie wiatru i jego upiorne zawodzenie na drutach ogrodzenia. Rudi przyklęknął ostrożnie na jedno kolano i poluzował zakrywającą mu twarz maskę chłodzącą, dzięki której jego oddech nie był widoczny w podczerwieni. Maska była nowa i uwierała go.

Stuknął dwa razy zębami i włączył się ekran przezierny hełmu. Przed jego oczami zawisła ledwie widoczna niebieska siatka i dyskretne kolumny liczb. Skręcił głowę w lewo i prawo, a liczby zbliżyły się i oddaliły, dzięki czemu mógł je odczytać. Znowu stuknął zębami, żeby uaktywnić filtr podczerwieni, i na budynkach z drugiej strony granicy pojawiło się wiele jasnych plam w miejscach, gdzie z kominów wydobywały się gorące gazy albo izolacja nie była tak dobra, jak mogłaby być. Powierzchnia jednego dachu za wysepką ronda dosłownie płonęła. Rudi cmoknął bezdźwięcznie, zdegustowany nieskutecznością izolacji.

Nie było jednak widać żadnych ruchomych źródeł ciepła. Tkwiący w jego uchu odbiornik wielkości paciorka przeszukiwał częstotliwości służby bezpieczeństwa Nowego Poczdamu i przez całą noc Rudi nie odkrył niczego bardziej ekscytującego od zderzenia dwóch samochodów prowadzonych przez pijanych kierowców, do którego doszło gdzieś po drugiej stronie państewka.

Zegar operacji widoczny w górnym prawym rogu ekranu przeziernego wskazywał 1.03, co oznaczało, że od momentu, gdy Rudi rozpoczął podejście do miejsca skoku, minęło ponad czterdzieści minut. Zegar, ustawiony na czas Zulu, czyli GMT, wskazywał 3.35, czyli za dwadzieścia pięć piątą rano czasu lokalnego. Obiecane mu piętnastominutowe okno przestoju w pracy kamer bezpieczeństwa skierowanych na samo skrzyżowanie oraz prowadzące do niego drogi powinno się właśnie otwierać, ale musiał to przyjąć na wiarę, bo nie można było tego sprawdzić.

Rudi jeszcze raz przeszukał wzrokiem wielką lądową wyspę, czując, że robi mu się nieprzyjemnie ciepło.

Pod wieloma względami był to rutynowy skok. Wszystkie prace przygotowawcze wykonali miejscowi asystenci. Rudi musiał tylko przybyć na miejsce, odebrać „pakunek” i umożliwić jego ewakuację. Takie zadanie mógł wykonać, nawet się nie budząc.

„Pakunek” był spóźniony o kilka minut. Nie było w tym nic niezwykłego; kiedyś, w Sewilli, Rudi czekał dwie godziny, łamiąc wszelkie reguły rzemiosła, zanim się w końcu wycofał i udał do lokalu rezerwowego. Wtedy „pakunek” się nie pojawił. Rudi nigdy się nie dowiedział, co się stało. Takie sprawy przestały go już ciekawić. Czasem docierali do miejsca skoku, a czasem im się to nie udawało. To nie był jego problem.

I tym razem nie miało się to wydarzyć. Na wizjerze jego hełmu pojawiła się czerwonawa poświata, rozmyta plama promieniującego ciepła, sunąca niepewnie wokół wysepki na skrzyżowaniu. Przełączył się z powrotem na zakres światła widzialnego i przybliżył obraz z kamery. Ośnieżone budynki bezzwłocznie pomknęły ku niemu i przez chwilę obraz był nieostry, lecz zaraz potem Rudi zobaczył zwalistą postać człowieka w bieli, który boleśnie powoli przesuwał się wzdłuż krzywizny ronda, starając się, żeby wysepka na jego środku przez cały czas oddzielała go od najbliższego posterunku granicznego. W ręce trzymał coś, co wyglądało na walizeczkę. Sądząc po tym, jak nią poruszał, musiała być bardzo ciężka. Rudi podszedł bliżej i zatrzymał się po drugiej stronie ulicy prowadzącej od ronda.

„Pakunek” dotarł do ogrodzenia, położył walizeczkę na ziemi i zaczął majstrować przy drucianej barierze. Rudi nie mógł dojrzeć, co się dzieje, niezależnie od tego, jak bardzo przybliżał obraz z kamery, ale zobaczył, że ogrodzenie nagle obwisło, gdy puścił przecięty jeden z drutów. A potem opadło jeszcze niżej, gdy ustąpił kolejny.

Tym razem Rudi to zobaczył. Napięty drut smagnął skulonego człowieka w ramię. Rudiemu wydało się nawet, że usłyszał lekką zmianę tonu melodii, którą wiatr wygrywał na ogrodzeniu. Jednak człowiek w bieli nie dał po sobie poznać, że to zauważył, i nie przerywał pracy. Coraz więcej przecinanych drutów odskakiwało na boki. I za każdym razem „pakunek” chwytał walizeczkę, przesuwał ją o kilka centymetrów do przodu i wracał do pracy.

3.47 czasu Zulu. Za trzy minuty znowu włączą się kamery. Biała postać otoczona przez zwoje drutu, głęboko we wnętrzu ogrodzenia, powoli, drut po drucie, posuwała się do przodu. Rudi mógł teraz dostrzec dłoń w grubej rękawicy mocującą małe czarne pudełeczko do każdego odcinka drutu, żeby sprawdzić, który z nich zamyka obwód alarmowy. Ktokolwiek to był – gruby zimowy ubiór nie pozwalał nawet ustalić, czy to mężczyzna, czy kobieta, a tym bardziej go zidentyfikować – zachowywał spokój i się nie spieszył. Sprawdź drut, odłącz pudełeczko, przejdź do następnego drutu, sprawdź go, odłącz pudełeczko, przejdź dalej. Pudełeczko w jednej ręce, małe ceramiczne szczypce w drugiej. Przetnij drut, zrób krok do przodu, zacznij wszystko od nowa. „Pakunek" postępujący tak profesjonalnie był niebywałą osobliwością. Rudi pokiwał głową z aprobatą.

Czekając, przełączył się z powrotem na podczerwień i ponownie sprawdził otoczenie. Tym razem na wyświetlaczu pojawiły się jeszcze cztery źródła ciepła. Zmierzały ulicą w kierunku ronda. Cholera. Bezmyślny partacz – powinien uważać, zamiast podziwiać technikę „pakunku". Klnąc się w duchu, wstał, bardzo powoli, i odpiął mocowaną rzepami klapę z przodu swojego stroju, pod którą kryła się, jak ją nazywał, pukawka.

Była to dość lekka konstrukcja z kompozytów i elementów usztywniających. Miała chwyt pistoletowy, magazynek wielkości koła sera Stilton i lufę, w której zmieściłaby się pięść pięciolatka. Rudi wpiął magazynek, przesunął kciukiem selektor, wybierając rodzaj pocisków, i zamarł w bezruchu, obserwując cztery źródła ciepła zmierzające w stronę uciekającego „pakunku".

Na kanale radiowym służb ochrony Nowego Poczdamu rozległo się nagle podniecone trajkotanie. Prócz tego Rudi usłyszał także krzyki rozbrzmiewające echem wśród okolicznych budynków, gwizdki niosące się w mroźnym powietrzu oraz huk wystrzału z pistoletu.

Trzymając broń na wysokości bioder, uniósł jej lufę pod kątem mniej więcej czterdziestu pięciu stopni i dwukrotnie nacisnął spust. Po wystrzale gazy prochowe były kierowane do tyłu i wydobywały się wąskimi strumieniami z komory nabojowej, mając neutralizować odrzut, ale nie zostało to prawidłowo skalibrowane i granatnik szarpnął mu się w rękach niczym barakuda, przez co za drugim razem chybił. Pierwszy pocisk padł tam, gdzie go posłał, wznosząc pióropusz śniegu i zmrożonej ziemi po

drugiej stronie wysepki. Drugi trafił w budynek po nowopoczdamskiej stronie ogrodzenia i eksplodował, obrywając balkon, który spadł na ulicę.

Wydawało się, że wszystko naraz przybrało zły obrót. Więcej strzałów po drugiej stronie ogrodzenia, więcej krzyków. Odezwały się też syreny, które na tle wycia wiatru brzmiały dość upiornie.

Kiedy zmienił pozycję selektora, magazynek zaćwierkał, obracając się błyskawicznie, i zatrzymał się na wybranych pociskach. Wystrzelił jeszcze dwa razy. Z miejsc, gdzie uderzyły ładunki, wzbiły się fontanny śmierdzącego dymu, natychmiast przyparte do śniegu przez wiatr. Zamiast dawać solidną osłonę, dym po prostu rwał się i zmieniał kierunek jak łopocząca na wietrze chorągiew, odbijając w górę w trudnych do przewidzenia miejscach. Rudi próbował wyznaczać odpowiednie prawdopodobieństwa, ale mógł tylko obserwować, jak stają się nieaktualne niemal tak szybko, jak je wymyślał. Było bardzo, bardzo źle i jeszcze się pogarszało. Cała „sytuacja” waliła się na jego oczach i nie mógł na to nic poradzić.

Postać na wysepce ronda zdawała się nie zauważać szalejącego wokół niej chaosu. Wciąż, bez pośpiechu, drut po drucie, wycinała sobie drogę przez granicę oddzielającą Nowy Poczdam od Starego Poczdamu.

Rudi posłał nad ogrodzeniem dwa kolejne pociski dymne, a za nimi cztery z białym fosforem, które padły w przypadkowych miejscach na rondzie; miały się palić w śniegu, żeby zmylić detektory podczerwieni.

Wyglądało na to, że zawiodły. Na wysepkę weszły widoczne w podczerwieni ciepłe postaci. Inne wychodziły z budynków po drugiej stronie granicy, ale byli to zdezorientowani mieszkańcy, którzy próbowali ustalić, co się dzieje. Rudi usłyszał wyszczekiwane z mocnym saskim akcentem rozkazy. „Pakunek” zamarł na chwilę. Dotarł już do zewnętrznych zwojów i przez sekundę lub dwie Rudi pragnął, żeby nie przerywał. Jeszcze tylko kilka drutów, pomyślał, a potem gnaj jak szalony. Wciąż mogli to zrobić. Wybrał pocisk bojowy, uniósł granatnik do ramienia i wycelował w samochód zaparkowany po drugiej stronie ogrodzenia. Czekał.

Człowiek na rondzie pochylił się i chwycił rączkę walizeczki. Rudi obserwował, jak wziął zamach i rzucił ją przed siebie. Padły strzały, biała postać runęła twarzą na drut ostrzowy i znieruchomiała.

Ale walizeczka wciąż się poruszała. Rudi widział, jak leżąc na boku, przesunęła się pod ostatnią warstwą drutów i ześliznęła po łagodnie nachylonym zboczu wysepki, cały czas nabierając prędkości. Na dole podskoczyła, odbiwszy się od krawężnika, ale wcale przy tym nie zwolniła. Pomknęła po zmrożonym śniegu, który pokrywał drogę, niczym wielki, prostokątny krążek hokejowy wystrzelony w stronę Starego Poczdamu. Zatrzymała się na skraju ulicy, mniej więcej metr od miejsca, gdzie ukrywał się Rudi.

Jeszcze raz wrócił wzrokiem do postaci na wysepce. Nie poruszała się, a pogranicznicy zbliżali się do niej, przedzierając się mozolnie przez poprzecinane druty.

Rozłożył pukawkę, schował ją pod zapinaną na rzepy klapą i podszedł do walizeczki. Podniósł ją, upewniając się, że zasłania ją swoim ciałem, i spokojnie zaczął się oddalać.

Więcej krzyków dobiegających od ronda. Jeden ze strażników z pękatym noktowizorem na głowie wskazywał go ręką. Niektórzy z ludzi przy ogrodzeniu wymierzyli do niego z karabinków. Rudi zaczął biec. Lecące jego śladem pociski wgryzały się w obmurowania witryn sklepowych i rozbijały okna.

Mniej więcej po godzinie przekradania się z podwórka na podwórko Rudi doszedł do wniosku, że zostawił strzelaninę tak daleko w tyle, że może się zatrzymać i zebrać myśli.

Popatrzył w dół. Wyświetlacz przezierny wciąż miał nastawiony na podczerwień i walizeczka świeciła jak latarnia morska.

Bardzo powoli odwrócił się plecami do ulicy, zasłaniając walizeczkę ciałem. Ściągnął rękawicę i przyłożył nagą dłoń do jej boku. Była gorąca. Nie rozgrzana do czerwoności. Nie tak gorąca, że chciałoby się natychmiast wypuścić ją z ręki i uciekać co sił w nogach. Ale jednak gorąca. Z czym, jeśli chodzi o bagaż ręczny, Rudi spotkał się po raz pierwszy w życiu.

Cóż, w porządku. Tłumaczyło to przynajmniej, jak to się stało, że strażnicy go widzieli i mogli do niego strzelać. Mieli noktowizory z detektorami termicznymi, a on niósł coś, co w zakresie podczerwieni było odpowiednikiem dwustuwatowej żarówki. To było jasne.

Rudi włożył rękawicę, sięgnął za siebie i odpiął klapę zakrywającą kieszeń na plecach. W środku był gruby pakiet wielkości dziecięcej

chusteczki do nosa. Chwycił go za róg i machnął, a pakiet rozłożył się w luźne poncho z kapturem, które niemal natychmiast zaczęło przybierać odpowiednie barwy. Następnie owinął nim walizeczkę i przytulił ją do piersi.

Poncho wykonano z tego samego inteligentnego materiału co jego strój, z taką samą liczbą warstw mimetycznych oraz izolacyjnych. Co jakiś czas będzie musiał rozwijać walizeczkę, żeby się nie przegrzała, ale powinno mu to dać szansę ucieczki. Oczywiście nie wiedział, ile czasu upłynie, zanim się ona przegrzeje…

Odwinął materiał na rogu walizeczki i spod poncha buchnęło gorące powietrze. Odczekał mniej więcej minutę, żeby walizeczka się choć trochę ochłodziła, po czym znów ją zawinął i niespiesznie ruszył ulicą.

Inne podwórko. Odwinął poncho i ogarnęła go fala ciepła. Walizeczka była bardzo gorąca, ale kiedy ją oglądał w podczerwieni, zauważył, że jej kolor powoli ciemnieje. Kiedy postawił ją na ziemi, śnieg wokół niej stopniał i zaczął ponownie zamarzać jako lód. Walizeczka jeszcze bardziej ściemniała, oddając ciepło warstwie śniegu i zimnym kostkom brukowym, ale wciąż było to zbyt mało, żeby mógł ją nosić po tych ulicach bez obaw.

Intensywność rozmów prowadzonych na częstotliwościach służb bezpieczeństwa zarówno Nowego, jak i Starego Poczdamu nie malała, przy czym słyszał zbyt wiele głosów, by mógł wychwycić więcej niż kilka słów z każdej wymiany zdań. Część z tych ludzi mówiła standardowym niemieckim, inni posługiwali się dialektem saskim, a jeden osobliwie i komicznie brzmiącym bawarskim. Niektórzy krzyczeli. Bawarczyk, przy całej osobliwości swojej wymowy, wydawał rozkazy spokojnym, opanowanym tonem.

Wszystko to sprowadzało się do wniosku, że go zgubili. Zaczęli poszukiwania od granicy, licząc na to, że go wypłoszą. Mieli psy, skanery termiczne, lampy ultrafioletowe. Policja ze Starego Poczdamu zdawała się współpracować z nowopoczdamskimi siłami bezpieczeństwa, co było niespodziewane; według informacji, jakie miał Rudi, obu grupom niewiele brakowało do zbrojnej konfrontacji.

Wciąż jednak nie wiedzieli, gdzie on jest. Rudi ocenił swoją sytuację. Udało mu się odejść, klucząc, mniej więcej trzy kilometry od granicy. Całkiem nieźle.

Zwykle, jak nakazywała procedura, w takiej sytuacji powinien ukryć strój maskujący w miejscu, z którego można by go później zabrać, i ewakuować się w ubraniu cywilnym. Miał przygotowane kilka dróg ucieczki: od samochodu z wypożyczalni Hertza, zaparkowanego w pobliżu studia filmowego Babelsberg, aż do otwartego biletu do Londynu z portu lotniczego Berlin-Tegel. Normalnie w takim zamieszaniu, z wygłupioną miejscową policją, byłoby to jak spacer po parku.

Z drugiej strony nie odważył się ukryć walizeczki. Pomijając to, że była częścią „pakunku" i w ten czy inny sposób powinien ją dostarczyć, nie miał pewności, czy bezpieczne byłoby ją gdziekolwiek zostawić. Zakładał, że szukający jej ludzie wiedzą, że jest gorąca. Był również przekonany, że kiedy się zorganizują – co musiało się stać już niedługo – zaczną chodzić po mieście z termowizorami, szukając kogoś z nader ciepłym bagażem.

Cóż, za to mu płacono i wszystko to było częścią etyki Les Coureurs. Dostarcz „pakunek" na miejsce. Musiał tylko wymyślić, jak to zrobić.

Kilka minut po dziesiątej rano Rudi siedział w jednej z małych drewnianych altan na poczdamskim Nowym Cmentarzu, obserwując welony śniegu sypiącego się z brudnego brązowożółtego nieba. Tak wyglądała Europa Środkowa – wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, skażenie środowiska, nawet tyle lat po upadku komunizmu. Ten cały tani *Braunkohle*, spalany w piecach przemysłowych, które były cudem techniki w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Prawdziwym cudem było to, że sam śnieg nie był brązowy ani czarny.

Rudi widział kiedyś czarny śnieg, w Rumunii, nad Dunajem, który miejscowi nazywali Dunărea. Wraz z „pakunkiem" ewakuowali się na barce z węglem płynącej w górę rzeki, w kierunku Austrii. To był udany skok, wręcz podręcznikowy. Przyjemnie było, kiedy „sytuacja" przebiegała w taki sposób. Było to także niecodzienne, ponieważ w świecie Rudiego wszystko mogło się potoczyć, i często toczyło, źle, a czasem katastrofalnie. Ale kiedy wszystko przebiegało gładko, jak wtedy w Rumunii, było to prawie jak wyjazd na urlop.

A potem zaczęły padać te wielkie czarne płatki.

Rudi, „pakunek" i szyper barki wyszli na pokład i stali zdumieni tym opadem sadzy.

Rudi nie potrafił tylko zrozumieć, dlaczego ta sadza jest taka zimna i mokra. To było jak stanie pod sypiącymi się z nieba kawałkami spalonego papieru – powinny być suche i gorące. Złapał na grzbiet dłoni kilka czarnych płatków, dotknął ich językiem, poczuł smak chemikaliów i wszystko stało się jasne. Po prostu jeszcze jedna pieprzona spuścizna poprzedniego tysiąclecia, kolejna porcja przemysłowego gówna, odmrożona i zrzucona z nieba.

Rudi sięgnął pod siedzenie. Jego dłoń dotknęła boku walizeczki. Nawet przez rękawiczkę poczuł bijące od niej ciepło. Westchnął i jeszcze raz odtworzył w myślach wszystkie szczegóły nocnego fiaska. Powinien wysadzić ten samochód i odwrócić tym uwagę od „pakunku". Nie powinien się wahać.

Miał tylko połowę tego, po co został wysłany, co miał chronić, i nie dawało mu to spokoju. Walizeczka, cokolwiek zawierała, była najwyraźniej ważniejsza dla „pakunku" niż własne życie. Czy to oznaczało, że „pakunek" uważał się za kogoś, kogo można poświęcić, i czy Rudi też powinien tak o sobie myśleć? Rudi nie był pewien, czy dałby się zabić za walizeczkę. Może za jakiegoś człowieka, ale za walizkę?

Na zewnątrz altany porośnięte bluszczem grobowce i skromne małe nagrobki cmentarza przysypywała kolejna warstwa śniegu. Przetrzymywanie stroju maskującego w położeniu, w jakim się znalazł, byłoby równoznaczne z samobójstwem. Musiał się go po prostu pozbyć, i to na dobre. Jego elektronikę wyrzucił z mostu do Haweli, a sam strój przyniósł na cmentarz. Wepchnął go pod krzak, wyciągnął awaryjną metkę i poczekał, aż enzymy rozłożą materiał. Zawsze przebiegało to szybciej, niż się spodziewał, niczym nakręcona techniką poklatkową scena ze złego filmu grozy. A potem schronił się w tej altance, żeby pomyśleć. Zasady rzemiosła mówiły, że powinien jak najszybciej oddalić się na bezpieczną odległość od miejsca akcji, ale musiał pomyśleć, uspokoić się, rozważyć wszystkie możliwości.

Z większości planów ucieczki, które sobie przygotował, musiał zrezygnować, bo opierały się na środkach transportu publicznego. Zbyt łatwo byłoby go zatrzymać i przeszukać. To samo dotyczyło samochodu z Babelsbergu. Oraz jego planu, żeby po prostu ruszyć pieszo do Berlina. A także planu jazdy autostopem do Holandii. I tak dalej, i tak dalej.

Rudi potarł twarz i opuścił rękę, żeby znowu dotknąć walizeczki. Bez niej był po prostu kolejną niewinną anonimową postacią w tłumie, z włosami przystrzyżonymi tak, aby nie przyciągać uwagi, ani zbyt długimi, ani zbyt krótkimi, w ubraniu, którego poszczególne elementy, tak dobrane, żeby się nie wyróżniał spośród innych ludzi, zostały kupione w różnych sklepach Berlina i Magdeburga. Idąc z walizeczką, równie dobrze mógłby nieść transparent z napisem ARESZTUJCIE MNIE. Wystarczyłoby, żeby jakiś policjant miał włączony termowizor, i nie mógłby się przed nim ukryć; wyróżniałby się z tłumu jak ktoś, kto zapalił zapałkę w ciemnym pokoju.

Wsunął dłoń do kieszeni, wyjął kluczyki do samochodu i pomyślał o aucie czekającym w Babelsbergu. Westchnął i schował kluczyki. Potem wyciągnął je znowu i popatrzył na nie.

Ustawili blokadę drogową na wschodnim końcu Glienicker Brücke, „mostu szpiegów”. Była to pospiesznie przygotowana, tymczasowa zapora z zaledwie dwoma policjantami, którzy kierowali samochody na pobocze, a dwaj inni je przeszukiwali, pobieżnie i niedbale. Była prawie druga i już zaczynało się ściemniać. Mimo działającego nagrzewania po wewnętrznej stronie okna wypożyczonego samochodu zbierał się szron. Rudi jechał normalnie, jak jeszcze jeden turysta, a kiedy go zatrzymali, zjechał do krawężnika i opuścił szybę.

– Dokumenty – rzucił policjant, pochyliwszy się ku otwartemu oknu.

Rudi wyjął ze schowka paszport oraz kartę tożsamości i podał je policjantowi.

– Co się dzieje? – zapytał.

Policjant miał twarz czerwoną od mrozu, a futrzany kołnierz kurtki podniósł, żeby chronił mu uszy.

– Rutynowa kontrola – odpowiedział. – Proszę wyłączyć silnik.

Rudi wykonał polecenie, a policjant zaniósł jego dokumenty do kolegów, żeby się z nimi naradzić. Skupili się na chwilę przy terminalu komputerowym, a Rudi wyobraził sobie, jak jeden z nich klnie, próbując palcem w rękawicy wystukać kod na klawiaturze palmtopa.

Po chwili wszyscy czterej wrócili. Jeden z nich miał zawieszony na szyi termowizor. Podniósł go do oczu i skierował na przód samochodu. Inny

skierował ręczny skaner na tablicę rejestracyjną, aby odczytać kod kreskowy.

– Hans Drucker – powiedział pierwszy policjant, który wrócił do otwartego okna.

– Tak – potwierdził Rudi. Wskazał głową policjanta z termowizorem. – Co on robi?

– W jakim celu przyjechał pan do Poczdamu?

– Odwiedzić siostrę. – Rudi podał adres. Mieszkała tam „korespondentka", która w razie potrzeby mogła potwierdzić w sądzie, że jest jego siostrą. Wydawało się, że zawsze, na każdą okazję, jest jakiś „korespondent". – Przyjeżdżam tu co weekend.

Gliniarz pokiwał głową.

– Proszę podać numer rejestracyjny tego pojazdu.

– Nie pamiętam – odpowiedział Rudi. – Zaledwie wczoraj go wypożyczyłem. – Podał przez okno dokumenty z Hertza, a policjant je przejrzał. Potem przekazał je koledze ze skanerem, który porównał ich treść z własnym odczytem. Jeden z pozostałych policjantów przesuwał pod samochodem lusterko na długim wygiętym pręcie, pochylając głowę to w jedną, to w drugą stronę, żeby lepiej widzieć odbicie.

– Odwiedza pan siostrę wynajętym samochodem? – zapytał gliniarz.

– Mój się zepsuł. Czy zrobiłem coś złego?

– Dlaczego nie przyjechał pan pociągiem, zamiast wynajmować samochód? – kontynuował policjant.

Rudi podniósł kołnierz, żeby się ochronić przed chłodem, który napływał przez otwarte okno.

– Robiłem tak do zeszłego roku. Pewnej nocy obrabowano mnie w pociągu, którym wracałem do Berlina. Teraz jeżdżę samochodem.

To także była prawda. Hans Drucker – a w każdym razie „korespondent", którego zadaniem było utrzymanie legendy – doniósł o bandyckim napadzie w nocnym pociągu, do którego doszło w zeszłym roku w pobliżu stacji na Uhlandstrasse.

– Numer rejestracyjny pańskiego pojazdu? – zapytał policjant.

Rudi wyrecytował numer z pamięci. Niebieska simca, jedna z pozornie niewyczerpanej floty fantomowych pojazdów Centrali, była zarejestrowana na nazwisko Hansa Druckera i stanowiła część jego legendy. Gliniarz niezdarnie wpisał numer w swoim palmtopie. Ktoś w kolejce samochodów

na moście za Rudim nacisnął klakson, a policjant wyprostował się i rzucił kierowcy spojrzenie, które go uciszyło.

– Proszę otworzyć maskę – powiedział do Rudiego, wciąż patrząc groźnie na sznur samochodów.

Rudi pociągnął dźwignię zwalniającą zaczep maski i jeden z policjantów podniósł ją, zasłaniając widok przez przednią szybę.

– Co się dzieje? – znów zapytał Rudi.

Gliniarz stojący przy oknie odczytywał odpowiedź na swoje zapytanie o samochód Druckera.

– Jakiej marki i koloru jest pański samochód? – odezwał się po chwili.

– To niebieska simca. – Nie próbował dowcipkować na temat auta ani nawiązać jakiejkolwiek relacji z policjantem. Po prostu zachowywał postawę neutralną, z lekką domieszką irytacji.

Mógł się tak zachowywać. Wiedział, że może. Był po prostu starym dobrym Hansem z Berlina wracającym od siostry mieszkającej w Poczdamie. To było wszystko. Nic niezwykłego. Nie miał się czego bać.

– Czy z tym samochodem jest coś nie tak?

Glina rzucił mu znudzone spojrzenie.

– Po prostu robię, co mi kazano, kolego.

– Bo jeśli tak jest, to jest to wina Hertza. Spieszyłem się i może nie sprawdziłem wszystkiego dokładnie przed wyjazdem. – Teraz lekka nutka paniki, obraz uczciwego obywatela zaniepokojonego, że mógł zostać przyłapany na jeździe niesprawnym samochodem. Niemieccy policjanci znani byli z przywiązania do starych przepisów UE dotyczących bezpieczeństwa ruchu drogowego. Byli jak zabawki, które właściciel nakręcił i puścił w ruch, nim wyjechał na wakacje. Po opuszczeniu Unii przez Wielkie Niemcy nikt nigdy nie zaproponował wprowadzenia nowych regulacji normujących stan techniczny pojazdów.

– Moim zdaniem wszystko wygląda dobrze, kolego – zapewnił go policjant. – Niedługo skończymy.

Ton jego głosu powiedział Rudiemu wszystko, co musiał wiedzieć o nastrojach poczdamskich policjantów, których wysłano w mroźne popołudnie, żeby sprawdzali samochody. Założył również, że nawet im nie powiedziano, czego konkretnie mają szukać, co tylko powiększało ich frustrację.

– Bagażnik – powiedział policjant.

Rudi otworzył bagażnik, a jeden z policjantów poszedł na tył samochodu, żeby w nim poszperać.

– A zatem co się dzieje? – spytał, pozwalając, by w głosie zabrzmiała nuta rozdrażnienia, kiedy już został zapewniony, że stan techniczny jego samochodu jest zgodny z przepisami.

Gliniarz popatrzył na niego przez okno i uniósł brew.

Zapadła długa cisza. Rudi siedział za kierownicą, próbując zachowywać się jak praworządny obywatel, a policjant stukał palcem w grubej rękawicy w klawiaturę palmtopa.

Rudi zastanawiał się, czy gliniarze zdają sobie sprawę z ironii tego, co tu się działo. Oryginalny Glienicker Brücke był drewnianym mostem zbudowanym przez Fryderyka Wilhelma, Wielkiego Elektora, żeby można było przeprowadzić nad Hawelą drogę z jego letniego pałacu do Berlina. Trzy wieki później był to jeden z najsławniejszych mostów na świecie.

Rudi przypomniał sobie stare kroniki z czasów Muru, gdy było tu jedno z przejść między Berlinem Zachodnim a Niemcami Wschodnimi, miejsce, gdzie przeprowadzano wymiany pojmanych szpiegów. Pomyślał o tych ziarnistych czarno-białych filmach, na których dwie samotne postaci zbliżają się do siebie, idąc z przeciwnych krańców mostu. Bez względu na to, ile takich wymian widział, Rudiemu zawsze wydawało się, że coś się stanie, kiedy obaj się miną, gdy nagle znajdą się bliżej domu niż niewoli. Czasem trudno było powiedzieć, który z nich szedł na Zachód, a który wracał na Wschód.

Największą ironią w tym wszystkim było oczywiście to, że nie był to oryginalny most; ten pierwszy zburzono, rzekomo ze względu na to, że nie spełniał norm UE, a nowy, piękny jak łabędź, został zbudowany mniej więcej w tym samym czasie, kiedy w całej Europie zaczęły wyrastać nowe granice.

W końcu policjant stojący z przodu samochodu zatrzasnął maskę, a chwilę później ten z tyłu zrobił to samo z pokrywą bagażnika.

Rudi i jego policjant popatrzyli na siebie.

– Czy to wszystko?

– Tak. – Policjant oddał Rudiemu dokumenty, a następnie odszedł, wypatrując już kolejnej ofiary.

Rudi zamknął okno.

– Mogłeś przynajmniej – powiedział cicho, włączając zapłon – życzyć mi miłego dnia.

Wrzucił bieg i pojechał Königstrasse w kierunku Berlina.

Na Alexanderplatz zaparkował samochód w garażu pod budynkiem biurowym i poszedł przecznicę dalej do telefonu publicznego. Wybrał numer.

– Halo? – zapytał kobiecy głos.

– Halo – odpowiedział – czy to sto siedemdziesiąt dwa siedemdziesiąt trzy?

Kobieta westchnęła, jakby nieustannie ją o to pytano.

– Nie, źle pan wybrał numer. To prywatne mieszkanie.

– Och – odparł Rudi. – Przepraszam. – Odłożył słuchawkę i poszedł dwie przecznice dalej do następnego telefonu. Aparat dzwonił, gdy do niego dotarł. Podniósł słuchawkę.

– Jürgen? – zapytał ktoś męskim głosem.

– Ciotki Gertrudy tam nie było – odpowiedział Rudi. – Ale zostawiła robótkę.

Z drugiego końca linii dobiegło westchnienie. Kolejny stracony „pakunek”.

– Ty głupi sukinsynu. – To była zwykła procedura, nikt nie zamierzał go obrazić. – Naprawdę chciała z tobą porozmawiać.

– Wiem. Ale przynajmniej zostawiła robótkę. – Centrala uwielbiała takie tajemnicze gadki.

– Naprawdę?

– Tak. Zrobiła to. I jest bardzo dobra. – Rudi zastanawiał się, czy są na podsłuchu i czy jest gdzieś tam jakiś policjant, który śmieje się właśnie z tego, co usłyszał, nie mając pojęcia, co go tak naprawdę ubawiło.

– No cóż – odezwał się rozmówca Rudiego – przypuszczam, że właśnie tego chciała.

– Nawiasem mówiąc, słyszałem, że wujek Otto i wujek Manfred założyli razem firmę. – Poinformował w ten sposób Centralę, że nowopoczdamska bezpieka i policja Starego Poczdamu zdają się chwilowo współpracować. Nawet po pięciu latach jako *coureur* Rudi wciąż czuł się nieco zakłopotany, gdy korzystał z publicznej sieci telefonicznej; wszystko to wydawało mu

się tak przejrzyste i oczywiste, że nie mógł zrozumieć, dlaczego domniemani słuchacze nie potrafią tego rozgryźć.

– Naprawdę. – W głosie na drugim końcu linii zabrzmiała odpowiednia doza zaskoczenia. – To nie przetrwa.

– Zobaczymy.

– W porządku. Do zobaczenia. Będziesz jutro w pracy?

Rudi zmarszczył brwi.

– Tak.

– Może wtedy się zobaczymy.

– Spodziewam się.

Rozłączyli się. Rudi stał w budce dłużej, niż było absolutnie konieczne, patrząc na telefon.

Potem westchnął, zebrał się w sobie i wrócił do podziemnego garażu. Znów wyprowadził samochód na mróz, a potem przejechał kilka bocznych ulic, aż dotarł do małego warsztatu samochodowego, nie więcej niż szopy z wypaczonymi drewnianymi drzwiami.

Właściciel warsztatu czekał na niego, powiadomiony przez telefon z budki stojącej gdzieś między Starym Poczdamem a Berlinem. Był to przysadzisty mężczyzna w średnim wieku ze spłaszczonym nosem boksera i siatką popękanych naczyń włosowatych na policzkach. Otworzył drzwi i Rudi wjechał do środka.

– Spóźniłeś się – powiedział gospodarz, zamykając drzwi.

– Poczdamska policja – odpowiedział Rudi, wysiadając z samochodu.

Właściciel warsztatu wydał wulgarny odgłos.

– Masz godzinę.

– W porządku – odparł Rudi i patrzył przez judasza w drzwiach, jak starszy mężczyzna odchodzi.

Czterdzieści minut zajęło mu uniesienie silnika na tyle wysoko, aby móc sięgnąć pod spód i wyciągnąć z kryjówki walizeczkę, tak jak mniej więcej trzy kwadranse pracy w skrajnym skupieniu w warsztacie w Babelsbergu, którego Centrala była współwłaścicielką, zajęło mu najpierw włożenie tam tej cholernej rzeczy.

Tak naprawdę nie był pewien, czy to się uda, czy ciepło silnika będzie maskować ciepło walizeczki, czy policjanci nie zauważą jej podczas przeszukiwania samochodu, czy walizeczka się nie przegrzeje i nie spowoduje jakiejś nieokreślonej, ale spektakularnej katastrofy.

Znowu jej dotknął. Było z pół tuzina rzeczy, które mógłby zrobić, aby sprawdzić, co było w środku, ale nie wątpił w to, że walizkę zabezpieczono miną pułapką, która miała wybuchnąć w razie próby prześwietlania promieniami rentgenowskimi, skanowania przez radar milimetrowy lub metodą rezonansu magnetycznego czy też prostego, staromodnego otwarcia zamka wytrychem. Zastanawiał się, czy jest gdzieś ktoś, poza uciekinierem, którego musiał zostawić w Nowym Poczdamie, kto wie, jak ją otworzyć.

Zamontował silnik – właściciel warsztatu wrócił, gdy był mniej więcej w połowie pracy, i pomógł mu skończyć – po czym pojechał do Hertza, gdzie oddał kluczyki, a następnie podszedł do kawiarni niedaleko stacji kolei miejskiej na Alexanderplatz. Kupił kawę, usiadł przy stoliku blisko zaplecza i postawił walizeczkę na płytkach podłogi obok krzesła.

Kawiarnia była bardzo zatłoczona, pełna grubo opatulonych ludzi. Kawę wypił w pięć minut i w którymś momencie tych pięciu minut walizeczka zniknęła.

Nie zauważył, jak to się stało. W jednej chwili była, w następnej zniknęła gdzieś w tłumie. Spojrzał na miejsce, gdzie przedtem stała. Wdeptany w topniejący śnieg, który klienci wnosili na butach, leżał tam na posadzce kawałek papieru. Zapisana na nim wiadomość już się rozmazywała i rozpuszczała. Przetrwała jednak wystarczająco długo, by zdążył ją przeczytać. Wstał i dyskretnie, czubkiem buta, podarł namoknięty papier na kawałki.

Choć różne agencje rządowe regularnie zaprzeczały ich istnieniu, wszyscy wiedzieli – albo myśleli, że wiedzą – wszystko o *coureurs*. Kręcono o nich filmy i seriale, pisano powieści, rysowano komiksy, wszystkie mniej lub bardziej okropne.

Ale w żadnym z nich – pośród opowieści o nie kończących się ciągach brawurowych wyczynów – nie wspominano o śmiertelnej nudzie życia *coureurs*. W serialach co tydzień była nowa „sytuacja”, podczas gdy w rzeczywistości *coureur* mógł nawet przez kilka miesięcy nie brać udziału w żadnej akcji. A sama akcja, jeśli już do niej dochodziło, zwykle nie była niczym więcej niż tylko jakimś zadaniem związanym z podstawowym biznesem Coureur Central, czyli przewożeniem dokumentów i zakodowanych danych przez stale zmieniające się granice Europy.

W serialach *coureur* przez cały odcinek wydobywał piękne przedstawicielki świata nauki z krajów zamieszkanych przez indywidua mówiące ze złowieszczym latynoskim lub słowiańskim akcentem, a na koniec lądował w łóżku z uratowanymi pięknościami, wdzięcznymi za wybawienie od aktorów z podejrzaną wymową.

W prawdziwym świecie *coureurs* przez większość czasu dostarczali pocztę, co w najbardziej tajnych operacjach oznaczało zwykle odebranie przesyłki ze Skrytki A, krótką podróż pociągiem, samochodem lub samolotem, pozostawienie przesyłki w Skrytce B i bardzo małe szanse na jakąś łóżkową przygodę.

Te filmy i książki o *coureurs* irytowały Rudiego. Najbardziej działało mu na nerwy to, że co tydzień ci wysocy, niezwykle bystrzy i tak przystojni ludzie, że nie mogliby wtopić się w tłum, nawet gdyby od tego zależało ich życie, mieli nową „sytuację". Co tydzień z Centrali przychodziła wiadomość, że ktoś potrzebuje ratunku, że trzeba wykonać jakieś niezwykle trudne zadanie. Coś takiego prawie nigdy się nie zdarzało. *Coureur* wykonywał swoją pracę, ulatniał się i wracał do normalnego życia na miesiąc–dwa lub czasem pół roku, a bywało nawet, że na całe lata. Nigdy nie dostawało się „sytuacji" jednej za drugą.

Na kawałku papieru z kawiarni był zapisany adres poczty w dzielnicy Grunewald i nazwisko.

– Nazywam się Reinhard Gunther – powiedział Rudi przy okienku. – Może być dla mnie jakaś przesyłka na poste restante.

Pracownik poszedł na zaplecze. Rudi tymczasem bezczynnie rozglądał się po poczcie. Pytanie „Będziesz jutro w pracy?" było zakodowaną wiadomością o „sytuacji" kryzysowej, czymś pilnym i natychmiastowym. Nigdy dotąd nie przekazano mu podobnego zawiadomienia w czasie operacji. Oznaczało to również, że bez względu na to, czy mu się to podoba, czy nie, przydzielono mu partnera.

Pracownik poczty wrócił z kopertą. Rudi pokazał mu dowód tożsamości Gunthera od „szewca" z Pankow. Był pośpiesznie wykonany i niezbyt wysokiej jakości, ale wcale nie musiał być lepszy. Urzędnik ledwie spojrzał na dokument, podał mu kopertę i Rudi wyszedł z powrotem na mróz.

Wynajął pokoje w dwóch różnych pensjonatach pod różnymi nazwiskami. Pojechał autobusem do bliższego, w Charlottenburgu, gdzie

zamknąwszy drzwi na klucz, usiadł na łóżku i otworzył kopertę.

W środku była karta magnetyczna do skrytki bagażowej ze zdjęciem Jasia i Małgosi, syberyjskich tygrysów z berlińskiego ogrodu zoologicznego.

Mówiło się, że jeśli jesteś przestępcą, członkiem jakiejś operetkowej partii politycznej, agitatorem działającym na rzecz jakiejś mniejszościowej grupy interesu, nałogowym narkomanem, spekulantem na rynku nieruchomości, fałszerzem lub szmuglerem, artystą, projektantem mody, pisarzem, reżyserem filmów undergroundowych, muzykiem lub po prostu wariatem, to tak czy owak skończysz w Berlinie. To miasto wydawało się składnicą wszystkich skrajności Europy. Skrajnego ubóstwa i skrajnego bogactwa. Skrajnej chciwości i skrajnej filantropii. Skrajnie dobrego smaku i skrajnie złego. Było tu wszystko.

Minęło wiele czasu, odkąd Rudi ostatnio był w Berlinie, i nie wyglądało na to, żeby pod jego nieobecność miasto zmieniło się na lepsze. Centrum biznesowe, zbudowane po zjednoczeniu Niemiec na ziemi niczyjej, gdzie kiedyś stał Mur, górowało nad innymi częściami Berlina lśniącą, czystą wstęgą nowoczesnych biurowców i hoteli, ale cała reszta zdawała się popadać w ruinę.

Na ulicach wokół Dworca Zoo roiło się od żebraków owiniętych wieloma warstwami szmat, koców i płacht „Berliner Zeitung”. Większość dygotała z zimna. Niektórzy przestali się trząść i po prostu tam siedzieli ze szronem na rzęsach, czekając, aż wieczorne patrole policyjne pozbierają ich i zawiozą do kostnicy. Dzielili chodniki z dziwkami, handlarzami narkotyków, kieszonkowcami, ulicznymi rabusiami, turystami i ludźmi interesu wlokącymi się przez brudną pośniegową breję.

Na samej stacji było niemal równie źle, mimo wysiłków trójki mundurowych policjantów, którzy próbowali wyrzucić niepożądany element z powrotem na ziąb. Rudi przeszedł przez hol dworca i skierował się do skrytek bagażowych po lewej, znalazł drzwiczki z numerem odpowiadającym temu na kluczu, przeciągnął kartę magnetyczną nad zamkiem i otworzył je.

Wewnątrz leżała, patrząca na niego z wyrazem zaskoczenia na twarzy, odcięta głowa brodatego człowieka.

Każdy inaczej wyobrażał sobie Coureur Central. W niektórych filmach był to czysty, sprawnie działający, ale anonimowy nowoczesny biurowiec w jakimś neutralnym mieście Europy Zachodniej, Brukseli, Londynie lub Strasburgu. W niektórych powieściach Centrala była ukryta pod zniszczonym hotelem lub kamienicą czynszową gdzieś na Wschodzie, a dostęp do niej mieli jedynie ci, którzy znali hasło. W co najmniej jednym serialu znajdowała się w wykwintnym pałacu nad Loarą, a decyzje operacyjne podejmowano w napiętej atmosferze, łagodzonej przez meble w stylu Ludwika XV i zegary z pozłacanego brązu.

To powszechnie podzielane błędne wyobrażenie brało się z literalnego rozumienia słowa „Centrala”. To, i fakt, że organizacja postanowiła nadać sobie nazwę Les Coureurs de Bois, doprowadziło też większość Europejczyków do przekonania, że Centrala jest gdzieś we Francji.

Prawda była taka, że Coureur Central potrzebowała centralnej siedziby nie bardziej niż jakakolwiek inna wielonarodowa organizacja. Dzięki nowoczesnym środkom komunikacji sala posiedzeń firmy mogła być w Londynie, dział personalny w Bonn, biuro PR w Pradze, a centrum komputerowe w Saint Lucia na Karaibach. W wypadku Coureur Central to wszystko było jeszcze bardziej rozproszone.

Kiedy zatem pojawił się sygnał alarmowy, został on najpierw automatycznie przełączony między czterema różnymi numerami telefonów, potem odebrało go centrum komunikacyjne w Padwie, które przekierowało go, jeszcze zaszyfrowany, do innej stacji naziemnej, w Dubrowniku, skąd za pośrednictwem dwóch europejskich satelitów komunikacyjnych firmy Bell-Telecommunications i poprzez zautomatyzowany system przełączający na dachu starego wieżowca National Westminster Bank w Londynie dotarł do pokoju na poddaszu w – tak się złożyło – Paryżu. Wszystko to trwało mniej więcej cztery piąte sekundy.

Madame Lebec, mieszkanka niegdyś eleganckiego domu w 16. dzielnicy, słyszała przedtem dyskretny dzwonek urządzenia na poddaszu tylko dwukrotnie. Za każdym razem zrobiła to samo co teraz.

Spokojnie wspięła się po schodach do pokoju na poddaszu i zamknęła za sobą drzwi, żeby nie wpadła tam pokojówka, Ysabelle, i nie przeszkodziła jej w koncentracji.

Usiadłszy przy jednej z konsol zainstalowanych w pokoju, wystukała krótki ciąg poleceń, po czym obserwowała, jak na ekranie pojawia się

zaszyfrowana wiadomość. Następnie napisała kolejny ciąg poleceń, jeszcze krótszy, i wiadomość się odszyfrowała.

Gdyby Coureur Central miała centralną siedzibę i scentralizowaną organizację, to madame Lebec byłaby menedżerem średniego szczebla z certyfikatem bezpieczeństwa o pięć, sześć poziomów niższym od najwyższego. Centrala płaciła jej miesięczną pensję za wynajem poddasza i jej czas, na który było bardzo sporadyczne zapotrzebowanie. Madame Lebec uważała to wszystko raczej za przygodę; jej praprababka w czasie drugiej wojny światowej była w ruchu oporu i wielokrotnie wspominała w pamiętniku o obsłudze tajnego nadajnika radiowego, za pomocą którego kontaktowała się czasem z Londynem.

Praca pani Lebec nie była tak niebezpieczna, niezależnie od tego, jak bardzo ją idealizowała. Nie łamała żadnego prawa i nie zagrażała żadnemu rządowi. Wymagano od niej jedynie, żeby odbierała wiadomości, odszyfrowywała je i oceniała ich ważność.

W owych dwóch wcześniejszych wypadkach waga wiadomości wykraczała poza jej kompetencje, więc po prostu, wystukawszy zaszyfrowane polecenie, przekazała je komuś innemu, po czym o wszystkim zapomniała. Tym razem jednak tego nie zrobiła. Usiadła i spokojnie jeszcze raz przeczytała dwie linie tekstu zidentyfikowane przez numery kodu jako wiadomość głosowa z telefonu publicznego.

Być może serce zabiło jej trochę szybciej, gdy wróciła myślą do dni wojny, wyobrażając sobie, jak praprababcia, przycupnięta gdzieś na poddaszu ze słuchawkami na uszach, starała się odebrać słaby, desperacki komunikat od agenta, który popadł w kłopoty gdzieś w okupowanej Europie. Ponownie przeczytała wiadomość, próbując podjąć decyzję.

Napisała linię zwykłego tekstu, nacisnęła klawisz szyfrowania, a potem inny, żeby wysłać wiadomość, która będzie słyszana w odbiorniku na drugim końcu jako obojętny męski głos przekazujący *coureur* zakodowane polecenie, żeby czekał przez dwadzieścia minut w pewnej budce telefonicznej. Potem przeszła do specjalnej konsoli po drugiej stronie pokoju i wysłała raport przełożonym.

Odpowiedź nadeszła szybciej, niż się spodziewała – w ciągu minuty, może dwóch na ekranie zaczął się pojawiać tekst. Przeczytała go i uniosła

brew, co po urodzeniu sześciorga dzieci, śmierci dwóch mężów i utracie czterech majątków było jedynym sposobem, w jaki okazywała zaskoczenie.

2

Kochanek madame Lebec przyjechał tuż przed świętami Bożego Narodzenia.

Był to niewysoki przystojny dżentelmen w średnim wieku, bardzo dobrze ubrany. Jego francuski był doskonały, choć wydawało się, że pobrzmiewa w nim słaby akcent angielski.

Owego szykownego mężczyznę można było zobaczyć najczęściej w godzinach porannych, gdy opuszczał dom madame i szedł ulicą, nieskazitelnie ubrany, na codzienną przechadzkę.

Każdego dnia wychodził o tej samej porze i wracał po godzinie, zwykle z siatką madame wypchaną artykułami spożywczymi.

Tych kilku sąsiadów, którzy wciąż jeszcze rozmawiali z legendarnie gderliwą i wybuchową Ysabelle, poinformowało innych, że ów dżentelmen pojawił się na progu domu trochę po jedenastej wieczorem pewnego dnia, kiedy madame już poinstruowała pokojówkę, żeby zamknęła i zaryglowała drzwi, i że madame przywitała go niepewnym, choć mocnym uściskiem – a nie widziano nigdy, by obejmowała kogokolwiek, nawet odwiedzających ją sporadycznie członków rodziny – jakby był jej dawno utraconą, ale czule wspominaną miłością.

Większość sąsiadów tylko wzruszała ramionami. Jeśli starsza dama w jesieni życia zdecydowała się wziąć sobie kochanka, to ich zdaniem należało jej tylko życzyć szczęścia. Inni byli trochę bardziej wścibscy.

Fryzjer Dubois, na przykład, miał tego dżentelmena na swoim fotelu zaledwie dwa dni po tym, jak przyjechał. Przybysz zafundował sobie pełną usługę: strzyżenie, golenie oraz przycięcie i tak już zadbanej koziej bródki. Dubois mógł donieść – zdejmując pelerynę z szyi klienta, zauważył metkę – że dżentelmen ów nosi szyte na miarę koszule z Jermyn Street w Londynie i że zostawił suty napiwek.

Dziewczyna pracująca przy kasie w supermarkecie powiedziała siostrze, że przybysz kupił kawę rozpuszczalną, podczas gdy madame toleruje wyłącznie mieloną. Wziął także chleb pełnoziarnisty, czego madame nigdy nie robiła – co więcej, dziewczyna dodała, że przypomina sobie, jak

Ysabelle powiedziała jej, że madame nie chce mieć w domu pełnoziarnistego chleba, bo ziarna zawsze jakoś dostają się pod górną część jej sztucznej szczęki. Ostatnią, choć nie mniej ważną sprawą było to, że przybycie owego dżentelmena zbiegło się w czasie ze zmianą upodobań żywieniowych w domu Lebec z masła na bezsolną margarynę.

Plotki na temat owego dżentelmena jeszcze nie ustały, gdy pojawił się jego siostrzeniec – chociaż cynicy z sąsiedztwa nie chcieli uwierzyć, że jest siostrzeńcem, bo w ogóle nie było między nimi rodzinnego podobieństwa. Dżentelmen był niskim, elegancko ubranym brunetem, rzekomy siostrzeniec zaś był wysokim, niechlujnym młodzieńcem o jasnej karnacji. Nie wychodził zbyt często, ale ci, którzy go widzieli, mówili, że zawsze wygląda na zmęczonego i zastraszonego, więc w rozmowach sąsiedzkich zaczęto go nazywać Uciekinierem.

Uciekiniera widywano czasem, bardzo rzadko, ostrożnie idącego ulicą i zachowującego się tak, jakby w każdej chwili chciał się ukryć w kolejnej bramie. Wracał z plikami gazet i wydruków z różnych czasopism sieciowych pod pachą. Ysabelle powiedziała w zaufaniu dziewczynie z supermarketu, że niemal wszystkie te publikacje były niemieckie, większość z berlińskich serwisów informacyjnych.

Pewnego ranka Bradley zapukał do drzwi pokoju Rudiego i zawołał:

– Poświęcisz mi minutę, stary?!

Zanim Rudi się ubrał, Bradley zdążył zejść do salonu i dobrać się do brandy madame. Bradley zdawał się pić prawie bez przerwy, nigdy jednak się nie upijając, ale Rudi ani razu nie widział, aby jadł.

– Chodź, wejdź – powiedział Bradley, zatykając korkiem karafkę, i odwrócił się od stolika.

– Jak się czujemy?

– W porządku – odparł Rudi od drzwi. – A jak ty się masz?

Bradley błysnął przelotnym lekkim uśmiechem. Był jednym z najbardziej ujmujących ludzi, jakich Rudi poznał w całym życiu, ale nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział go rzeczywiście uśmiechniętego. Tylko szybkie uśmieszki tu i tam oraz mowa ciała podkreślająca jego dobroduszność.

– Zamknij drzwi, stary, i usiądź – rzekł Bradley. – Mam ci coś do powiedzenia.

Rudi zamknął drzwi i obrócił kluczyk w zamku, mając nadzieję, że madame nie pozwoli tej jadowitej starej sekutnicy, swojej służącej, podsłuchiwać na zewnątrz. Służąca go niepokoiła. Jadała z nimi, przez cały czas się w niego wpatrując. Znowu o tym myśląc, usiadł w jednym z wyścielanych foteli przy oknie. Bradley łyknął nieco brandy.

– Jak się czujesz? – zapytał ponownie. – Nie musisz niczego przede mną ukrywać. Myśl o mnie jak o lekarzu. Albo o księdzu, jeśli to ci odpowiada. Możesz mi powiedzieć wszystko. Nikomu nie powtórzę.

Rudi westchnął. Dni jego przesłuchań, trwające po osiem godzin bez przerwy rozmowy z Bradleyem, mijały bardzo wolno. Wielokrotnie omawiał wszystkie szczegóły feralnej operacji w Poczdamie. Opowiedział Bradleyowi o znalezieniu głowy w skrytce na Dworcu Zoo. Nie próbował tuszować tego, że po tym odkryciu stracił na chwilę panowanie nad sobą i dopiero po jakimś czasie odzyskał je na tyle, aby wysłać priorytetowy sygnał alarmowy. Omówił każdą minutę swojej wielotygodniowej ucieczki z Berlina przez Hamburg, Göteborg, Helsinki i Sankt Petersburg, kiedy to co kilka kroków oglądał się przez ramię. Był wobec małego mężczyzny z Centrali tak szczery, jak to tylko możliwe, a Bradley ani razu nie zająknął się nawet o tym, co się, do cholery, działo.

– Szczerze mówiąc, mam dość twoich pytań o to, jak się czuję – odpowiedział. Rozmawiali po angielsku, który niemal na pewno był językiem ojczystym Bradleya, choć w wypadku niektórych ludzi nie można było tego stwierdzić z całą pewnością.

Bradley zajrzał do kieliszka i przesiadł się na inny fotel.

– *Coureur* Leo – powiedział nostalgicznie. – Drogi Stary Leo. Wiesz, był w tym prawie od samego początku. Niezupełnie ojciec założyciel, ale też niezbyt od tego daleki.

Mówił o głowie w schowku, o człowieku, który miał być partnerem Rudiego podczas tej kryzysowej „sytuacji”. Rudi nie chciał myśleć o Drogim Leonie, jego rodzinie, prawdziwej pracy ani o prawdziwym domu.

– Jak wspomniałem, mieliśmy szczęście, że nie straciłeś przytomności umysłu i zamknąłeś schowek przed odejściem – powiedział Bradley. – Gdy dostaliśmy twoją wiadomość, mogliśmy wysłać na miejsce czyścicieli.

– Zastanawiałem się, dlaczego nie było nic o tym w gazetach.

Bradley pochylił głowę, jakby pochwała należała się wyłącznie jemu.

– Zorganizowaliśmy twoją ucieczkę z Berlina. – Znów popatrzył na swoją brandy, jakby się zastanawiał, czy wypić jeszcze łyczek. Postanowił sobie odmówić. – Podręcznikowa robota. Bardzo dobra. Nie da się jej niczego zarzucić.

Rudi zdał sobie sprawę, że jego palce wbiły się w oparcie fotela.

– Dobrze by było, gdybyś zrozumiał – ciągnął Bradley – że kazus Leona to statystyczna anomalia. Takie rzeczy prawie nigdy się nie zdarzają.

Rudi popatrzył na Anglika. Jego stopniowe wyniesienia w hierarchii *coureurs* przyniosły stopniowy wzrost ryzyka związanego z każdą „sytuacją". Rudi powiązał to także z kontaktami, które miał on z Centralą. Dariusz, który kiedyś wydawał się tajemniczy i trochę straszny, teraz był w jego oczach kimś niewiele ważniejszym od „korespondenta", lokalnym łowcą talentów. Bradley, dla porównania, był autentykiem, bezpośrednią linią do Centrali, oficerem prowadzącym. To był pierwszy raz, kiedy Rudi miał tego rodzaju kontakt ze swoimi pracodawcami, co tylko zdawało się podkreślać, jak katastrofalnie potoczyły się „sytuacje" poczdamska i berlińska.

– Większość *coureurs* zajmuje się wyłącznie dostarczaniem poczty – kontynuował Bradley. Uległ pokusie i zwilżył usta brandy. – Po prostu przewożą paczki z jednego punktu do drugiego. Nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa. Nic nielegalnego, naprawdę. Nawet żadnych niewygód, przez większość czasu.

– Chyba że jest się Drogim Starym Leonem – zastrzegł Rudi. Na chwilę z mowy ciała Bradleya zniknęła cała dobroduszność i wylewność; był to niesamowity widok. Przez ułamek sekundy wyglądał o dziesięć lat starzej. – Mogę się napić?

Bradley sięgnął po karafkę i podał mu. Rudi wstał i nalał sobie brandy. Z kieliszkiem w ręku podszedł do okna i spojrzał przez firanki na ulicę.

– Centrala jest organizacją apolityczną – podjął wątek Bradley. – Tylko dzięki temu może istnieć. Nie staje po niczyjej stronie, nie ma faworytów. Jeśli zagraża rządom lub bezpieczeństwu, zagraża im wszystkim na równi. O to właśnie chodzi. Ściśle mówiąc, nic, co robimy, nie jest sprzeczne z prawem.

– Ach – powiedział Rudi, nie odrywając wzroku od ulicy. – Prawo. Teraz to szara strefa, Bradley.

Bradley usiadł w fotelu, z którego Rudi właśnie wstał. Popatrzył na płonący w kominku ogień i zamyślił się.

– Z tym, co się przydarzyło Leonowi, Centrala nie ma do czynienia na co dzień. Nazywamy siebie *coureurs*, bo tak naprawdę nimi właśnie jesteśmy. Po prostu listonoszami, gońcami, tyle że gloryfikowanymi. Czasem ułatwiamy komuś przeniesienie się z miejsca na miejsce. To, co spotkało Leona, było niezręcznym ostrzeżeniem.

– Niezręcznym, ale bardzo dotkliwym – odparł Rudi. – Szczególnie dla Leona.

Bradley westchnął ciężko, tym razem odmawiając połknięcia przynęty.

– Co to była za „sytuacja”, którą Leo i ja mieliśmy się zająć? – zapytał Rudi.

Bradley pokręcił głową.

– To już nieaktualne, stary.

– Więc tym bardziej nie ma powodu, żebyś nie mógł mi o tym powiedzieć.

Anglik zdawał się nad tym przez chwilę zastanawiać. Wypił kolejny łyczek brandy i pokręcił głową.

– Przykro mi.

– Czy to był skok? Wszystko według planu? Podręcznikowa ucieczka? – Opróżnił kieliszek jednym haustem. – Cholera, Bradley, powiedz mi, dlaczego Leo stracił głowę!

Bradley pozostał w fotelu, całkowicie spokojny.

– Nie krzycz, proszę. Zaniepokoisz madame.

Rudi prychnął i odwrócił się, by ponownie popatrzeć przez okno.

– To, co się stało z Leonem, nie miało nic wspólnego z „sytuacją”, którą mieliście się zająć – powiedział Bradley. Przez dłuższy czas milczał, pogrążony w myślach. – W październiku w Hamburgu doszło do pewnego incydentu. Centrala i niemiecki kontrwywiad próbowały zająć to samo miejsce w tym samym czasie. – Wysączył łyczek swojej brandy. – Zginęło kilku ich oficerów.

Rudi odwrócił się i spojrzał na niego.

– Słucham?

Bradley patrzył przed siebie w zadumie.

– To nie była „sytuacja”. Tylko „korespondentka” zajmująca się swoimi sprawami, związanymi z podtrzymaniem legendy. Nie wiem, co poszło nie

tak. – Pokręcił głową. – Fatalna sprawa. Bardzo nieprofesjonalna.

– Nieprofesjonalna – z niedowierzaniem powtórzył Rudi. Jego wyobraźnia za nic nie chciała ułożyć scenariusza, w którego ramach rutynowe działania związane z utrzymaniem fałszywej tożsamości mogły doprowadzić do śmierci wielu osób. – Jezu, Bradley…

Bradley wzruszył ramionami.

– Niemiecki kontrwywiad oczywiście traktuje takie rzeczy bardzo poważnie. Nigdy mu się nie podobało, że działamy na jego terytorium. Wydaje się, że Leo był wiadomością.

– Mogli nam przysłać e-maila.

Bradley zachichotał smutno.

– Cóż, zapewne uznali, że e-mail nie będzie miał wystarczająco dużego ciężaru emocjonalnego.

Rudi wrócił od okna, nalał sobie brandy i usiadł w innym fotelu.

– Czy Centrala zrobi coś w tej sprawie? – zapytał.

Bradley zastanowił się nad tym.

– Możliwe, że spróbuje podjąć negocjacje. Trudno powiedzieć. Może uda się osiągnąć jakiś kompromis.

– Dobrze usłyszałem? Powiedziałeś: negocjacje?

– Musisz zrozumieć, że Centrala nie będzie walczyć z tymi ludźmi – odparł Bradley. – Nie robimy takich rzeczy. Mądrzejsze głowy od naszych postanowiły nawiązać z nimi dialog.

Rudi zamknął oczy.

– Innym wyjściem – ciągnął Bradley – jest zabicie jednego z ich oficerów w odwecie za śmierć Leona. Wtedy oni zabiją kolejnego *coureur*. I tak dalej, i tak dalej.

– Dobry Boże – mruknął Rudi.

– Weź urlop – rzekł Bradley. – Zapracowałeś sobie na to w dwójnasób: skok, który zrobiłeś w Poczdamie, był absolutnie klasyczny i zostaniesz za niego bardziej niż hojnie wynagrodzony.

– W ciągu dwóch dni posypały mi się dwie „sytuacje” – przypomniał mu Rudi.

Bradley potrząsnął głową.

– W Poczdamie nic nie mogłeś zrobić. Twój „pakunek” chciał się przedostać przez ogrodzenie graniczne; nijak nie mogłeś mu pomóc, chyba że najechałbyś na Nowy Poczdam.

Rudi potarł oczy.

– Zrobiłeś coś ważnego – mówił dalej Bradley. – Gdybyś nie był tak dobry, walizeczka, zamiast w miejscu przeznaczenia, byłaby teraz w rękach bezpieczniaków Nowego lub rady miejskiej Starego Poczdamu. Zachowałeś się tam bardzo profesjonalnie. Jestem z ciebie dumny.

Pieprz się, pomyślał Rudi.

– A „sytuacja” berlińska znalazła się poza twoją kontrolą przez ciąg wydarzeń, na które nie miałeś żadnego wpływu.

Rudi pokręcił głową.

– Wyjedź gdzieś na jakiś czas – powiedział Bradley. – Odpręż się.

– Zostaw tylko kilka numerów kontaktowych, prawda?

Bradley wręcz się rozpromienił.

– Oczywiście.

– Czy w ten zawoalowany sposób mówisz mi, że Niemcy mnie też szukają?

Bradley wzruszył ramionami jak prawdziwy Francuz.

– Lepiej dmuchać na zimne, stary – odrzekł.

– A Leo?

Uśmiech Bradleya przygasł, aż stał się ledwie dostrzegalny. Anglik westchnął.

– To było całkowicie poza twoją kontrolą. Nie ma w tym twojej winy. Nie myśl o Leonie. Jego śmierć, ku mojemu wiecznemu wstydowi, obciąża moje sumienie.

UZDOLNIONY JĘZYKOWO

Kiedyś, dawno temu, najbardziej w życiu chciał zostać szefem kuchni.

Mógł sobie nawet przypomnieć, kiedy ta obsesja nim owładnęła – było to w dzień jego ósmych urodzin. Ojciec ostatecznie uległ i zainstalował antenę satelitarną. Stało się to dokładnie po dwóch latach od dnia, w którym opuściła ich matka, wzburzona, że ojciec przyjął pracę strażnika leśnego w Lahemaa Rahvuspark, kolejny raz zmuszając rodzinę do przeprowadzki.

Ojciec Rudiego był z wykształcenia architektem, ale o ile Rudi wiedział, nigdy nie wykonywał tego zawodu. Zamiast tego podejmował różne prace, do których nie nadawał się zarówno z powodu temperamentu, jak i wykształcenia. Pracował w dokach w Tallinie i jako strażnik kolejowy. Przekwalifikowywał się, żeby zostać kontrolerem ruchu lotniczego. Mieszkał na dziko w różnych squatach i koloniach anarchistycznych. Przez krótki czas był nawet, jak mówiła rodzinna tradycja, politykiem; Rudi łatwo mógłby to sprawdzić, ale nigdy nie zadał sobie trudu, żeby to zrobić. Prawda czy nie, jakie to miało znaczenie?

Z chronologii wydarzeń wynikało, że ojciec Rudiego poznał jego matkę, gdy pracował jako kierowca autobusu w Tallinie. Czasem, gdy był pijany, opowiadał swoim dwóm synom o pięknej młodej kobiecie, którą widywał każdego ranka czekającą na przystanku Pronski na Narvu maantee, gdy wracała do domu po zmianie w Hotell Viru, o tym, jak zasypiała na siedzeniu w wytartym płaszczu, który zakrywał uniform pokojówki. Gdy był bardzo pijany, co zdarzało się coraz częściej, w miarę jak Rudi i jego brat dorastali, rozpływał się w zachwytach nad jej włosami – pięknymi długimi włosami barwy polerowanego mahoniu – nad jej skórą, która była koloru mleka i bez żadnej skazy, i nad oczami, leciutko skośnymi, co zdradzało, że ma w żyłach domieszkę lapońskiej krwi. Ani Rudi, ani jego brat nie mogli sobie przypomnieć tej nadzwyczajnej piękności, chociaż niegdyś odkryli na tylnej ścianie szafy ojca szereg fotografii niskiej,

ciemnowłosej młodej kobiety w staromodnym ubraniu, która wyglądała na rozdrażnioną. To z pewnością, przekonywali się nawzajem, musiała być jakaś dawna dziewczyna ich ojca.

Nie było żadnych zdjęć ślubnych – przynajmniej Rudi żadnych nigdy nie widział. Musiał się zadowolić opowieściami ojca o setkach gości, którzy przybyli na ceremonię, o wielkiej sali w Hotellu Viru wynajętej na przyjęcie, o jego matce idącej jak królowa przez tę salę, do której miała wrócić po miesiącu miodowym w stroju do sprzątania, pchając maszynę do woskowania podłóg.

Pod wieloma względami był to cud, że jego ojciec w ogóle się ożenił, tym bardziej że zgodził się także osiąść w Tallinie i pracować jeszcze ponad rok jako kierowca autobusu. Trzeba było zapłacić za wesele – rodzice obojga nie żyli – płacić za mieszkanie, a mniej więcej po roku pojawił się Ivari, starszy brat Rudiego. Kiedy Ivari miał rok, cierpliwość ojca się skończyła i przeniósł rodzinę do Tartu, gdzie znalazł pracę jako maszynista kolejowy.

W Tartu, na uniwersyteckim festiwalu piosenki, rozpoczął się także długi i nieskomplikowany romans ojca Rudiego z językami bałtyckimi. Opowiadał, że słuchał estońskich, łotewskich i litewskich śpiewaków ze łzami cieknącymi mu po policzkach. Ivari, który zapamiętał ten festiwal, choć miał wtedy ledwie cztery lata, utrzymywał, że stary był przez cały czas w sztok pijany.

Nieważne. Kiedy Rudi się urodził, rodzina mieszkała w trzypokojowym mieszkaniu w Pärnu, gdzie stary pracował na budowach, aby sfinansować swoją rosnącą kolekcję podręczników do nauki języków. W tym właśnie okresie pojawił się Rudi – kompletnie nie zaplanowany, jak mawiał lubiący się z nim drażnić Ivari – i ojciec raz jeszcze odkrył, że został przygwożdżony do jednego miejsca przez rodzinę, na której przesiedlenie nie mógł sobie pozwolić.

Gdy Rudi o tym myślał, co nie zdarzało się teraz zbyt często, zastanawiał się, dlaczego jego matka niczego nie zrobiła. Mętnie pamiętał kobietę, która cierpliwie, ze stoickim spokojem znosiła każdy rodzinny wstrząs, każdą samowolną zmianę pracy. Na pewno mogłaby coś z tym zrobić, myślał. Przykro mu było, że słabo ją pamięta; uważał, że skoro tak długo to znosiła, musiała być niezwykłą kobietą.

To ciasne mieszkanie w Pärnu było ich domem sześć i pół roku – najdłuższy okres, w którym jego rodzic przebywał w jednym miejscu od ukończenia studiów – a potem pewnego fatalnego wieczoru ojciec wrócił do domu z pracy na budowie, zjadł kolację, usiadł przed telewizorem, otworzył gazetę i zobaczył ogłoszenie o pracy dla strażników leśnych w parku narodowym. I, pomyślał Rudi, pokusa okazała się dla niego po prostu zbyt duża.

Obecnie łatwiej było się dostać do parku narodowego niż wtedy, gdy Rudi dorastał. Wówczas kraj wciąż był trochę oszołomiony po okresie sowieckim, wszystkim brakowało pieniędzy, trzeba tam było jechać kilkoma autobusami z Tallina albo pociągiem do Rakvere lub Tapy, a na koniec autobusem.

Teraz była specjalna linia tramwajowa z Tallina do centrum obsługi turystów w Palmse. Podróż trwała dwie godziny, ale o tej porze roku w tramwaju, oprócz nielicznych mieszkańców wracających z zakupów i siedzącej z przodu pary przytulonych Nowozelandczyków, identycznych w chroniących przed zimnem ubiorach, nie było prawie nikogo. Rudi siedział z tyłu z wciśniętą pod siedzenie torbą podróżną, ścierając co jakiś czas kondensującą się na szybie parę, żeby móc oglądać przesuwający się za oknem śnieżny krajobraz.

Nie pamiętał, ile lat upłynęło, odkąd ostatnio widział tę okolicę. Cztery. Może pięć. Po prostu stracił rachubę. Co się z nim działo od tego czasu? Widział dużo miejsc na kontynencie, przewiózł sporą liczbę „pakunków”, zapewnił sobie dość wysoki standard życia. Ugotował wiele posiłków w restauracji Maks. Znalazł uciętą głowę w przechowalni bagażu w Berlinie. To byłby niezły temat do rozmowy towarzyskiej.

Zamknął oczy i odchylił się do tyłu. Może już zbyt długo był *coureur*; wszystkie „sytuacje” zaczęły się zlewać ze sobą. Nie pamiętał już, co zrobił, kiedy ostatni raz wyjechał z Estonii. Wrócił do kuchni Maksa, to na pewno, a co było potem? Dokąd pojechał później? Do Andory? Padanii? Ulsteru? Może mógłby zapytać o to Bradleya; Centrala na pewno miała gdzieś informacje na jego temat. Mógł im powiedzieć, że chce napisać wspomnienia.

Jezu. Nie miał jeszcze trzydziestki, a czuł się gotowy przejść na emeryturę.

Gdy tramwaj wjechał na przystanek końcowy w Palmse, padał wilgotny śnieg. Wyszedłszy na chodnik, Rudi zatrzymał się na chwilę. Stary pałac ze ścianami w kolorze łososiowym i dachami z czerwonego łupku wydawał się w ogóle nie zmieniony. Uświadomił sobie przy tym, że minęły co najmniej cztery lata, odkąd usłyszał choć jedno słowo wypowiedziane we własnym języku.

Podszedł do bocznego wejścia do centrum obsługi turystów i wprowadził kod do zamka w drzwiach. Uśmiechnął się i pokręcił głową; przez dziesięć lat nie zmienili tej liczby.

Drzwi do gabinetu Ivariego na górze były szeroko otwarte. Jego brat siedział przy biurku, skupiony na dokumencie, który pisał na bardzo przestarzałym edytorze tekstu. Był niezbyt wysoki, ale bardzo masywny, jak dębowy stół. Miał na sobie niebieski kombinezon strażnika leśnego, z rozpiętym kołnierzem, i wpatrując się zmrużonymi oczami w ekran komputera, stukał w klawiaturę, dwoma palcami i boleśnie powoli, wybierając starannie każdą literę. Rudi odchrząknął, a Ivari podniósł wzrok i przez chwilę żaden z nich się nie odzywał, chociaż Rudi wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

– Wejdź – powiedział Ivari, kierując z powrotem wzrok na klawiaturę. – Muszę to skończyć. Machnął ręką w stronę kąta pokoju. – Napij się kawy.

Rudi zostawił torbę przy drzwiach, podszedł do ekspresu do kawy i nalał sobie pełen kubek. Ivari wrócił do pisania, a Rudi przeszedł się po biurze. Na ścianach wisiały oprawione plakaty reklamujące park, wydruki artykułów i zdjęcia Ivariego z różnymi gwiazdami i ważniakami. Zdjęcia były interesujące, bo na większości z nich Ivari przyjmował tę samą postawę. Na jednym zdjęciu stał obok prezydenta i premiera, gdzieś w dziczy parku, wskazując na coś w oddali. Na innym stał bardzo blisko Emmy Corcoran, angielskiej aktorki, i wskazywał na coś w oddali. Na trzecim był z Witoldem Grabiańskim, polskim mistrzem olimpijskim w biegu na tysiąc pięćset metrów, i wskazywał coś w oddali.

– Co tam pokazujesz na tych wszystkich zdjęciach? – zapytał Rudi.

Ivari zgarbił się, jeszcze bardziej skupiając się na pisaniu.

– Byle co. Nic. Fotografowie mówią mi, żebym pokazał coś w oddali i wyglądał nieustraszenie. – Prychnął. – Nieustraszenie. Też mi coś.

– Jaki jest Grabiański?

Ivari wzruszył ramionami.

– Wydawał się w porządku. Nie sądzę, byśmy zamienili więcej niż pięć słów.

– A co z prezydentem?

Ivari znów prychnął. Ciągle pisał, litera po literze, zerkając na przemian na ekran i klawiaturę.

– Pomalowałeś gabinet – stwierdził Rudi, rozglądając się dokoła.

Ivari kiwnął głową, wybierając klawisz, i położył na nim palec.

– Trzy lata temu.

Punkt dla ciebie. Rudi usiadł na jednym z wygodnych krzeseł dla gości i spojrzał na brata. Ivari miał mdłą, jasnowłosą urodę ich ojca i wyglądał w mundurze o wiele lepiej niż stary kiedykolwiek.

– Jak się ma Frances?

– Bardzo dobrze, dzięki.

Ostatni raz Rudi był tu na weselu Ivariego. Spędził z młodą parą pięć dni, po czym niejasne przekonanie, że ktoś gdzieś potrzebuje jego pomocy, kazało mu wracać do tego, co wtedy uważał za Prawdziwy Świat. Myślał tak o nim, uznał po zastanowieniu, do całkiem niedawna. Właściwie do chwili, gdy otworzył tę skrytkę bagażową w Berlinie.

Wstał i podszedł do okna. Śnieg rozpadał się na dobre; przez gęstwę wirujących płatków nie widział ulicy.

– Jak tam Kraków? – zapytał Ivari, wybierając kolejny klawisz.

– Pełen angielskich turystów.

– Słyszałem o zamieszkach.

Rudi musiał się nad tym zastanowić, po czym zdał sobie sprawę, że Ivari miał na myśli mecz Anglia–Polska sprzed dwóch lat.

– To było po drugiej stronie miasta – powiedział. – Nie sądzę, żebyśmy w tamtym tygodniu mieli w restauracji choć jednego angielskiego gościa.

– Źle to wyglądało w wiadomościach.

I było złe. Zginął jeden policjant i aresztowano prawie siedmiuset kibiców, zarówno angielskich, jak i polskich. Rudi w tamtym tygodniu był uwikłany w „sytuację” w Alzacji i wylądował w Balicach na czas, aby zobaczyć grupy angielskich kibiców, którzy byli dowożeni na lotnisko w eskorcie całych plutonów policjantów w pełnym rynsztunku do tłumienia zamieszek. Prawie o tym zapomniał.

– W wiadomościach zawsze wygląda to gorzej – powiedział.

Ivari skinął głową, odszukał klawisze skrótu zapisu i nacisnął je. Zamknął edytor, odwrócił się i spojrzał na brata.

– Głodny?

– Jak wilk – potwierdził Rudi.

Ivari i jego żona mieszkali w jednym z budynków gospodarczych w posiadłości Palmse – niegdyś w domu von der Pahlenów, arystokratycznej rodziny Niemców bałtyckich, która wyjechała z Estonii do Niemiec po pierwszej wojnie światowej, ale zostawiła Palmse mõis – barokowy pałac – i destylarnię, w której teraz mieścił się hotel, oraz stare stajnie mieszczące obecnie parkowe centrum obsługi turystów. Rudi przypomniał sobie, jak ojciec opowiadał mu, że jeden z von Pahlenów – nie pamiętał który – był astronomem i jego nazwiskiem nazwano krater na Księżycu. Ojciec uważał, że to coś wspaniałego mieć taki krater nazwany własnym nazwiskiem. Rudi pamiętał, że nie zrobiło to na nim większego wrażenia, chociaż kiedy myślał o tym teraz, dochodził do wniosku, iż to nie było wcale takie małe osiągnięcie. W każdym razie był to bardziej trwały monument od dobrego posiłku.

Kiedy Frances go zobaczyła – zdejmował właśnie w korytarzu kurtkę i buty – krzyknęła:

– Rudi, ty draniu!

Frances, duża, krzepka i australijska, lubiła nosić kaftany w najróżniejszych halucynogennych wzorach, a kiedy przycisnęła Rudiego do swego niemałego biustu, poczuł się jak w miażdżącym uścisku obezwładniającej migreny.

Chwyciła go za ramiona i odsunęła od siebie tak daleko, jak tylko mogła – co było znaczną odległością – po czym przechyliła głowę z boku na bok i popatrzyła bystro na niego.

– Ile to już lat minęło? – zapytała po estońsku.

– Trochę minęło, Frankie – przyznał po angielsku. Próbował wzruszyć ramionami, ale jej ręce unieruchomiły górną część jego ciała. – Przykro mi.

– I powinno ci być, słonko – powiedziała. I uśmiechnęła się tym swoim promiennym uśmiechem, którym, jak Ivari wyznał kiedyś Rudiemu, skradła mu serce, i delikatnie przyciągnęła z powrotem do siebie. – Dobrze cię widzieć, dzieciaku.

– Dobrze być tutaj – odparł. Podejrzewał, iż Frances jakoś się dowiedziała o tym, że pracuje jako *coureur*. Zawsze lubiła przytulać i dotykać innych, ale od kiedy zaczął pracować dla Centrali, jej uściski zmieniły się w sposób, którego nie potrafił do końca określić – jakby obawiała się o jego bezpieczeństwo. A może tylko to sobie wyobrażał.

– A zatem – powiedziała, uwalniając go wreszcie, żeby mógł zdjąć drugi but i poszukać w drewnianym pudle przy drzwiach pary kapci – jak długo tym razem będziemy mogli się cieszyć twoją obecnością?

Nigdy w pełni mu nie wybaczyła, że tak szybko wyjechał po ich ślubie.

– Właściwie to przyjechałem tu na dłużej, Frankie – odparł, znalazłszy w końcu swoją ulubioną parę kapci, które zaraz włożył. Stanął w korytarzu, uśmiechając się do niej, czując się po zdjęciu butów, jakby miał płaskostopie, ale szczęśliwy. – Jestem na wakacjach. A tak naprawdę na czymś w rodzaju urlopu naukowego.

Frances uśmiechnęła się i skinęła głową, jakby dobrze wiedziała, o co mu chodzi.

– Cóż, to świetnie, bo mam dosyć gotowania dla tych dwóch.

Rudi poczuł ucisk w piersi.

– Dwóch?

– Kto to jest? – dobiegł z pokoju gościnnego płaczliwy głos, po czym na korytarz wyszedł, szurając kapciami, niski starzec w dżinsach, o dwa rozmiary za dużej dla niego bluzie i czapce baseballówce z trójwymiarową reklamą Aerofłotu. W ręce trzymał szklankę wypełnioną do połowy bursztynową cieczą, którą prawie na pewno była chivas regal, jego ulubiona whisky. – Och – westchnął, gdy zobaczył Rudiego.

Serce Rudiego stanęło niczym długo nie serwisowana winda.

– Cześć, Toomas – powiedział do ojca.

Frances poprosiła Rudiego, żeby coś ugotował, a on nie miał serca jej odmówić, więc przez dziesięć minut przeszukiwał lodówkę, aż w końcu znalazł polędwicę wieprzową, z której mógł przyrządzić dla nich eskalopki. Nie należały one co prawda do potraw kuchni estońskiej (a poza tym nigdy nie potrafił przekonać nawet siebie, że estońska kuchnia mogłaby czymś zachwycić świat), ale był zmęczony, a eskalopki mógł przyrządzić z umysłem na biegu jałowym.

– Od jak dawna tu jest? – zapytał, delikatnie rozbijając mięso.

Frances, która obierała ziemniaki nad zlewem, spojrzała w stronę drzwi.

– Stary? Kilka dni.

– Wciąż mieszka w Muike?

Pokręciła głową.

– Kilka lat temu przeniósł się do specjalnej strefy zarządzania w Aasumetsie. Dostał tam ładny dom. Ma też podobno ładną Hausfrau, która się nim zajmuje, chociaż nigdy jej poznałam.

Rudi usłyszał dobiegający z salonu głos ojca, który śpiewał Ivariemu łotewską pieśń ludową.

– To brzmi nieźle – powiedział.

Frances spojrzała na niego.

– Bez obrazy, dzieciaku, ale o takie sprawy powinieneś sam go zapytać.

Rudi wzruszył ramionami.

– Nie rozmawiamy o takich sprawach.

Frances zostawiła ziemniaka, którego obierała, i założyła ramiona na piersi.

– A może powinniście, co?

Rudi dla emfazy machnął tłuczkiem, ale nie znalazłszy słów, które pasowałyby do gestu, znów zajął się mięsem.

– Musiało ci przyjść do głowy, że być może go tu spotkasz – powiedziała Frances.

– Nie ma tego dobrego, co by na złe nie wyszło – mruknął Rudi.

– Ciągle prosimy, żeby przeszedł na emeryturę, ale on nie chce – mówiła dalej Frances. – Kocha to miejsce. Po prostu wychodzi i włóczy się po trzęsawiskach i lasach. Aarvo, nowy dyrektor, mówi, że stary powinien odejść, ale nie ma odwagi go zwolnić.

– Ten Aarvo wygląda na takiego samego frajera bez jaj jak ci wszyscy, których Toomas zawsze wykorzystywał – powiedział Rudi.

Machnęła w jego stronę nożem do obierania.

– Hej, kochanie, nie zapominaj, ile lat twój tata ma na karku.

– Lat, kiedy kształtowała się moja osobowość, z pewnością nie zapomnę – powiedział Rudi.

– Zna to miejsce jak własną kieszeń – ciągnęła, machając nożem. – Nigdy wcześniej nie mieli nikogo takiego jak on, a kiedy przejdzie na emeryturę, trudno im będzie znaleźć kogoś, kto tak bardzo kocha te lasy.

– Każdy Estończyk kocha ten *rahvuspark*, Frankie – odparł. – To część naszego dziedzictwa. Polacy mają to samo z Białowieżą.

– Z czym?

– To duża puszcza na ich wschodnim pograniczu. Ostatni fragment lasu pierwotnego w Europie. Polacy ją kochają, Frankie. Są tam dziki, żubry, dzikie konie i bobry, a ja wiem, że również niedźwiedzie, czarodzieje oraz małe zielone ludziki oraz Elvis i Madonna. To symbol dumy narodowej. Podobnie jest z naszym parkiem.

– Ivari mówi, że nie zawsze tak było.

Rudi machnął tłuczkiem.

– To było za Ruskich. Pieprzyć ich. – Popatrzył na kawałek wieprzowiny, który rozbijał, i nagle pomyślał o Janie robiącym to samo w hotelu w Strefie. Wciąż nosił zegarek Jana, choć w minionych latach chwile, kiedy przypominał sobie, że to zegarek Jana, były coraz rzadsze. Myśląc o Janie, pomyślał też o Węgrach, co z kolei sprawiło, że przyszła mu na myśl restauracja Maks.

– Rudi?

Uniósł wzrok.

– Tak?

– U ciebie wszystko w porządku, prawda? – spytała Frances.

– Po prostu się zamyśliłem. – Podrzucił tłuczek, tak że obrócił się w powietrzu, i złapał go za rękojeść, gdy zaczął spadać. Było to trudniejsze, niż się zdawało: ciężar głowicy sprawiał, że całość obracała się dość nieregularnie, i jeśli nie zachowało się ostrożności, można było oberwać w czoło. Ćwiczył to długo, w różnych kuchniach, przez wiele lat, ale obserwując Frances kątem oka, zauważył, że nie była pod jakimś szczególnie wielkim wrażeniem.

– Przygotujmy ten obiad.

Jego ojciec nie zdjął czapki baseballowej przez cały posiłek. I oczekiwał, że Ivari będzie mu przez cały czas napełniał szklankę chivasem. Patrzył przy tym na Rudiego, jakby był zbiegłym więźniem, który wpadł do domu i domagał się, żeby go karmiono. Opowiedział wiele dowcipów o Polakach, które mimo jego wieku zapewniłyby mu połamanie nóg w każdym barze w Krakowie. Dowodząc swojej racji w jakiejś niejasnej sprawie, upierał się prowadzić część rozmowy przy stole po litewsku, czyli w języku, którego

Ivari i Frances nie znali, a Rudi opanował jedynie jego podstawy. Źle, wręcz obraźliwie mówił o jedzeniu. Rudi nie powiedział mu, że Fabio już dawno uodpornił go na opinie osób źle mówiących o jego kucharzeniu.

Toomas zawsze był mały i żylasty, ale teraz wydawał się jakby zdrewniały. Była w nim jakaś nieuchwytna twardość i suchość starego drzewka, które przez dziesiątki lat powyginały wiatry, ale wciąż stoi. Skórę miał ogorzałą od wiatru, oczy stale zmrużone i otoczone zmarszczkami, a wąskie, zacięte wargi obrosły kozią bródką. Przed laty, gdy Rudi miał ich dziesięć, Toomas powiedział mu, że ktoś kiedyś opisał go jako „bałtyckiego rycerza". Rudi był wtedy za młody, aby wiedzieć, o czym ojciec, do cholery, mówi, ale teraz pomyślał, że to porównanie było całkiem trafne. Bałtycki rycerz, dla którego nastały ciężkie czasy i któremu przeznaczona była śmierć w biedzie i szaleństwie, hanzeatycki Don Kichot.

– I cóż, kiedy wracasz do Polski? – zapytał Toomas, gdy Ivari zebrał talerze i poszedł z nimi do kuchni, żeby zrobić kawę.

– Nie wiem, czy tam wrócę – odparł Rudi. – Przez ostatnie półtora roku mieszkałem w Berlinie. – I pożałował tych słów w chwili, kiedy padła nazwa miasta.

– Niemcy – zadumał się Toomas. Kraj pochodzenia dawnych władców Estonii. Tych przed Rosjanami. Tych, którzy zbudowali między innymi Palmse mõis. Toomas wyprostował się i utkwił wzrok w Rudim, mierząc go spojrzeniem spod daszka czapki. Samolot na trójwymiarowym znaczku wyglądał tak, jakby wyłaniał się z jego czoła.

– Och, tato – westchnęła Frances. – Czy nie możesz być po prostu szczęśliwy, że Rudi jest tutaj?

– Mam się cieszyć, że mieszkał w *Saksamaa*? – zapytał Toomas z pogardliwym starczym prychnięciem. – Nie sądzę.

– Mieszkał tam, bo tam miał pracę – powiedziała, a Rudi spojrzał na nią i przechylił głowę, niepewny, czy powiedziała to, aby skończyć sprzeczkę, czy też naprawdę wiedziała, dlaczego mieszkał w Niemczech. On z pewnością jej o tym nie powiedział.

Toomas prychnął.

– Mając wybór, uczciwy człowiek powinien odmówić – stwierdził.

– Może nie miał wyboru.

– Słucham? – wtrącił się Rudi. – Nie zapominajcie, że ja też tutaj jestem, dobrze?

Toomas znowu prychnął.

– I tak nigdy nie potrafiłeś toczyć bitew. – Podniósł swoją szklaneczkę i machnął nią mniej więcej w kierunku Rudiego. – Nalej mi drinka, *poiss* [1].

– Pieprz się, *vana meese* [2]. Sam sobie nalej cholernego drinka.

Frances zerknęła na niego, a on przepraszająco pomachał ręką.

– Na ślubie byliście tacy sami – powiedziała zdumiona, patrząc na nich obu z krzesła przy końcu stołu. – Spędziliście ze sobą ledwie pięć minut i już zaczęliście na siebie wrzeszczeć. Co z wami jest nie tak, na Boga?

– Ze mną wszystko jest w porządku – odrzekł ojciec Rudiego i wyraźnie zadowolony z siebie usiadł wygodniej, krzyżując ręce na piersi.

– Pewnie tak ci mówi twoja dziewczyna, co? – warknął Rudi i zobaczył, że część tego zadowolenia gdzieś odpływa.

– Rudi! – rzuciła Frances. – Dosyć tego. Obaj jesteście gośćmi w naszym domu i nigdy wam nie wybaczę, jeśli nadal będziecie się tak zachowywać.

Rudi i Toomas jeszcze przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Nie zrywając kontaktu wzrokowego, Rudi powiedział:

– Przepraszam, Frances. To było niegrzeczne z mojej strony.

Frances spojrzała na Toomasa.

– Tato? Chcesz coś powiedzieć?

Toomas odsunął krzesło i wstał.

– Muszę się wysikać.

Wychodząc z jadalni, otarł się o Ivariego, który wracał z kuchni z tacą. Niósł na niej dzbanek z kawą, filiżanki, cukiernicę i dzbanuszek mleka.

– Nalej mi drinka, *poiss* – mruknął Toomas, mijając go.

Ivari popatrzył na Rudiego i Frances.

– I jak? – zapytał, gdy Toomas wszedł do łazienki i nie mógł ich usłyszeć. – Jaki wynik?

Frances spojrzała na Rudiego.

– Poważnie. Co z wami dwoma jest nie tak?

– On jest moim ojcem. Ja jestem jego synem. – Wzruszył ramionami. – Cóż mogę powiedzieć?

– Po pierwsze, mógłbyś po prostu przestać być tak cholernie gnomiczny – odparła po angielsku.

– Gnomiczny? – zapytał Rudi, czując drżenie uśmiechu na ustach.

Frances spojrzała na niego gniewnie.

– No i…? – odezwała się.

– Nawet nie wymawiasz tego słowa poprawnie.

– Skąd wiesz? Angielski nie jest twoim rodzimym językiem.

– Twoim też.

Frances rzuciła w niego serwetką, która rozwinęła się i spadła na środek stołu. Wszyscy troje znowu się uśmiechali. Frances pokręciła głową.

– Dam wam obu po gębach, jeśli to się powtórzy – powiedziała. – A kiedy policzkuję ludzi, to naprawdę boli.

Rudi uwierzył w to bez trudu.

– Dałabyś po twarzy małemu staruszkowi? – spytał.

– On nie jest staruszkiem – odparła bez namysłu. – To demon. – Urwała i popatrzyła na Ivariego, który stawiał właśnie na stole tacę z filiżankami i dzbankiem kawy, a potem na Rudiego, który uśmiechał się szeroko i wskazywał ją palcem. – Westchnęła. – Przez twoją rodzinę rozbolała mnie głowa – powiedziała.

– Mnie też – zgodził się Ivari.

– A tak w ogóle to co on tu robi? – zapytał Rudi.

Frances spojrzała na męża.

– Pokłócił się z Maret – wyjaśnił. – To jego…

– Tak, rozumiem – przerwał mu Rudi.

Ivari wzruszył ramionami.

– Zjawił się przedwczoraj, z plecakiem. Powiedział, że ma jakąś sprawę do Aarva i musi zostać na kilka nocy. I rzeczywiście miał jakąś sprawę do Aarva, trzeba mu to oddać.

– To jedno z jego ustawień domyślnych, Ivari – powiedział zirytowany Rudi. – Umawia się gdzieś na spotkanie, doprowadza do awantury, po czym wypada jak burza i nie jest niczemu winny, bo przecież tylko przyszedł na spotkanie. Robi to przez całe życie. Jeszcze tego nie rozgryzłeś?

Frances rzuciła Rudiemu gniewne spojrzenie.

– Nie mów tak do mojego męża – napomniała go.

– Kawy? – zapytał Ivari.

Rudi wzruszył ramionami.

– Tak czy owak – powiedział Ivari, nalewając kawę – Maret zadzwoniła wczoraj zapłakana. Pokłócili się i tata wypadł z domu jak burza, a ona się bała, że zrobi coś głupiego.

Rudi prychnął.

– Inne ustawienia domyślne.

Ivari wyprostował się i wyciągnął w stronę Rudiego dzbanek z kawą.

– Możesz się wymądrzać, ile chcesz – powiedział. – Niektórzy jednak muszą spędzać z nim cały czas.

Rudi spojrzał pytająco na brata.

– Musiałem pojechać rano do Aasumetsy – rzekł Ivari – i powiedzieć Maret, że z tatą wszystko w porządku i że jest u nas. Ona naprawdę troszczy się o niego. Polubiłbyś ją.

– To się nie zdarzy – ostrzegł Rudi.

Frances westchnęła i popatrzyła na zegarek. Spojrzała na Ivariego.

– Znowu to zrobił.

– Nie wiem, kiedy zaczął – powiedział Ivari. – Po prostu za dużo pije.

– To naprawdę coś nowego – dodał Rudi.

Ivari otworzył zamek w drzwiach łazienki śrubokrętem trzymanym na podorędziu właśnie w tym celu. Przez chwilę stali w progu, patrząc na Toomasa, który siedział na sedesie z dżinsami i bokserkami wokół kostek. Głowę miał opartą o ścianę, oczy zamknięte i cicho chrapał.

Stojąca za nimi Frances powiedziała:

– Za pierwszym razem było to trochę niepokojące. Za drugim osobliwe. A teraz? – Pokręciła głową. – Jestem na nieznanym terytorium. Nie mam pojęcia, co robić.

– A co zwykle robicie w takich sytuacjach? – zapytał Rudi. – Mam nadzieję, że odpowiedź brzmi: „Zostawiamy tu starego skurwiela na całą noc, żeby krawędź muszli klozetowej odcięła mu krążenie krwi w nogach i trzeba było mu je amputować. Albo żeby przynajmniej dostał zapalenia płuc”.

– Cóż – odezwał się Ivari – gdyby to nagrać i umieścić w sieci, jestem pewien, że taki filmik miałby sporą widownię.

Rudi się skrzywił.

– Bałem się, że powiesz coś takiego.

Frances położyła im na ramionach swoje duże dłonie.

– I to jest właśnie ten moment, kiedy zostawiam synów Toomasa, żeby czynili swoje cuda. Jestem wykończona. Dobranoc, chłopcy.

Kiedy odeszła, Ivari powiedział:

– Myślisz, że ktoś to dla nas zrobi, gdy będziemy w jego wieku?

– Przede wszystkim nie planuję doprowadzać się do takiego stanu – odrzekł. – A ty?

Ivari pokręcił głową.

– Też nie. Rozmawialiśmy o tym z Frances. Gdy zrobię to pierwszy raz, ona znajdzie sobie lepiej zachowujący się model.

– Wierzysz jej?

– A ty?

Rudi się zastanowił.

– W takim razie lepiej, żebyś się nigdy nie doprowadził do takiego stanu.

– Mamy też geny matki – powiedział Ivari. – To nas nie spotka.

– Nie – zgodził się Rudi. – Prędzej uciekniemy.

– Dowiedziałeś się może, dokąd ona wyjechała?

Rudi pokręcił głową. Niegdyś bardzo chciał to wiedzieć, ale gdy już był wystarczająco dorosły, by móc coś zrobić w tej sprawie, nie chciał się już więcej rozczarowywać rodzicami.

– Ja szukałem – rzekł Ivari.

Rudi spojrzał na niego.

– I?

Jego brat pokręcił głową.

– Lepiej, żebyś nie wiedział.

– Ivari, stoimy tu, patrząc na ojca, który śpi na sedesie z bielizną wokół kostek – całkiem poważnie powiedział Rudi. – Może być coś gorszego?

Ivari wzruszył ramionami.

– Cóż, wyjechała do Anglii.

– Co takiego?

Ivari pokiwał głową.

– Po tym, jak nas zostawiła, pojechała do Anglii. Do jakiegoś miasta o nazwie Doncaster. Więcej nie wiem.

– Jesteś pewien, że to była ona?

– O tak. Dzięki tym politykom, którzy tu wciąż przyjeżdżają, żeby robić sobie ze mną zdjęcia. Ciągle mówią: „Wszystko, czego chcesz, Ivari, tylko powiedz”. Oczywiście nie mówią tego serio, bo myślą, że poproszę ich o pieniądze, ale od czasu do czasu pytam ich o matkę.

– I chce im się szukać?

– Oczywiście nie mogę tego zweryfikować, ale powtarzam: Doncaster. Albo to prawda, albo ktoś bawi się w bajkopisarza.

– Mamy jakąś rodzinę w Anglii? – zapytał Rudi. Nie był tym jakoś szczególnie zainteresowany, ale każda minuta, kiedy Toomas siedział tam nieprzytomny ze spuszczonymi majtkami, była jego kolejnym małym zwycięstwem nad ojcem.

– Nie mogłem nikogo odnaleźć – przyznał Ivari, sam niespecjalnie paląc się do ratowania Toomasa. – Czy ktoś z rodziny nie przeniósł się do Plymouth?

Rudi pokręcił głową.

– Tak, ale wrócił. Prawie natychmiast.

– Tak myślałem. – Ivari popatrzył na ojca. – Odczekaliśmy wystarczająco długo?

– Masz aparat?

– Mam, ale czy od tego poczujesz się lepiej?

– Były takie chwile w ostatnich kilku latach, kiedy coś takiego mogło mi poprawić nastrój – odparł Rudi.

– Mnie też.

Stali obok siebie dość długo i bez ruchu, patrząc na ojca, który chrapał i pociągał nosem na sedesie.

Wreszcie Ivari powiedział:

– Och, pieprzyć to – i zrobił krok do przodu, a Rudi za nim.

Kiedy było po wszystkim, przeszli do gabinetu Ivariego, w którym miał butelkę whisky Johnny Walker Blue i wentylator wystarczająco silny, by mógł pociągnąć samochód, Frances bowiem była przeciwna paleniu w domu. Zamknąwszy za sobą drzwi gabinetu, Ivari postawił na biurku butelkę, małą ceramiczną popielniczkę oraz dwie szklanki i karafkę z wodą, które przyniósł z kuchni, po czym włączył wentylator. Następnie usiadł przy biurku na swoim podniszczonym krześle Aeron; Rudi zajął wygodny fotel w rogu, przy półkach z książkami.

– No cóż – odezwał się w końcu Rudi. – Poszło lepiej, niż się spodziewałem.

– Jest łatwiej, jeśli się ma dodatkową parę rąk – zgodził się Ivari, otwierając szufladę biurka, z której wyjął paczkę marlboro i zapalniczkę Zippo. Pomachał paczką w stronę Rudiego, ale brat pokręcił głową

i pokazał mu blaszane pudełko z cygaretkami. – Frances nie chce mi pomagać.

– Wcale jej się nie dziwię – powiedział Rudi, zapalając cygaro.

Ivari nalał whisky do szklanek i podał jedną Rudiemu.

– Dolej sobie wody.

– Dzięki. Skąd wziąłeś blue label?

– O Jezu. – Ivari usiadł znowu na aeronie i wyciągnąwszy papierosa z paczki, założył nogę na nogę. – Nie uwierzyłbyś, co przynoszą niektórzy z tych ludzi.

– Z tych ludzi?

Ivari kiwnął głową i zapalił papierosa.

– Te wszystkie znakomitości – odpowiedział w chmurze dymu. – Grabiański. Prezydent. Najwyraźniej uważają, że nie mogą odwiedzić parku, nie przynosząc prezentów. Kwiaty. Owoce. Pluszowe zabawki. Pendrive'y pełne ich muzyki ludowej. Czekoladki. – Uniósł szklaneczkę i zakręcił nią. – No i alkohole. – Wypił łyk. – Najbardziej przydatne ze wszystkich prezentów.

Rudi dolał sobie nieco wody do whisky, upił odrobinę i dolał jeszcze trochę.

– Rozdzielamy większość tego między sobą – ciągnął Ivari. – Kaisa i Jaan mają dwójkę dzieci, więc dostają wszystkie pluszowe zwierzaki. Mikhel naprawdę lubi muzykę z całego świata, więc zwykle ją dostaje. Kwiaty przekazujemy do pałacu. Przez jakiś czas go upiększają i rozjaśniają. – Zaciągnął się papierosem, wypuszczając dym nosem. – Amerykanie dali nam samochód.

– Amerykanie?

– Prezydent dał nam samochód. Jedną z tych niewielkich maszyn na ogniwa paliwowe. Humpty? Humble?

– Humboldt.

Ivari wzruszył ramionami.

– Dużo by tu nam z niego przyszło. Jeden silniejszy wiatr zdmuchnąłby go do zatoki. Albo ugrzązłby na amen w bagnie. Daliśmy go szpitalowi w Tallinie.

– Nie pamiętam, żebym widział cię na zdjęciu z prezydentem Stanów Zjednoczonych – powiedział Rudi.

– Nie wolno nam było ich robić. – Ivari podniósł szklankę w ironicznym salucie. – Nikt nie mógł wiedzieć, że tu był. Względy bezpieczeństwa. Oficjalnie nigdy nie wyjeżdża ze Stanów, bo zawsze jest możliwość, że jakiś zwariowany cudzoziemiec może się wysadzić obok niego.

– Podczas gdy w Stanach Zjednoczonych taka możliwość jest po prostu znikomo mała – dodał Rudi.

Ivari pokręcił głową.

– To było niesamowite doświadczenie, mówię ci. Nikt nas nie ostrzegł, że tu będzie, ale kiedy potem o tym myślałem, uświadomiłem sobie, że mniej więcej przez sześć miesięcy przed jego wizytą mieliśmy duży wzrost liczby odwiedzających. Trochę Amerykanów, ale także sporo Brytoli. Niemcy, Polacy, mnóstwo Polaków.

– Ochrona – powiedział Rudi. – Sprawdzali was.

– Tak właśnie pomyślałem, później. A po jego wyjeździe trzech strażników leśnych, którzy pracowali tu prawie rok, złożyło wypowiedzenia. Żadnego wyjaśnienia, żadnego powodu. Po prostu odeszli. A przy tym byli dobrymi pracownikami. Niełatwymi do zastąpienia. Brakowało nam ich.

– Jaka była jego ochrona? – zapytał Rudi z profesjonalnym zainteresowaniem.

– Nie było żadnej.

– Żartujesz.

Ivari podniósł rękę.

– Nie kłamię. Tylko on i jeszcze trzech facetów. Pewnego dnia rano podjechali do pałacu minivanem, wysiedli, pochodzili trochę dokoła, a potem przyszli do centrum i przedstawili się. Nie uwierzyłem im. To znaczy widziałem go w wiadomościach i tak dalej, ale gdy widzisz ludzi wyrwanych z kontekstu, nie przypominają siebie samych, rozumiesz?

– Rozumiem.

– No więc pokazali mi całe mnóstwo dokumentów, ale przecież mogli to wszystko podrobić za pomocą laptopa i drukarki. Dokumenty z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Dokumenty podpisane przez prezydenta, naszego prezydenta. – Ivari pokręcił głową. – Co za farsa.

– Nie miał jakiegoś dowodu tożsamości?

– Prezydent Stanów Zjednoczonych nie nosi żadnego. – Ivari zobaczył twarz brata i skinął głową. – Tak. Bo niby do czego miałby go

potrzebować? Wszędzie go wożą, więc nie potrzebuje prawa jazdy. Nie potrzebuje paszportu, bo gdziekolwiek pojedzie, jest terytorium amerykańskie, choćby tymczasowo. Nie potrzebuje karty tożsamości, bo czy ktoś kiedykolwiek odważy się zakwestionować jego tożsamość?

– Ty to zrobiłeś.

– Jednym z pozostałych mężczyzn, którzy z nim przyjechali, był amerykański ambasador. Miał dokumenty potwierdzające jego tożsamość. Miał ich tyle, że goryl mógłby się nimi udławić. Którego, nawiasem mówiąc, trzeci mężczyzna bardzo przypominał. Wielki facet z wielką teczką przykutą do nadgarstka.

– „Atomowa walizka".

– Cóż, domyśliłem się tego. Powiedz mi, Rudi, co to za świat, w którym prezydent Stanów Zjednoczonych musi przemykać się nocą jak złodziej?

Rudi wzruszył ramionami. To był świat GWT, globalnej wojny z terroryzmem, która jak dotąd nie wykazywała żadnych oznak, że może się zakończyć zwycięstwem. Amerykańska taktyka nierzucania się w oczy była interesująca, ale on był gotów się założyć, że w pobliżu znajdował się jeszcze oddział wsparcia, który w razie potrzeby można było w kilka sekund ściągnąć na miejsce.

– Okazuje się, że on jest Estończykiem – mówił dalej Ivari. – To znaczy był nim jego prapradziadek. Chciał zobaczyć ojczyznę przodków. Miał naprawdę dziwny akcent. Kiedy go o to zapytałem, powiedział, że pochodzi z Minneapolis.

– A, to ten – powiedział Rudi.

– Ten. Wysoki jak tyczka, chudy jak szczapa. – Ivari wypił łyk whisky. – Wydawał się w porządku. Zadawał dużo dobrych pytań; najwyraźniej odrobił zadanie domowe. Większość z nich nie zawraca sobie tym głowy. Wyszliśmy na brzeg i ambasador zrobił nam zdjęcie, na którym miałem rękę wyciągniętą w kierunku Finlandii i wyglądałem bardzo dzielnie. Potem wszyscy uścisnęliśmy sobie dłonie i odeszli. Mniej więcej cztery minuty później pojawiła się bardzo piękna kobieta z teczką pełną dokumentów, które podsunęła nam do podpisania. Mam na myśli to, że nigdy nie widziałeś takiej kobiety, Rudi. Pamiętasz ten tekst z Chandlera o blondynce, na widok której biskup zdolny byłby wybić dziurę w witrażu? To była ona. Jaan stał tam z wywalonym jęzorem; gdyby Kaisa była tego dnia w pracy, a nie z wizytą u matki w Rakvere, z miejsca by się z nim

rozwiodła. Te wszystkie dokumenty były umowami o zachowaniu poufności. Jeśli powiemy komuś, komukolwiek, że był tu prezydent… och, nie pamiętam już dokładnie. Zabiją nas i nasze rodziny, nasze zwierzęta domowe i wszystkich przyjaciół, i spalą nam domy do gołej ziemi, a samą ziemię posypią solą, żeby nic już nigdy na niej nie wyrosło. Coś w tym stylu.

– A jednak mówisz mi o tym.

– Przegrał następne wybory. Pieprzyć go. – Ivari opróżnił szklankę. – Jeszcze jednego?

– Nie skończyłem.

– Jak chcesz. – Ivari nalał sobie kolejnego drinka. – Mniej więcej miesiąc później podjeżdża tu wielki tir i kierowca oraz jego pomagier wyładowują tego humbla czy humboldta. Kazali mi podpisać odbiór. Dar od prezydenta Stanów Zjednoczonych. – Wzruszył ramionami. – Jeździliśmy nim przez jakiś czas po posiadłości, ale ogólnie rzecz biorąc, był dla nas bezużyteczny, więc Liisu pojechała do Tallina i oddała go bratu dla szpitala, w którym jest chirurgiem. Myślę, że dowożą nim starych ludzi do poradni lekarskich.

– Ale nie masz żadnych zdjęć.

– Ach, to. – Ivari poruszył szklanką. – Ciekawa sprawa. Kiedy przegrał wybory, mniej więcej rok po tym, jak je przegrał, dostałem e-maila. Ogromnego e-maila. Z ambasady amerykańskiej. Ze wszystkimi zdjęciami, które zrobił nam ambasador. I krótką wiadomością, że teraz już możemy je pokazywać i że prezydent byłby dumny, gdybyśmy to zrobili. – Ivari łyknął szkockiej. – Jak powiedziałem, pieprzyć go. Jeśli teraz wróci, kiedy nie sprawuje już urzędu, może je powieszę na ścianach.

Rudi popatrzył na brata i przechylił głowę.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

Ivari spojrzał na niego i westchnął. Zgasił papierosa.

– Tatko.

– No tak – powiedział Rudi.

Ivari pokręcił głową.

– On chce… chce, żeby park ogłosił niepodległość.

– Co takiego?

– Chce, żeby park odłączył się od Estonii. Został niezależnym państwem. Osobną tą… jak wy to nazywacie?

– Jednostką polityczną – podpowiedział oszołomiony Rudi.

Ivari skinął głową, mało entuzjastycznie.

– Jednostka polityczna. Tak.

– Wybiłeś mu to z głowy, prawda? – zapytał Rudi. Zobaczył wyraz twarzy brata i rozłożył ręce. – Przepraszam. Nie było pytania.

Ivari zapalił kolejnego papierosa.

– Kilka lat temu zrobił to park na Litwie, nie pamiętam nazwy.

Rudi skinął głową, chociaż też nie mógł sobie przypomnieć. Ale park obejmował część wielkiego lasu pierwotnego, o którym opowiadał wcześniej Frances.

– Długo to nie przetrwało – powiedział.

– Tak, no cóż, stary mówi, że byli grupą amatorów. Mówi, że ma to wszystko przemyślane.

Cóż, przynajmniej to mogło być prawdą. Rudi potarł twarz.

– Nie ma mowy, żeby mu się udało. Zanim będzie mógł udać się z tym gdzie indziej, musi w pierwszej kolejności przekonać dużą część mieszkańców do poparcia tej propozycji.

– Obecnie w parku mieszka mniej niż siedemset osób, Rudi – powiedział Ivari. – Większość z nich jest tak samo jak on wkurzona, że rząd zatrzymuje wszystkie nasze dochody z turystyki.

– I zaraz wam to oddaje – odrzekł Rudi. – Płacąc na utrzymanie posiadłości i centrum obsługi turystów. Na linię tramwajową. Finansując naprawy dróg.

Ivari pokręcił głową.

– Przynajmniej w tej sprawie ma rację. Widzimy tylko ułamek tych dochodów. Dostajemy absolutne minimum tego, co potrzebujemy. Musimy wyciągać części z jednego z naszych humvee, żeby utrzymać w ruchu pozostałe. A co do reszty? – Wzruszył ramionami.

– Kiedyś tak nie było – powiedział Rudi, wracając myślą do czasów, kiedy był dzieckiem i właśnie się tutaj przenieśli. – Rząd zasypywał nas pieniędzmi. Pamiętasz prezydenta Laara? „To najcenniejsza część zasobów naturalnych Estonii. Nigdy tego nie zaniedbamy”.

– Laar to dawne czasy. Byliśmy tylko dziećmi, Rudi. Wtedy tatko mógł iść do ministerstwa i prosić o wszystko, czego tylko jego małe czarne serce zapragnęło, i mu to dawali. Ale już nie dają. Teraz jesteśmy wielką turystyczną dojną krową, a większość pieniędzy trafia do kieszeni innych.

– Mówisz tak, jakby stary cię przekonał.

– Ma rację w sprawie pieniędzy – upierał się Ivari. – Kiedy zastąpiłem go na stanowisku dowódcy straży parku, mieliśmy dobre układy z rządem. Nie pozwalali nam się kąpać w oślim mleku, ale przyznawali fundusze na wiele projektów. Obecnie połowę czasu spędzam w Tallinie z czapką w ręku. – Nalał siebie kolejnego drinka i popatrzył na szklankę. – Och, jasne, prezydent często tu przyjeżdża. Premier też. Mnóstwo ministrów. I co z tego mamy? – Wypił whisky jednym haustem. – Kwiaty. Owoce. Pluszowe zabawki.

– Rządy się zmieniają, Ivari.

– Nie – odparł Ivari, nalewając jeszcze jednego drinka. Uniósł butelkę. – Chcesz?

– Tak – powiedział Rudi, przejmując ją. Dolał sobie whisky i postawił butelkę przy stopie, daleko od Ivariego.

– Nie – powtórzył Ivari. – Teraz to jest zinstytucjonalizowane. Ten dupek, to on sprawił, że wszyscy sobie uświadomili, jak bardzo możemy im pomóc się wzbogacić.

Rudi potrząsnął głową.

– To nie może się udać. Park nie może zarobić na turystyce tyle, żeby stał się samowystarczalny.

– Tatko mówi o przeniesieniu tutaj Laulupidu.

– Festiwalu Pieśni? To się nigdy nie zdarzy.

Ivari popatrzył na niego.

– Dlaczego nie? Festiwal początkowo nie odbywał się wcale w Tallinie; to było w Tartu.

– Ale tam jest Pole Pieśni, Lauluväljak. To tam doszło do „śpiewającej rewolucji”. Nikt nie przeniesie stamtąd festiwalu.

Ivari posłał mu kwaśne spojrzenie.

– A co z kontaktami, które tatko ma wśród pieśniarzy ludowych? Wystarczy, że jego koledzy postanowią zbojkotować festiwal i przyjadą tutaj, by zorganizować konkurencyjny. – Pokręcił głową. – To nawet nie jest trudne. Ci starzy faceci kochają go, Rudi. Poszliby dla niego do piekła, gdyby ich o to poprosił. Nie. – Jeszcze raz pokręcił głową. – Wystarczy, żeby powiedział słowo, a Laulupidu odbędzie się tutaj. Niech sobie Tallin zachowa Lauluväljak na koncerty heavymetalowe.

Jeden z największych festiwali pieśni na całym wybrzeżu Bałtyku. Dziesiątki tysięcy ludzi. Gdyby zdołali to przekształcić w imprezę coroczną, a nie odbywającą się co pięć lat, mogłoby to przynieść dochody wystarczająco duże, by to coś zmieniło. Gdyby udało im się tu stworzyć odpowiednie warunki dla takiego wydarzenia.

– Musi iść z tym do ONZ – powiedział w końcu Rudi. – Samo ustalenie przez nich faktów może potrwać z dziesięć lat.

– Znalazł precedens.

Rudi poczuł, że robi mu się zimno.

– Ta dzielnica w Berlinie – rzekł Ivari. – Ta z anarchistami.

– Nowy Poczdam – powiedział tępo Rudi.

Ivari skinął głową.

– To była spontaniczna sprawa. Tatko uważa, że jeśli tutaj też przebiegnie to tak spontanicznie, ONZ się zgodzi, podobnie jak było z Nowym Poczdamem.

– Rząd mógłby przetrzymać go w Sądzie Specjalnym ONZ do końca życia, kwestionując jego twierdzenia – powiedział Rudi, chwytając się brzytwy.

– To prawda. Ale w okresie przejściowym, do rozstrzygnięcia sprawy, ONZ nie miałaby prawa zapobiec ustanowieniu tutaj rządu tymczasowego. Musielibyśmy przyjąć żołnierzy sił pokojowych ONZ, ale spójrzmy prawdzie w oczy – mogliby się przydać.

Przerażony Rudi potarł twarz kolistym ruchem, jakby chciał wymazać swoje rysy.

– Stary drań – powiedział nie bez podziwu. – Chce postawić ONZ przed faktem dokonanym i pozwolić im to uporządkować.

– A kiedy to w końcu uporządkują…

– …będzie to już funkcjonujący kraj i nie będą mieli prawa go zlikwidować. Będą musieli go uznać. – Rudi zamrugał. – Jasna cholera.

To dzieło geniusza albo wariata, pomyślał. W wypadku jego ojca zwykle nie można było powiedzieć, która z tych ewentualności jest prawdziwa.

– Oczywiście musimy udowodnić, w okresie przejściowym, że jesteśmy funkcjonującym krajem – powiedział Ivari. – Ale tatko to wszystko sobie wyliczył. Ma arkusze obliczeniowe, prezentacje graficzne, wyniki wróżb z wnętrzności kurcząt. Bóg jeden wie, co tam jeszcze ma. Ponaciągał dane tak, że już nawet nie wyglądają jak liczby. Ma konstytucję i parlament, a na

wypadek sytuacji kryzysowej ustrój oparty na czymś, co bardzo przypomina boskie prawo królów. – Ivari wyciągnął rękę mniej więcej na wysokość metra nad podłogą. – Ma taki wysoki stos notatek, propozycji i sugestii.

– Czy to się może udać?

– Nie wiem. Widziałem jego wszystkie papiery. Połowa z nich wygląda tak, jakby napisał je Aleister Crowley [3]. A co z finansami? Na początku możemy mieć kilka trudnych lat, a potem zaczniemy wykazywać zysk. Będziemy wydawać licencje osadnikom, sprzedawać wizy. Zaprojektujemy pretensjonalne wizy, żeby ludzie traktowali je jak pamiątki. Powinniśmy mieć w parku maskotkę. Niedźwiedzia Villema. Każdy kocha niedźwiedzie. Zwłaszcza jeśli go dobrze zaprojektujemy.

Ivari przyłożył dłoń do skroni i zaczął ją masować, jakby chciał się pozbyć bólu.

– Tu jest za mało ludzi, żeby można było obronić granice – powiedział Rudi.

– Nie słuchałeś mnie?! – krzyknął Ivari, odsuwając rękę od głowy. – To zrobi za nas Organizacja Narodów Zjednoczonych.

Rudi podniósł rękę.

– W porządku. Mój błąd.

Ivari westchnął.

– Mogę cię prosić o drinka?

Rudi spojrzał na butelkę szkockiej. Po chwili podniósł ją i zaniósł bratu. W końcu usiadł i zapalił kolejną cygaretkę.

– Albo on będzie zbawcą parku – powiedział Ivari, szczodrze nalewając sobie whisky, i ostrożnie postawił butelkę obok nogi, by móc w każdej chwili po nią sięgnąć – albo nas zniszczy. Podniósł szklankę i upił duży łyk. – I szczerze ci powiem, że nie wiem, która z tych dwóch możliwości się ziści.

Rudi popatrzył na brata, który wyraźnie znalazł się między młotem a kowadłem.

– Zawsze możemy go zabić – zasugerował.

– Widzisz? – Ivari machnął szklanką, wylewając trochę whisky na rękę. – Wiedziałem, że potraktujesz to poważnie!

Rudi westchnął.

– Porozmawiam z nim.
– To mi wygląda na pochopną obietnicę.
– Wiem.
– I to nie pomoże.
– Nie lekceważ mojej siły perswazji.
– To ty nie doceniasz uporu tatka.
Rudi pokręcił głową.
– Nie. Nigdy tego nie robiłem.

Wtedy nie przejął się zbytnio nieobecnością matki. Ojciec powiedział mu, że musiała wyjechać na jakiś czas i dołączy do nich w Lahemaa, gdy już tam zamieszkają. To mu wystarczyło. Potem była gorączka przygotowań do przeprowadzki, pakowanie, pożegnania z garstką przyjaciół ze szkoły, uroczyste obietnice, że pozostaną w kontakcie. A potem nadszedł dzień wyjazdu. Ich meble wraz z większością dobytku pojechały dzień wcześniej, spali więc w pustym mieszkaniu w śpiworach i jedli pizzę na wynos. Rudi, podniecony perspektywą wielkiej przygody, która na nich czekała, nie mógł zasnąć tej nocy. Nie rozumiał, dlaczego ojciec też nie jest podekscytowany. Nie mógł zrozumieć, dlaczego wydaje się raczej smutny. Ivari także.

Rano był oczywiście wyczerpany. Wiele lat później odkrył, że właściwie nie może sobie przypomnieć chwili, kiedy opuszczali mieszkanie. Albo podróży samochodem do Lahemaa. Pomyślał, że pewnie przespał całą sprawę, bo jego pierwsze konkretne wspomnienie z Palmse nie dotyczyło samego pałacu, lasów ani zatoki. To był obraz ojca balansującego niepewnie na dachu małego domu, w którym zamieszkali, i próbującego przymocować do komina talerz anteny satelitarnej.

Toomas dotąd nie godził się na telewizję w żadnym z ich poprzednich domów, bo wiele z tego, co w niej pokazywano, było albo nieodpowiednie dla dzieci, albo po prostu gówno warte. Patrząc wstecz, Rudi zastanawiał się, czy nagłe pojawienie się telewizora nie było odpowiedzią na niewygodne pytania o to, kiedy ich matka zamierza do nich dołączyć. Typowy przykład metody odwracania uwagi, którą stosował Toomas. W każdym razie zarówno Rudi, jak i Ivari cieszyli się, że wreszcie będą mogli rzucić okiem na ten zakazany owoc. Ivari był nawet bardziej podniecony niż Rudi – chociaż po latach Rudi doszedł do wniosku, że

Ivariego przede wszystkim ekscytowała możliwość, że Toomas straci równowagę i spadnie z dachu na głowę.

Tak się jednak nie stało i ostatecznie Ivari oraz Rudi mogli usiąść w salonie przed tym obcym zjawiskiem w ich życiu i patrzeć, jak ekran wypełnia się…

Pierwszy program telewizyjny, jaki Rudi obejrzał, był programem kulinarnym. Wielki mężczyzna mówiący w niezrozumiałym języku robił coś zagadkowego z kawałkiem mięsa.

– Tego nie będziemy oglądać – powiedział Ivari i zaczął przełączać pilotem kanały, aż w końcu trafił na transmisję wyścigu z serii IndyCar.

Rudi zapamiętał numer pierwszego kanału.

Wrócił do niego później, kiedy nikogo nie było w domu, i czekał, żeby się dowiedzieć, co ten wielki mężczyzna robił z kawałkiem mięsa. Musiał czekać dość długo, oglądając powtórki starych programów. Patrzył, jak ten człowiek robi sałatki i desery, przygotowuje warzywa i łączy różne kawałki mięsa na rozmaite, nieprawdopodobne sposoby. Miał małe dłonie i grube palce, ale bardzo zręczne, szczególnie przy krojeniu warzyw. Nazywał się Maciej Kuroń. Rudi go wygooglował i dowiedział się, że jest Polakiem, synem słynnego opozycjonisty z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Rudi uznał za interesujące, że syn słynnego opozycjonisty – chociaż niezbyt wtedy rozumiał, dlaczego był on taki sławny – zajmuje się gotowaniem w telewizji. Kiedy powtórnie obejrzał pierwszy program, okazało się, że Kuroń gotował dość prozaiczną potrawę – coś ze schabu wręcz pływającego w śmietanie – ale Rudi był już tym zafascynowany. Spisywał fonetycznie wyjaśnienia Kuronia i ściągnął z sieci polskie słowniki, żeby ustalić, co też on mówił. Kiedy nic z tego nie wyszło, ściągnął kurs języka polskiego i poświęcał mu każdą wolną minutę. Pobrał pliki audio w języku polskim, załadował je do tabletu i słuchał ich przez cały czas, aż z nieskończonego strumienia bełkotu powoli zaczęły się wyłaniać poszczególne słowa. A potem słowa zaczęły mieć sens. I któregoś dnia obejrzał jeden z programów Kuronia i zrozumiał go doskonale. Miał wtedy dziesięć lat.

Do tego czasu odkrył też kanał, w którym nie pokazywano niczego oprócz starych programów kulinarnych. Prawie wszystkie były po angielsku, więc zaczął znowu, tak jak przedtem z polskim, uczyć się tego języka, ale teraz miał klucz w postaci nazw warzyw, kawałków mięsa

i technik gotowania. Zapisywał sobie nazwiska szefów kuchni i kolejno szukał ich przez Google. Ramsay, Oliver, Bourdain, Blumenthal, Keller… lista ciągnęła się i ciągnęła. Połykał ich biografie. Czytał ich opowieści o życiu w kuchni i stwierdził, że jest pod wielkim wrażeniem Bourdaina. Czytał jego książki. Wciąż i wciąż od nowa oglądał programy telewizyjne Ramsaya, cały czas zastanawiając się nad przyczynami wybuchów gniewu u kogoś, kto rozpoczął karierę jako cukiernik, ale wyjąwszy niektóre z tych wideoklipów z kontekstu, dostrzegał w nich pewną teatralność. Ściągał z sieci książki kucharskie i rozszyfrowywał je jak przekazy Enigmy.

W wieku dwunastu lat biegle znał angielski, polski i francuski. Mógłby wejść do jakiejkolwiek kuchni w Niemczech czy we Włoszech i dać sobie radę. Zaczął nawet sam eksperymentować i w końcu, z pewnym trudem zgromadziwszy składniki, pewnego wieczoru poczęstował ojca i Ivariego paellą.

– A więc – powiedział swobodnym tonem, podając danie zaskoczonemu ojcu – kiedy przyjedzie mama?

Rudi obudził się następnego ranka z bólem głowy i lekkim podejrzeniem, że nie bardzo wie, gdzie właściwie jest. Niechętnie otworzył oczy i popatrzył na sypialnię, a potem spróbował dopasować ją do swoich wspomnień. Leżał tam przez chwilę, kiedy kawałki układanki wchodziły na swoje miejsca. W końcu jęknął, zwlókł się z łóżka i skorzystał z przylegającej do pokoju toalety. Potem znalazł torbę, włożył czyste ubrania i zszedł na dół.

W kuchni Ivari i Frances siedzieli po przeciwnych stronach stołu w napiętym milczeniu. Frances piorunowała męża wzrokiem. Ivari krzywił się. Rudi przeszedł przez kuchnię, wziął kubek z suszarki, nalał sobie kawy z ekspresu i dopóty ją słodził, dopóki jego żołądek nie uznał jej za odpowiednią. Na kuchennym blacie leżała resztka żytniego chleba. Rudi ukroił sobie kromkę.

– No i…? – zapytał. – Jak się wszyscy mają?

Frances prychnęła i rzuciwszy ostatnie wściekłe spojrzenie Ivariemu, wybiegła z kuchni.

– Wykrywam negatywne fale – powiedział Rudi. Odgryzł z kromki kawałek chleba.

Brat popatrzył na niego i potarł oczy.

– Kiedy poszliśmy spać? – spytał Rudi.

Ivari wzruszył ramionami.

– Nie obwiniaj mnie – powiedział Rudi. – To ty wyjąłeś whisky. – Odgryzł kolejny kęs chleba i popił go kawą. – Stary już wstał?

– Jest na nogach od kilku godzin – mruknął Ivari. – Pojechał nad morze.

– Żartujesz.

Ivari pokręcił głową.

– Ten stary drań nie jest człowiekiem.

Rudi oparł się o blat, skubiąc chleb.

– Wiesz, gdzie jest teraz?

– Wziął hummera i powiedział, że jedzie popatrzeć na zatokę, to wszystko – odrzekł Ivari.

Rudi kiwnął głową. To przynajmniej brzmiało znajomo. Łyknął jeszcze trochę kawy.

– Masz jakieś zapasowe hummery? – spytał.

Ivari spojrzał na niego.

– Wszystkie są w terenie – odparł. – Ale zostało kilka quadów, których nikt dzisiaj nie chciał. Możesz sobie jednego wziąć.

Rudi osuszył kubek z resztek kawy.

– Tak, no dobrze – powiedział. – Mógłbyś być trochę bardziej pomocny, bracie.

Ivari spojrzał na niego z miną człowieka nękanego kacem i wzruszył ramionami.

Quad był w zasadzie samochodem bez żadnych wygód. Lub motocyklem, na którym można było jechać bez stałego lęku przed utratą równowagi. Rudi jeździł nimi, odkąd skończył piętnaście lat. Teraz wyprowadził jeden z garażu w centrum obsługi turystów, włączył silnik i ruszył szlakiem prowadzącym przez las w stronę brzegu.

I tam, na końcu szlaku, na cyplu górującym nad Zatoką Fińską, stał jego ojciec, niczym figura dziobowa na dawnym statku.

– No i co, chłopcze? – odezwał się Toomas po angielsku.

– No i co, ojcze? – odpowiedział w tym samym języku Rudi.

Toomas wziął głęboki wdech, przetrzymał powietrze w płucach, po czym je wypuścił.

– Czujesz to? – zapytał. Po angielsku mówił niemal bez naleciałości. – Żaden zapach nie może się równać z zapachem bałtyckiego wiatru. Gwarantowany lek na kaca. Działa za każdym razem.

– W takim razie musisz tu często przychodzić – stwierdził Rudi.

Toomas spojrzał na niego i uśmiechnął się.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Potrafisz błysnąć cynizmem, mówiąc po angielsku. To bardzo trudne w obcym języku. A jak z francuskim? – dodał, przeszedłszy na ten język.

– Po francusku jestem bardziej lakoniczny niż cyniczny – odparł po francusku Rudi.

– Oczywiście, jesteś kucharzem – powiedział Toomas. – Musisz znać francuski.

– Cóż, nigdy nie pracowałem pod francuskim szefem kuchni, ale zgadzam się z tobą.

Toomas zadał jakieś niezrozumiałe pytanie po litewsku.

– Tato, wiesz przecież, że nie mówię po litewsku – odparł Rudi.

Toomas wyglądał na zaskoczonego.

– Skąd niby miałbym to wiedzieć?

– Bo powiedziałem ci to wczoraj wieczorem, kiedy przeszedłeś na litewski.

– A, w porządku. – Toomas wrócił do angielskiego. – Ale jesteś dobry. Naprawdę. Ty i ja mamy ucho do języków. Założę się, że mówisz też całkiem nieźle po niemiecku.

– Ostatnio dużo ćwiczyłem. Niektórzy twierdzą, że mówię jak berlińczyk, ale nie wiem, czy to prawda.

– Widzisz? Ivariemu tego brakuje. Kocham go jak syna, ale jest beznadziejny, jeśli chodzi o języki.

– Ivari jest twoim synem, ojcze. Chyba że o czymś nam przez te wszystkie lata nie mówiłeś.

Toomas machnął ręką.

– To była tylko taka figura retoryczna.

– Mam nadzieję.

Ojciec spojrzał na niego.

– Dlaczego wróciłeś? – spytał.

– Stęskniłem się za tobą.

Toomas pokiwał głową z irytacją.

– Dobrze, w porządku, potrafisz okazać cynizm po angielsku. Załapałem. Dlaczego wróciłeś?

– Potrzebowałem chwili wytchnienia – odrzekł Rudi, swobodnie sięgając po swą legendę. – Otwieram nową restaurację w Berlinie i miałem dość gorączkowy okres. Zacząłem się wydzierać na personel. – Wzruszył ramionami. – Był najwyższy czas na kilka wolnych dni.

– To twoja restauracja?

Rudi pokręcił głową.

– Mojego pracodawcy. W Polsce.

– Polak otwiera restaurację w Berlinie?

– Maks uznał, że nadszedł czas, żeby im się odpłacić za 1939. Nawiasem mówiąc, jest Ślązakiem. To trochę jakby Niemiec.

Toomas potarł twarz.

– Wiesz, nie mogę zrozumieć, dlaczego to robisz właśnie tam, skoro w Estonii jest sporo całkiem porządnych restauracji.

– No cóż, „całkiem porządne” to nie to samo co „doskonałe”.

– Zaprosisz mnie na wielkie otwarcie?

– A przyjechałbyś?

– Do Niemiec? – Toomas splunął.

– No właśnie.

Toomas popatrzył na Zatokę Fińską i zrobił kolejny głęboki wdech.

– Przypuszczam, że Ivari ci powiedział.

– Co mi powiedział, ojcze?

Toomas spojrzał na niego.

– Nie rób tego „co mi powiedział, ojcze?”. Nie umiesz kłamać.

– Na pewno nie odziedziczyłem tego po tobie.

Jego ojciec się uśmiechnął.

– Założę się, że miałeś nadzieję mnie tym rozgniewać, co?

– Założę się, że tak. Jesteś po prostu lepszym kłamcą niż ja.

Uśmiech Toomasa zgasł.

– Walczymy tu o nasze życie – powiedział.

– Och, proszę cię…

– Naprawdę. Sprawy nie wyglądają już jak wtedy, gdy tu przyjechaliśmy. Rządy kochały wtedy park, dawały nam wszystko, czego chcieliśmy. Rozumiały, że to serce każdego Estończyka.

Rudi prychnął.

– To bardzo duży i malowniczy kawał ziemi, poza tym niezbyt użytecznej, ojcze.

Toomas uderzył się w pierś.

– Serce! – zawołał.

Rudi popatrzył na morze.

– Ale teraz mamy w Tallinie tę bandę rzezimieszków – ciągnął Toomas. – Tylko szukają okazji, by wydoić nas do sucha.

– Jesteś po prostu wkurzony, bo nie dają ci wszystkiego, czego zażądasz – powiedział Rudi. – Wiem, jak myślisz.

Ojciec pokręcił głową.

– Dostajemy od ONZ grant na ochronę dziedzictwa naturalnego. Albo powinniśmy go dostawać. Znam wysokość tego grantu co do grosza. Minęły już dwa lata, odkąd coś z tego otrzymaliśmy. I to nie dlatego, że nie prosiliśmy.

Rudi spojrzał na niego.

– Jesteś pewien?

– Bądź tak miły i nie pytaj. Jestem z wykształcenia księgowym.

– Skończyłeś architekturę.

– A jakiś czas później nauczyłem się księgowości. Nie patrz tak na mnie. Wiem, jak czytać bilans. Poprosiłem Organizację Światowego Dziedzictwa ONZ o listę wypłat i przysłali mi ją e-mailem jeszcze tego samego dnia. Poprosiłem o to samo ministerstwo i jeszcze się do mnie nie odezwali. – Toomas uderzył pięścią w dłoń. – To korupcja na kolosalną skalę. Hańba narodowa.

– Idź więc do sądu.

– W tym pieprzonym kraju?! – wrzasnął Toomas. Machnięciem ręki odrzucił ten pomysł. – Proszę, nie wspominaj o tym więcej.

– Ty jednak bardzo kochasz ten pieprzony kraj…

Toomas wyprostował się na pełną wysokość i poprawił daszek baseballówki. Trójwymiarowy samolot Aerofłotu wystawał z jego czoła niczym róg jakiejś mitycznej bestii.

– Wiem, co myślisz – powiedział.

– Gdybyś naprawdę wiedział, o czym myślę, już byś uciekał – odparował Rudi.

Toomas zignorował go.

– Myślisz, że to ostatni akt samotnego zgorzkniałego starca, ostatnia próba zyskania nieśmiertelności po zmarnowanym życiu.

Rudi wzruszył ramionami.

– Przyszło mi to do głowy – przyznał.

– I jest w tym trochę racji – przyznał z kolei Toomas. Rozłożył ręce. – Czyli ile mam jeszcze przed sobą lat, patrząc realistycznie?

– Przestań – warknął Rudi. – Po prostu przestań. Słuchałem tego pieprzenia, odkąd miałem osiem lat, i nie mam już na to ochoty.

Toomas westchnął. Potem westchnął jeszcze raz i długo nic nie mówił. Stali obok siebie, patrząc, jak Bałtyk niespiesznie obmywa skraj ich ojczyzny.

– Kocham to miejsce – odezwał się w końcu Toomas, a jego głos nie pobrzmiewał już picowaniem. – Przez całe życie szukałem skrawka ziemi, do którego mógłbym należeć, i znalazłem go tutaj. Przeżyliśmy tu później wiele dobrych lat. A potem nadeszli piraci. Przez ostatnie dwa lata podgryzali obrzeża parku. Nowe miasta, osiedla, areny sportowe. Nic, co powiem, nie odnosi skutku, ziemia jest po prostu pochłaniana, rok po roku, hektar po hektarze. Pewnego dnia tu, gdzie teraz stoimy, będą tylko hotele. To wszystko zniknie. Ponieważ w Tallinie do władzy doszli chciwi ludzie. Nie dbają o nasze dziedzictwo. Obchodzą ich tylko zagraniczni partnerzy, którzy przyjeżdżają budować areny sportowe i hotele. My jesteśmy tylko nieistotnym szczegółem. Czymś, co w imię postępu można odsunąć na bok, zignorować.

Rudi rozejrzał się dokoła.

– Tylko szaleniec budowałby tu hotel – powiedział.

Toomas pokręcił głową.

– To nie ty mówisz – odparł. – To jest twoja opinia o tym, co ja mówię.

Rudi zastanowił się nad tym.

– Celna uwaga – powiedział w końcu. – Więc to dlatego chcesz secesji.

Toomas zrobił kwaśną minę.

– Nikt mnie nie słucha, chłopcze.

– Chciałbym, żebyś przestał nazywać mnie chłopcem, wiesz?

– Nikt nie słucha, Rudi – powiedział głośno Toomas. – Więc im to odbiorę.

Rudi podrapał się po głowie.

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, i w grę wchodzi tu tak dużo pieniędzy, to spróbują cię powstrzymać.

– Och, to już się zaczęło.

– Naprawdę?

– O tak. W ciągu ostatnich kilku tygodni doszło w parku do aktów wandalizmu. Nic strasznego, z pewnością nic, czego i przedtem chłopaki nie robili po pijaku dla zakładu, lecz to było inne. Zbyt starannie zaplanowane i zbyt dobrze przeprowadzone. Ale to mnie nie powstrzyma i oni o tym wiedzą. To nie miało mnie powstrzymać; zrobili to po to, żeby rozpocząć ze mną rozmowy, by dać mi do zrozumienia, że są gotowi i czekają.

Rudi spojrzał na niego.

– Ludzie ucierpią.

– Czy to ma mnie powstrzymać?

– Cóż, większość normalnych ludzi mogłoby to przynajmniej skłonić do refleksji nad tym, co robią, ale nie, po prostu stwierdziłem fakt. Jeśli ta sprawa potoczy się choć trochę dalej, ludzie ucierpią.

Toomas tak mocno wepchnął pięści do kieszeni kurtki, że Rudi usłyszał trzask pękających szwów. Ojciec odszedł o kilka kroków.

– To jest rząd, tato – odezwał się Rudi. – Nie mogą cię zwolnić przez ministerstwo, bo to byłoby zbyt oczywiste, ale mogą zrobić wiele innych rzeczy. Nie masz pojęcia jakich.

– Maret znalazła pornografię dziecięcą na naszym komputerze – powiedział Toomas.

Rudi przyjrzał mu się spokojnie.

– Och – zirytowany ojciec machnął ręką – nie moją. Podrzucono mi ją. Kolejna część rozmowy.

– Co zrobiłeś?

Toomas wzruszył ramionami.

– Sformatowałem dyski, a potem je fizycznie zniszczyłem.

– Mam nadzieję, że całkowicie.

– Wrzuciłem je do rozdrabniarki do drewna.

– To wystarczy – przyznał Rudi.

Toomas rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Ciebie to bawi.

– Jest w tym coś zabawnego, ale nie, wcale mi się to nie podoba. Wiesz, że na tym to się nie skończy, prawda? W jakiejś bezpiecznej przechowalni danych online będzie materiał prowadzący do ciebie, z hasłami, które tylko ty znasz.

– Wiem. Po prostu dali mi znać, że jest gotowy i że go użyją, by mnie zdyskredytować, gdy uznają, że muszą to zrobić. – Toomas westchnął. – Maret… Maret powiedziała, że mi wierzy, gdy przysięgałem, że nic o tym nie wiem. Powiedziała, że wierzy, kiedy jej mówiłem, że mi to podrzucono. Ale wyraz jej oczu mówił, że nie jest pewna.

– Och. – Rudi zmarszczył brwi i potarł twarz.

– Te skurwysyny weszły między mnie a moją partnerkę – rzucił gniewnie Toomas. – Z atakami na mnie mogłem się pogodzić. Jestem dużym chłopcem i znam zasady gry. Ale wciąganie w to Maret… – Pokręcił głową. – Nie. Na to nie pozwolę.

– To mogło być posunięcie mające cię sprowokować do zrobienia czegoś głupiego – ostrzegł go Rudi. – Żebyś odwalił za nich większość roboty.

– A jakie to może mieć dla nich znaczenie? Mają mnóstwo środków.

– Dzięki temu mniej się odsłaniają. Im mniej zrobią, tym mniej będą mieli później do odkrycia ci wszyscy wścibscy dziennikarze.

Ramiona Toomasa opadły.

– Więc co powinienem zrobić?

– W sprawie pornografii? Nic nie możesz zrobić. Nie ma sposobu na jej znalezienie, bo nie wiemy, gdzie jest. Nie możemy po prostu wpisać w Google twojego nazwiska z tekstem „pornografia dziecięca” i oczekiwać, że wyszukiwarka znajdzie te materiały na serwerze w Duszanbe albo Buenos Aires. Musisz przejąć inicjatywę, działać zapobiegawczo. Napisz do kanałów informacyjnych. Opowiedz im, co znalazłeś na swoim komputerze. Powiedz im, że podejrzewasz, że gdzieś tam jest inny taki materiał, który czeka, aż zostanie „znaleziony” i wykorzystany do oczernienia twojego nazwiska.

– Oni temu zaprzeczą.

– Oczywiście. Ale dzięki temu trochę trudniej będzie im niespodziewanie „znaleźć” to i sprawić, żeby wyglądało wiarygodnie. I będziesz miał mocniejszą pozycję w rozmowach. – Rudi przeczesał palcami włosy. – Posłuchaj mnie. Przyszedłem tu, żeby cię odwieść od tego szaleństwa, a zamiast tego daję ci rady.

– Czy ty i twoi przyjaciele możecie mi pomóc?

Rudi poczuł powiew chłodu.

– Jestem szefem kuchni, tato. Większość moich przyjaciół to kucharze. Możemy ci załatwić catering.

– Frances mówi, że jesteś z wywiadu.

Ach, a więc o to chodziło. Rudi ledwie słyszalnie westchnął z ulgą, po czym wybuchnął szczerym śmiechem.

– Nie, tato, nie jestem z wywiadu. Ja po prostu gotuję jedzenie.

Toomasowi zrzedła mina.

– Myślałem…

– Nie – przerwał mu Rudi, po raz pierwszy od wielu lat czując coś w rodzaju współczucia dla ojca. – Jestem tylko kucharzem.

Toomas się skrzywił.

– No tak, pewnie musisz tak mówić.

Zirytowany Rudi rozłożył ręce.

– Jestem tylko kucharzem – powtórzył. – A gdybym służył w wywiadzie, to pracowałbym dla rządu i byłbym ostatnią osobą, którą chciałbyś prosić o pomoc.

– Naprawdę? A zatem jesteś kukułką w moim gnieździe?

Rudi klepnął się w czoło.

– Tato, nie! Nie pracuję w wywiadzie. Jestem kucharzem. – Pomasował oczy. – Jedynym wyjściem z tej sytuacji jest zatrzymanie tego wszystkiego.

Toomas pokręcił głową.

– To się nie zdarzy.

– Wyślij im wiadomość. Powiedz im, że jesteś gotowy na kompromis.

– Nie będzie żadnego kompromisu.

– Powiedz im… – Poszukał słów. – Powiedz im, że się wycofasz, jeśli zagwarantują, że status części parku nigdy się nie zmieni. Powiedz im, że to cię zadowoli, a oni mogą mieć resztę na swoje hotele i areny sportowe. – Rozłożył ręce. – To jest duży park, tato.

Toomas nie przestawał kręcić głową.

– Nie. Nie będzie kompromisu. Nie będzie kapitulacji. Nie położą swoich brudnych łap na choćby jeszcze jednym milimetrze kwadratowym tego miejsca. Wbili klin między mnie i Maret, a ja nie pozwolę, żeby im to uszło na sucho. Jedna ze stron dostanie cały park, druga nie dostanie niczego. Tak to się właśnie skończy.

– To się skończy tym, że będziesz martwy – powiedział Rudi.

Toomas nagle przestał kręcić głową. Popatrzył na syna, a potem podszedł do niego tak blisko, że prawie stykali się klatkami piersiowymi.

– Myślisz, że mnie to obchodzi, chłopcze? – warknął.

– Jeśli nie odpuścisz, dojdzie tu do katastrofy – odwarknął Rudi. – Mówię poważnie. I nie dotyczy to tylko ciebie. Dotknie to Ivariego, Frances i Maret oraz wszystkich innych, na których ci kiedykolwiek zależało.

Toomas przechylił głowę i popatrzył na Rudiego.

– Ty myślisz, że mamy szansę – stwierdził.

Rudi rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Z tego, co mi powiedział Ivari, wnioskuję, że tak, macie szansę. Oni myślą, że macie szansę, bo inaczej nie rozmawialiby z tobą.

Toomas szturchnął Rudiego w pierś kościstym palcem wskazującym.

– Boją się! – krzyknął triumfalnie. – A przestraszeni ludzie popełniają błędy. Możemy to wygrać, chłopcze.

– Jeśli rzeczywiście się boją, to są bardzo potężnymi przestraszonym ludźmi, a tacy są najgorsi – odparł Rudi. – Jeśli będziesz ich nadal prowokował, to cię po prostu zmiażdżą i będą robić swoje tak, jakbyś nigdy nie istniał.

– Myślisz, że się boję?

– Myślę, że powinieneś się bać.

Toomas przez dłuższy czas patrzył na syna, nie odzywając się. Na koniec pokręcił głową i powiedział:

– Teraz już się nie cofnę. Mamy spotkanie w centrum konferencyjnym w środę wieczorem. Powinieneś przyjść.

– W środę jadę do Tallina – odrzekł Rudi. – Nie wiem, kiedy wrócę.

Toomas wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. – Odwrócił się i poszedł do swojego humvee.

Rudi słyszał warkot uruchamianego silnika, słyszał, jak stary przed powrotem na trasę zmusza duży pojazd do gwałtownego zawrócenia o sto osiemdziesiąt stopni. Czekał, aż odgłos silnika ucichnie w dali, a następnie odczekał jeszcze parę minut, patrząc na morze. W końcu wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer.

Kiedy ktoś odebrał, powiedział:

– Obawiam się, że Laurence ma zatrucie pokarmowe i nie będzie mogła wziąć udziału w dzisiejszym wieczornym spotkaniu. – Po czym rozłączył się i jeszcze długo stał, patrząc na morze.

Upłynęło sporo czasu, odkąd ostatni raz był w Tallinie. Nie wliczał w to przylotu do Ülemiste przed kilkoma dniami i przejazdu taksówką na przystanek tramwaju do Palmse. Nie wiedział, czy powinien być zadowolony, czy lekko poirytowany, że na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Miasto wyglądało mniej więcej tak, jak je pamiętał. Może było trochę więcej wysokich biurowców. Port w ogóle się nie zmienił, podobnie jak stare miasto. Widział nawet grupy podpitych Anglików, którzy wciąż tu przyjeżdżali na wieczory kawalerskie. Przechodząc obok Hotell Viru, zobaczył kilku młodych mężczyzn w ubraniach na zimną pogodę i kolorowych wełnianych kapeluszach, wychodzących niepewnym krokiem i ze śpiewem na ustach przez frontowe drzwi tego gmachu wzniesionego jeszcze za Związku Radzieckiego. Zatrzymał się po drugiej stronie ulicy i patrzył, jak odchodzą. Potem spojrzał na fasadę starego hotelu Inturistu. Legenda głosiła, że KGB zainstalowało podsłuch w każdym pokoju, kiedy jeszcze pewnym ludziom wydawało się, że te sprawy mają jakieś znaczenie. Zastanawiał się przez chwilę, czy to mogła być prawda; z pewnością ktoś to sprawdził po odejściu Rosjan.

Przejechał przez część miasta, kilkakrotnie przesiadając się po drodze z autobusu do autobusu. Potem wypił drinka w barze w porcie. Przez jakiś czas stał i obserwował jeden z wielkich pasażerskich dwukadłubowców całkowicie niewrażliwych na pogodę, który wpływał z Zatoki Fińskiej po czterdziestopięciominutowym rejsie z Helsinek do Tallina. Nordic Jet Line chwaliła się, że jej katamarany mogą przepłynąć przez oko huraganu, chociaż jeszcze tego od nich nie wymagano.

Znowu zmienił autobus, a po kilku przystankach przesiadł się do następnego. Zatrzymał się przed ogrodem zoologicznym, szalenie wielkim, biorąc pod uwagę, jak stosunkowo małe było samo miasto, ale postanowił nie wchodzić do środka.

Kolejnym autobusem pojechał do Kadriorgu i przez godzinę spacerował po terenie zespołu pałacowego. Zrobił kilka zdjęć. Potem wsiadł do jeszcze jednego autobusu, którym wrócił do centrum miasta.

Pochodził trochę po starym mieście, oglądając witryny sklepowe. Kupił sobie dwa swetry i pudełko cygaretek. Kiedy trochę zgłodniał, chodził przez jakiś czas od restauracji do restauracji, sprawdzając menu, aż w końcu zdecydował, że zje w Trojce.

Trojka też się nie zmieniła. Od sklepionych piwnicznych sufitów przez personel w jaskrawych strojach do samego menu wszystko było dokładnie takie jak wtedy, gdy był tam ostatni raz, na dwa dni przed wyjazdem z Estonii i rozpoczęciem długiej odysei wzdłuż wybrzeży Bałtyku, zakończonej w restauracji Maks.

Poprosił o pielmieni i zapytał dziewczynę, która przyjęła zamówienie, kto jest teraz szefem kuchni, a gdy mu powiedziała, uśmiechnął się i dodał:

– I niech mu pani powie, że chcę prawdziwe pielmieni. Nie to mdłe byle co, które serwuje turystom.

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się niepewnie.

– Słucham?

– Pozwoli pani, że to zapiszę – odparł Rudi, po czym delikatnie wyjął z jej dłoni bloczek z zamówieniami i napisał liścik. – I proszę dopilnować, żeby to dostał. Będę wiedział, jeśli nie dostanie, i wtedy nie dam pani napiwku.

Odeszła, a Rudi nalał sobie szklankę wody, zapalił cygaretkę i czekał.

Pięć minut później do sali restauracyjnej wpadł niewysoki, czerwony na twarzy mężczyzna w białym stroju szefa kuchni i krzycząc coś głośno po rosyjsku, ruszył w stronę Rudiego. Kiedy Rosjanin zbliżył się do jego stolika, stojący obok kelnerzy uciekli. Rudi natomiast wstał, a szef kuchni podszedł do niego i mocno go objął.

– Witaj, Siergieju Fiodorowiczu – powiedział Rudi, odwzajemniając uścisk.

Siergiej puścił go i cofnął się o krok, żeby mu się przyjrzeć.

– Schudłeś – stwierdził krytycznie. – Nie jesz dobrze tam, gdzie mieszkasz.

– Mieszkam w Polsce – odparł Rudi.

– Fe! A, tu jesteś. – Siergiej pstryknął palcami na jedną z kelnerek, która właśnie wyszła z ukrycia. – Tak, ty. Stoliczna i dwa kieliszki. – Jeszcze raz popatrzył na Rudiego i pokręcił głową. – Nie odżywiasz się dobrze – stwierdził ponownie.

Usiedli, a Siergiej sięgnął po jedną z cygaretek Rudiego i zapalił.

– A więc wróciłeś – powiedział.

– Jestem na wakacjach – odrzekł Rudi.

– Masz już własną restaurację?

Rudi pokręcił głową.

– Pracuję dla kogoś. W Krakowie. To fajne miasto; powinieneś tam kiedyś przyjechać.

Siergiej prychnął.

– Do Polski? Ludzie tam mają długą pamięć.

– A my nie?

Siergiej zaciągnął się cygaretką i wypuścił strumień dymu. Przygładził rzednące włosy.

– Sprawy mają się tu teraz nie najgorzej, wiesz? – Resentymenty wobec Rosjan były głęboko zakorzenione w estońskiej duszy i dawały o sobie znać, nawet gdy Sowieci już wyjechali. Mała, ale głośna rosyjska wspólnota w Estonii czuła się od tego czasu nieco osaczona. – Nie mówię, że jest idealnie, ale już lepiej, wiesz?

Rudi kiwnął głową i usiadł. Trojka była pierwszą profesjonalną kuchnią, w której podjął pracę, a Siergiej był pierwszym profesjonalnym kucharzem, pod którego kierownictwem pracował. Rudi uważał tego drobnego mężczyznę za nierówną krzyżówkę czarodzieja i ogra. Siergiej był też pierwszym szefem kuchni, który go uderzył. Brytfanną.

– A teraz cię zawstydzę i zapytam, dlaczego nie pisałeś – powiedział Rosjanin.

Rudi nie poczuł się wcale zawstydzony – przećwiczył to poprzedniej nocy. Wzruszył ramionami.

– Podróżowałem. Ciężko pracowałem. A kiedy już mogłem coś napisać… cóż, nie było się czym pochwalić.

Siergiej przechylił głowę.

– Jesteś inny.

Rudi się roześmiał.

– Jestem teraz lepszym kucharzem.

– No myślę, do cholery, po tylu latach… – Siergiej zmrużył oczy. – Nie, zmieniłeś się. Przydarzyło ci się coś złego.

– Jestem kucharzem, Siergieju Fiodorowiczu. Złe rzeczy przydarzają mi się cały czas.

– To prawda – przyznał Siergiej. Kelnerka wróciła z oszronioną butelką wódki i kieliszkami i znów odeszła. Siergiej napełnił kieliszki, po czym podniósł swój.

– *Job twoju mat´* – powiedział i opróżnił go jednym haustem.

– *Job twoju mat´* – odparł Rudi i poszedł w jego ślady.

– W porządku. – Siergiej ponownie napełnił kieliszki i pstryknął palcami na kolejną kelnerkę. – Ty tam. Czarny chleb, masło, kiszone ogórki i trochę tej kiełbasy z dziczyzny.

Rudi uniósł rękę, żeby ją powstrzymać.

– Jestem z kimś umówiony, Siergiej. Ale kiedy on już sobie pójdzie, napiję się z tobą jak należy. Nie chciałem tu tak siedzieć i zachować się po świńsku, nie mówiąc cześć.

– Pewnie. Nie ma problemu. – Siergiej wstał i podniósł kieliszek. – *Job twoju mat´*.

– *Job twoju mat´*.

Wypili obaj.

– W porządku – sapnął Siergiej. – Pójdę już i dopilnuję, żebyś dostał najgorsze pielmieni, jakie kiedykolwiek jadłeś.

– A jadłem już naprawdę podłe pielmieni – powiedział Rudi. – Wiele z nich tutaj.

– Fe, niełądnie – odparował Siergiej. – Widzimy się później.

Mniej więcej minutę po odejściu Siergieja ktoś podszedł do stolika i usiadł na opuszczonym przez niego krześle.

– No cóż – powiedział Bradley po angielsku – to było wzruszające. – Postawił na stole kieliszek z brandy i uśmiechnął się do Rudiego. – Dobrze się bawisz na urlopie?

– Odwiedzam starych przyjaciół.

– Nie ma nic lepszego – stwierdził Bradley.

– Potrzebuję pomocy – powiedział Rudi.

Bradley rozłożył ręce.

– Zamieniam się w słuch, stary.

Rudi przećwiczył i tę rozmowę poprzedniego wieczoru, ale teraz poczuł się tak, jakby nie zrobił tego wystarczająco dobrze.

– Mój ojciec jest strażnikiem w Parku Narodowym Lahemaa – zaczął.

Bradley kiwnął głową.

– Wiem.

Rudi popatrzył badawczo na rozmówcę. Oczywiście, że wiedział.

– Chce zmienić park w niezależną jednostkę polityczną.

– Wiem – powtórzył Bradley. Kiedy zobaczył wyraz twarzy Rudiego, dodał: – Nie śledziliśmy twojej rodziny, ale gdy miałeś ten mały problem w Berlinie, trochę posprawdzaliśmy. – Podniósł rękę, aby powstrzymać protest Rudiego. – Po prostu chcieliśmy wiedzieć, kim jesteś, z jakiego środowiska pochodzisz. To wszystko.

Rudi popatrzył gniewnie na Anglika.

– Możemy coś zrobić, żeby pomóc? – zapytał.

Bradley wyglądał na skonsternowanego.

– My, stary?

– Centrala. Czy Centrala mogłaby coś zrobić, żeby pomóc?

Bradley rozejrzał się po restauracji, która jak zwykle w porze lunchu zaczynała wypełniać się turystami.

– Na przykład co?

– Nie wiem. Może dać jakąś radę?

Bradley westchnął i podniósł kieliszek. Spojrzał na niego i ponownie postawił na stoliku.

– Zasady bezpieczeństwa operacyjnego zabraniają mi mówić, gdzie byłem, gdy dostaliśmy twój sygnał alarmowy – powiedział zamyślony. – Ale było to dość daleko i nie miałem zbyt przyjemnej podróży, a potem cały dzień chodziłem za tobą, czekając, aż się w końcu gdzieś usadowisz, żebyśmy mogli się spotkać. Więc byłoby miło, gdybyś mi powiedział, że nie przyjechałem tu tylko dlatego, że twój drogi tatuś postanowił założyć własne państewko.

Rudi siedział nieruchomo i patrzył na niego w milczeniu.

Bradley pokręcił głową i podniósł kieliszek. Tym razem go opróżnił.

– Dostałeś ten numer i to hasło na wypadek skrajnego zagrożenia – rzekł, odstawiając kieliszek. Nie puścił go jednak, tylko trzymając za nóżkę, kręcił nim w lewo i prawo. – Nie po to, żebyś mógł prosić Centralę, aby pomogła uczynić twojego ojca kieszonkowym cesarzem.

– Ja…

Bradley ponownie pokręcił głową.

– Centrala nie robi takich rzeczy – powiedział spokojnie. – Centrala w żaden sposób nie ułatwia, w żadnej formie, tworzenia jakichkolwiek quasi-państwowych jednostek politycznych. Jak moglibyśmy to robić?

Musimy pozostać bezstronni, a nie moglibyśmy tacy być, gdybyśmy pomagali ludziom zakładać własne państwa.

Rudi otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Po chwili je zamknął.

– Życzymy powodzenia twojemu ojcu – ciągnął Bradley – a jeśli mu się uda zrealizować swoje plany, to chętnie będziemy robić interesy z nim lub kimkolwiek w jego nowym państwie. Ale do tego czasu musimy się trzymać od tego z daleka. I radzę ci, żebyś też trzymał się od tego z daleka.

– On doprowadzi do tego, że go zabiją – powiedział Rudi.

– To byłoby przykre, oczywiście. – Bradley wstał. – Nie będę przepraszać za stanowisko Centrali w tej sprawie, bo nie jest to coś, za co trzeba przepraszać. Ale my nie pomożemy twojemu ojcu, a ty nie powinieneś o to prosić. A kiedy następnym razem użyjesz tego kodu alarmowego, wszyscy będą wdzięczni, jeśli to naprawdę będzie sytuacja kryzysowa.

– Pieprz się, Bradley – rzucił Rudi.

Bradley podszedł do Rudiego i nachylił się do jego ucha.

– I mówiłem poważnie, gdy cię ostrzegałem, żebyś się w to nie angażował – rzekł cicho. – Nie mogę cię zmusić, ale zdecydowanie radzę, żebyś nie przykładał ręki do państwowotwórczej działalności twojego ojca. Gdyby ktoś odkrył, że jest w to zamieszany *coureur*, postawiłoby to pod znakiem zapytania działalność wszystkich *coureurs*. Nikt by nam już więcej nie zaufał. Pomyśl, co by to oznaczało.

Rudi odwrócił głowę, żeby popatrzeć na Bradleya.

– Miłej podróży – wycedził.

Bradley się wyprostował.

– Jesteś dobry w tym, co robisz – powiedział. – Z naszych rozmów wynika, że wcale tak nie myślisz. Ale jesteś dobry. Mógłbyś pomóc wielu osobom, które naprawdę potrzebują twojej pomocy. Nie będziesz mógł tego zrobić, jeśli ludzie nie będą ci ufali. – Położył dłoń na ramieniu Rudiego i delikatnie je ścisnął. – Nie mieszaj się w tę sprawę – dodał. A potem wyszedł.

Rudi nalał sobie kolejną wódkę i wypił. W końcu z kuchni wychynął sam Siergiej z talerzem pełnym pielmieni i przyniósł go Rudiemu.

– Twój przyjaciel jeszcze się nie zjawił? – zapytał, kładąc talerz przed Rudim.

– Coś mu wypadło – odrzekł Rudi. – Nie mógł zostać.

– Szkoda.

Rudi się uśmiechnął.

– Tak. – Podniósł sztućce i spojrzał na talerz pierogów z mięsem, gotowanych jak zwykle w rosole, co było ukłonem w stronę syberyjskiego dziedzictwa Siergieja.

– No to sprawdźmy, czy nauczyłeś się je choć trochę lepiej przyrządzać.

Nie całkiem trzeźwy, ale nie tak pijany, jak by chciał, Rudi wsiadł do ostatniego tramwaju do Palmse. Latem kursowały aż do północy, ale poza sezonem ostatni odjeżdżał o ósmej wieczorem i Rudi musiał się żwawo ruszać, żeby dotrzeć w porę na przystanek. Cały tramwaj był pusty. Wgramolił się do ostatniego wagonu i machnął telefonem przed czytnikiem, żeby zapłacić za bilet, po czym skulił się na jednym z miejsc i zasnął.

Jakiś czas później ktoś go obudził. Łagodnie potrząsając jego ramieniem, mówił:

– Hej, kolego.

Przez chwilę Rudi nie chciał otworzyć oczu, obawiając się, że jeśli to zrobi, znajdzie się znowu w berlińskim tramwaju, tej nocy, kiedy wszystko zaczęło się toczyć nie tak, jak powinno. Z drugiej strony, pomyślał, podczas gdy dłoń dalej nim potrząsała, a głos coraz natarczywiej powtarzał: „Hej, kolego”, kiedy to choć raz sprawy potoczyły się tak, jak powinny? Miał na koncie trochę małych sukcesów, dostarczył trochę „pakunków” w okolicznościach, które nie wymagały jakiegoś nadzwyczajnego wysiłku i sprytu. Ale to klęski pozostały z nim na zawsze. Poczdam. Berlin. Strefa. Linia. Czasem się zastanawiał nad organizacją, która nie pozbyła się pracownika z takimi wynikami. Czy Centrala zachowywała się po prostu pragmatycznie, nie chcąc tracić nawet najbardziej nieudolnych *coureurs*, czy też większość „sytuacji” tak naprawdę kończyła się katastrofą?

Otworzył oczy i zobaczył, że obok niego stoi motorniczy.

– Witam – powiedział.

Motorniczy się wyprostował.

– Koniec linii, synu – rzekł poirytowany. – Jeśli chcesz jeszcze dziś wrócić do Tallina, będziesz musiał iść pieszo.

Rudi wyjrzał przez okno i zobaczył jaśniejący światłami pałac i inne budynki Palmse. Westchnął.

– Nie, jestem w domu, dzięki – powiedział.

Branża turystyczna zawsze była ważna, jednak zespół pałacowo-parkowy w Palmse przez dziesięciolecia zarabiał przede wszystkim na różnych konferencjach. Zjeżdżali tu w tym celu maniacy komputerowi, przemysłowcy, fani science fiction i producenci bielizny. Pracownicy biurowi z całego wybrzeża Bałtyku przyjeżdżali na weekendy integracyjne i zawody paintballowe. Dorastający Rudi lubił się przyglądać tym grupom. Któregoś weekendu w pałacu odbywała się międzynarodowa konferencja szefów kuchni i piętnastoletni Rudi zakradał się, gdy tylko mógł, wszędzie tam, gdzie toczyły się dyskusje panelowe i odbywały pokazy. Przylgnął w irytujący, charakterystyczny dla niektórych nastolatków sposób do rosyjskiego szefa kuchni imieniem Siergiej, którego wybuchowy charakter sprawiał, że był dla Rudiego jeszcze bardziej interesujący. Za każdym razem, kiedy zobaczył Siergieja, ruszał za nim lub siadał obok niego w czasie posiłku i bombardował go pytaniami. Na szczęście Rosjanin mówił dobrze po estońsku.

W końcu, doprowadzony do kresu wytrzymałości, powiedział:

– Słuchaj, dzieciaku, chcesz odpowiedzi? Co? To przyjedź do Tallina, do mojej restauracji, a usłyszysz odpowiedzi na wszystkie pytania, które przyjdą ci do głowy, a może i więcej. Proszę. – Podał Rudiemu wizytówkę z nazwą restauracji. – A teraz po prostu spadaj i zostaw mnie w spokoju. Dobrze?

W następny weekend odbywała się konferencja producentów obrabiarek z północnej Anglii. Rudi miał pracować przy jej obsłudze, ale zamiast tego złapał autobus w Rakvere i pojechał do Tallina, po czym prosząc o wskazówki napotkane osoby, trafił w końcu pod adres wydrukowany na wizytówce, przy Raekoja plats na starym mieście, i po raz pierwszy otworzył drzwi Trojki.

– Robisz sobie ze mnie jaja, co? – rzucił Siergiej, wezwany z kuchni przez dość zdeprymowaną kelnerkę, której Rudi pokazał jego wizytówkę.

Rudi uniósł brodę.

– Powiedziałeś, że znajdę tu wszystkie odpowiedzi – odparł.

Siergiej – miał wtedy na głowie wspaniałą, lwią grzywę zaczesanych do tyłu włosów – zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

– Postradałeś pieprzone zmysły, chłopcze – powiedział i odwrócił się, żeby odejść.

– Powiedziałeś, że znajdę tu wszystkie odpowiedzi – powtórzył Rudi na tyle głośno, żeby mogła to usłyszeć większość ludzi w restauracji. – Czy to było kłamstwo, żeby się mnie pozbyć?

Siergiej przystanął. Ramiona trzymał w sposób, który w najbliższych latach miał się stać dobrze znany Rudiemu.

– Bo jeśli nie ma tu żadnych odpowiedzi – kontynuował Rudi – to może pójdę do innej restauracji i tam ich poszukam.

Siergiej odwrócił się i popatrzył na niego.

– Ile masz lat, chłopcze? – zapytał cicho.

Rudi błędnie uznał, że skoro szef kuchni ściszył głos, to się uspokoił. Pierwszy i ostatni raz popełnił ten błąd.

– Osiemnaście.

Siergiej przechylił głowę.

– Szesnaście – poprawił się Rudi.

Siergiej zacisnął usta.

– W listopadzie – dokończył Rudi.

Siergiej kiwnął głową. Pstryknął palcami na kelnerkę, której Rudi pokazał wizytówkę.

– Ty. Zapisz jego nazwisko i numer telefonu. – Spojrzał na Rudiego. – A teraz ty. Zadzwonię do twoich rodziców, spytam, czy pozwolą ci tu spędzić trochę czasu, okay?

Serce Rudiego wypełniała radość.

– Okay – odpowiedział.

– W porządku. A teraz spieprzaj. – I Siergiej wrócił do kuchni.

Rudi nigdy się nie dowiedział, jak przebiegła rozmowa Siergieja z Toomasem; w późniejszych latach zdarzało mu się żałować, że nikt tego nie nagrał. W wyobraźni zrekonstruował ją tak: Toomas był wściekły, że Rudi wykręcił się od weekendowych obowiązków, i złościło go to, że syn spędzał więcej czasu w kuchni niż na męskich pracach w parku. Siergiej był zirytowany, że estoński nastolatek uczepił się go jak rzep psiego ogona. Obaj mężczyźni, z własnych powodów, chcieli, żeby ta sprawa się skończyła. Zatem Siergiej zaproponował, że złamie Rudiego, a Toomas mu na to pozwolił.

W pierwszy weekend Rudi pojawił się w restauracji wcześnie, uśmiechnięty i szczęśliwy, a Siergiej wręczył mu mopa i zmusił do pracy niemal nieprzerwanie przez czterdzieści godzin. Dostawał każdą gównianą robotę w kuchni, często kilka jednocześnie. Po wszystkim przespał się w bocznym pokoiku i wrócił do Palmse tak obolały, że ledwie mógł chodzić. Gdy zobaczył ojca, dostrzegł na jego twarzy wyraz złośliwej satysfakcji. W następny weekend wrócił do Trojki i wszystko odbyło się jak poprzednio. I znowu w następny weekend. I znowu. I znowu. A gdy pewnego dnia wrócił do domu – wcale już nie obolały, bo praca go zahartowała – zobaczył, że wyraz satysfakcji na twarzy ojca osłabł, i wiedział już, że wygra.

Siergiej był twardszym przeciwnikiem niż ojciec. Podczas gdy Toomas zaczął płaczliwie narzekać, jak bardzo Rudiego brakuje w pałacu w weekendy, Siergiej w dalszym ciągu krzyczał i gonił go do roboty, a pewnego razu walnął go nawet w twarz brytfanną, która nie została wymyta zgodnie z jego wyśrubowanymi standardami mikrobiologicznymi.

Ciągnęło się to prawie dwa lata, aż pewnego dnia Rudi został dopuszczony do przygotowywania dań.

Nie mógł sobie właściwie przypomnieć, jak do tego doszło, ale pamiętał, że obaj, on i Siergiej, byli tym nieco zaskoczeni. Siergiej może nawet bardziej. I wtedy, oczywiście, zaczął się prawdziwy koszmar.

Mniej więcej przed piętnastoma laty ministerstwo przyznało Palmse fundusze na nowe, specjalnie w tym celu wybudowane centrum konferencyjne. Ogłoszono międzynarodowy konkurs na projekt budynku, który przyciągnął uczestników nawet z tak dalekich miejsc jak New Jersey. Koniec końców górę wzięły łapówki lub nepotyzm, a może patriotyzm czy po prostu doskonałość projektu, i zlecenie otrzymała firma architektoniczna z Tallina. Rudi nigdy nie zrozumiał, dlaczego tak się stało, ale przecież był tylko kucharzem, a nie architektem. Jego ojciec, który był architektem, przynajmniej z wykształcenia, chwalił centrum konferencyjne za „nowatorskie wykorzystanie tradycji bałtyckiej”, ale Rudi uważał, że wygląda ono jak olbrzymie pudło z drewna i szkła zdobione idiotycznymi barokowymi dekoracjami skopiowanymi z budynków w Petersburgu, Wilnie i innych miastach tej części Europy. Z drugiej strony jego ojciec opisał kiedyś jego polędwicę wellington – danie, z którego był wtedy

bardzo dumny – jako „przestępstwo przeciwko dobrej wołowinie”, więc tak naprawdę chodziło o to, jak mawiali Anglicy, żeby właściwy człowiek był na właściwym miejscu.

Tego wieczoru to wielkie pudło na pierniki było całe oświetlone przez zainstalowane na trawnikach reflektory halogenowe. Wyglądało to jak jeden z ostatnich gorączkowych majaków arcyksięcia Rudolfa czy też coś, co mogłoby powstać w Rurytanii, gdyby dotrwała do dwudziestego pierwszego wieku. Parking był zapełniony samochodami. Dużą ich część stanowiły hummery, najbardziej popularne pojazdy na drogach parku Lahemaa, ale były też eleganckie bmw i mercedesy, kilka starych, podniszczonych land roverów, jak również napędzane ogniwami paliwowymi minivany i pięć minibusów zbudowanych w polskich zakładach Fiata. Rudi obejrzał te minibusy, kiedy przechodził obok nich. Wszystkie były identyczne. Obszedł jeden z nich dookoła i zrobiła na nim wrażenie czystość auta. Na tablicy rejestracyjnej oprócz kodu kreskowego do odczytywania przez automaty pobierające opłaty za przejazd był także numer indeksowy, z którego wynikało, że samochód został zarejestrowany w Tallinie. Tak jak następny minibus. I następny. Rudi popatrzył na nie. Spojrzał na centrum konferencyjne. Zaczął biec.

Centrum było zbudowane wokół sali wykładowej, zaprojektowanej jak kopalnia odkrywkowa, ze sceną otoczoną koncentrycznymi pierścieniami pięćdziesięciu rzędów miejsc siedzących, które wznosiły się stromo ku sufitowi. Wokół zewnętrznej krawędzi każdego pierścienia były biura i mniejsze sale konferencyjne, jadalnie i pomieszczenia komunikacyjne. Pachniało tu wszędzie polerowanym drewnem, nowymi dywanami, klimatyzacją i rozgrzanymi lampami.

Hol, kilka hektarów odpornej na ścieranie wykładziny dywanowej, dyskretnie oświetlonych nowoczesnych mebli i kawiarenek oddzielonych od nocy przez sięgające sufitu tafle z dymnego szkła, był pusty. Rudi słyszał dobiegające z audytorium krzyki, które narastały i cichły jak fale. Spróbował otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz. Chciał ściągnąć jedną z wind, ale zostały wyłączone. Pobiegł w górę po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i na koniec dostał się do środka w połowie wysokości amfiteatru, gdzie znalazł rząd pustych foteli.

Hałas, który go przywitał, gdy tam wbiegł, nie różnił się od tego, jaki robią kibice piłki nożnej, którzy wydali dużo pieniędzy, żeby obejrzeć swój

zespół w finale Pucharu Europy. Nie udało im się kupić biletów na mecz, ale i tak przyjechali do miasta rozgrywki, żeby wesprzeć swoją drużynę i dla „atmosfery”. Miasto wydzieliło dla nich kilka miejsc w przestrzeni publicznej i zainstalowało tam ogromne ekrany, by mogli oglądać mecz. Kibice pili w dobrym nastroju przez cały dzień. Mecz się rozpoczął. A zaraz potem ekran się zepsuł. Taki to był hałas.

Z miejsca, gdzie stał, między fotelami a rzędem drzwi do biur, Rudi spojrzał w dół audytorium i zobaczył na scenie maleńką sylwetkę ojca. Sala miała eksperymentalnie zaprojektowaną akustykę, dzięki której, a także systemowi nagłaśniającemu Rudi usłyszał, jak jego ojciec mówi „…bijące serce Estonii…”, po czym jego głos utonął w ogłuszającej fali krzyków dobiegających z rzędów wokół niego i nad nim. Rudi widział, jak pod nim wybuchają bójki, słyszał ojca nawołującego: „Nie, nie dajcie im tej satysfakcji…”, zanim jego głos znów utonął we wrzawie.

Rudi się odwrócił i ruszył ku schodom, chcąc dotrzeć na parter audytorium, ale nagle otworzyły się drzwi za nim i ktoś chwycił go za ramiona, a potem pociągnął do tyłu.

Kiedy odzyskał panowanie nad sobą, stwierdził, że stoi w jednym z pomieszczeń biurowych i że oprócz niego są tu jeszcze trzej mężczyźni. Wszyscy byli w identycznych czarnych kombinezonach bojowych, kamizelkach kuloodpornych, butach i hełmach. Wszyscy mieli też zawieszone na piersiach pistolety maszynowe, pistolety automatyczne na biodrach, noże bojowe przytroczone do ud i różne inne elementy ekwipunku umocowane na całym ciele. Zamknęli drzwi i wszyscy trzej stanęli między nimi a Rudim.

– Chyba sobie żartujecie – powiedział.

Stojący w środku podniósł zasłonę hełmu, odkrywając wyrazistą męską twarz.

– Major Ash, sir – przedstawił się po angielsku. – SAS. Rząd Jego Królewskiej Mości upoważnił mnie do zaproponowania panu azylu politycznego.

– Słucham? – wyrwało się Rudiemu.

– Jestem także upoważniony do podania panu środka usypiającego i wywiezienia pana wbrew pańskiej woli, gdyby odrzucił pan naszą propozycję – dodał Ash. – Osobiście to panu odradzam. Ten środek

usypiający powoduje straszny ból głowy i pozostawia inne skutki uboczne. Postąpi pan mądrzej, idąc z nami dobrowolnie.

– Nie potrzebuję azylu politycznego – odpowiedział Rudi. Wrzawa na widowni jeszcze się spotęgowała. Rudi ruszył do drzwi. – Proszę podziękować w moim imieniu Jego Królewskiej Mości, ale jestem potrzebny tutaj.

Nagle poczuł, że coś ukłuło go w policzek, a potem obudził się w Finlandii i, jak ostrzegał major Ash, miał najgorszego kaca w dziejach ludzkości.

1. *Poiss* (est.) – chłopcze. [wróć]
2. *Vana meese* (est.) – staruszku. [wróć]
3. Aleister Crowley (1875–1947) – brytyjski okultysta i mistyk (przyp. tłum.). [wróć]

KING'S BENCH WALK

1

Pierwszego dnia postanowił być krnąbrny, niechętny do współpracy. Co okazało się bardzo łatwe. Zły, zmęczony i cierpiący po środku usypiającym, mógł tylko dowlec się do toalety, pozwolić swojemu ciału zrobić coś nieopisywalnego i powlec się z powrotem do łóżka. Nikt także nie próbował go przesłuchiwać. Walcząc z zawrotami głowy i mdłościami, starając się przeczekać atak niemal obezwładniającej migreny, obserwował młodych Anglików, którzy podchodzili do niego, dopytywali się z niepokojem, jak się czuje, po czym delikatnie ocierali mu twarz wilgotnymi ręcznikami i się wycofywali. Od czasu do czasu pojawiał się starszy dżentelmen mówiący ze szwedzkim akcentem głosem, który zdawał się wydobywać z innego wymiaru, i świecił mu w oczy, które tak bolały, że przechodziło to wszelkie ludzkie wyobrażenia. Dawał mu też zastrzyki, po których świat wycofywał się poza rozryczany czarno-biały kalejdoskop ruchomych obrazów, a on przeżywał okresy nieobecności, podczas których, jak to sobie później wytłumaczył, mógł spać.

Jeśli chodzi o jego postanowienie odmowy współpracy, pierwszy dzień był ogromnym sukcesem. Wytrwał w nim, na ile mógł to stwierdzić, tylko trochę krócej od miliona lat.

Rankiem następnego dnia otworzył oczy i odkrył, że leży w najbardziej wygodnym łóżku ze wszystkich, w jakich kiedykolwiek przyszło mu spać. Był to ten rodzaj łóżka, z którego człowieka trzeba było wynosić, żeby tylko wstał z rana. Ale nawet to bladło w porównaniu z poduszkami, na których spoczywała jego głowa, napchanymi pierzem do stanu tak precyzyjnie skalibrowanej jędrności, że mogło to być jedynie rezultatem końcowym stuleci badań. Leżał w świeżo wypranej bawełnianej pościeli

przykryty staromodną kołdrą. Było mu ciepło, czuł się bezpieczny i doskonale zrelaksowany. Cokolwiek mu się przydarzyło, najwyraźniej wpadł w ręce ludzi, którzy sen traktowali poważnie, a takich ludzi trudno nienawidzić.

Leżał tak dość długo, wpatrując się w sufit, wysoki i pomalowany na kremowo. Zdobiła go pośrodku skomplikowana kwiecista sztukateria, z której zwisał czteroramienny żyrandol wykonany chyba z mosiądzu, teraz zmatowiałego. Ładnie. Skromnie. Trochę staromodnie. Nie kiczowato.

Niechętnie, bo jeśli miałby być szczery wobec siebie, wolałby spędzić resztę życia, leżąc z głową na tych cudownych poduszkach, usiadł i rozejrzał się po pokoju.

Był on całkiem ładny. Niezbyt duży, urządzony w stylu bałtyckiego neorokoka, o którym przeczytał kiedyś duży artykuł w jakimś czasopiśmie. W dwóch ścianach były duże okna, a między nimi stało wiele różnych mebli z jasnego drewna – szafy, toaletki, komody, szafki. Tapeta, która zaledwie kilka godzin wcześniej wydawała się tak dziwacznie ozdobna, że w rzadkich momentach przytomności myślał, iż położono ją na ścianach, by doprowadzić go do szaleństwa, miała w rzeczywistości całkowicie przyzwoity pasiasty wzór z okresu regencji, w dość stonowanej kolorystyce.

Lekko uchylone drzwi do przyległej toalety, które wczoraj wydawały się tak odległe jak Proxima Centauri, były zaledwie o kilka kroków od łóżka po pokrytych dywanem deskach podłogowych.

Siedząc, zobaczył szlafrok przerzucony przez oparcie łóżka. Uznawszy to za zaproszenie, spuścił nogi na podłogę i od razu trafił stopami w pantofle, które ktoś umieścił w idealnie właściwym miejscu. Pantofle były mokasynami z miękkiej skóry pozszywanej jaskrawą nicią i wyłożonej czymś futrzastym. Odkąd wsunął w nie stopy, nie chciał już ich zdejmować. Siedział przez chwilę na skraju łóżka, poruszając palcami nóg w tych cudownych pantoflach. Miał na sobie, zorientował się nieco zbyt późno, bawełnianą piżamę.

Wstał i przez chwilę czuł, że kręci mu się w głowie, ale zaraz mu to przeszło. Wziął szlafrok i obejrzał go. Był granatowy, z monogramem na górnej kieszeni. Po przeanalizowaniu monogramu, co zajęło mu kilka minut, doszedł do wniosku, że ma on wzór składający się ze wszystkich liter alfabetu. Wyszyto je złotą nicią i zwieńczono wizerunkiem nie znanego

mu zwierzęcia heraldycznego. Włożył szlafrok, zawiązał pasek i wsunął dłonie do kieszeni.

Na wrogim terytorium zawsze zakładaj, że jesteś pod nadzorem, powiedział sobie w duchu. Nie było zatem powodu, żeby się czaić i podkradać. Podszedł do najbliższego okna, odciągnął zasłonę wraz z firaną i wyjrzał na zewnątrz. Okno wychodziło na dziedziniec anonimowego pięciokondygnacyjnego budynku. Był to duży dziedziniec i pokrywał go świeży śnieg. Na samym środku ktoś ulepił bałwana, klasycznego, z miotłą, marchewką zamiast nosa i czarnym cylindrem na głowie.

Rudi wyciągnął szyję. Widział tylko rzędy okien w innych skrzydłach budynku, wszystkie zasłonięte firankami. Drzwi na parterze. Anteny na dachach.

Puścił zasłonę oraz firankę i zaczął się rozglądać po pokoju. Jedne drzwi prowadziły do małej kuchni wyposażonej w mikrofalówkę, płytę indukcyjną, czajnik i lodówko-zamrażarkę. W lodówce były butelki z wodą, opatrzone etykietami w języku fińskim, kilka opakowań pokrojonego gotowanego mięsa, jedno opakowanie surowego boczku, kostka nie solonego masła, sześć jaj, litr półtłustego mleka, torba i wstępnie opłukana sałata. W zamrażarce leżały starannie owinięte i oznakowane paczki wołowiny, wieprzowiny i jagnięciny, kilka torebek mielonej wołowiny oraz pojemnik lodów czekoladowych Häagen-Dazs. W szafce obok umywalki Rudi znalazł druciany kosz pełen cebuli, marchwi i ziemniaków. W innej szafce odkrył cztery rodzaje chleba. Były tam jeszcze kubki, filiżanki i talerzyki. Papierowe torby z mąką, zwykłą oraz z dodatkiem proszku do pieczenia. Paczki herbaty, kawy i cukru. Nie otwarta butelka oleju słonecznikowego, nie otwarta butelka oliwy z oliwek. Trochę tych małych opakowań czekoladowych herbatników, które dają w hotelach. Paczki bulionu w kostkach – wołowego, jagnięcego, wieprzowego i warzywnego. Na ścianie wisiała półka, na której stały niewielkie, jeszcze nie otwierane słoiczki przypraw oraz akrylowe młynki do soli i pieprzu. W kolejnej szafce były garnki, miski i naczynia. Rudi przez chwilę przyglądał się stojakowi na noże wielkości małego plecaka, z którego wystawały rękojeści chyba wszystkich rodzajów noży kuchennych, jakie kiedykolwiek wyprodukowano. Wyjął jeden z nich i zważył go w ręce. Sabatier. Nie powinno się go przechowywać w takim stojaku, nie zasłużył na takie

traktowanie. Wsunął go z powrotem na miejsce i sprawdził pojemnik na odpady kuchenne, w którym oprócz plastikowego worka na śmieci nie było niczego.

Wróciwszy do głównego pokoju, stał przez chwilę z rękami w kieszeniach szlafroka, po czym wydął policzki. Następnie poszedł do łazienki, spodziewając się w niej nieporządku, ale było tam czysto i schludnie i nie został nawet ślad po tych strasznych rzeczach, które ostatnio robiło tam jego ciało. Była ładnie wyłożona jasnoniebieskimi kafelkami. Sedes, bidet, umywalka, prysznic – wszystko w bieli. Mydło w opakowaniu i nie otwarte butelki szamponu z fińskimi etykietami. Spray do zębów i szczoteczki, wciąż szczelnie zamknięte w plastiku, leżały przy umywalce obok dwóch podobnie opakowanych szklanek i zestawu do golenia, pojemnika z żelem oraz plastikowych maszynek. Pod umywalką była szafka z rolkami papieru toaletowego na półce oraz środkami czyszczącymi na dole. Spojrzał na siebie w lustrze nad umywalką i stwierdził, że zważywszy na okoliczności, nie wygląda aż tak źle. Może był trochę za blady. Na policzku miał malutki czerwony ślad w miejscu, gdzie jeden z ludzi Asha trafił go, jak przypuszczał, rozpuszczalnym kryształkiem środka usypiającego. Przeczesał palcami włosy i wrócił do sypialni.

Szafy. W szafie na ubrania nie było niczego oprócz pustych wieszaków i kilku zapachowych saszetek ponoć odstraszających mole. W jednej z szuflad biurka znalazł długopis i notatniki z papieru bardzo dobrej jakości. Otworzywszy drzwi jednej z szaf, zobaczył supernowoczesne domowe centrum multimedialne z interfejsem umożliwiającym sterowanie gestami i pamięcią zawierającą tysiące albumów oraz filmów. Machnięciem ręki wywołał menu główne, przejrzał opcje, zamknął menu, znowu wsunął dłonie do kieszeni i rozejrzał się po pokoju.

To wszystko miało sprawić, oczywiście, że się poczuje bezpiecznie, że będzie spokojny i szczęśliwy. I rzeczywiście sprawiało, nie tylko w oczywisty sposób. Poza wszystkim innym pokój był wiadomością. Powiedział mu, że ludziom, którzy go uprowadzili, nie brakuje zasobów. Powiedział, że są profesjonalistami, że odrobili pracę domową – umożliwili mu samodzielne gotowanie. Powiedział mu, jakie ma szczęście, że nie został przykuty do kaloryfera w jakimś opuszczonym mieszkaniu w jednej z wielu złych części Warszawy. Powiedział mu wreszcie, że gdyby ludzie,

którzy go uprowadzili, chcieli, aby się obudził przykuty do kaloryfera w opuszczonym mieszkaniu w złej części Warszawy, to właśnie tam by się obudził.

Nie powiedział, oczywiście, kim oni, do diabła, są. Samo powiedzenie, że się reprezentuje brytyjski rząd, wcale nie czyniło tego prawdą.

Wtem ktoś dyskretnie zapukał do drzwi. Rudi się odwrócił, a że nic nie powiedział, pukanie się powtórzyło. Oczywiście wiedzieli, że już wstał, ale najwyraźniej byli zdecydowani zachowywać się uprzejmie.

– Proszę wejść! – zawołał.

Nie usłyszał, jak obraca się klucz w zamku. Drzwi się otworzyły i młoda kobieta wtoczyła do pokoju wózek okryty szarą serwetą. Miała kasztanowe, upięte w kok włosy i rumieniec na twarzy, jakby właśnie przyszła prosto z dworu. Ubrana była w długą spódnicę ze sztruksu i białą bluzkę spiętą na szyi srebrną broszką w kształcie małej sowy. Uśmiechnęła się słonecznie.

– Dzień dobry – powiedziała beztrosko. – Jak się dziś czujemy?

Rudi, pośpiesznie przebiegłszy w myślach dostępne mu opcje, załadował swój angielski z akcentem estońskim oraz mowę ciała wyrażającą skrajne oburzenie i zagubienie.

– Kim pani jest? – zapytał. – Gdzie ja jestem? Co pani ze mną robi?

Kobieta nie odpowiedziała. Uśmiechając się dalej, wtoczyła wózek na środek pokoju, gdzie zdjęła serwetę. Na górze była mała waza z zupą, talerz i łyżka. Na półce poniżej leżały jakieś zawiniątka.

– Musisz być głodny, biedaku – powiedziała. – Pomyśleliśmy, że pewnie chciałbyś zjeść trochę rosołu z kury.

– Kim pani jest? – powtórzył pytanie. – Co to za miejsce? Czego chcecie?

– Och, nie musisz się o nic martwić – odpowiedziała radośnie, po czym nalała mu zupy i przeniosła talerz na stół przy jednym z okien.

Rosół pachniał cudownie, ale Rudi nie ruszył się z miejsca.

– Nie chcę zupy – rzucił stanowczo. – Chcę wiedzieć, co się dzieje. Dlaczego jestem tu uwięziony? Kim pani jest?

– Możesz mnie nazywać Jane, jeśli chcesz – zaproponowała i odwróciła się od stołu. – Powinieneś coś zjeść. Żeby zachować siły.

– Nie jestem głodny – powiedział, chociaż był.

– Oczywiście sam możesz sobie coś przyrządzić – kontynuowała Jane. – Pomyśleliśmy po prostu, że dziś rano wolałbyś dostać coś już gotowego.

Rudi wciągnął powietrze w płuca.

– Kim jesteś?! – wrzasnął. – Co się dzieje?!

Jane zrobiła tak smutną minę, że Rudi od razu poczuł się winny, że na nią krzyknął. Wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozpłakać.

– Posłuchaj, jeśli nie chcesz zupy… – Jej dolna warga naprawdę drżała.

Rudi westchnął.

– Tak. Tak, chcę zupę. Dziękuję ci. Przepraszam.

Jej twarz trochę się rozjaśniła w lekkim uśmiechu, jakby ktoś przekręcił niewidzialny regulator o stopień lub dwa w górę.

– O to chodziło – powiedziała przygaszonym głosem.

– Chcę wiedzieć, co się ze mną dzieje – rzekł spokojniej.

– Oczywiście, że chcesz. I ktoś wkrótce tu przyjdzie, żeby ci powiedzieć. Obiecuję. – Ruszyła do drzwi, obchodząc go szerokim łukiem i unikając jego wzroku. – Na wózku jest kilka czystych rzeczy do ubrania – dodała. – Przyjdę później, żeby sprzątnąć naczynia. – I wyszła z pokoju.

Po jej odejściu Rudi stał przez chwilę na środku pokoju, starając się zrozumieć, co się właśnie stało. Wyglądało na to, że został całkowicie rozbrojony przez płaczliwą angielską dziewczynę. Zastanawiał się, czy wciąż jest pod wpływem narkotyku.

Podszedł do drzwi i spróbował je otworzyć, ale gałka nie chciała się obrócić, chociaż nie słyszał przekręcania klucza w zamku. Westchnął, podszedł do stołu, podniósł łyżkę i popatrzył na talerz rosołu. Był klarowny i złocisty, z jedynie lekkim połyskiem tłuszczu na powierzchni, i pływały w nim malutkie kawałki marchwi, brukwi oraz selera. Zanurzył łyżkę i uniósł ją do ust. To był najlepszy rosół z kury, jakiego kiedykolwiek próbował. Być może najlepszy rosół z kury, jaki kiedykolwiek ugotowano. Usiadł i zaczął jeść.

Rzeczy do ubrania okazały się parą świetnie skrojonych dżinsów, bokserkami, skarpetkami, zwykłą czarną koszulką i bluzą z jasnoszarego polaru zapinaną na zamek błyskawiczny. Były najlepiej pasującymi ciuchami, jakie kiedykolwiek miał na sobie, co było irytujące. Jakaś część jego umysłu rozkoszowała się tymi wszystkimi fantastycznymi rzeczami. Inna część była rozdrażniona myślą, że kiedy był nieprzytomny, ktoś musiał go dotykać i mierzyć, aby go tak dobrze ubrać. Jeszcze inna część była wręcz rozgniewana tym, jak ewidentnie nim manipulowano, z czego zdał

sobie sprawę, gdy się tylko nad tym głębiej zastanowił. I rozzłościł się jeszcze bardziej, gdy sobie uświadomił, jak łatwo można go było kupić wygodnym łóżkiem.

Zjadł całą wazę rosołu z kilkoma grubymi kromkami żytniego chleba. W połowie trzeciego talerza przyszło mu na myśl, że zupa może być zaprawiona narkotykiem, ale wtedy było już za późno na cokolwiek, a poza tym uznał, iż zjedzenie tego cudownego rosołu jest warte ryzyka ponownego odurzenia. Kiedy skończył jeść, włożył ubranie. Potem przez jakiś czas chodził po apartamencie.

Znalazłszy się przy centrum multimedialnym, jeszcze raz machnięciem ręki wywołał interfejs i zastosował wszystkie z najczęściej używanych hakerskich chwytów, jakie zdołał sobie przypomnieć. Na pewno spodziewali się, że to zrobi, nie chciał więc sprawiać im zawodu. Jednakże żaden z tych chwytów nie odniósł skutku. Żaden nie pomógł mu ustalić miejsca jego pobytu; żaden nie stworzył mu możliwości zatelefonowania, wysłania e-maila, esemesa lub tweeta. Żaden nie pozwolił mu umieścić posta w jakimkolwiek biuletynie informacyjnym lub portalu społecznościowym.

W końcu się poddał i spróbował przejrzeć wiadomości. Było tam coś, co wyglądało na całodobowy lokalny kanał informacyjny, i tak, wydawało się, że jest po fińsku. Chociaż były także kanały amerykańskie, francuskie, hiszpańskie oraz brytyjskie i żadnemu z nich nie przypisano priorytetu.

Zerknął na pierścień menu w powietrzu przed sobą, przyłożył do niego palec i pociągnął w dół, a na ekranie pojawił się biały arkusz informacyjny z listą możliwości do wyboru, przy czym wszystkie były opisane po angielsku. Wskazał na „Internet” i jako strona główna pojawił się Google z obrazem klawiatury. Wyciągnął ręce i wystukał w powietrzu „Palmse”.

Były relacje – niezbyt wiele i głównie na estońskich portalach informacyjnych – o rozruchach w centrum konferencyjnym. Rząd przedstawił to jako działania grupy protoseparatystycznych zbirów, którzy zdemolowali centrum w sprzeciwie wobec władz w Tallinie. Kilku blogerów – według nowego nazewnictwa dziennikarzy obywatelskich – dzieliło się swoimi podejrzeniami, że „protoseparatystyczne zbiry” zostały tak naprawdę zwiezione autobusami do Palmse przez rząd, by rozpędziły zgromadzenie. Bloger o nicku żelaznykrólik – Rudi był prawie pewien, że to młody człowiek – napisał nawet, że przeprowadził wywiad z jednym

z uczestników zamieszek, który powiedział mu, że wszystkim im zapłacono za to, co zrobili tego wieczoru. Od tamtej pory żelaznykrólik niczego nie opublikował.

Dość często, przynajmniej w lokalnych mediach, wspominano o jego ojcu jako liderze protoseparatystów. Autorzy wszystkich relacji podawali mylnie jego wiek, a jeden z nich przekręcił jego nazwisko. Był w szpitalu z poważnymi, ale nie zagrażającymi życiu obrażeniami. O Ivarim ani słowa. Rudi sprawdził stronę internetową parku, ale sekcja wiadomości nie została zaktualizowana od ponad miesiąca. Spróbował wygooglować Ivariego. Nie znalazł niczego oprócz kilku stron starych fotografii brata z różnymi znakomitościami, na których wskazywał coś w oddali i wyglądał nieustraszenie. Rudi przez chwilę przyglądał się fotografiom, po czym wyłączył wszystko i podszedł do okna. Znowu zaczął padać śnieg.

Trzeciego dnia był już bardzo znudzony.

Dobrze było pokrzykiwać na młodych Anglików, domagać się wyjaśnień i ogólnie sprawiać im kłopot, ale to wszystko po prostu się od nich odbijało. Byli tak boleśnie uprzejmi, że czuł się podle, gdy ich obrażał. Niektóre z dziewcząt wychodziły od niego ze łzami w oczach. To było wręcz surrealistyczne i w ostatecznym rachunku zupełnie bezcelowe.

W końcu powiedział do Jane, gdy przyszła zapytać, czy czegoś nie potrzebuje:

– No dobrze. Jestem *coureur*. Chciałbym porozmawiać z reprezentantem mojej organizacji. Człowiekiem o nazwisku Kaunas, jeśli to w ogóle możliwe.

Nic na to nie powiedziała, ograniczając się do zwyczajowych uprzejmości, ale godzinę później nadeszła odpowiedź w osobie pogodnego, przysadzistego, siedemdziesięcioparoletniego dżentelmena, który przedstawiwszy się jako Gibbon, usadowił się w jednym z foteli w apartamencie Rudiego, otworzył staromodną skórzaną teczkę na dokumenty, wyjął z niej stare wieczne pióro i mrugnął do Rudiego.

– Chcę stąd wyjechać – oznajmił Rudi, gdy te przygotowania dobiegły końca.

Gibbon smętnie pokręcił głową.

– Przykro mi, ale mamy informacje, że twoje życie jest zagrożone – powiedział z żalem.

– Przez kogo?

Gibbon zajrzał do dokumentów z teczki.

– Niektóre frakcje w kontrwywiadzie Wielkich Niemiec – odpowiedział, przesuwając tylną częścią pióra po kolejnych pozycjach listy. – Rząd estoński. Centrala Coureur.

– Słucham? – wtrącił Rudi, któremu dreszcz przebiegł po plecach, chociaż wiedział, że prawie na pewno jest to część prowokacji.

Gibbon uniósł brwi i ustawił pióro we właściwej pozycji.

– Tak. – Popatrzył spokojnie na Rudiego. – Mamy raczej pewną informację, że twoi ludzie chcą cię zabić. Obawiam się, że nie wiemy dlaczego.

– To niemożliwe – powiedział Rudi, bez powodzenia próbując sobie wyobrazić coś tak potwornego. Centrala miałaby zabić jednego z własnych ludzi?!

– To raczej pewna informacja – powtórzył Gibbon.

– Skąd pochodzi?

Gibbon westchnął i podrapał się po głowie.

– Tak, no cóż, przecież zawsze zdradzamy nasze źródła całkiem obcym ludziom – powiedział z sarkazmem. Przypiął pióro do dokumentów w teczce i złożył ręce na pokaźnym brzuchu. – Obecnie jest niewiele miejsc, w których mógłbyś być bezpieczny, a jedno z nich jest u nas.

Rudi patrzył na niego przez chwilę.

– Czyżby panował zastój w interesach i angielski wywiad z braku zajęcia podejmuje się akcji ratunkowych? – zapytał.

Gibbon roześmiał się, jakby uznał to za bardzo śmieszne.

– Och, Boże drogi, nie – odpowiedział, kręcąc głową. – Chociaż to dobra myśl, naprawdę.

– A zatem, zakładając, że zaakceptujemy tę fantastyczną historię, którą mi pan opowiedział, jest oczywiste, że czegoś ode mnie chcecie.

– Przypuszczalnie – zgodził się Gibbon, wciąż chichocząc na myśl o MI6 objeżdżającej świat niczym rycerz na białym koniu.

– Przypuszczalnie?

Gibbon przesunął się na fotelu.

– Czy mogę być z tobą szczery? – spytał.

– To by była przyjemna odmiana. Tak.

– Mojej placówce polecono udzielić pomocy w przerzuceniu zespołu majora Asha do Estonii i wywiezieniu przezeń ciebie z tego kraju. Obarczono nas także zadaniem sprawowania opieki nad tobą, dopóki nie dojdziesz do siebie w stopniu pozwalającym udać się w podróż.

– Podróż dokąd?

Gibbon sprawiał wrażenie skonsternowanego.

– No cóż, do Londynu, oczywiście.

– Gdzie będą wszystkie odpowiedzi?

Gibbon wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: Cóż, Londyn… kto ich tam wie? Zamknął teczkę.

– Wiedz, że mówię ci to wszystko z zawodowej uprzejmości – powiedział. – Ci w Londynie patrzą na was, kurierów, z góry, ale my tutaj mamy dla was wiele szacunku.

– Niewystarczająco wiele, aby dobrze zapamiętać naszą nazwę – palnął Rudi i zawstydził się już w chwili, gdy te słowa opuściły jego usta. Gibbon przynajmniej traktował go przyzwoicie, nawet jeśli wszystko, co mówił, było prawdopodobnie kłamstwem.

Gibbon uniósł brew.

– No tak, cóż – powiedział. – Tak czy owak lecisz do Londynu. I być może znajdziesz tam wszystkie odpowiedzi. Przykro mi tylko, że musieliśmy się spotkać w takich okolicznościach. Chętnie porozmawiałbym z tobą o sprawach operacyjnych.

– Tylko że potem musielibyśmy się pozabijać – odparł Rudi.

Gibbon zachichotał.

– Tak, jest taka możliwość.

– To naprawdę nudne życie.

– Twoje nie wydaje się takie.

– To nie moja wina.

– Jesteś pewny?

– Byłem na urlopie, kiedy pańscy pupile ze służb specjalnych mnie porwali.

– Ocalili ci życie – poprawił go łagodnie Gibbon.

– Rzekomo. – Myśl o tym sprawiła jednak, że ręce Rudiego pokryła gęsia skórka.

Gibbon albo bardzo dobrze opanował sztukę czytania z twarzy, albo był telepatą. Pokiwał głową.

– W całym tym zamieszaniu łatwo byłoby cię sprzątnąć, nieprawdaż?

Rudi przełknął lęk przed siłami wykraczającymi poza jego zdolność rozumienia.

– To absurdalne. Co niby zrobiłem, żeby na to zasłużyć?

Gibbon wzruszył ramionami.

– Przykro mi, ale miałem dostęp tylko do tych informacji, które ci przekazałem.

Rudi patrzył na Anglika bardzo długo, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć. Gibbon zaś siedział spokojnie w fotelu, jakby oglądał jakiś szczególnie kojący wiejski krajobraz.

W końcu Rudi zapytał:

– Kiedy wyjeżdżam?

2

Ten skok był niesamowity.

Kontakty Rudiego z wywiadami różnych państw były przez lata dość ograniczone. W jego przekonaniu ludzie pracujący w tych służbach byli przeważnie zawodowcami, chociaż nie mieli żadnych skrupułów.

Natomiast MI6 zdawało się działać zupełnie bez planu, rozwiązując problemy, w miarę jak się pojawiały, i najwyraźniej wspomagając się przy tym, jako poradnikiem, książką z dowcipami.

O szóstej rano następnego dnia po rozmowie Rudiego z Gibbonem rozległo się energiczne pukanie do jego drzwi i do pokoju wsunął głowę major Ash, wyglądający dość dobrodusznie w jasnobrązowych spodniach chino, ciemnoniebieskiej marynarce i niebieskiej koszuli z krawatem w czerwono-niebieskie paski.

– Czy jest pan gotowy do wyjścia, sir? – zapytał wesoło.

Rudi był jeszcze w piżamie oraz szlafroku i siedząc przed centrum multimedialnym z rękami uniesionymi w przerwanym w pół geście, czytał wiadomości zamieszczone na stronie internetowej BBC.

– Właściwie to nie, nie – odparł.

Ash wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Miał czarną torbę podróżną, którą podał Rudiemu.

– Lot trwa trzy godziny – powiedział. – Może pan się zechce ubrać.

W torbie było kilka sztuk wręcz przykładnie codziennej odzieży – dżinsy, bluza, bielizna, buty treningowe i do kompletu kolejny polar zapinany na zamek błyskawiczny. Rudi popatrzył na to, a następnie na Asha i poszedł do łazienki, aby się ubrać.

Nie miał bagażu, więc przygotowania do wyjazdu były nieskomplikowane. Kiedy Ash wyprowadzał go z pokoju, zrobiło mu się nawet trochę żal. Podobało mu się tutaj.

Wyłożonym grubą wykładziną korytarzem Ash poprowadził go do windy, którą zjechali do podziemnego garażu. Czekało tam na nich piękne czarne bmw. Wsiedli do niego i wyjechali, dołączając do innych samochodów z porannego szczytu na wciąż tonących w ciemnościach ulicach Helsinek.

Rudi nie znał miasta na tyle, by się w nim dobrze orientować, gdy więc przejeżdżali obok brytyjskiej ambasady, mignął mu duży, imponujący, oficjalnie wyglądający budynek, ale że do tej pory nie miał okazji obejrzeć go z zewnątrz, to szczerze mówiąc, mógł to być jakikolwiek wielki, imponujący, oficjalnie wyglądający budynek. Zanim wyrobił sobie jakieś pojęcie, gdzie są, jechali już na lotnisko.

Tam zaś, przestraszony, znalazł się w kolejce do kontroli paszportowej i kontroli bezpieczeństwa. Stał w niej wraz z rodzinami, starymi ludźmi, nastolatkami i dużą, niezwykle hałaśliwą grupą studentów, którzy, jak wynikało z ich krzykliwych rozmów, wybierali się do Madrytu.

W samochodzie Ash podał mu kopertę z fałszywym paszportem i wydrukiem biletu. Paszport był jedyną rzeczą, którą Rudi mógł później uznać za coś w pewnej mierze przypominającego wyrób rzemieślniczy, ale wtedy nie próbował już zgadywać, co się działo w głowach szefów brytyjskich tajnych służb.

E-bilet był na miejsce w samolocie taniej linii lotniczej obsługującej to połączenie. Rudi wpatrywał się w ten kawałek papieru tak długo, że omal nie zapomniał oddać go przy odprawie biletowo-bagażowej.

Po drugiej stronie stanowisk kontroli Ash poprowadził go do Starbucksa w hali odlotów i tam Rudi siedział w nerwach przez pięćdziesiąt minut, aż nadszedł czas ich lotu.

W pewnym momencie Ash wstał i powiedział:

– Idę siku. Wrócę za chwilę – i poszedł przez halę odlotów w kierunku toalet, zostawiając Rudiego zupełnie samego.

Czy go obserwowano? Czy to był test? Wszelkie myśli o ucieczce opuściły Rudiego zupełnie, kiedy przechodził przez kontrolę paszportową i bezpieczeństwa. Siedział zatem, nie ruszając się z miejsca, i pił kawę zafascynowany grozą, jaką to wszystko go przejmowało.

Sam lot należał do tych, podczas których ma się do dyspozycji jedynie miejsce do siedzenia, a stewardesy sprzedają zbyt drogą kawę, zbyt drogie perfumy i różne drobiazgi z logo przewoźnika. Ash miał kilka kanapek przygotowanych w ambasadzie i podał mu jedną. Rudi rozwinął papier i zobaczył cienki kawałek mięsa oraz trochę galaretki między dwiema grubo posmarowanymi masłem pajdami białego chleba. Ze zbolałą miną z powrotem zawinął kanapkę.

– Konserwa mięsna – wyjaśnił Ash, gdy zobaczył jego spojrzenie.

– Napiję się tylko kawy, jeśli można – powiedział Rudi, oddając mu kanapkę.

– Cóż, jeśli pan jej nie chce… – odparł Ash i zjadł ją z apetytem.

Kilka godzin później byli już w Anglii, gdzie wylądowali w Stansted i ustawili się w kolejce do odprawy paszportowej. Kiedy urzędnik zapytał go o cel wizyty, z trudem stłumił chęć powiedzenia, że gra w bardzo, bardzo złym filmie szpiegowskim.

Zdaniem Rudiego dla suwerennego państwa najlepiej byłoby wywieźć ważny „pakunek” z innego kraju prywatnym samolotem pod przykrywką dyplomatyczną. Po żadnej ze stron nie byłoby wtedy funkcjonariuszy tajnych służb ani celników, a na płycie lotniska czekałby samochód, który zawiózłby go do miejsca przeznaczenia. Wydawało mu się zatem, że śni na jawie, gdy jechali pociągiem do Londynu, a potem metrem do Blackfriars, na koniec zaś przeszli nabrzeżem Tamizy do nieodległego miejsca, które Ash nazwał Temple.

Które wcale nie okazało się świątynią, lecz spokojną dzielnicą wysokich domów szeregowych i ogrodów schodzących ku nabrzeżu. Kiedy Ash wprowadził Rudiego do jednego z tych domów – gdy wchodzili, Rudi zobaczył tabliczkę z wykaligrafowaną listą nazwisk zwieńczoną słowami „Smithson’s Chambers” – w wejściu czekał na nich niewiarygodnie wysoki, okazały Amerykanin, który mocno uścisnął jego dłoń i powiedział:

– Mów mi Red, dobrze?

I tak Rudi, wykradziony z Estonii przez SAS, niańczony przez MI6, znalazł się w prawdziwie kafkowskiej sytuacji.

3

W weekendy dzielnica była pusta. Trochę turystów kręciło się po Fleet Street, ale prawdziwy ruch zaczynał się, dopiero za High Court, w kierunku Trafalgar Square. W niedzielę można było wyjść z bramy Mitre Court przy Fleet Street i przez kilka minut nie widzieć żywej duszy.

W dni powszednie było inaczej. Fleet Street wyrastała wtedy na główną arterię pomiędzy Westminsterem i City.

Fala ludzi dojeżdżających do pracy wylewała się ze stacji w City Thameslink, Blackfriars, Farringdon, Temple i Chancery Lane między ósmą a dziesiątą. Pasażerowie na najwyższych pokładach przejeżdżających autobusów, wszyscy zgodnie pochyleni nad porannymi gazetami lub powieściami, zdawali się niecierpliwie wyczekiwać kolejnego dnia pracy. A potem, wieczorami, wszystko to działo się w odwrotnej kolejności. Dojeżdżających metrem pochłaniały stacje, pasażerowie autobusów przeglądali popołudniówki lub wracali do rozdziałów powieści, które czytali rano. Rudi obserwował to niemal przez siedem tygodni i był przekonany, że życie w Londynie ma już mniej więcej podsumowane. Występowały w nim pływy, podobnie jak w rzece tego miasta, wielkie ludzkie fale, które wpływały do stolicy i z niej wypływały. A któregoś razu jedna z tych fal przyniosła tu Rudiego.

– Hej tam – powiedział wesoło pan Bauer, przechodząc przez salon w drodze do gabinetu. – Jak się dziś ma nasz chłopak?

– Świetnie, dziękuję, panie Bauer – odpowiedział Rudi po angielsku.

Pan Bauer zatrzymał się pośrodku wytartego afgańskiego dywanu i oparłszy ręce na biodrach, przyjrzał się Rudiemu.

– Ile razy ci już mówiłem? – spytał. Rudi miał już odpowiedzieć, że pewnie z dziesięć albo i piętnaście razy, ale pan Bauer kontynuował, nie czekając na niego: – Jestem Red, synu. Nikt nie nazywa mnie panem Bauerem.

– Pan Self to robi – odpowiedział Rudi, obserwując oczy pana Bauera, które przybrały lekko nieobecny wyraz, gdy zastanawiał się nad odpowiedzią.

Pan Bauer, Amerykanin, przypominał ogromny zrujnowany budynek. Miał dobrze ponad dwa metry i był imponująco szeroki w ramionach, chodził po Temple zamaszystym krokiem niczym Ozymandias, powiewając na wietrze wielką białą grzywą i witając się wylewnie z kolegami adwokatami bez względu na to, czy ich znał, czy nie. Trzeba się było trochę zbliżyć do pana Bauera, aby zobaczyć kieszenie jego garnituru, podniszczone od noszenia rzeczy, których nie należało nosić w kieszeniach garniturów, aby zobaczyć, jak zdrowy rumieniec na jego policzkach rozszczepia się na pajęczynę popękanych żyłek, aby zobaczyć zdarte podeszwy jego niegdyś wspaniałych butów firmy GJ Cleverley.

Po chwili pan Bauer znowu skupił wzrok.

– Ale, hej – powiedział, machając palcem na Rudiego. – Ty musisz mi mówić Red, dobrze?

– Dobrze – odparł Rudi, odkładając książkę.

Pan Bauer uniósł imponujące brwi.

– No to mamy umowę, prawda?

Rudi skinął głową.

– Mamy umowę – potwierdził posłusznie z fotela po przeciwnej stronie pokoju. – Red.

– I o to chodzi! – oświadczył Bauer. – Mamy umowę. Tak. A teraz, jeśli mi wybaczysz, muszę, hm… – i odwróciwszy się, wyszedł tak, jak wszedł.

Rudi siedział przez chwilę na miejscu. Następnie spojrzał na książkę leżącą grzbietem do góry na stoliku przy jego fotelu. William Shirer, *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy*. Pokoje pana Bauera były pełne starych papierowych książek, a niektóre z nich miały prawie sto lat. Na podstawie samych ich tytułów nie sposób było ustalić, czym właściwie pan Bauer się interesuje, chyba że interesował się wszystkim. Książki historyczne sąsiadowały tu z podręcznikami obsługi komputerowych systemów operacyjnych, dawno już wszędzie zapomnianych, z wyjątkiem niektórych części Trzeciego Świata, gdzie zachowały się przestarzałe i odrzucone szczątki epoki komputerowej, które trafiły tam w ramach pomocy. Wielkie stosy biografii gwiazd filmowych, większość zniechęcająco gruba. Takie mnóstwo powieści ze złamanymi grzbietami i pozaginanymi rogami, że wydawało się niemożliwe, by człowiekowi starczyło życia na przeczytanie ich wszystkich. Dwie książki kucharskie, z których pierwsza wyglądała na pierwsze wydanie *River Café Cook Book* Ruth Rogers i Rose Gray, a druga

była dziwaczną małą książeczką w spiralnej oprawie, z rysunkiem uśmiechniętego psa na okładce umieszczonym pod tytułem *Gotujmy z Harim Vexem!* Hari Vex – jeśli to rzeczywiście był on – najwyraźniej był berneńskim psem pasterskim, a same przepisy sprawiały wrażenie ułożonych przez szefa kuchni na skraju katastrofalnego załamania nerwowego.

Na szczęście do spraw kulinarnych – i wielu innych – pan Bauer miał panią Gabriel, szatynkę o kurzej klatce piersiowej, strażniczkę pralni, kuchni oraz kluczy i jedyną osobę w Smithson's Chambers, która wiedziała, gdzie co jest, a przynajmniej potrafiła to coś zlokalizować, dopóki było jeszcze potrzebne lub choć trochę ważne. Nosiła grube brązowe pończochy, na codzienne ubranie wkładała szkaradną syntetyczną podomkę, a na nogi płaskie buty z podeszwami z jakiegoś materiału, który się elektryzował, gdy szurała nimi po podłodze. Powodowało to mikrowyładowania elektrostatyczne, dzięki czemu można było usłyszeć, jak nadchodzi po wytartych dywanach Chambers, trzaskając przeskakującymi iskierkami niczym mała burza elektryczna.

Rudi poświęcił trochę czasu na rozważania nad naturą jej związku z panem Bauerem. Żona? Córka? Kochanka? Pielęgniarka? A potem wszystko stało się jasne: pani Gabriel była gospodynią pana Bauera, a zatem wykraczała poza te wszystkie jedynie tymczasowe opisy. Bez pani Gabriel pan Bauer nie tylko nie mógłby funkcjonować – nie mógłby w ogóle istnieć. Była ona jedną z tych solidnych, nieskłonnych do eksperymentowania angielskich kucharek, na których ciężkich potrawach i pożywnych sosach wyrosły od czasów Wielkiej Gry [1] całe pokolenia uczniów prywatnych szkół średnich. Nie chodziło o to, że Rudi nie lubił jej kuchni, ale o to, że za każdym razem, gdy podawała zapiekaną w cieście wołowinę z cynaderkami, z rytualnym wręcz dodatkiem gotowanych ziemniaków i gotowanej marchewki z groszkiem, a zaraz po tym pojawiała się sosjerka z porcelany z Limoges z ładunkiem o aksamitnym, delikatnym smaku, czuł, jak ogarnia go mroczne skrzydło depresji. Chętnie zaproponowałby inne angielskie potrawy, być może à la Fergus Henderson, ale podejrzewał, że już pierwsza wzmianka o pieczonym szpiku ogromnie wzburzy panią Gabriel i inne gospodynie domowe, skłaniając je do nocnej

napaści na Smithson’s Chambers z widłami, kosami oraz płonącymi pochodniami w rękach.

Pod pokojami pana Bauera Smithson’s Chambers tętniła codzienną pracą, niosąc nadzieję i pomoc słabym, ubogim, pozbawionym nadziei i, szczerze mówiąc, niepoczytalnym. Pan Bauer przybył do Londynu niemal pięćdziesiąt lat temu, ściskając swój świeżo wydrukowany dyplom ukończenia studiów prawniczych na Harvardzie, niezależny finansowo ze względu na swoje powiązania z pewną bogatą bostońską rodziną i zdecydowany prowadzić pro bono najbardziej beznadziejne sprawy, bronić klientów, których nie chcieli reprezentować nawet najodważniejsi adwokaci w dziejach korporacji prawniczych. I przez długi czas – a właściwie bardzo długi czas – odnosił na tym polu sukcesy. W sądzie raz po raz rzucał najwybitniejszych sędziów na kolana, zostawiając ich krwawiących i błagających z płaczem o miłosierdzie, podczas gdy jego klienci wychodzili wolni. Bronił ludzi równych sobie i drobnych złodziei, szantażystów i krzywoprzysięzców, morderców i – raz – zdrajcę Królestwa, urzędnika ministerstwa spraw zagranicznych, którego przyłapano na przekazywaniu poufnych dokumentów ministerialnych kontaktowi w ambasadzie Rosji. Tę sprawę przegrał – niektórzy mówili, że celowo, bo lojalność wobec kraju była dlań sprawą najwyższej wagi. Ale wygrał wystarczająco dużo innych spraw, by przetrzeć szlak przez brytyjski system prawny. Powstał o nim nawet stary film biograficzny, nakręcony podczas jednego z tych krótkich, łatwych do przegapienia okresów, gdy Hollywood ponownie zaczynał się interesować dramatami sądowymi.

Dość powszechnie zgadzano się, że obecnie jest podupadłym olbrzymem. Ale wciąż jednak olbrzymem. I dlatego gdy witał się wylewnie z kolegami po fachu, oni mu odpowiadali, bo nawet jeśli nie wiedział, kim są, oni wiedzieli, kim dawno temu był on.

Rudi pomyślał, że został porwany i wpadł w ręce szaleńców.

Jakby wezwany tą myślą, przez pokój przeszedł pan Self, prawdopodobnie szukając pana Bauera. Pan Self był trupio bladym młodym mężczyzną, który nosił modne garnitury i jeszcze modniejsze bokobrody i miał jeden z najbardziej nieszczerych uśmiechów, jakie Rudi kiedykolwiek widział. Przywołał go na twarz, gdy zobaczył siedzącego w fotelu Rudiego.

– Hej, Rudi – powiedział, tryskając fałszywą życzliwością. – Masz wszystko, czego ci trzeba? To dobrze. Jest świetnie, co? Szukam pana Bauera. Czy ten wielki człowiek nie przechodził tędy niedawno?

– On bardzo by chciał, żebyśmy go nazywali Red – rzekł Rudi, nie ruszając się z miejsca.

– Wiem – odparł pan Self. – Niemądry skurczybyk. Nie mogę tego robić. – Uniósł brwi. – Widziałeś, dokąd poszedł, prawda?

Rudi wskazał mu kierunek, a pan Self podziękował mu skinieniem głowy, po czym wyszedł z pokoju.

Minione siedem tygodni było dla Rudiego okazją do nauki w miłej i w pełni cywilizowanej atmosferze. Dowiedział się, że dzielnica Temple jest częścią prawniczego serca Londynu, a samą nazwę zawdzięcza templariuszom, którzy kiedyś mieli tu dom. Mieściły się w niej dwie z czterech stołecznych Inns of Court, korporacji adwokackich, nazwanych tak, ponieważ dawno, dawno temu były to naprawdę gospody, w których mieszkali prawnicy. Obecnie w budynkach Inns mieściły się głównie kancelarie adwokackie, zwane *chambers*, a Smithson’s Chambers, w której pracowało kilkunastu adwokatów z panem Bauerem na czele, była jedną z nich.

Wszystkich tych informacji udzielił mu lakonicznie monotonnym głosem pan Self, który hipotetycznie był sekretarzem pana Bauera, ale oceniając po tym, jak mało czasu tak naprawdę spędzał w Chambers, zdawał się mieć własne, aktywne i bogate w przyjemności życie.

Rudi przez większość czasu był pozostawiony samemu sobie, dzięki czemu miał go dużo na gruntowne przemyślenie wydarzeń z ostatnich kilku miesięcy.

Po pierwsze, to wszystko było jednym wielkim picem. Cała sprawa. Skok z Palmse, tak jak go zapamiętał, wydawał się stosunkowo profesjonalny. Rzeczywiście, przebiegł on mniej więcej tak, jak sam by go przeprowadził, wykorzystując zamieszki do odwrócenia uwagi. Przypominał mu nieudany, przerwany skok w Strefie. Właściwie to aż za bardzo przypominał mu nieudany skok w Strefie i dlatego uznał to za podejrzane. Bardzo podejrzane.

A potem była jeszcze ta mówka, którą Gibbon wygłosił w brytyjskiej ambasadzie. Rudi nie potrafił odgadnąć, jakie powieści szpiegowskie ci ludzie czytali, ale bez wątpienia nie należały one do najlepszych. Żaden

oficer wywiadu mający choć odrobinę poczucia własnej wartości nie opowiedziałby mu tych wszystkich rzeczy, nawet jeśli były kłamstwami. Życie nie jest takie jak fikcja literacka. W prawdziwym życiu podstarzali brytyjscy szpiedzy nie wyłaniają się niespodzianie z ukrycia, żeby powiązać w całość kolejne punkty intrygi.

I nie miał dowodów na to, że rzeczywiście był w ambasadzie brytyjskiej. Był nieprzytomny, kiedy tam przybył, i do ostatniego ranka nigdy nie opuścił apartamentu. Jazda na lotnisko była wystarczająco dezorientująca, by mu zamącić w głowie. Był pewny jedynie tego, że rzeczywiście znalazł się w Helsinkach. Chyba że ten, kto stał za tym wszystkim, kimkolwiek był, zadał sobie trud zbudowania z myślą o nim makiety całego lotniska w skali jeden do jednego.

Po drugie, kiedy w końcu dotarł na miejsce przeznaczenia, nikt nie wykazał najmniejszego zawodowego zainteresowania jego osobą. Ani razu w ciągu tych siedmiu tygodni nie próbowano go przesłuchać lub nawet zadać mu jakiegoś inteligentnego pytania. Pan Self wydawał się jego łącznikiem z innymi, ale interesowało go tylko to, czy Rudiemu podoba się jego kwatera. Nikt się jakoś szczególnie nie przejmował, gdy Rudi wychodził na spacer po Temple i przesiadywał godzinami w ogrodach, patrząc na Tamizę i ściany budynków na południowym brzegu rzeki. Nikogo to nie obchodziło.

Wciąż nie poznał odpowiedzi na pytanie, dlaczego jego gospodarze myśleli, że Centrala chce jego śmierci, ani nawet jak natrafili na te informacje. Nigdy nie poruszano tego tematu. Nigdy nie wspominano o jego życiu z *coureurs*. To było tak, jakby był ulubionym siostrzeńcem, który przyjechał z Europy, by spędzić kilka miesięcy z wujem Redem. Pan Bauer był prawdziwym wzorem miłego, nieobecnego duchem i pobłażliwego wuja. Pani Gabriel była wzorem – wręcz archetypem – angielskiej gospodyni. Tak idealnym, że mogłaby zejść ze stron powieści Conan Doyle’a.

Do takiego wniosku, koniec końców, doszedł Rudi. Ludzie ci zostali wybrani przez Centralę. W castingu. A doświadczenie mówiło mu, że nie ma czegoś takiego jak archetyp.

Mniej więcej po miesiącu obserwowania ludzi przychodzących do Smithson’s Chambers i innych kancelarii przy King’s Bench Walk Rudi zaczął dostrzegać rozbieżności. Trzeba ich było uważnie wypatrywać,

a nawet wtedy zwykły człowiek mógłby przekonać sam siebie, że wyobraża sobie nie istniejące rzeczy, ale Rudi był bardzo spostrzegawczy i niewiele uchodziło jego uwagi. Po jakimś czasie już wiedział: Smithson’s Chambers jest tylko witryną. Przez jej drzwi przechodziło mniej klientów i pracowało w niej mniej adwokatów niż w innych kancelariach. W połączeniu z wynikami innych obserwacji prowadziło to do wniosku, że pan Bauer jest marionetką. Jeśli rozciągnęło się ten wniosek, pan Self okazywał się trollem reprezentującym, choć skrycie i w sposób umożliwiający zaprzeczenie, ludzi, którzy urządzili tę witrynę.

Zupełnie inną sprawą było znalezienie odpowiedzi na pytanie, czym konkretnie ta witryna miała być. Czy tylko bezpiecznym domem, w którym można otoczyć opieką ludzi… o niezwykłym pochodzeniu? A może czymś więcej? Nie sposób było na to odpowiedzieć z całkowitą pewnością.

To wszystko było bardzo osobliwe. Zdziwiony brakiem polecenia, żeby się zbytnio nie wychylał, Rudi pewnego dnia postanowił zrobić coś nowego i poinformował przy śniadaniu panią Gabriel, że zamierza się wybrać na zwiedzanie okolicy.

– Zobaczę, czy znajdę gdzieś jakieś plany miasta – odrzekła, stojąc przy stole z tacą naczyń po śniadaniu. – Pan Bauer kolekcjonuje mapy, tak jak inni ludzie kolekcjonują znaczki lub numery pociągów.

Siedzący tam i spoglądający na swoje na wpół zjedzone śniadanie Rudi prawie zmiękł i mało brakowało, by jej powiedział, żeby się nie trudziła, ale zamiast tego rzekł:

– Dziękuję, pani Gabriel, to byłoby uprzejme z pani strony.

Sam akt mówienia po angielsku w Londynie zdawał się skłaniać do okazywania przesadnej uprzejmości.

Londyńczycy wciąż drukowali papierowe plany dla turystów i pani Gabriel przyniosła Rudiemu cały ich plik, minutę lub dwie później – nie było to dostatecznie długo, żeby zdążyła uzyskać na to zgodę przełożonych, i na pewno nie dość długo, by zdążyli zorganizować ogon. Choć Londyn to najbardziej nasycone kamerami miasto na Ziemi, to każdy, kto zna się na rzeczy, miałby gotowy na wypadek takiej ewentualności zespół obserwacyjny czekający na zewnątrz przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Plany były postrzępione, rozpadające się na kawałki od ciągłego rozkładania i bezużyteczne w jakimkolwiek sensie operacyjnym. Przy

ulicach naniesiono malutkie rysunki godnych uwagi budynków i duże reklamy korporacyjnych sponsorów. Plan metra wyglądał po prostu dziwnie, jak wielobarwny schemat obwodu drukowanego zachęcający podróżnych, by spróbowali szczęścia, jeśli sądzą, że je mają.

Wyszedłszy na King’s Bench Walk, Rudi zwalczył przemożną ochotę, by stanąć i zacząć się przyglądać każdemu przechodzącemu urzędnikowi i turyście. Ważne było, żeby pozostawać w ruchu.

Przez sklepione przejście wyszedł na Fleet Street, gdzie na chwilę się zatrzymał, próbując poczuć klimat tej ulicy.

To nie jest, uzmysłowił sobie od razu, miasto europejskie. Można się wybrać do Paryża, Brukseli, Madrytu, a nawet Petersburga i zawsze się wie, że jest się w Europie. Londyn jest inny. Londyn jest… Rudi nie potrafił tego sprecyzować. Nawet stojąc tam i obserwując mijających go ludzi spieszących do codziennych zajęć oraz turystów, słyszał fragmenty rozmów prowadzonych w kilku językach. Londyn był z pewnością kosmopolityczny. Co więcej, było to miasto imigrantów. Najpierw były to fale zdobywców. Rzymianie. Normanowie. Potem fale imigrantów z… cóż, na dobrą sprawę zewsząd. Żydzi, hugenoci, Somalijczycy, mieszkańcy Bangladeszu, Indii Zachodnich… lista ciągnęła się bez końca. Rudi znalazł nawet w jednej z książek pana Bauera zwariowaną opowieść o wygnańcach z upadłej Troi, którzy w odległej, mglistej przeszłości popłynęli ponoć w górę Tamizy i założyli tam miasto.

Oczywiście nie zwrócono mu telefonu, nie dostał też żadnego zastępczego. Zegarek Jana również zniknął gdzieś w drodze. Co go dziwnie mocno zmartwiło. Mimo to ocenił, że stał już w miejscu wystarczająco długo, by każda choć trochę kompetentna służba bezpieczeństwa zdążyła przyczepić mu ogon, więc skręcił w prawo i ruszył w dół Fleet Street, w stronę katedry Świętego Pawła.

Mniej więcej po piętnastu minutach uznał, że jeśli jacyś ludzie go śledzą, to są niebywale dobrzy w tej robocie. Szczycił się tym, że zwykle łatwo potrafi odkryć ogon, ale teraz nie widział nikogo nawet odrobinę podejrzanego. Leniwie i bez szczególnych starań zastosował kilka prostych metod wymykania się spod obserwacji, mając nadzieję, że dzięki temu ludzie ze Smithson’s Chambers zaczną go lekceważyć, co nigdy nie było złe, a kiedy skończył, nie dostrzegł nikogo, kto szedłby jego śladem. W porządku. Pieprzyć to.

Tak więc po prostu zapomniał o możliwej inwigilacji i z planem w ręce chodził przez wiele godzin po mieście. Zrobił sobie długą, nieśpieszną przechadzkę po City, mili kwadratowej Londynu obejmującej jego najstarszą część i mieszczącej liczne instytucje finansowe miasta. Następnie poszedł na West End, gdzie oglądał teatry. Poświęcił też trochę czasu i uwagi niesamowicie kiczowatym towarom, które sprzedawano w Covent Garden. Kiedy dotarł na Trafalgar Square, zatrzymał się i długo patrzył na kolumnę Nelsona.

Plan, z którego korzystał, miał około sześciu lat, czyli pochodził z czasów poprzedzających eksplozję ogromnej bomby umieszczonej przez terrorystów w ciężarówce, która wybiła w Whitehallu lej głęboki na sześć metrów i doprowadziła do zamknięcia dla ruchu samochodowego całej ulicy. Przez chwilę stał przed bramkami, patrząc w stronę Westminsteru, po czym odwrócił się i ruszył ku nabrzeżu, a kiedy tam dotarł, przeszedł na drugą stronę ulicy i prawie godzinę siedział na ławce, patrząc na Tamizę i różne statki, które sunęły w górę i dół rzeki. Londyn, uznał, jest szalony, jedyny w swoim rodzaju, zupełnie wyjątkowy. Pomyślał, że lubi to miasto. Zaczął się zastanawiać, czy gdyby rzucił się teraz do ucieczki, zdołałby dobiec do estońskiej ambasady i czy przyjęliby go, gdyby tam dotarł.

W końcu głód wziął górę, poszedł więc z powrotem nabrzeżem do stacji Temple, wszedł boczną bramą na teren Temple i ostatecznie wrócił do Smithson’s Chambers, gdzie pani Gabriel szykowała już ogromne kanapki – co jest z tymi ludźmi i olbrzymimi pajdami białego chleba? – z gotowanym kurczakiem oraz duży dzbanek herbaty Yorkshire.

I tak to się toczyło, dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Posłusznie jadł posiłki pani Gabriel, przedzierał się systematycznie przez bibliotekę pana Bauera, chodził na spacery. Nie miał pieniędzy, dzięki którym mógłby skorzystać z publicznej sieci łączności; wchodził do kawiarenek internetowych, licząc na to, że natrafi na pozostawiony przez kogoś terminal z nie wykorzystanymi do końca środkami na koncie, ale bez powodzenia. Wydało mu się, że osiągnął granicę, kiedy poprosił o pieniądze na bilety, dzięki którym mógłby poznać sieć połączeń kolei podziemnej, i spotkał się z odmową, ale nikt nie zrobił z tego wielkiej sprawy. Prawdę mówiąc, to nie była nawet odmowa. Mimochodem poruszył ten temat pewnego ranka w rozmowie z panem Selfem, a pan Self

powiedział, że o tym pomyśli, i nikt już o tym nie wspomniał. Zastanawiał się, czy nie ponowić prośby, ale zrozumiał, co chciano mu przekazać.

W każdym razie centralny Londyn okazał się zaskakująco mały, gdy się go już poznało. Wszystko, co ważne, znajdowało się w odległości możliwej do pokonania na piechotę, jeśli się tylko lubiło chodzić. Od wschodniego krańca City aż do zachodniego końca Oxford Street było to półtorej godziny lekkiego spaceru, a drogę z Euston przez most Waterloo do wielkich bloków ze szkła i stali na południowym brzegu dało się przejść w czasie jeszcze krótszym. Nie można było tego nazwać dużym wysiłkiem. Gdy wszyscy popadli w rutynę, pani Gabriel zaczęła mu nawet robić kanapki na drogę i dawać kartoniki z sokiem owocowym. Ta rutyna, ta nuda były oczywiście tym, czego chciał. Mieszkańcy Smithson’s Chambers wiedzieli o tym i szli mu na rękę. A on ich wykorzystywał. Oni zaś mu na to pozwolili. I tak dalej. Był bardzo ciekawy, jak długo będą grać w tę osobliwą grę. Podejrzewał, że może to być całkiem długo. Zgodnie z najmocniej ugruntowanym poglądem, jaki zdążył sobie do tej pory wyrobić na temat tych, którzy go przetrzymywali, nie dość, że potrafili załatwiać sprawy w niezwykły sposób, to jeszcze byli bardzo cierpliwi.

Z drugiej strony nie mógł tu zostać na zawsze. Pomijając wszystko inne, mimo tych różnych okazji do ruchu, karmiony pożywnymi potrawami pani Gabriel przybierał na wadze.

Jakby wyczuwając jego nowy niepokój, pan Self zaczął częściej pojawiać się Chambers. Rudi widywał go teraz w różnych miejscach kancelarii, to omawiającego z panem Bauerem w jego biurze różne aspekty nie kończącej się rzeki dokumentów prawnych, to znów żartującego lubieżnie – był bowiem dosyć lubieżny – z panią Gabriel, która chichocząc jak nastolatka, nie szczędziła mu kuksańców – i przez cały czas starającego się mieć Rudiego na oku, a przynajmniej wiedzieć, gdzie on jest. Rudi uznał to jego nowe zachowanie za całkiem interesujące, ale nie zaprzestał codziennych spacerów. Po raz pierwszy od tygodni zaczął jednak znowu wypatrywać ogona.

Pewnego dnia w pierwszym tygodniu marca pan Self przeszedł przez salon, w którym Rudi siedział w fotelu, czytając rozwlekłą biografię Brada Pitta.

– Och – odezwał się pan Self, jakby do głowy przyszła mu właśnie jakaś myśl – powinienem ci o tym powiedzieć wcześniej. Pojutrze mamy tu imprezę.

– Co? – wyrwało się Rudiemu.

– Przyjdą grube ryby świata prawniczego – mówił dalej pan Self. – Sędziowie. Goście z Sądu Najwyższego. Myślę, że będzie też kilku posłów.

– Zapowiada się niezła zabawa – stwierdził Rudi, wyobrażając sobie pokój pełen angielskich parlamentarzystów i prawników przedzierających się z namaszczeniem przez trzydaniowy posiłek pani Gabriel. Założył, że jednym z nich będzie pudding chlebowy albo tajemnicze danie zwane spotted dick [2]. Domowe jedzenie dla mężczyzn imperium.

– Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby się trzymać z daleka, prawda? – zapytał pan Self w ten angielski sposób, który tak naprawdę był rozkazem.

– Jeśli dasz mi trochę pieniędzy, mógłbym pójść do teatru – zaproponował Rudi. – W Savoyu wystawiają *Skrzypka na dachu*.

Pan Self zastanowił się nad tym.

– Niezły pomysł. Zobaczę, czy uda mi się kupić dla ciebie bilet.

Rudi pokręcił głową.

– Nie trzeba. Ja tylko żartowałem.

Pan Self przechylił głowę i uważnie przyjrzał się Rudiemu, jakby się zastanawiał nad dotychczas nie znanymi mu parametrami jego żartów.

– Możliwe też, że wcześniej położysz się spać – powiedział w końcu. – To będzie okropnie nudne. Bardzo drętwe.

– Może mógłbym coś dla was ugotować – zaproponował Rudi.

Pan Self rozważał to mniej więcej jedną femtosekundę, po czym zadrżał.

– I zdenerwować naszą panią Gabriel? O nie, nie, dziękuję. – Roześmiał się, ale jego mowa ciała nie zdradzała rozbawienia. – Nie, myślę, że będzie lepiej, jeśli zostawimy sprawy kulinarne w jej rękach, stary.

Rudi wzruszył ramionami.

– Jak uważasz. – Wrócił do swojej książki… Brad i Angelina adoptowali właśnie kolejne dziecko… ale pan Self nie ruszył się z miejsca. Rudi uniósł wzrok. Pan Self przyglądał mu się z uwagą. – Jest jeszcze coś?

Pan Self wciąż go obserwował. Rudi niemal słyszał, jak układa kolejne zdanie raportu. „Obiekt zaproponował, że ugotuje kolację”. Pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – Nie. – I wyszedł.

Rudi odłożył książkę i popatrzył przez okno na adwokatów, radców prawnych, kancelistów, turystów i miejscowych robotników, którzy przechodzili w dole. Myślał, że on i pan Self rozumieli się już bardzo dobrze i dawali wyraz temu zrozumieniu, tworząc atmosferę uprzejmej wzajemnej nieufności. Mimo to przyjęcie było czymś interesującym. I ci, którzy stali za Smithson’s Chambers, kimkolwiek byli, wiedzieli, że to interesujące. Zastanawiał się, czy to nie jest jakiś test.

Dzień przyjęcia wstał mokry i wietrzny. Śniadanie pani Gabriel – smażone jajka, smażony boczek, pomidory z grilla i raczej straszna kiełbasa Cumberland – zostało przygotowane pospiesznie i nie spełniało nawet jej własnych, mniej niż wymagających standardów. Mała kobieta biegała po całej kancelarii z odkurzaczem i pudłem pełnym szmat oraz środków czyszczących, odważnie próbując doprowadzić zagracone i zakurzone pokoje do standardu, który nie zgorszyłby prawniczych grubych ryb oraz parlamentarzystów, ale gdziekolwiek szła, wciąż musiała usuwać z drogi Rudiego, ponieważ siedział lub stał akurat w miejscu, które miała zaraz sprzątnąć lub odkurzyć, co wreszcie tak ją rozzłościło, że wyrzuciła z siebie, iż sprawiłby jej wielką przyjemność, gdyby po prostu wyszedł z domu i pozwolił jej w spokoju przygotować go na wieczorne przyjęcie. Na co Rudi zaprotestował, mówiąc, że pada deszcz. Na co pani Gabriel zapomniała o swej powściągliwości i rzuciła bardzo głośno:

– Wszystko mi jedno, nawet jeśli tam leje jak z cebra, sir. Muszę tu posprzątać!

Niechętnie, z ociąganiem, Rudi włożył buty oraz kurtkę, a przy drzwiach zabrał parasol ze stojaka w kształcie nogi słonia, po czym wyszedł na deszcz i wiatr.

Co nikogo by nie zmyliło, ale nie o to chodziło. Chodziło o to, żeby po prostu sprawiać kłopot, być uciążliwym. Rozłożył zatem parasol, osłonił nim głowę i ruszył szybkim krokiem w stronę bramy, z której wyszedł na Fleet Street, a kiedy skręcał w lewo, kierując się ku Trafalgar Square, wyobraził sobie, jakie to wywołało zamieszanie w zespole obserwacyjnym.

To był okropny dzień, ale czuł się bardziej beztrosko niż przez ostatnie kilka tygodni. Już przedtem był ponadprzeciętnie sprawny fizycznie, a jego długie wędrówki wokół Londynu dodatkowo go zahartowały, narzucił więc

sobie szybkie tempo marszu, ograniczone jedynie koniecznością wymijania innych przechodniów z parasolami. Szybko dotarł do Trafalgar Square i mijając skrzyżowania, zbliżył się do Łuku Admiralicji.

Brama dla pojazdów była zamknięta, ale przejścia dla pieszych, wyposażone w skanery obsługiwane przez przemoczonych policjantów, pozostały otwarte. Prześlizgnął się między nimi, minął porośniętą bluszczem bryłę Cytadeli i wszedł do parku Świętego Jakuba.

Kiedy już się w nim znalazł, zwolnił kroku i zaczął się przechadzać, pozornie bez celu. Traktował to jak jedno z ćwiczeń Fabia, polegające na określeniu prawdopodobnych lokalizacji skrzynek kontaktowych, ale nie zachowywał przy tym takiej ostrożności, jak by to zrobił normalnie. Wyobraził sobie ludzi z zespołu obserwacyjnego – wiedział, że tam są, nie mogło ich tam nie być, jego wyjście z kancelarii było zbyt oczywiście wyreżyserowane, aby mogli je zignorować – kiedy przybyli tam podenerwowani i zobaczyli, jak szuka miejsca, w którym mógłby coś schować… lub coś stamtąd zabrać. Co takiego mógł planować? Co działo się w jego głowie? Co zamierzał zrobić później? Rudi wyobraził sobie, jak pan Self prycha pogardliwie na to wszystko, ale nie może tego zlekceważyć i na wszelki wypadek musi podjąć jakieś działania. Rudi był mało subtelny, zachowywał się niedwuznacznie, robiąc sobie z nich jaja, ale czy tak było na pewno? A jeśli to był podwójny blef…?

Spędził zatem wolną godzinę w parku, po czym znów przyspieszył kroku i ruszył w stronę Victorii, a stamtąd na nabrzeże, na spokojny spacer powrotny do Temple i Smithson’s Chambers, gdzie czekający pan Self rzucił mu kąśliwe spojrzenie, a podenerwowana i zapracowana pani Gabriel czekała z zimnym posiłkiem – kilkoma kurczęcymi udkami, paroma grubymi plastrami szynki, pajdami białego chleba, solonym masłem i dzbankiem herbaty – oraz prośbą, żeby do końca dnia schodził mi pan z drogi, proszę, sir. Rudi się uśmiechnął. Był niegrzecznym chłopcem. Wysłano go do łóżka bez kolacji.

Gdy szedł do swojego pokoju, niosąc tacę obciążoną rezultatami kulinarnych starań pani Gabriel, znowu zobaczył pana Selfa, a spojrzenie, które wymienili, było tak pełne znaczeń i niuansów, że mogłoby zdobyć Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury, a przynajmniej Oscara. Było w nim, wreszcie, uznanie, szacunek. Uśmiechnęli się do siebie. Uśmiech pana Selfa był upiorny. Sprawił, że serce Rudiego wzniosło się niczym sterowiec.

W ostatecznym rachunku ten dzień jednak był tylko okazją do psot, próbą ucieczki od pełzającej nudy, która zbierała się wokół niego. Na jakiś anarchiczny sposób było to zabawne, ale teraz się skończyło i gdy tak kontemplował zimny posiłek, czuł się lekko przygnębiony, niemal postkoitalnie. Irytowanie gospodarzy było bardzo satysfakcjonujące, kiedy to robił, ale tak naprawdę niczego mu nie dało.

Znowu wziął biografię Brada Pitta i zaczął ją czytać, podczas gdy za oknami zaczęły się zapalać zabytkowe lampy uliczne, a hałas, którego narobiła pani Gabriel, próbując zrobić porządek na schodach, stopniowo cichł, zastępowany przez pełną oczekiwania ciszę. Po jakimś czasie we wszystkich pomieszczeniach kancelarii rozszedł się zapach pieczonego mięsa i gotowanych warzyw, po czym na niższych piętrach wolno zaczął narastać gwar rozkręcającego się przyjęcia.

Rudi leżał na łóżku, czytając w świetle małej, ozdobionej zielonymi frędzlami lampy, słuchając szmeru dobiegających z dołu rozmów i określając czas podawania kolejnych dań po okresach ciszy. Brzmiało to tak, jakby na zaproszenie pana Bauera odpowiedziało pozytywnie całkiem sporo grubych ryb, posłów i innych ważniaków.

W pewnym momencie, między daniem głównym a deserem, Rudi wstał z łóżka i podszedł do drzwi pokoju. Otworzył je cicho i wyszedł na podest.

Smithson’s Chambers, jak inne kancelarie na King’s Bench Walk, zajmowała sześciopiętrowy budynek. Główną działalność firmy – rozmowy z klientami, załatwianie spraw administracyjnych i tak dalej – prowadzono na parterze. Na pierwszym, drugim i trzecim piętrze były mieszkania. Sypialnie, jadalnie, salony, kuchnia. Szóste piętro, chaotyczną przestrzeń pod dachem, zapełniały przypadkowo zebrane stare meble oraz zakurzone zwinięte dywany, a także kartonowe pudła z przewiązanymi wstążkami aktami starych spraw.

Piętro niżej znajdował się mały labirynt cichych korytarzy z pozamykanymi na klucz drzwiami. Rudi zbadał go, stopniowo, w pierwszych tygodniach, które spędził w tym miejscu. W korytarzach nie było żadnych oczywistych urządzeń obserwacyjnych, oraz żadnych mniej oczywistych, trudniej zauważalnych, a przechadzka po piątym piętrze, którą pewnego wieczoru odbył otwarcie, nie kryjąc się, nie spowodowała żadnej

reakcji innych mieszkańców kancelarii. Co samo w sobie oczywiście niczego nie dowodziło.

Rudi szedł spokojnie korytarzem na piątym piętrze, sprawdzając zamknięte drzwi. Niektóre, pomimo starań pani Gabriel, pokrywał kurz, ale dwie pary lśniły czystością, a duże mosiężne szyldy ich zamków były porysowane przez pokolenia źle wycelowanych kluczy. Otworzył jeden z nich długopisem i haczykiem wyłamanym z wieszaka, po czym powoli obrócił gałkę. Niczego oczywistego na ościeżnicy. Żadnych przewodów. Żadnych miejsc kontaktu, błyszczących lub matowych. Pchnął drzwi, wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą, a wszystko to jednym płynnym ruchem.

Światło lamp stojących pięć pięter niżej wpadało przez okna, wyławiając z mroku pokój od podłogi po sufit zastawiony szafkami na akta. Było tam biurko i krzesło. W rogu stał taboret, dzięki któremu można było dosięgnąć górnych szuflad. Na przedzie wszystkich szafek jarzyły się malutkie podświetlone klawiatury zamków szyfrowych, które strzegły ukrytych w środku sekretów. Nie było sensu zadawać sobie trudu. Rudi otworzył drzwi, wyszedł na korytarz, zamknął drzwi na klucz i przeszedł do następnych.

W pomieszczeniu tym było kolejne biurko i krzesło, a na biurku stał monitor komputerowy z włączonym wygaszaczem ekranu, który przedstawiał dwa kotki bawiące się kulką papieru. Rudi przez dłuższy czas stał plecami do drzwi, obserwując, jak kociaki się bawią.

Przyszło mu do głowy, że to, co na pierwszy rzut oka wydawało się wieloma tygodniami bezczynnego siedzenia, było w istocie skomplikowaną rozmową między nim a panem Selfem. A poprzez pana Selfa z ludźmi, którzy faktycznie byli właścicielami i rzeczywiście prowadzili Smithson’s Chambers. Zastanawiał się, jak długo stał tutaj ten monitor ze słodkim wygaszaczem ekranu, czekając, aż on się włamie do pokoju. Jako fragment pułapki było to tak przejrzyście oczywiste, że podejście do biurka, zajęcie za nim miejsca i przepędzenie machnięciem ręki kociąt nie mogło już nijak mu zaszkodzić.

Menu komputera było skąpe aż do granic śmieszności. Tylko system operacyjny i trzy arkusze kalkulacyjne. Pierwszy był listą nazw i długich numerów. Banki i kody dostępu do kont. Drugi arkusz wypełniały losowo wyglądające grupy pięciocyfrowych liczb, najwyraźniej zaszyfrowanych.

Trzeci arkusz był mieszaniną grup zaszyfrowanych i zestawów liczb zapisanych jawnie. Lista płatności?

Rudi spojrzał na ekran. Kancelaria Smithsona była czarnym bankiem, źródłem środków na tajne operacje, którego można się było wyprzeć. Chcesz przeniknąć do związku zawodowego i potrzebujesz trochę pieniędzy, żeby przygotować tę operację? Smithson's Chambers jest twoim punktem kompleksowej obsługi. Musisz umiejętnie załatwić (politycznie, pod względem religijnym lub wręcz fizycznie) kłopotliwego imama? Smithson's Chambers wypłaci pieniądze, których potrzebujesz.

Nic z tego nie było tak naprawdę wstrząsającym odkryciem. Wywiad – prawdziwy świat wywiadu, a nie to, co mówiono o nim politykom – opierał się na czarnych pieniądzach, gadzich funduszach, przesyłanej tam i z powrotem przez kontynenty gotówce, którą utrzymywano w stałym ruchu, na wypadek gdyby ktoś na nią trafił. Najbardziej w tym wszystkim intrygowało to, że pozwolono mu to odkryć. Co więcej, pozwolono mu to odkryć i nie odesłano natychmiast do jego pokoju. I tak oto siedział sobie, całkiem wygodnie, z bankowymi kodami dostępu do czternastu i pół miliona franków szwajcarskich – jak zawsze najbardziej solidnej europejskiej waluty – dosłownie pod palcami. To nie mogła być, musiał ze smutkiem przyznać, operacja państwowej służby wywiadowczej.

Z drugiej strony, pomyślał, mogła to być, tylko mogła, operacja państwowej służby wywiadowczej, która stanęła w obliczu sytuacji tak dziwacznej i niecodziennej, że można było na nią odpowiedzieć też tylko w taki dziwaczny i niecodzienny sposób.

Siedział tam długo, przeglądając strony z liczbami. Dużo dłużej, niż powinien, ściśle mówiąc. Oferta była tak oczywista, że to było prawie komiczne, ale otwierała całą otchłań możliwości. Nie siedział tam tak długo, bo nie potrafił podjąć żadnej decyzji, ale dlatego, że próbował przemyśleć wszystkie ich konsekwencje.

W końcu zaczął przeszukiwać kieszenie, aż znalazł ulotkę, którą poprzedniego dnia wcisnął mu na Leicester Square jakiś gość z Hare Kryszna. Siedział tak jeszcze przez chwilę, z długopisem w jednej ręce i ulotką w drugiej, a potem zaczął przepisywać listę kodów bankowych.

Kolejne kilka dni upłynęło raczej przyjemnie. Rudiemu wydawało się, że wyczuł w kancelarii jakby nastrój odprężenia. Pan Self był mniej widoczny.

Pani Gabriel nawet uśmiechnęła się do niego kilka razy. Czuł, że oni wiedzą, co zrobił, i że wiedzą, że on wie, że oni wiedzą. Nie potrafił powiedzieć, w jakim kierunku potoczy się teraz gra, ale wyglądało to tak, jakby zawarł jakieś milczące porozumienie z tymi ludźmi oraz ludźmi, którzy ich kontrolowali, i to im się podobało.

Kontynuował spacery, ze złożoną krysznaicką ulotką schowaną w skarpecie. Nie marnował w ten sposób czasu, ale starał się nabrać impetu.

Późnym rankiem pewnego rześkiego wiosennego dnia opuścił kancelarię, bez żadnego planu w głowie, i poszedł w dół ulicą Strand do Covent Garden.

W całej okolicy, jak zwykle, pełno było turystów i ludzi korzystających z przerwy na lunch. Rudi włóczył się wśród nich z rękami w kieszeniach, przyglądając się od niechcenia temu miejscu i ciesząc się jego hałaśliwą atmosferą oraz bliskością tak wielu zwykłych ludzi.

Przechodząc przez plac niedaleko Royal Opera House, znalazł się za dwiema młodymi kobietami, pracownicami biurowymi, sądząc po ich ubraniach, które szły obok siebie pogrążone w rozmowie. Jedna niosła na ramieniu skórzaną torbę, niemądrze otwartą, z której wystawało coś, co wyglądało na górną połowę portfela.

Rudi lekko przyspieszył kroku i wyprzedzając kobietę, prawą ręką wyciągnął portfel z torby. Pomyślał o panu Bauerze, pani Gabriel, panu Selfie oraz ich niewidzialnych panach, po czym bez pośpiechu, jakby to było coś najbardziej naturalnego na świecie, zostawił za plecami obie młode kobiety i ruszył w innym kierunku.

Zanim zdecydował się zajrzeć do portfela, był już na Cambridge Circus, a gdy to zrobił, zdał sobie sprawę, że się pomylił. Jego zdobycz była pokryta tysiącami drobnych, sztywnych plastikowych włosów przypominających haczyki rzepów i gdy Rudi ich dotknął, posmakowały one jego DNA, uznały, że go nie rozpoznają, i portfel się uzbroił.

Było to tanie zabezpieczenie, coś, co można kupić na straganie. Miało chronić zawartość portfela jedynie przed przygodnym złodziejem, który by chciał wykorzystać okazję; łatwo je było ominąć, po prostu wkładając rękawiczki. Ale Rudi nie pomyślał o tym i gdyby teraz spróbował zajrzeć do portfela, zabezpieczenie zdetonowałoby kapsułkę z barwnikiem, a on chodziłby po centrum Londynu z twarzą pokrytą fluorescencyjną zielenią.

Nie zmieniając rytmu kroków, wrzucił portfel do kosza na śmieci i poszedł dalej.

Teraz nie mógł się już zatrzymać. Był w najbardziej inwigilowanym mieście najbardziej inwigilowanego kraju Europy, toteż kradzież portfela, której się dopuścił, bez wątpienia została gdzieś nagrana.

Miał jednak niewielką przewagę. Znał prawdę o tej inwigilacji. Od samego początku globalnej wojny z terroryzmem narody Zachodu – oprócz Stanów Zjednoczonych, gdzie obywatele o poglądach libertariańskich zwykli nosić karabiny i dając wyraz swemu umiłowaniu wolności, strzelali z nich do kamer monitoringu – pokładały nadzieje w budowie paranoidalnego państwa, w którym każdy ruch każdego obywatela miał być zarejestrowany, zapisany, sfilmowany i pies cię jechał, a jeśli nie masz niczego do ukrycia, to nie musisz się niczym martwić.

Czy miało to jakiś wpływ na przebieg GWT, było kwestią sporną, ale państwo paranoidalne miało jedną cechę, z której generalnie nie zdawano sobie sprawy. Było niewiarygodnie pracochłonne.

Po prostu było za mało ludzi do przeglądania obrazów z tych wszystkich kamer. Każdy sklep miał jedną, każdy autobus, pociąg, teatr i publiczna toaleta, każda ulica, droga i alejka. Komputerowe programy do rozpoznawania twarzy, chodu oraz mowy ciała mogły wykonać część pracy, ale stosunkowo łatwo było je oszukać, były też drogie, a czasy ciężkie od dziesięcioleci. Taniej było posadzić ludzi przed monitorami. Ale żaden naród na Ziemi nie miał wystarczająco licznej służby bezpieczeństwa i policji, aby móc na bieżąco śledzić te wszystkie przekazy. Dlatego zostało to zlecone. Prywatnym firmom ochroniarskim, które starały się zdobyć kontrakty, obniżając ceny swych usług. Duże domy towarowe miały własnych ochroniarzy, one jednak były zainteresowane jedynie ludźmi wchodzącymi i wychodzącymi ze sklepu, a nie przechodzącymi obok. Zamiast więc jednego wszystkowidzącego oka londyński pozornie doskonały plan nadzoru był w rzeczywistości patchworkiem małych obszarów i jurysdykcji i choć wszystkie one miały prawny obowiązek udostępniania materiałów filmowych siłom prawa i porządku, wiele pomieszczeń kontrolnych było w rzeczywistości obsadzonych przez znudzonych, źle opłacanych i kiepsko wyszkolonych imigrantów bez żadnej motywacji do pracy.

Kobieta, której ukradł portfel – i od której obecnie dzieliło go co najmniej pół mili – wkrótce się zorientuje, że go straciła, jeśli już tego nie wie. Potem… cóż, można się tylko domyślać, co zrobi potem. Albo to zlekceważy, bo z czymś takim trzeba się pogodzić, gdy się mieszka w Londynie – tyle że zablokuje karty kredytowe; zapewne nie miała przy sobie dużo gotówki, jeśli w ogóle jakąś wzięła – albo skontaktuje się z policją. W tej dzielnicy oznaczało to – jeśli nie podeszła na ulicy do bobby'ego, żeby zgłosić kradzież – konieczność wizyty na komisariacie West End Central przy Charing Cross. Ktoś musiałby spisać jej zeznanie, trzeba by było otworzyć sprawę i przydzielić ją śledczym. Rudi pomyślał, że jeśli w West End Central potraktowano by kradzież portfela choć trochę poważnie – a musiał przyjąć, teoretycznie, że tak by się stało – miałby godzinę od kradzieży, zanim ktoś sprawdziłby nagrania kamer w miejscu, gdzie do niej doszło. Potem podobizna jego twarzy zostałaby umieszczona na tablicach ogłoszeń i rozesłana wszystkim zainteresowanym, a zbyt ryzykownie byłoby zakładać, że ludzie, którzy go uprowadzili z Palmse, nie monitorują takich rzeczy.

A zatem godzina. Właściwie teraz to już tylko trochę ponad czterdzieści pięć minut. Rudi szedł niespiesznie w tłumie po Oxford Street, skrywając panikę.

Mając jeszcze ze trzydzieści minut, Rudi wszedł do pubu. Było tu ciemno, jedyne oświetlenie zapewniały lampy nad stołami do gier i imponujący bar. Pomieszczenie było zapchane aż po sufit ludźmi wykorzystującymi przerwę na lunch, by się czegoś napić. Oczywiście nieliczny personel nie nadążał ze sprzątaniem stolików, dzięki czemu Rudi mógł wziąć dla kamuflażu pozostawiony przez kogoś kufel z nie dopitym piwem i trzymając go, zaczął chyłkiem lawirować między ludźmi.

Obejście całego pubu zajęło mu prawie dziesięć minut. Była tam grupa młodych, lekko podpitych i lekko hałaśliwych biznesmenów, którzy siedzieli przy stoliku w głębi lokalu; ich marynarki wisiały na oparciach krzeseł, krawaty mieli rozluźnione, a mankiety koszul podwinięte. Rudi zatrzymał się przy stoliku obok, zanurzył rękę w kieszeni jednej z marynarek, wyjął z niej telefon, a potem znowu zaczął się przeciskać przez tłum, aż na koniec znalazł się blisko drzwi.

To była delikatna sprawa; telefon był nową nokią, a jednym z jego zabezpieczeń była mała przywieszka, którą właściciel nosił na odzieży. Jeśli

telefon znalazł się o więcej niż dwadzieścia metrów od niej, pamięć karty SIM była kasowana, przez co urządzenie stawało się bezużyteczne. Rudi wywołał przeglądarkę telefonu, wyciągnął ulotkę ze skarpetki, tak dyskretnie, jak to tylko możliwe, i zaczął wpisywać ciągi liczb.

Pięć minut później zostawił telefon pod krzesłem, wyszedł z pubu i ruszył ponownie w drogę, wiedząc, że zrobił tak naprawdę coś, od czego nie ma już odwrotu. Jeden z ciągów liczb połączył go z bezpiecznym serwerem anonimizującym. Inny wpuścił go do banku na Kajmanach. Kolejny wywołał konto, na którym, ulegając ogarniającej go w ostatnich miesiącach paranoi, zaczął deponować swoje oszczędności. Wpisując następny ciąg liczb, założył nowy rachunek. Kilka kolejnych ciągów przeniosło całą zawartość czarnego banku w Smithson’s Chambers na założone właśnie konto. Był pewny, że już niedługo przy King’s Bench Walk i gdzie indziej odezwą się dzwonki alarmowe.

Tuż przed wyjściem z pubu wygooglował adres najbliższego sklepu, w którym sprzedawano telefony. Okazało się, że to punkt z gazetami znajdujący się kilka domów dalej. Wszedł do środka, podał kod zakupu, którego dokonał ze skradzionego w pubie telefonu, a sklepikarz dał mu paczkę dziesięciu telefonów na kartę, każdy z pięciuset funtami przedpłaty na koncie.

Pierwszego telefonu użył w tanim sklepie odzieżowym obok punktu z gazetami. Dżinsy, T-shirt, nowa para butów sportowych, bluza z polaru, nie rzucająca się w oczy granatowa płócienna kurtka.

Tocząc grę w dwójmyślenie z szukającymi go ludźmi, zastanawiał się przez chwilę, czy nie kupić kapelusza. Jedna z pierwszych zasad Fabia dotyczących unikania śledzenia mówiła o konieczności zmiany wyglądu, ale większość ludzi kupowała w tym celu kapelusz, aby ukryć twarz. Wiedząc o tym, obserwatorzy zwracali szczególną uwagę na ludzi w kapeluszach. Natomiast jego celem było obecnie wyglądać tak, żeby po wyjściu ze sklepu nie ściągnąć na siebie niczyjej uwagi. Z drugiej strony ludzie, którzy będą go szukać, wiedzieli, że został wyszkolony w tych sprawach, a zatem kapelusz byłby czymś, czego by się nie spodziewali. Co prawda wiedzieliby o tym i wypatrywaliby kogoś wychodzącego ze sklepu w kapeluszu… Ach, pieprzyć to. Żadnego kapelusza. Dodał trochę bielizny i skarpet, kupił torbę na ramię, machnął telefonem przed kasą, żeby

zapłacić za zakupy, i skorzystał ze sklepowej przebieralni, w której zmienił ubranie.

Wrócił na Oxford Street, przeszedł kilkaset metrów, po czym skręcił w boczną uliczkę, potem jeszcze jedną i kolejną. Na rogu następnej ulicy był sklep z akcesoriami kempingowymi. Rudi wszedł do niego, kupił parę solidnych butów turystycznych, kolejną bluzę z polaru oraz wytrzymałą kurtkę przeciwdeszczową. Włożył w sklepie nowe buty, polar i kurtkę, upchnął wcześniejsze zakupy w torbie na ramię i po dziesięciu minutach znowu był na ulicy.

Żadnych taksówek – zbyt łatwo się je zatrzymywało, a drzwi miały centralne zamki. To samo dotyczyło autobusów.

A potem coś mu przyszło do głowy i zatrzymał się jak wryty na chodniku, zastanawiając się nad tym. Rozmyślał o tym przez dłuższą chwilę. Tak długo, że się odwrócił i spojrzał w okno wystawowe najbliższego sklepu, żeby nie przyciągać uwagi. Sklep nie był właściwie sklepem – to była część frontowa małego zakładu projektowania graficznego – i Rudi stwierdził w pewnej chwili, że wraz z dość zaskoczoną sekretarką bierze udział w zawodach we wpatrywaniu się sobie nawzajem w oczy. Gdzieś w jakimś zakątku jego umysłu pojawiła się myśl, żeby tak stać i sprawdzić, ile czasu upłynie, nim kobieta, zaniepokojona tym, że jakiś dziwny człowiek wpatruje się w nią przez okno, postanowi wezwać policję.

Rozejrzał się po ulicy. Nikt nie wyglądał szczególnie podejrzanie. W każdym razie nie bardziej niż przeciętny londyńczyk. Żadnych oznak i wskazówek zdradzających, że niektórzy mogą być mniej niewinni, niż to się na pierwszy rzut oka wydaje. Żadnych znaków, że pozornie obcy sobie przechodnie mogą tak naprawdę pracować jako zespół. Poczuł, że ciężar powoli zsuwa mu się z ramion. W rzeczywistości myśl o tym, co właśnie przyszło mu do głowy, sprawiła, że poczuł się lekko oszołomiony. To był ostateczny, niemożliwy do cofnięcia krok w nieznane, akt wiary w trafność swoich spostrzeżeń i rozumowania.

Wziął głęboki oddech i podszedł do krawędzi chodnika.

Przywołał taksówkę i odjechał.

1. Wielka Gra (The Great Game) – okres rywalizacji między imperium brytyjskim a Rosją w XIX wieku o wpływy w Azji Środkowej, głównie na terenie obecnego Iranu, Afganistanu i Pakistanu, a także Tybetu (przyp. tłum.). [wróć]
2. *Spotted dick* – pudding z suszonymi owocami. Nazwę tę można uznać za nieobyczajną, *dick* bowiem oznacza m.in. penis, a *spotted* znaczy „nakrapiany” lub nawet „pryszczaty” (przyp. tłum.). [wróć]

CZĘŚĆ DRUGA

GOŃCY W LESIE

LEGENDA

Albańczycy z dołu musieli odbyć jedną ze swoich okresowych wypraw złodziejskich do sklepów, bo kiedy *coureur* wrócił do mieszkania, meblami wstrząsało wywracające wnętrzności walenie sekcji rytmicznej jednej z nowych grup crushowych ze Śri Lanki.

Reszta mieszkańców bloku nazywała Albańczyków Cyganami, ale *coureur*, który spędził trochę czasu wśród europejskich Romów, wiedział swoje. Ludzie na dole byli spadkobiercami Envera Hodży, potomkami ofiar piramid finansowych, których upadek przyniósł katastrofalne skutki. Ich rodzice i dziadkowie, unikając włoskiej straży wybrzeża, przepływali Adriatyk na łodziach rybackich tak wypełnionych ubogimi uciekinierami, że fale przelewały się przez nadburcia. Lądowali na brzegu w środku nocy i w swoich tanich skórzanych kurtkach i podrabianych lewisach oraz reebokach rozpraszali się po okolicy w poszukiwaniu lepszego życia.

Teraz byli wszędzie, albańscy o tyle, że ich polski, angielski lub niemiecki były przyprawione garścią albańskich słów i zwrotów, a ich sny – obrazami utraconej ojczyzny.

Nie byli, na ile mógł to ustalić *coureur*, Cyganami.

Zamknął za sobą drzwi na klucz i stał przez chwilę nieruchomo, rozglądając się po przedpokoju. Z kołków na jednej ścianie zwisały powieszone na chybił trafił płaszcze i kurtki. W połowie korytarza leżała sterta rozsypujących się po parkiecie butów i tenisówek. W powietrzu unosiła się woń rozgotowanej kapusty, przypalonej ciecierzycy i taniego odświeżacza powietrza. Na końcu korytarza widać było szeroko otwarte drzwi toalety. *Coureur* zmarszczył nos.

Chwila ciszy. A potem potężny wstrząs z dołu zapowiedział początek nowego utworu. Ze stosu obuwia zsunął się na podłogę stary, znoszony but piłkarski.

Coureur przeszedł przez korytarz i wszedł do kuchni. W zlewie piętrzyła się sterta garnków i rondli. Na stole leżały talerze z wyschniętymi resztkami kilku posiłków. Drzwi szafy ktoś zostawił otwarte. Na pokrytej linoleum

podłodze przy lodówce leżały dwa brudne widelce i nóż do steków. *Coureur* zastanawiał się przez chwilę, czy zajrzeć do lodówki, ale w końcu postanowił tego nie robić.

W salonie zobaczył, że wszystkie poduszki z sofy i foteli zostały powyjmowane i ułożone z grubsza w stos na środku pokoju, obok miniaturowego Stonehenge z butelek po piwie i słuchawek do konsoli do gier, porozkładanych na podłodze tak, by były pod ręką.

Coureur wyjął poduszkę ze stosu, położył ją na fotelu i usiadł, pocierając zmęczone oczy. Powroty do domu były zawsze takie same. Lewisowi, jego współlokatorowi, najwyraźniej brakowało genów niezbędnych, by wykształciło się u niego choćby śladowe zamiłowanie do porządku. *Coureur* wyjeżdżał z powodu „sytuacji" i bez względu na to, jak ona była poważna, odległa lub po prostu skomplikowana, kiedy wracał znużony, znudzony lub zdenerwowany (lub, jednego razu, ze świeżo zszytą raną nogi), mieszkanie zawsze wyglądało tak, jakby zostało podnajęte jakiemuś szaleńcowi.

Wstał, podszedł do okna i spojrzał w dół na wąską ulicę, potem przesunął wzrokiem po balkonach i zasłoniętych oknach przeciwległego budynku, a następnie po pochyłych dachach, tarasach, klimatyzatorach i antenach satelitarnych. Wyciągnąwszy lekko szyję, zobaczył tory kolei podziemnej biegnące w wykopie równolegle do Farringdon Road. Pociąg Metropolitan Line, łatwy do zidentyfikowania nawet z dużej odległości, ponieważ Metropolitan Company ciągle jeszcze nie zmodernizowała swego taboru kolejowego, przejechał z grzechotem kół wykopem, od tunelu po tunel, i zniknął. Po ciemniejącym topazowym niebie przeleciało ogromne, bezkształtne stado szpaków.

Otworzyły się drzwi wejściowe, po czym z trzaskiem się zamknęły.

– To ty, Seth?! – zawołał Lewis.

Coureur podszedł do drzwi salonu. Lewis zdejmował właśnie marynarkę, a wokół jego stóp powoli chylił się wielki stos żółtych i białych reklamówek Europa Foods, z których na podłogę wysypywały się puszki fasoli, słodkie ziemniaki i owoce ketmii jadalnej. Był to pewny znak, że w całym mieszkaniu nie ma już nic do jedzenia; Lewis nie wchodził do supermarketu, chyba że groziła mu śmierć głodowa, i nie zamawiał jedzenia telefonicznie, bo wierzył, że Oni przechowują listy.

– Miałeś dobrą podróż? – spytał, rzucając marynarką w ogólnym kierunku haczyków na płaszcze.

– Nie była zła.

– Świetnie. – Lewis pochylił się i zaczął wsuwać palce w plątaninę rączek toreb z zakupami. – Nie udało mi się dużo posprzątać.

– Zauważyłem – odparł Seth.

Lewis wyprostował się, podnosząc torby z podłogi. Dno jednej z nich pękło i wysypało się z niej ze sto jabłek.

– Ojej! – wyrwało się Lewisowi.

System przekonań Lewisa był skomplikowanym konglomeratem teorii spiskowych. Nie ufał zarówno rządowi, jak i policji. Nie wierzył w nic, co widział w środkach masowego przekazu. Pewnej alkoholowej nocy poinformował Setha, że co najmniej dziesięć procent pasażerów, którzy wybrali się w podróż samolotami British Airways, nigdy nie dotarło do celu.

– To udokumentowany fakt – powiedział, kiwając głową i otwierając kolejną butelkę budweisera.

– Więc dokąd polecieli? – zapytał Seth, tylko nieco mniej od niego pijany.

Lewis pochylił się do przodu i wyjawił konspiracyjnym szeptem:

– Na Madagaskar. Tam jest ogromny obóz internowania.

Seth zastanowił się nad tym.

– Dlaczego? – spytał.

Lewis usiadł.

– Nie wiem – odparł. Pomachał Sethowi butelką piwa. – Ale lepiej uważaj, stary, gdy następnym razem wejdziesz na pokład samolotu BA. Zapamiętaj moje słowa.

Rozpakowanie zakupów po jednej z nielicznych wypraw Lewisa do supermarketu było prawdziwą przygodą. Lewis miał teorię, że w kodach kreskowych jest coś skrycie podstępnego, że Oni śledzą wszystkie artykuły oznaczone takimi kodami i sporządzili ogromne listy w celach jeszcze bardziej złowieszczych i przerażających przez to, że są zupełnie nieznane.

Tak więc wycieczki do supermarketu nieuchronnie kończyły się tym, że torby i paczki lądowały ułożone w stos na stole kuchennym, a pochylony nad nimi Lewis wycinał nożyczkami kody kreskowe, by je później spalić.

Kiedy Seth po raz pierwszy zobaczył, jak to robi, zaczął się dowiadywać, czy jego współlokator nie potrzebuje regularnie podawanych leków, ale okazało się, że Lewis jest względną rzadkością: zupełnie zdrowym człowiekiem o niemal całkowicie irracjonalnym światopoglądzie. Czasami, myśląc o tym, Seth zastanawiał się, czy Lewis nie ma przypadkiem racji. A potem zwykle zastanawiał się, co pomyślałby Lewis, gdyby się dowiedział, czym zajmuje się jego współlokator.

Pod jego nieobecność ich mieszkanie odwiedził gospodarz, sędziwy Malezyjczyk, którego Lewis nazywał, bez powodu, Zachłannym Draniem, i przekazał Lewisowi radosną wiadomość o podwyżce czynszu. Samo w sobie nie było to problemem. Seth był dosyć zamożny, a Lewis zarobił ogromne pieniądze, opracowując kampanie reklamowe produktów, z których pewnego dnia będzie wycinał kody kreskowe. Zachłanny Drań nie potrafił jednak powiedzieć, kiedy otrzymają nową pralkę w miejsce starej, która niedawno oddała ducha.

I dlatego około wpół do dziesiątej tego wieczoru Seth siedział na wyścielanej ławeczce w jarzeniowym świetle miejscowej pralni samoobsługowej, obserwując swoją wirującą w suszarce bieliznę. Ach, ta romantyka życia *coureurs*…

Przez kilka miesięcy brał udział w czterech lub pięciu „sytuacjach”, w ramach których musiał polecieć do Warszawy, Brugii, Barcelony i Nikozji, zabrać stamtąd zaplombowane torby i polecieć z nimi do Berlina, Chicago, Dublina i Kopenhagi. Ostatnia „sytuacja” pociągnęła za sobą konieczność późniejszej podróży pociągiem, autobusem i taksówką do Narwiku, skrytego wejścia do domu towarowego i ucieczki przez Helsinki. Pierwsze trzy „sytuacje” dotyczyły prostego przekazania danych firmowych i jako takie były czymś rutynowym. Sprawa w Narwiku zalatywała szpiegostwem przemysłowym. A może nawet prawdziwym szpiegostwem – Centrala zwykle niechętnie na nie patrzyła, woląc je pozostawić służbom państwowym, ale w praktyce, na poziomie ulicy, nigdy nie było wiadomo, od kogo odbiera się przesyłkę ani co jest w torbie. Robiło się kolejny skok, kasowało pieniądze, powtarzało sobie, że chodzi o utrzymanie przy życiu ducha Schengen, i zapominało o wszystkim.

Otworzyły się drzwi i do pełnej pary pralni wdarło się chłodne powietrze. Seth uniósł wzrok znad książki. W wejściu stała jakaś kobieta

w średnim wieku. Miała na sobie gruby czarny sweter, spodnie US Army w kamuflażu pustynnym i buty dla motocyklistów; w każdej ręce trzymała dużą niebieską torbę na zakupy. Gdy zamknęły się za nią drzwi, weszła do środka i ruszyła wzdłuż szeregu pralek, szukając wolnej. Seth wrócił do lektury.

Centrala wywodziła się z setek małych firm kurierskich, które działały w Europie przed przełomem wieków, wożąc różne towary – dokumenty zbyt cenne, by je przesłać pocztą, zakodowane dane na dyskach zbyt ważne lub tajne, by można je było powierzyć sieci itd. Gdyby Centrala miała jeden wyznaczony cel, byłoby nim ostateczne zniesienie granic i swoboda przemieszczania się dla wszystkich, i gdyby była średniej wielkości przedsiębiorstwem międzynarodowym, Seth pracowałby w jego dziale pocztowym.

Takie życie mu odpowiadało, mniej więcej. Podstawowy interes Centrali kręcił się bez przerwy, stwarzając nieskończenie wiele okazji do podróżowania, i był całkiem popłatny. Ponad nim były poziomy, na których przerzucano ludzi, a okoliczności ich podróży były znacznie bardziej niebezpieczne i ekscytujące, ale Sethowi tego rodzaju „sytuacje” zbytnio przypominały ciężką pracę.

– Ta pieprzona maszyna nie działa.

Seth uniósł wzrok. Przy dozowniku detergentu stała kobieta. W ręce trzymała plastikowy kubek, a torby z rzeczami, które przyniosła do prania, leżały na podłodze obok jej nóg.

– Ta pieprzona maszyna nie działa – powtórzyła, pokazując palcem na dozownik.

– Musisz kupić kartę – wyjaśnił Seth, wskazując głową pudełko przy dozowniku. – Dziesięć funtów.

Kobieta wpatrywała się w niego dłuższą chwilę, jakby bardzo intensywnie rozmyślała o tym, co jej powiedział.

– Chcę tylko trochę pieprzonego proszku do prania – powiedziała w końcu.

– Karta uruchamia też pralkę.

Zmrużyła oczy, a Seth westchnął. Ostatni raz coś takiego mu się przydarzyło w autobusie do Narwiku, kiedy Łotysz z dużą nadwagą wcisnął się na siedzenie obok niego i próbował mu sprzedać małe kartonowe pudełko, które, jak twierdził, zawierało zmumifikowany penis Józefa

Stalina. Seth nie wiedział, dlaczego przydarzają mu się takie rzeczy. Może miał taką strukturę kości, która mówiła wszystkim wariatom: jestem tutaj, porozmawiaj ze mną.

– Posłuchaj – powiedział, wstając, i podszedł do automatu z kartami. – Może po prostu kupię ci kartę, co?

– Cholera, nie traktuj mnie protekcjonalnie, słonko – warknęła kobieta. – Mam w tych torbach rzeczy do prania starsze od ciebie. Sama sobie mogę kupić te pierdolone karty.

Seth rozłożył ręce i cofnął się od automatu, w ostatniej chwili nie zdoławszy się oprzeć pokusie złożenia półukłonu. Kobieta spiorunowała go wzrokiem i wsunęła w szczelinę dziesięciofuntową monetę.

Seth wrócił na ławeczkę i do swej kręcącej piruety bielizny, ale nie można było zignorować kobiety, kiedy wsypywała zawartość plastikowego kubka detergentu do jednej z pustych pralek – przez drzwiczki, proszę zauważyć, a nie do zbiorniczka na górze – i wrzucała za nim swoje pranie. Potem wróciła, usiadła obok Setha, głośno westchnęła z ulgą, z jednej kieszeni na udzie wojskowych spodni wyjęła mocno podniszczoną starą książkę w miękkiej oprawie, a z drugiej okulary i zabrała się do czytania. Seth poczuł, jak zamiera w nim serce.

Przesiedzieli tak w milczeniu około dziesięciu minut, po czym Seth powiedział:

– Dopiero co wróciłem, wiesz?

Kobieta oderwała wzrok od książki.

– Słucham, kochanieńki?

– Właśnie wróciłem do domu. Jestem rozbity. Nie chcę jeszcze brać nowej roboty.

Popatrzyła na niego i uniosła brew.

– Okulary – wyjaśnił. – Są bardzo stare.

– Mogłam odziedziczyć oprawki po babci – odparła.

Seth przechylił głowę.

Westchnęła.

– W porządku. – Zdjęła okulary i przyjrzała się im trochę speszona. – Zawsze jest coś, prawda? Myślałam, że to cholernie dobry kamuflaż. – Uśmiechnęła się do niego. – Ale masz oko!

Wzruszył ramionami. Jestem *coureur*, zobacz, jakie mam niezwykłe umiejętności identyfikowania okularów.

– Co masz dla mnie?

– Och, nie wiem – powiedziała, odzyskując pogodę ducha. – Ja po prostu je dostarczam. Nikt mi niczego nie mówi. Proszę. – Podała mu książkę. – Poczytaj to sobie.

Wziął książkę. *Atlas zbuntowany*. Tylna część okładki i połowa przedniej oderwane. Wyglądała, jakby sporo czasu przeleżała w saunie: kartki tak napęczniały, że była niemal dwa razy grubsza niż na początku, a i wtedy była już całkiem opasła.

– Słyszałem o niej.

– To chłam – odpowiedziała „korespondentka", wstając. – Tej kobiecie brakowało piątej klepki. – Ruszyła ku wyjściu.

– A co z twoimi rzeczami? – zapytał Seth.

Odwróciła się do niego.

– Co?

Wskazał głową ubrania w pralce.

– Och, one nie są moje – odpowiedziała radośnie. – To tylko rekwizyty. Pieprzyć je. Pa.

Mieszkanie było na najwyższym piętrze zaadaptowanego budynku magazynowego na skraju dezorientującego labiryntu małych uliczek między Farringdon Road i Gray's Inn Road, niedaleko na południe od Clerkenwell Road. W latach dziewięćdziesiątych cały ten obszar doświadczył spazmu przekształceń, ale do roku 2000 nikt nie mógł sobie pozwolić na wynajem, więc przebudowane bloki zostały sprzedane, jeden po drugim, wspólnotom mieszkaniowym. Do mieszkań zajmowanych kiedyś przez młode, pnące się po szczeblach drabiny społecznej pary przenieśli się artyści, studenci oraz muzycy. Pojawili się też uchodźcy i azylanci z nowszych państw oraz państewek Europy i Afryki. Zebrania stowarzyszenia mieszkańców zaczęły przypominać sesje Rady Bezpieczeństwa ONZ podczas strajku tłumaczy.

Seth przybył tu przed sześciu laty i zakochał się w okolicy od pierwszego wejrzenia. Był już wtedy od kilku lat jednym z *coureurs* i jego życie sprowadzało się do podróżowania po kontynencie, przewożenia „pakunków" z miejsca na miejsce oraz przemieszkiwania w hotelach i pensjonatach, które wszystkie były jakoś do siebie podobne. Spędził tak kilka pracowitych lat, aż któregoś dnia stwierdził, że siedzi w pokoju

hotelowym i rozglądając się dokoła, zastanawia się, gdzie właściwie jest. W Padanii? Ulsterze? Gdzieś w Kraju Basków?

Uznał to za znak i wyłączył się z działalności na kilka miesięcy, żeby znaleźć sobie solidną bazę, jakieś miejsce, które mógłby nazwać swoim. Wrócił do Londynu, odwiedził w Hampstead ojca i macochę, spędził trochę czasu z siostrą i jej rodziną w Kornwalii. Pod koniec wizyty zobaczył reklamę w internetowym wydaniu „Loot”, a dwa dni później przedstawił się Lewisowi.

Gdyby Lewis był lepiej sytuowany, nigdy nie zgodziłby się dzielić z kimś mieszkania, ale choć dobrze zarabiał, groziło mu niebezpieczeństwo wymówienia umowy najmu, jeśliby nie znalazł kogoś, kto pomógłby mu opłacać czynsz. Seth nie mógł się później oprzeć profesjonalnej dumie z tego, że ze wszystkich ubiegających się o to, by z nim zamieszkać, Lewis właśnie jego uznał za najmniej podejrzanego.

Próbując spojrzeć na siebie obiektywnie, Seth stwierdził, że rzeczywiście wyglądał na idealnego współlokatora. Schludny, porządny, dyskretny, wyrozumiały. Wyjeżdżający w interesach na dłuższe okresy. Gotowy bez narzekania szykować posiłki i zmywać naczynia. I co ze wszystkiego najważniejsze: dość bogaty. Tak oto przekonał Lewisa, że nie jest Ich Agentem. Seth uważał to za całkiem zabawne, zważywszy że pracował dla organizacji będącej de facto globalną konspiracją.

Kiedy Seth wrócił z praniem, Lewisa znowu nie było w domu. Seth nigdy się nie dowiedział, co jego współlokator robi wieczorami. Oczywiście bywał w pubach, ale w których i z kim, nie miał pojęcia. Czasem wyobrażał sobie pokój na piętrze jednej z obskurnych tawern w dzielnicy Fitzrovia i krąg wyznawców teorii spiskowych, którzy wiercąc się niespokojnie na krzesłach rozstawionych pod ścianami, z kuflami prawdziwego ale w zaciśniętych pięściach, omawiali przyciszonym głosami Ich najnowsze, zagmatwane posunięcia. Ich, czyli oczywiście chimery powstałej z połączenia nauki, wojska, rządu i wszystkiego, co miało związek z Ameryką. Lewis miał dziewczynę, delikatne stworzenie o imieniu Angela, makijażystkę w filmach reklamowych, która czasem snuła się po mieszkaniu całkowicie naga, jeśli nie liczyć wielkiej klamry w kształcie motyla we włosach, szukając tostów i herbaty. Seth nigdy nie odbył z nią poważniejszej rozmowy wykraczającej poza problemy w rodzaju „Gdzie jest marmolada?”.

Wszystko to mu raczej odpowiadało. Pomijając jeden raz, kiedy wrócił z raną nogi, nigdy nie przyniósł pracy do domu; nigdy nie było takiej potrzeby. Dom był tam, dokąd jeździł, kiedy nie wykonywał kolejnego zadania jako *coureur*, solidnym centrum, wokół którego kręciło się jego perypatetyczne życie. Podobało mu się tutaj. Lubił Lewisa, a nawet Angelę, do tego stopnia, że akceptował jej obecność w swoim życiu. Mimo że nigdy nie mógł przewidzieć, z tygodnia na tydzień, dokąd zawiedzie go praca, było to uregulowane życie, które zorganizował tak, jak chciał.

Na przykład wszystkie instrukcje dotyczące jego zadań były przesyłane na anonimowe konto e-mailowe, które wymazywało się i zapisywało na nowo dwadzieścia osiem razy na dobę na całkowicie zapomnianym bezpiecznym serwerze w piwnicach Ministerstwa Obrony. Przyzwyczaił się do tego, przywykł do znajomego, cichego sygnału swojego telefonu, kiedy zaczynała się nowa „sytuacja".

Mógł policzyć na palcach jednej ręki, ile razy instrukcje doręczał mu „korespondent". Upłynęło też już trochę lat – właściwie nie zdarzyło się to od czasu, gdy sam był początkującym „korespondentem" – odkąd ostatni raz poproszono go, by stworzył dla kogoś legendę.

Usiadł na sofie i popatrzył na karteczkę, którą wyjął spomiędzy stron grubego jak cegła egzemplarza *Atlasa zbuntowanego*. Mężczyzna. Typ kaukaski. Włosy jasnobrązowe, oczy piwne. Wzrost tyle a tyle, ciężar taki a taki. Imię i nazwisko: Roger Curtis. I to wszystko. Został, w gruncie rzeczy, poproszony o stworzenie pana Curtisa od zera.

Co, choć niewątpliwie interesujące w sensie akademickim, było trochę prozaiczne i dość odległe od jego normalnych obecnie spraw. Z drugiej strony mógłby to zrobić, nie opuszczając Londynu. A notatka zawierała jeszcze adres URL i zestaw kodów, które dawały mu dostęp do konta operacyjnego oraz linii kredytowej na nieco ponad milion euro.

Myśląc o tym ostatnim, zawahał się. Finansowanie operacji było czymś normalnym – trzeba kupić bilety, zarezerwować hotele, czasem dać łapówkę – ale ta suma wykraczała poza jego doświadczenie, co stawiało go w nieco niezręcznej sytuacji. To od niego zależało, kim będzie pan Curtis, ale kto chciał być panem Curtisem za tak fantastyczne pieniądze?

Notatka zawierała również link do folderu na dysku internetowym zawierającego pojedynczy plik tekstowy ze słowami: „Spotykałem się

kiedyś z Wenus z Rokeby [1]”. Hasło, dzięki któremu odbiorca legendy – a przynajmniej pośrednik, który przybył ją odebrać – da mu się rozpoznać. To przynajmniej było absolutnie standardowe. Wszystko dotyczące roboty było absolutnie standardowe. Z wyjątkiem pieniędzy. Pieniądze pasowały do tej idealnej standaryzacji jak wół do karety i Seth nie mógł się nie zastanawiać, dlaczego ci, którzy przepchnęli tę robotę, pozwolili, by coś takiego im się wymknęło. Wiadomość? To jest ważne. Nie spieprz tego? Albo po prostu zwykłe niedbalstwo?

Trudno było na to odpowiedzieć. Ale robota to robota. Sprawdziwszy szybko stan konta, stwierdził, że już mu za nią zapłacono, i to bardzo dobrze.

Zgoda, w porządku. Seth wyjął telefon i stworzył kilka nowych kontaktów, a potem zakamuflował URL banku i zestaw kodów jako numery telefonów oraz adresy stron internetowych. Zapamiętał cechy fizyczne pana Curtisa. Potem zjadł karteczkę i otworzył *Atlasa zbuntowanego* na pierwszej stronie.

Przeczytawszy kilkanaście stron, zamknął książkę, wstał i wrzucił ją do kubła na śmieci. „Korespondentka” z pralni miała rację: to chłam.

Pan Curtis będzie Szkotem. To było pierwsze, co Seth postanowił. Odzyskanie przez Szkocję niepodległości nie przebiegło prosto i bezboleśnie, jak to sobie wyobrażały pokolenia polityków Szkockiej Partii Narodowej, i w czasie rozruchów separacyjnych spalono wiele budynków komunalnych – w tym archiwa miejskie – a przechowywane w nich dokumenty oraz serwery poszły z dymem.

W danych publicznych Szkocji ziała ogromna czarna dziura i wstawienie do nich nie istniejącej osoby nie stanowiło problemu. Było to też trochę banalne, ale jeśli coś jest banalne, to wcale nie znaczy, że jest nieprawdą. Podczas zamieszek przepadły dane osobowe setek tysięcy prawdziwych ludzi. Przeglądając pliki z artykułami gazetowymi na temat separacji, sprawdził, które archiwa i które szkoły zniszczono.

Pojechał pociągiem do Edynburga – godzinę przesiedział na posterunku granicznym pod Berwick, podczas gdy szkoccy celnicy sprawdzali wagony, szukając narkotyków i innej kontrabandy – i przez kilka dni chodził po mieście, starając się wczuć w jego atmosferę. Po jakimś czasie doszedł do

wniosku, że obecnie Szkocja przeżywa dość ciężkie chwile. Wydobycie ropy z wyczerpujących się złóż na Morzu Północnym, które odziedziczyło nowe państwo, stało się nieekonomiczne już kilka lat wcześniej, dochody z turystyki nie pokryły tych strat w mierze, na którą wszyscy liczyli, a wielkie firmy z sektora nowoczesnych technologii uciekły z Silicon Glen do bardziej stabilnych części Europy. Miasto, nawet jego historyczne centrum, wyglądało biednie, a poszarzali, chudzi mieszkańcy sprawiali wrażenie nieszczęśliwych. W Pałacu Westminsterskim rozpoczęła się już debata, czy pozwolić Szkocji na ponowne przyłączenie się do Anglii; obecnie w tej sprawie zdawała się panować zgodna opinia, która sprowadzała się do głośnego nie. W angielskim parlamencie wciąż byli posłowie o długiej pamięci, którzy w pierwszej kolejności pragnęli ukarać Szkotów za opuszczenie Zjednoczonego Królestwa.

Po powrocie do Londynu sam zajął się hakowaniem. Jeździł po City oraz West Endzie i wykorzystując oprogramowanie do wardrivingu, wyszukiwał, a potem podłączał się do tych firmowych hotspotów, które miały przestarzałe szyfrowanie. Następnie, siedząc w pobliskich bibliotekach lub kawiarniach, spokojnie wprowadzał informacje o dacie i miejscu urodzin oraz wykształceniu Rogera Curtisa do baz danych w Edynburgu. Wspierał te dane fragmentarycznymi informacjami o rodzicach pana Curtisa – już nieżyjących, niestety – rzekomo odzyskanymi ze zniszczonych w czasie zamieszek serwerów i spalonych szaf na dokumenty. W kategoriach hakerskich była to bułka z masłem. Rząd w Edynburgu, rozpaczliwie starający się ściągnąć kapitał do kraju, zaoferował go światu jako wielką przechowalnię prywatnych danych, ale niemal przez dekadę nie zadał sobie trudu, aby uaktualnić zabezpieczenia swoich danych publicznych. Seth przemykał przez bazy danych, modyfikując je i poprawiając tak niepostrzeżenie, jakby go nigdy w nich nie było.

Dostęp do archiwów uniwersyteckich był niemal równie łatwy. Stany Zjednoczone były usiane trupami małych upadłych college’ów, szczególnie na Środkowym Zachodzie. Roger Curtis studiował w jednym z nich, niedaleko Milwaukee. Statystycznie przekonująca liczba jego kolegów i wychowawców już nie żyła. Wszyscy inni byli rozproszeni bardzo daleko od Europy, a ich ślady były zamazane i nieczytelne.

Historię pracy pana Curtisa przedstawił Seth mało konkretnie. Przez rok był wędrownym dziennikarzem obywatelskim w Ameryce Południowej. Pracował tam jako wolontariusz dla organizacji charytatywnych w Gwatemali i Chile. Potem powrót do Brytanii i tymczasowe prace w szeregu małych londyńskich firm, które wszystkie zdążyły już zbankrutować, a informacje o nich były tak skąpe, jakby ich w ogóle nie było. Ostatnie wiadomości dotyczyły mieszkania w Balham. Seth pojechał na południowy brzeg i wynajął mieszkanie w imieniu pana Curtisa, a następnie przystąpił do załatwiania nudnych spraw związanych z rachunkami za media, lekko przy tym zachodząc za skórę przedstawicielom agencji wynajmującej lokale, dostając mandat za złe parkowanie w Tooting itd., itp. Zostawił możliwie duże pole do personalizacji tego wszystkiego człowiekowi, który później wcieli się w pana Curtisa.

Całość zajęła mu około trzech tygodni, a na końcu wciąż miał jeszcze większość funduszy operacyjnych, z czego był profesjonalnie dosyć dumny. Wprowadził ostatnią poprawkę, zgłosił agencji wynajmującej ostatnią skargę dotyczącą kanalizacji, zostawił w należącym do *coureurs* folderze na dysku internetowym wiadomość, że legenda jest gotowa do przekazania, i pojechał do Padstow, by spędzić weekend z siostrą.

Około ósmej wieczorem w niedzielę nieznane wcześniej skrzydło prawie powszechnie ignorowanej rodzimej organizacji terrorystycznej wysadziło semaforową skrzynkę przyłączeniową tuż za Swindon.

Skrzynka ta, rozmiarów pudełka na buty, była przełącznikiem około siedemdziesięciu kabli optycznych przenoszących dane z rozjazdów i semaforów na trasie między Londynem a Land’s End. Wybuch, osiągnięty dzięki wywierceniu otworu w obudowie skrzynki i nasypaniu do środka prochu z fajerwerków, był tak dyskretny, że dowiedziano się o nim dopiero następnego dnia rano, gdy inżynierowie zlokalizowali miejsce zerwania kabli i przystąpili do naprawy. Mniej więcej w tym samym czasie zaczęło krążyć bardzo niejasne i ledwie zrozumiałe oświadczenie prasowe, w którym owa organizacja brała na siebie odpowiedzialność za ten oburzający akt. Prawie nikt ani przedtem, ani potem o niej nie słyszał.

Przerwanie sygnału nie zatrzymało całkowicie pociągów, ale spowodowało mniej więcej godzinne opóźnienia, dopóki nie uporano się

z obejściem, co wywołało efekt domina, w rezultacie którego osobowy szósta czterdzieści pięć z Padstow, mający przybyć na Paddington o dziesiątej, dojechał tam dopiero o północy. Seth, taszcząc torbę, opuścił stację z resztą niezadowolonych pasażerów, unikając przepychanek i tłoku na postoju taksówek, i ruszył pieszo w stronę wielkich hoteli przy Edgware Road, gdzie zawsze było ich dużo. Przywołał jedną z nich, kiedy jechała na postój pod Marriottem, położył torbę na siedzeniu i rozsiadłszy się wygodnie, zamknął oczy.

Było blisko pierwszej w nocy, kiedy Seth zapłacił taksówkarzowi pod swoim domem w Farringdon i powlókł się zmęczony z torbą po schodach. Dzieciaki z miejscowego osiedla komunalnego, którym znowu udało się uporać z blokadą zamka w drzwiach od ulicy, porozbijały wszystkie żarówki na półpiętrze Setha. Kiedy szedł przed siebie w przyćmionym świetle ekranu telefonu, słyszał szkło chrzęszczące mu pod stopami.

Przy drzwiach do mieszkania Sethowi wydało się, że szkło jest zmieszane z czymś lepkim. Mruknął coś, otworzył drzwi, wszedł do środka i natychmiast upadł, potknąwszy się o jakąś przeszkodę leżącą w przedpokoju.

Klnąc na cały głos, Seth wstał i spróbował włączyć światło, ale że nie działało, ponownie wyjął telefon, obrócił go ekranem do przodu i w jego blasku zobaczył Lewisa leżącego na plecach na podłodze, z otwartymi oczami, małą czarną dziurą w czole i twarzą tak zniekształconą, jakby uszło z niej powietrze. Pod jego głową i ramionami była wielka kałuża ciemnej cieczy, która wypłynęła pod drzwiami na półpiętro.

Umysł Setha nie chciał przetworzyć tego, co widziały jego oczy.

Nie chciał też przetworzyć obrazu skulonej postaci, która leżała w połowie w sypialni Lewisa; klamra, którą kiedyś miała we włosach, spadła na listwę przypodłogową tuż obok wejścia do kuchni.

Usłyszał chrzęst szkła za plecami.

Odwrócił się i ujrzał ciemną postać wyłaniającą się z cienia, który skrywał drzwi po przeciwnej stronie. W świetle telefonu dostrzegł, że nieznajomy ma na sobie ciasno dopasowane ciemne ubranie, a w ręce trzyma coś, co wygląda jak pistolet z bardzo długą lufą. Podniósł pistolet i machnął nim lekko, a Seth uniósł ręce nad głowę. Kolejny gest i Seth

cofnął się o krok w głąb korytarza, gdy strzelec dotarł do drzwi wejściowych i uniósłszy pistolet, wycelował w jego głowę.

Rozległo się ciche kaszlnięcie i górna część głowy ciemnej postaci rozleciała się w fontannie rozpryskujących się kropli, kawałków kości i tkanki. Przez ułamek sekundy ciało pozostało wyprostowane, a potem jego kolana się odblokowały i runęło na podłogę.

Seth pozostał tam, gdzie był, z rękami nad głową i twarzą spryskaną krwią.

Po chwili w drzwiach ukazała się kolejna postać. Mężczyzna z pistoletem.

– Ktoś jeszcze? – zapytał.

Seth wzruszył ramionami.

– Nie widziałem nikogo innego.

Nieznajomy wszedł do mieszkania i popchnął nogą ciało strzelca.

– Jezus Maria! – powiedział. – Co za bałagan.

Teraz Seth mógł zobaczyć, że jest on średniego wzrostu i ma dość nijaki wygląd. W przeciwieństwie do jego pistoletu, który wyglądał jak złożony w szopie z najrozmaitszych elementów sprzętu ogrodowego, krótkich kawałków węża i rurki miedzianej o średnicy dwóch centymetrów.

Popatrzył na Setha.

– Opuść ręce – powiedział i zamknął za sobą drzwi. – Czy jest tu coś, bez czego absolutnie nie możesz żyć?

Seth pokręcił głową i opuścił ręce.

– W porządku. Przebierz się, umyj twarz i weź płaszcz. I pospiesz się.

Seth przechylił głowę.

– A ty jesteś…?

Niczym nie wyróżniający się wybawca Setha spojrzał na niego. Wzruszył ramionami i dziwaczny, jakby zmajstrowany na poczekaniu pistolet zniknął w fałdach jego płaszcza.

– Mów mi Leo – powiedział.

Za rogiem stał stary poobijany espace, a Leo miał do niego kluczyk. Seth, pozwoliwszy się posadzić na przednim fotelu dla pasażera, obserwował siebie zapinającego pas, a potem patrzył przez szybę na rozwijające się przed nim jak dywan nocne ulice. Czuł się tak, jakby jego życie nagle stało

się czymś, na co spoglądał z zewnątrz. Był świadomy, że cały drży, ale ta świadomość była jakaś przytłumiona, osłabiona.

– To nie powinno było się wydarzyć, przykro mi, że tak się stało – odezwał się Leo. Prowadził samochód przez skomplikowany system jednokierunkowych ulic dzielnicy King’s Cross, unikając wychodzących niespodziewanie na jezdnie pijaków.

Seth odwrócił głowę, aby spojrzeć na tego skromnego, nie rzucającego się w oczy młodego człowieka, i stwierdził, że nie może wydusić ani słowa.

Leo zerknął na niego, a potem musiał gwałtownie zahamować, gdy przed nimi nagle, bez żadnego sygnału ostrzegawczego, do ruchu włączyła się taksówka. Nie nacisnął jednak na klakson, jak na jego miejscu zrobiłby to inny kierowca. Wymamrotał tylko pod nosem kilka słów, których Seth nie zrozumiał, i przepuścił taksówkę.

– Pewnego dnia – powiedział do siebie – wrócę tu i zemszczę się na pieprzonych kierowcach w tym mieście. – Mówił doskonale po angielsku, ale z lekkim akcentem, którego Seth nie potrafił zidentyfikować.

– Będę wymiotował – wykrztusił Seth.

Leo zatrzymał samochód przy chodniku, pomógł Sethowi wyjść i dotrzeć do wylotu najbliższej uliczki, gdzie Seth zwrócił wszystko, jak mu się zdawało, co kiedykolwiek zjadł, a potem ukląkł z policzkiem przyciśniętym do ceglanego muru i rozpłakał się, podczas gdy świat wokół niego kręcił się i kołysał.

Potem znowu był w samochodzie, nie pamiętając, że do niego wrócił, nie znane mu ulice otwierały się przed nim w blasku latarni ulicznych i czerwonych świateł innych pojazdów, rozciągając się w jakąś straszną, nieznaną dal, a Leo znowu zaczął mówić:

– Próbowałem. Starałem się trzymać was wszystkich z dala od mieszkania, ale musiałem improwizować i się nie udało. Twoi przyjaciele… przepraszam. Nie dałem rady ich ochronić.

Seth otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zdołał jedynie zrobić spazmatyczny wydech. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek przestanie dygotać.

– Jestem ci winny wyjaśnienie, przynajmniej – mówił dalej Leo, ale wyglądało na to, że i jemu zabrakło słów, bo przez dłuższy czas nic nie powiedział.

Dojechali do dużego skrzyżowania z wielkim pubem pośrodku i Seth zdał sobie sprawę, że są w Archway. Leo objechał skrzyżowanie i skręcił w Archway Road, kierując się na długie wzgórze na północ od Londynu i dalej, w stronę Highgate.

– Wplątałem się w coś… skomplikowanego – odezwał się w końcu Leo, kiedy przejeżdżali pod wielkim żelaznym wiaduktem, który wynosił Hornsey Road wysoko nad Archway Road. – Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, i żeby doszukać się w tym jakiegoś sensu, muszę wrócić na kontynent. I potrzebuję legendy.

Seth odwrócił głowę i popatrzył na Leona.

Leo odpowiedział mu smutnym spojrzeniem.

– Spotykałem się kiedyś z Wenus z Rokeby – powiedział. Kiedy Seth nie zareagował, tylko po prostu wpatrywał się w niego, dodał: – Obawiam się, że ta cała sprawa wychodzi trochę poza ustalone reguły postępowania.

Pierwsze słowo, które Seth zdołał wykrztusić, odkąd opuścili King’s Cross, brzmiało:

– Trochę?

– Nikt nie miał umrzeć – rzucił gniewnie Leo. – To mnie chcą; nie sądziłem, że wciągną w to przypadkowych świadków.

– Oni?

Leo pokręcił głową.

– Nie wiem. Ktoś mi powiedział, że Centrala chce mojej śmierci, ale ja w to nie wierzę. Powiedzieli mi również, że mojej śmierci chce kontrwywiad Wielkich Niemiec, i w to jest mi już łatwiej uwierzyć, ale nie mam pojęcia, dlaczego mieliby tego chcieć, bo nie zrobiłem niczego, by ich wkurzyć. Po prostu nie wiem. Muszę wrócić na kontynent, porozmawiać z ludźmi, spróbować zrozumieć tę katastrofę.

Gdy jechali przez East Finchley i North Finchley, Seth kilkakrotnie próbował przeanalizować to wszystko, ale słowa w jego głowie jakoś do siebie nie pasowały. To był tylko szum.

– Lewis – powiedział w pewnej chwili. – Angela.

– Twoi przyjaciele? Naprawdę mi przykro z tego powodu. Gdybym mógł to powstrzymać, zrobiłbym to.

Seth zaczął się macać po kieszeniach, szukając telefonu.

– Ktoś powinien powiedzieć rodzicom Lewisa…

Leo wyciągnął rękę, wyjął telefon z dłoni Setha i otworzywszy okno od strony kierowcy, wyrzucił go. Seth usłyszał tylko cichy brzęk rozbijającego się aparatu i to było wszystko.

– Przepraszam – powiedział, słysząc, jak zaskoczony Seth zachłysnął się powietrzem. – Żadnych telefonów.

Seth przez chwilę gapił się na niego i nagle stwierdził, że opiera się skulony o drzwi pasażera, nie mogąc złapać tchu i czując ból w szczęce. Na twarzy Leona pojawiły się zadrapania, a kierowca jadącego za nimi samochodu gniewnie naciskał na klakson.

– Proszę, nie rób tego więcej – rzekł Leo. – A przynajmniej spróbuj poczekać do czasu, gdy nie będę prowadzić.

– Kim ty jesteś?! – krzyknął Seth.

– Jestem *coureur* – odpowiedział Leo. – I jestem w „sytuacji”. Nie chcę cię skrzywdzić. Potrzebuję twojej pomocy. Tak naprawdę potrzebujemy się nawzajem, bo oni teraz przyjdą też po ciebie.

– Z powodu legendy?

– Dlatego, że ta legenda była dla mnie. Nie wiem; nic z tego nie rozumiem. Oni już zabili mojego brata.

Znów na długą chwilę zapadła cisza. Byli już w Barnet, gdy Seth powiedział:

– Niemcy.

– Nie wiem na pewno, czy to oni. Powiedziano mi, że to o nich chodzi, a że jakiś czas temu byłem zaangażowany w coś… dziwnego w Berlinie, więc przynajmniej jest to wiarygodne. Tylko że najzwyczajniej nie ma żadnego sensu.

Kolejna długa cisza. Przejechali przez Barnet oraz Potters Bar i dotarli do wiejskich okolic Hertfordshire.

– Znowu zbiera mi się na wymioty – powiedział Seth.

Leo zwolnił i zatrzymał samochód na poboczu. Seth rozpiął pas bezpieczeństwa, otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Przedarł się przez żywopłot, wpadł na ciągnące się za nim pole i zaczął biec przed siebie tak szybko, jak tylko mógł.

– Nie bądź głupi! – usłyszał krzyk Leona. – Potrzebujesz mojej pomocy! Sam nie przeżyjesz dłużej niż kilka dni!

Seth trafił nogą w koleinę i padł na ziemię jak długi.

– Hej! – zawołał Leo. – Gdzie jesteś?!

– Tutaj – odpowiedział Seth. – Myślę, że złamałem nogę w kostce.

– To tylko skręcenie – stwierdził Leo.

– No cóż, w takim razie wszystko w porządku – odrzekł Seth. Byli z powrotem w samochodzie i jechali przez śpiącą, nie oświetloną okolicę daleko poza miastem. Nie wiedział, gdzie są, ale miał wrażenie, że w pewnym momencie skręcili na wschód. – Co się stało z twoim bratem?

Przez chwilę pomyślał, że Leo w ogóle nie odpowie.

– Próbowali do mnie dotrzeć przez moją rodzinę – odparł w końcu Leo. – Ojciec został poważnie zraniony. Brat wszedł im w drogę.

– A co z moją rodziną?

Leo nic nie powiedział.

– Musimy im pomóc – nalegał Seth.

– Wiem. – Leo pokiwał głową.

– Więc?

– Pomożemy im. Ale najpierw musimy gdzieś odpocząć. – Zerknął na niego. – Będę cię musiał związać czy jak?

Seth zastanowił się nad tym.

– Pomóż najpierw mojemu tacie i siostrze. Potem porozmawiamy o tym.

Zatrzymali się w motelu sieci Travelodge na obrzeżach Bishops Stortford. Leo wynajął dla nich dwuosobowy pokój, w sklepiku motelowym kupił bandaż uciskowy i środki przeciwbólowe dla Setha, po czym wnieśli do pokoju bagaż.

Zamknąwszy drzwi, Leo z jednej ze swoich toreb na zakupy wyjął szare pudełko, nie większe od pudełka zapałek, i przykleił je do ościeżnicy, blisko góry. Następnie zrobił to samo z wszystkimi oknami, mimo że byli na czwartym piętrze motelu. Potem zdjął płaszcz i Seth wreszcie mógł się przyjrzeć tej rzeczy, z której zastrzelił zabójcę. Przy pasku Leo miał małą metalową butelkę, z której do wiązki mniej więcej sześciocalowych miedzianych rurek zamontowanych na prowadnicy przypiętej do przedramienia wychodziły zbrojone węże.

Leo zobaczył, jak Seth patrzy na to ustrojstwo.

– Bardzo się śpieszyłem – powiedział. – „Kowal” to dla mnie sklecił.

W terminologii *coureurs* „kowal” był rusznikarzem. Postacią mityczną w świecie Setha.

– Co to jest?

Leo zdjął urządzenie, położył je na stole i popatrzył na nie ze smutkiem.

– Pistolet strzałkowy zasilany sprężonym powietrzem. Świetna robota jak na tak krótki czas. – Spojrzał na Setha. – Mogę ci zaufać, że nie będziesz się tym bawił, gdy odwrócę się do ciebie plecami? Nie było czasu na zainstalowanie bezpiecznika.

Seth skinął głową.

– W porządku. – Leo otworzył kolejną torbę, wyjął z niej laptop i paczkę telefonów na kartę. – Zobaczmy w takim razie, co możemy zrobić w sprawie twojej rodziny.

Ponad godzinę zajęło mu sprawdzanie różnych stron internetowych i anonimowych forów dyskusyjnych oraz telefonowanie – jedna rozmowa na jeden telefon, który następnie wyrzucał. Niektóre z tych rozmów prowadził w sposób zdradzający napięcie, inne były całkowicie niezrozumiałe. Seth skorzystał z wyposażenia pokoju, żeby zrobić im kawę, a potem chodził po nim nerwowo tam i z powrotem, aż w końcu Leo kazał mu usiąść, na co Seth odpowiedział kilkoma przekleństwami płynącymi z głębi serca.

W końcu Leo usiadł wygodniej i zamknął laptop.

– Wszystko w porządku? – zapytał Seth.

– Za chwilę się dowiemy. Wspaniałe w Les Coureurs jest to, że jest całkowicie podzieloną, poszufladkowaną organizacją. Każdy przyzwyczaił się do odbierania i wykonywania anonimowych rozkazów, a przez połowę czasu większość nie wie, dlaczego robi to, co robi. Musisz po prostu włamać się do tej struktury i dopóki wiesz, z kim rozmawiać, i masz odpowiednie hasła rozpoznawcze, nikt nie zakwestionuje twoich instrukcji.

– Tak jak ja.

Leo potarł oczy.

– Ty, „korespondent”, który przekazał ci zlecenie… Wszyscy po prostu robią, co im kazano, bo dlaczego nie mieliby tego robić? – Patrząc na Setha, zamrugał zaczerwienionymi ze zmęczenia oczami. – To było zadanie na bardzo niskim poziomie. Szczerze mówiąc, myślałem, że wszystko pójdzie jak po maśle. Przepraszam. – Westchnął. – Co za cholerny bałagan.

– Dlaczego ja?

– Słucham? Aha. To była kwestia przypadku, naprawdę. Miałem listę około pół tuzina ludzi, którzy mogli to zrobić. Nie chciałem korzystać

z „korespondentów”; chciałem kogoś z doświadczeniem, kogoś, kto zrobiłby to dobrze.

– Powinieneś podzielić pracę na części i dać każdą innej osobie.

– Aha, tak jest bardziej anonimowo, wiem. Ale im więcej ludzi wie coś o czymś, tym większa możliwość, że to wyjdzie na jaw. Zdecydowałem, że najlepiej jest dać to jednej osobie. – Leo zerknął na zegarek, tani, wydrukowany drobiazg, który wyglądał tak, jakby był darmowym dodatkiem do wydrukowanych butów. – Prześpij się. Przez następne kilka godzin nic się nie stanie.

– Chyba żartujesz.

– Musisz być wykończony. Ja jestem.

– Nie ma mowy. Opowiedz mi, jak to się stało, że moi przyjaciele musieli umrzeć, a ja skończyłem jako uciekinier. To nie pozwoli nam zasnąć.

I tak Leo – najwyraźniej Rudi – opowiedział mu szaloną historię o szefach kuchni i restauracjach, katastrofalnie zakończonych skokach, gorących walizeczkach i głowach w skrytkach bagażowych, zamieszkach w parku narodowym, fałszywej kancelarii adwokackiej i roku przemieszczania się z miejsca na miejsce incognito. Jego opowieść kilkakrotnie przerywały sygnały tego lub innego z jego telefonów na kartę; Rudi odbierał i bardzo zwięźle odpowiadał na pytania rozmówców. W końcu – na zewnątrz było już jasno – jeden z telefonów odezwał się jeszcze raz. Rudi podał mu aparat, a kiedy Seth przyłożył go do ucha, usłyszał głos ojca, który żądał, żeby mu powiedziano, co się, do diabła, dzieje i dlaczego w jego domu jest jakaś nieznajoma osoba z pistoletem w ręce.

– Tato – powiedział, kiedy w słuchawce na chwilę zapadła cisza. – Tato, po prostu jedź z nimi. Oni są tam po to, żeby ci pomóc. Zabiorą was gdzieś, gdzie jest bezpiecznie.

– Bezpiecznie? Bezpiecznie od czego? Dokąd nas zabiorą?

– Po prostu jedźcie z nimi, tato, proszę. Skontaktuję się z wami później. – Rudi podawał mu drugi telefon. – Mam kolejną rozmowę. Będę w kontakcie. – I wziął drugi telefon, po czym przeprowadził podobną rozmowę z siostrą.

Kiedy skończył i położył oba telefony na stole, Rudi powiedział mu:

– Pod domem twojej siostry byli jacyś ludzie.

Seth wbił w niego wzrok.

– Chciałem, żeby ich wzięli żywych, żebym mógł się dowiedzieć, kto ich przysłał, ale to było… hm. – Rudi wzruszył ramionami. – W każdym razie twoja rodzina jest teraz w drodze do bezpiecznych domów. Za dzień lub dwa załatwię dla nich coś stałego. Czy teraz będziesz mógł się trochę przespać?

Kiedy Seth się obudził, wciąż zmęczony i oszołomiony, w łóżku, było już po południu. Rudiego nigdzie nie było widać, ale jego torby – i wykonany na zamówienie niestandardowy pistolet strzałkowy – wciąż tam były, więc Seth wziął szybki prysznic, włożył czyste ubranie i wyszedł z pokoju.

Znalazł Rudiego w niemal pustym barze motelu, gdzie rozmawiał cicho przez jeden ze swoich jednorazowych telefonów, wpatrując się w kanapkę z kiełbasą z taką miną, jakby wyrządziła mu jakąś niewybaczalną krzywdę. Seth zamówił kawę po amerykańsku oraz burgera i usiadł naprzeciwko młodego *coureur*.

– Jakie wieści? – zapytał, kiedy Rudi skończył rozmowę.

Rudi potarł twarz.

– Cóż, obawiam się, że z Rogera Curtisa nie będzie pożytku. Jest poszukiwany za morderstwo twojego współlokatora i jego dziewczyny. – Pokręcił głową. Co jest całkiem eleganckie, jeśli się nad tym zastanowić. Ktoś mniej wyrafinowany wrobiłby w to ciebie lub mnie.

– Mogę cię stąd wydostać – powiedział Seth.

– Słucham?

– Może nie jestem taki wpływowy i ważny jak ty, ale mam trochę kontaktów. Mogę cię stąd wydostać. Ale to nie będzie tanie.

– Jak wszystko, co warto mieć. – Rudi wzruszył ramionami. – Wyczuwam „i” wiszące między nami.

– Jadę z tobą.

O Rudim dobrze świadczyło to, że nawet nie próbował mu tego wyperswadować. Tylko skinął głową, wyraźnie zmęczony.

– No cóż, przyjąłem to za pewnik – powiedział. – Czy mi się tylko wydaje, czy jest tu jeszcze jedno „i”?

– Musimy pojechać do Szkocji.

Rudi otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Zaraz jednak je zamknął.

– Chodzi o jurysdykcję – wyjaśnił Seth. – I o akt unii.

Rudi pokręcił głową.

– Spędziłem prawie rok w biegu, starając się wydostać z tego pieprzonego kraju. Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

– To kwestia niuansów – powiedział Seth. – Szukanie dziury w całym. W gruncie rzeczy czepianie się szczegółów. W całym kraju jest nie więcej niż kilkanaście osób, które to dobrze rozumieją i nie chcą, żeby wiedziało o tym całe społeczeństwo, bo źle to wygląda.

Jechali przez smagane deszczem torfowiska i lasy w Northumberland. Drugorzędna droga, którą wybrali, była w strasznym stanie i koła espace'a ciągle wpadały w dziury i koleiny. Było dopiero wpół do drugiej, a już robiło się szaro.

– Chcesz mi powiedzieć – odezwał się Rudi – że granicy tam nie ma?

Seth westchnął.

– W roku 1603 – rzekł – król Szkocji Jakub VI został królem Anglii Jakubem I. Większość ludzi myśli, że właśnie wtedy Anglia i Szkocja stały się jednym krajem, ale w rzeczywistości, chociaż był jeden monarcha, wciąż jeszcze istniały dwie Korony.

– Ponieważ łączenie dwóch krajów w jeden jest równie skomplikowane jak podział jednego na dwa – powiedział Rudi. Zapalił cygaretkę i uchylił okno od strony kierowcy, żeby wypuścić dym.

– Kiedyś było łatwiej – stwierdził Seth. – Ale to były czasy, gdy królowie nosili pełne zbroje płytowe i ruszali do boju na cholernie wielkich koniach, a wszystko, co trzeba było zrobić, to zabić króla drugiej strony. – Podniósł torbę leżącą na podłodze, przeszukał ją i wyjął z niej jabłko. Ugryzł kawałek. – Tak czy owak, w gruncie rzeczy mieli trzy podejścia do zjednoczenia. Pierwsze za czasów Jakuba I. Nazwał on siebie „królem Wielkiej Brytanii" i myślał, że zjednoczenie jest sprawą załatwioną, całkowicie pewną, lecz angielski parlament obawiał się, że oznaczałoby to narzucenie Anglii części uprawnień, które miał jako król Szkocji. A zatem blisko, ale nic z tego.

Do drugiej próby doszło w 1654 roku – ciągnął. – Cromwell zajął Szkocję podczas wojny domowej, a następnie ogłosił utworzenie Wspólnoty Anglii, Szkocji i Irlandii. Szkocja dostała miejsca dla swoich posłów w Westminsterze. Oczywiście wszystko to automatycznie upadło, gdy na tronie zasiadł Karol II. Szkoccy parlamentarzyści musieli wrócić do

domu. Król próbował wznowić rozmowy zjednoczeniowe w 1669 roku, ale wszystko utknęło w miejscu.

– Czy dzieci w tym kraju muszą się tego uczyć na pamięć? – zapytał Rudi.

– To tylko tło – odparł Seth. – Wracając do rzeczy. Rok 1707. Królowa Anna. Ratyfikacja traktatu zjednoczeniowego. Od tamtej pory Szkoci chcieli odejść.

– Niewdzięczni dranie.

– Oficjalnie zaczęli nawoływać do decentralizacji mniej więcej w połowie dziewiętnastego wieku, jak sądzę – powiedział Seth. Pokręcił głową. – Potem to wszystko staje się cholernie skomplikowane. Ale chodzi o to, że kiedy dwadzieścia lat temu nastąpił podział, przeprowadzono go w pośpiechu, po długim okresie sporów, i po obu stronach było dużo złej krwi.

– I nagle, po nieco więcej niż czterystu latach, między dwoma krajami pojawiła się granica.

– Cóż, granica była zawsze, ale przez większość czasu wyznaczało ją kilka znaków lub zwykłe ogrodzenie. Przekraczało się ją samochodami, pociągami lub pieszo. Nikt cię nie zatrzymywał. Większość ludzi nawet nie zdawała sobie sprawy, że ją przekracza. Ale tak: nagle, ni z tego, ni z owego, powstała granica. Coś, co wymagało obrony, patrolowania, obserwowania.

– Co kosztuje.

Seth uśmiechnął się szeroko.

– Och, to o wiele bardziej skomplikowane – odrzekł.

Zatrzymali się w pensjonacie, który urządzono w gospodarstwie stojącym na oko w środku zupełnej głuszy. Nie szkodziło, że nie zrobili rezerwacji: gospodarstwo było tak odosobnione, a pogoda tak zła, że ich samochód był chyba jedynym, który przejechał tędy przez cały dzień. Właścicielka, mówiąca z silnym szkockim akcentem wysoka kobieta o patrycjuszowskim wyglądzie, sprawiała wrażenie niezmiernie uradowanej ich widokiem i chętnie ich umieściła w sąsiadujących ze sobą pokojach.

Wieczorem – chociaż pensjonat teoretycznie zapewniał nocleg i śniadanie, w promieniu godziny jazdy nigdzie nie można było zjeść obiadu ani kolacji – usiedli w małej jadalni, gdzie Rudi zamówił polecony

mu przez gospodynię gulasz jagnięcy z kluskami, a skosztowawszy go, nawet poprosił o przepis.

– Szkocja zbyt długo czekała na niepodległość – podjął opowieść Seth, gdy gospodyni poszła oglądać z mężem telewizję. – Kiedy doszło do podziału, okazało się, że kraj jest bliski bankructwa, ale nie można się już było cofnąć, gdy to się zaczęło. To by była katastrofa.

– Jak rozumiem, i tak przebiegło to dość gwałtownie – powiedział Rudi.

– W miastach z pewnością. Ale nie można było tego powstrzymać. Gdyby rząd spróbował wiosłować pod prąd, mogłaby wybuchnąć wojna domowa. Ten rząd od początku nie był popularny. – Wzruszył ramionami. – A potem, ni stąd, ni zowąd, mając minimalną większość mandatów, postanowił utworzyć niezależne państwo, choć brakowało pieniędzy na… no cóż, właściwie na wszystko. Miał policję, ale nie było armii, marynarki ani lotnictwa. Rząd z Westminsteru nie zamierzał udzielić mu pomocy, a UE nie chciała go poratować finansowo, dopóki Szkocja nie zostanie jej członkiem.

– A to może trochę potrwać.

– To może trochę potrwać. – Seth łyknął świetnego piwa uwarzonego przez męża gospodyni i rozejrzał się po pustej jadalni. – Tak czy owak, Holyrood w końcu dobił targu z Chińczykami. Co wkurzyło Westminster, Waszyngton, Brukselę i niemal wszystkich innych, ale naprawdę nie było wyboru. Port lotniczy Glasgow-Prestwick jest teraz chińską bazą lotniczą, a Szkoci dostali pieniądze, dzięki którym przetrwali przejście do niezależności narodowej. I tylko wybrzeże Ayrshire jest teraz celem takiej liczby głowic jądrowych, że gdyby do czegoś doszło, będzie świecić w nocy przez miliony lat.

– A granica angielsko-szkocka jest jedną z najbardziej umocnionych na Ziemi.

– Tak. I nie.

Rudi uniósł brew.

– Rząd szkocki jest na skraju bankructwa niemal cały czas od uzyskania niepodległości – powiedział Seth. – Granica ma mniej niż sto mil długości, powiedzmy, że jest to około stu pięćdziesięciu kilometrów, czyli niezbyt wiele, ale Szkoci nie mogą sobie pozwolić na utrzymywanie straży granicznej. Mają kilkuset ludzi w siłach ochotniczych, a większość granicy biegnie przez taki teren… Wskazał na zewnątrz widelcem. – Dziki, okropny

kraj. Nawet Rzymianie nie cierpieli tych okolic, a byli przyzwyczajeni do najróżniejszej pogody.

– Podczas gdy Anglicy…?

– Mają wszystko. Garnizony na południe od Berwick i Gretna, regularne patrole, ogrodzenia, czujniki. Latające wzdłuż granicy drony, które Szkoci mają zwyczaj zestrzeliwać; Chińczycy dali im trochę przestarzałych automatycznych działek strażniczych. Rzecz w tym… – Uśmiechnął się.

– Rzecz w czym…? – spytał Rudi.

– Anglicy wypatrują tego, co zmierza na południe. Nie tego, co zmierza w przeciwnym kierunku.

Następnego dnia rano wciąż padało, a silne podmuchy wiatru spychały w dolinę, w której stało gospodarstwo, ściany deszczu. Kiedy Seth i Rudi przyszli na śniadanie – całkiem znośny wybór kiełbasek, bekonu, czarnego puddingu, smażonych ziemniaków, grillowanych pomidorów, grzybów, tostów, smażonego chleba, pieczonej fasolki – odkryli, że w nocy liczba gości pensjonatu powiększyła się o dwie młode kobiety, Annette i Lauren, które schroniły się tu w apogeum nocnej burzy.

– Nie widziałam nic, co było dalej niż kilka stóp przed samochodem – powiedziała im Lauren od sąsiedniego stołu. Mówiła z silnym akcentem z Glasgow i niełatwo było ją zrozumieć. – Po prostu istna ściana wody. Prawda, Nette?

– Prawda – odparła Annette, która była mała, małomówna i mówiła – sądząc po kilku wypowiedzianych przez nią słowach – jakby pochodziła z zachodniej Anglii.

– Już myślałyśmy, że będziemy musiały się zatrzymać gdzieś przy drodze i przespać w samochodzie, ale wtedy Nette zauważyła szyld reklamowy tego pensjonatu. Prawda, Nette?

Annette przyglądała się właśnie trójkątowi smażonego chleba z taką miną, jakby nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że chleb można rzucić na gorącą patelnię. Usłyszawszy pytanie, uniosła wzrok i skinęła głową.

– Prawda.

– Jedziemy do Hawick odwiedzić moich rodziców – kontynuowała Lauren. – A co z wami, chłopaki?

– Glasgow – odparł Seth. – Otwieramy restaurację.

– Naprawdę? Gdzie?

– W dole rzeki. W pobliżu SEC.

– Aha, no to życzę wam szczęścia – powiedziała Lauren.

– Dziękuję – odrzekł Rudi.

Lauren popatrzyła na zegarek.

– Jak tam deszcz?

Seth pochylił się na krześle, żeby wyjrzeć przez okno; po szybie spływała woda.

– Wciąż leje – stwierdził.

– Co myślisz? – Lauren zapytała Annette. – Zaryzykujemy?

Annette odstawiła smażony chleb.

– Nie mogę tego zjeść – powiedziała. – Co z wami jest nie tak, ludzie?

Lauren zachichotała.

– Nette nie czuje się dobrze – wyjaśniła.

– Czuję się dobrze – zaprotestowała cichym głosem Annette. – Jak możecie robić coś takiego z chlebem? To grzech.

– W porządku – rzuciła Lauren, wstając od stołu. – W takim razie ruszamy w drogę. Miło było was poznać, chłopaki. – Annette też wstała i rozejrzała się po jadalni, jakby szukała więcej źle potraktowanego chleba.

– Jedźcie ostrożnie – powiedział Rudi.

– Wy też – odparła Lauren. – Szczęśliwej drogi.

Kiedy dziewczęta wyszły, Seth spojrzał na Rudiego.

– Też powinniśmy się zbierać.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedział Rudi.

– Wiem, co robię – odrzekł Seth.

– Dobrze.

– Jadę z tobą do Europy, gdzie dowiemy się, kto kazał temu facetowi zabić Lewisa i Angelę, a potem ja ich zabiję.

Rudi westchnął. Popatrzył na resztki śniadania.

– Ona ma rację, wiesz?

– Kto?

– Ta dziewczyna. Smażony chleb. Nigdy nie zrozumiem, co się dzieje w głowach Anglików.

Deszcz trochę zelżał, kiedy wymeldowawszy się, przenosili bagaż do samochodu, ale gdy wyjechali na drogę, znowu zaczęło lać jak z cebra.

Wzgórza, wrzosowiska i lasy zniknęły za szarą zasłoną i wycieraczki na przedniej szybie mogły jedynie zmieniać kierunek strumienia wody to w jedną, to w drugą stronę.

– To okropne miejsce – odezwał się z fotela pasażera Rudi, który na krótko oddał kierownicę Sethowi. – Nigdy tu nie wrócę.

– Northumberland – powiedział Seth, patrząc przez przednią szybę. – Część starożytnego królestwa Bernicji.

– Pieprzeni Bernicyjczycy mogą sobie je wziąć! Czy na pewno wiesz, co robisz?

– Tak, wiem.

– Hm. – Rudi skrzyżował ramiona i wpatrzył się w smagający szyby deszcz.

Przejechali przez ogromny, jak się wydawało, obszar lasu, okrążyli skraj dużego jeziora, którego drugi brzeg zupełnie zniknął w deszczu, wyjechali na wrzosowiska, a następnie znów zanurzyli się w lesie. W pewnej chwili z deszczu przed nimi wyłoniła się olbrzymia ciężarówka wioząca kłody drewna i błyskając światłami, przemknęła obok nich z taką prędkością, że espace zakołysał się, a klnący na cały głos Seth mało nie stracił panowania nad kierownicą.

Kilka minut później minęli stojący na poboczu samochód z podniesioną maską i dwiema przemoczonymi, smaganymi wiatrem postaciami, które wpatrywały się w silnik. Seth przejechał jeszcze jakieś sto jardów i zatrzymał espace'a. Gdy zobaczył, że Rudi gapi się na niego zdumiony, powiedział:

– Jesteśmy *coureurs*. Powinniśmy pomagać ludziom.

– To te dwie dziewczyny z gospodarstwa – powiedział Rudi. – Na pewno pracują dla angielskich sił bezpieczeństwa.

– Nie, nie – odparł Seth, otwierając drzwi kierowcy. – Tę funkcję pełnią tu farmer i jego żona.

Zabrali torby z tyłu samochodu i powlekli się do czekających Lauren i Annette.

– Myślę, że to coś z elektryką – powiedziała Lauren, wskazując silnik swego auta.

– Spieszymy się – odrzekł Seth.

Popatrzyła na niego.

– Tak – powiedziała, kiwając głową. – Tak, wszyscy zawsze się spieszą. Wsiadajcie. – Odwróciła się i zamknęła maskę samochodu. Ona i Annette usiadły na przednich siedzeniach, a Rudi i Seth na tylnych.

– A co z naszym samochodem? – zapytał Rudi.

– Ktoś jedzie dwie mile za nami – odrzekła Lauren. – Zabiorą go, odprowadzą do Manchesteru lub Newcastle i zostawią z kluczykami w stacyjce. Buchną go tam w godzinę, a po trzech będzie już przemalowany.

– Nie jesteście *coureurs* – stwierdził Rudi.

– Nie – powiedziała Annette. Obróciła się w przednim fotelu i podała im dwa płócienne worki. – Nie jesteśmy. Włóżcie je na głowy.

– Dlaczego?

Seth włożył swój kaptur.

– Nikt nie wie, jak oni to robią – powiedział przytłumionym głosem. – Chcą, żeby tak pozostało.

Rudi wzruszył ramionami i również włożył kaptur.

Jechali jeszcze przez dziesięć minut, po czym nagle skręcili w lewo na drogę pełną wybojów, po czym była jeszcze cała seria skrętów w lewo i prawo, aż w końcu Seth stwierdził, że nie ma pojęcia, gdzie są.

Lauren niespodziewanie zatrzymała samochód.

– Teraz możecie już zdjąć kaptury, chłopcy – powiedziała pogodnie. – Witamy w Szkocji.

– Słucham? – odparł Rudi, ściągając kaptur.

– Witamy w Szkocji – powtórzyła Lauren i wskazała przez szybę na wąską drogę biegnącą przez las. – Jeśli przejdziecie tą drogą mniej więcej pięć mil, dotrzecie do szosy. Stamtąd dostaniecie się autobusem do Hawick. A potem możecie dojechać pociągiem, dokąd tylko chcecie.

– Czy to jakiś żart? – zapytał Rudi.

– Nie, nie – odparł Seth. Wyjął z kieszeni marynarki grubą kopertę i podał ją Lauren, która sprawdziła jej zawartość. – Chodźmy – powiedział do Rudiego.

Wysiedli z samochodu i stali w deszczu, podczas gdy Lauren zawracała pojazd. Zrobiwszy to, opuściła okno od strony kierowcy i wystawiła głowę.

– Nie próbujcie nas śledzić – ostrzegła. Zamknęła okno i zostawiwszy Setha oraz Rudiego na środku drogi, odjechała, kierując się w stronę ociekającego wodą, wietrznego półmroku między drzewami.

– Ile im dałeś? – zapytał Rudi, gdy światła samochodu mignęły gdzieś w dali.

– Resztę funduszu operacyjnego – odparł Seth.

– Resztę funduszu operacyjnego – powtórzył Rudi, rozglądając się wokół. – W porządku.

– Usłyszałem o nich, gdy byłem w Edynburgu – powiedział Seth. – Należą do grupy, która wte i wewte przerzuca przez granicę ludzi i kontrabandę, i nikt nie wie, jak to robi.

– Mam nadzieję, że te dziewczyny zawiozły nas we właściwe miejsce – powiedział Rudi.

Seth zarzucił sobie torbę na ramię.

– Przekonajmy się.

Dotarcie do końca drogi zajęło im prawie trzy godziny. Wychodziła ona na porytą koleinami szosę drugiej klasy. Mniej więcej sto metrów dalej stał przy niej przystanek autobusowy z wiatą z przezroczystego plastiku, niemal całkowicie pokrytego graffiti. Stanęli pod wiatą, strząsając deszcz z ubrań i rozglądając się dokoła.

– Jak się z nimi skontaktowałeś? – zapytał w pewnej chwili Rudi.

– Nie zrobiłem tego. To oni skontaktowali się ze mną. – Seth dostrzegł przez deszcz odległe światła zbliżającego się pojazdu.

– Oni skontaktowali się z tobą…

– Gdy byłem w Edynburgu, szykując legendę dla Rogera Curtisa. Chcieli wiedzieć, co robiłem. – Seth podniósł swoją torbę. – Zrobili na mnie wrażenie; byłem bardzo ostrożny.

– I na tej podstawie dałeś mnóstwo pieniędzy dwóm obcym kobietom, nie mając żadnego dowodu, że nie kłamią.

– Oczywiście, że nie – odparł Seth. Pojazd był wystarczająco blisko, by można go było zidentyfikować jako autobus, podskakujący i kołyszący się na okropnej szosie. – Poprosiłem o pokaz, a oni dali mi coś za darmo. Tak właśnie przedostałem się z powrotem przez granicę. – Autobus zatrzymał się przed przystankiem; podświetlona tablica oznajmiała cel jego podróży: HAWICK. – Wsiadamy?

1. *Wenus z Rokeby* (*Wenus z lustrem*) – akt olejny pędzla Diega Velázqueza. Do 1905 roku znajdował się on w kolekcji Johna B.S. Morritta w Rokeby Hall (przyp. tłum.). [wróć]

DZIEŃ W ŻYCIU KAPITANA ŚMIERCI

O świcie Rewizjoniści ostrzelali rakietami budynek 2.

Do ataku wykorzystali granatniki RPG i przynajmniej jedną wyrzutnię przeciwpancernych rakiet sterowanych przewodowo, ale same pociski zapewne kupili na jednym z pchlich targów na obrzeżach miasta, bo większość z nich nie wybuchła. Te nieliczne, które eksplodowały, spowodowały niewielkie zniszczenia i drużyny przeciwpożarowe zdołały sobie z nimi poradzić.

Niemniej jednak była to wiadomość, że Xavier i jego kamraci jeszcze nie zrezygnowali. Siedzieli cicho prawie miesiąc, aż do tego dnia rano, i niektórzy doradcy Kapitana zaczęli nawet przebąkiwać, że być może opozycja zrozumiała, iż popełniła błąd. Ale Kapitan, który kiedyś znalazł Xaviera pod kupą śmieci za dworcem Anhalter i wychował go jak członka własnej rodziny, wiedział swoje.

W tych dniach Kapitan Todt rzadko sypiał, więc atak nie był dla niego wielkim zaskoczeniem. Nocą chodził od okna do okna, obserwując budynek 4 przez lornetkę noktowizyjną, i sam zauważył poruszenie, sylwetki ludzi przebiegających przez pomieszczenia po drugiej stronie placu Apelowego, co zapowiadało jakieś działanie. Xavier najwyraźniej chciał, by myślał, że jego przeciwnik staje się niedbały. Zanim jednak doszło do wystrzelenia pierwszego pocisku, Kapitan już doprowadził Wnuków – których i tak od ponad roku obowiązywał alarm czerwony – do pełnej gotowości, dzięki czemu nikt nie zginął i ponieśli jedynie minimalne szkody materialne.

W szarym świetle niespokojnego poranka, gdy się tylko upewnił, że atak nie był zmyłką ani początkiem uderzenia na pełną skalę, Kapitan przeprowadził szybką inspekcję ostrzelanych stref, głównie w centrum budynku między ósmym a piętnastym piętrem. Wyłamane okna. Gruz. Trochę szkód wyrządzonych przez ogień i dym. Zespoły awaryjne już

przystąpiły do sprzątania. Kapitan pokiwał głową z zadowoleniem, przekazał kilka słów podziękowania i wsparcia, cały w uśmiechach, promieniejąc spokojem i pewnością siebie.

Ale w duchu szalał z wściekłości.

Później, kiedy szef wywiadu stawił się na wezwanie w jego biurze, Kapitan zamknął za nim drzwi i złapawszy go za koszulę, pchnął na drugą stronę pokoju.

– Porażka wywiadu! – krzyknął. – Ludzie mogli zginąć! Bo wywiad skrewił!

Szef wywiadu, który miał na imię Hansi, podniósł się z podłogi i wytarł krew z rozcięcia na twarzy.

– Żadne z naszych źródeł o niczym takim nie doniosło, Kapitanie – powiedział.

– Powinienem cię wywiesić z tego okna na kutasie i pozwolić Xavierowi oraz jego przyjaciołom postrzelać do ciebie – warknął Kapitan. Ostatni raz wywiad zawiódł, gdy nie zauważył, że Rewizjoniści wynajęli wytrawnego snajpera z Bremy. Zginęło osiem osób, nim załatwił go pododdział zabójców, który włamał się do budynku 1. Kapitan postawił Hansiego na jego czele i oznajmił, że pozwoli mu żyć, jeśli wykona zadanie. Jednak dzisiaj Kapitan Todt nie był tak dobrze nastawiony do Hansiego.

– Daję ci pieniądze! – wrzasnął. – Daję ci zasoby! A w zamian za to chcę wiedzieć, kiedy wpadają w szał zakupów i wybierają się po rakiety!

– Xavier sam je kupił, Kapitanie – palnął mężczyzna. – Na własną rękę. I nie wydał ich ludziom do ostatniej chwili przed atakiem.

– Aha, teraz już wszystko o tym wiesz, prawda?

Hansi zrobił pół kroku w tył.

– To… tylko tak to się mogło wydarzyć, Kapitanie.

– I nikt nie zauważył, że go nie ma? Twoi szpiedzy? Twoje małe szuje po drugiej stronie placu Apelowego?

Hansi otworzył usta. Po chwili znów je zamknął.

– Za każdym razem, gdy przychodzisz do mnie po pieniądze, obiecujesz mi, że Xavier nie będzie mógł się nawet wysrać bez wiedzy twoich szczurów, które cię o tym poinformują. A teraz okazuje się, że on najwyraźniej może w dowolnej chwili wymknąć się z Kwartału, wrócić furgonetką załadowaną materiałami wybuchowymi i nikt tego nie zauważa. – Kapitan zrobił krok w stronę Hansiego, a Hansi zrobił kolejny krok do

tyłu. – Dowiedz się, jak to się stało, Hansi – powiedział. – Dowiedz się, gdzie on dostał rakiety, a potem kup, cholera, trochę dla mnie!

Kiedy Hansi wyszedł, z jednego z pozostałych pokojów wyłonił się zastępca Kapitana, Porucznik Brandt, i powiedział:

– Niebezpieczny człowiek.

– Niekompetentny człowiek – odparł Kapitan.

– Powinieneś się go pozbyć, zanim przejdzie na drugą stronę placu Apelowego.

Kapitan Todt prychnął.

– Xavier może go sobie wziąć. Prawdopodobnie wyszłoby nam to na korzyść. – Spojrzał przez okno, które od czasu incydentu ze snajperem pokryte było folią dającą efekt lustra weneckiego, i po dłuższej chwili zapytał: – Myślisz, że on szykuje się do przejścia na ich stronę?

– On jest z tych, którzy walczą dla pieniędzy – odparł Brandt. – Gdy tylko zaczyna ich brakować, tacy ludzie zaczynają szukać kogoś innego, do kogo mogliby się przyssać.

– Cóż, nie będę marnował na niego pieniędzy, skoro tak źle sobie radzi – powiedział Kapitan łagodnym tonem. – Musiałbym być idiotą, żeby mu płacić. – Westchnął. – Nie możemy ryzykować; w końcu wie, gdzie pogrzebaliśmy masę trupów. Trzeba go pochować razem z nimi.

– Tak, Kapitanie.

– No i… Brandt?

– Tak, Kapitanie?

– Stale oceniam lojalność wszystkich.

Brandt lekko się zawahał, szukając odpowiedzi. W końcu powiedział:

– Tak, Kapitanie.

Przed Brandtem był Mundt, przed Mundtem Falkenberg, przed Falkenbergiem Meyer, a przed Meyerem Xavier. Xavier. Xavier X, który zachęcał ludzi, żeby ze względu na jego inicjały nazywali go Dwudziestką, i nosił pod koszulą naszyjnik z uszu, podobno uciętych sklepikarzom i biznesmenom, którzy byli tak krótkowzroczni, że nie chcieli mu płacić za ochronę.

Kapitan Todt znalazł go pewnej deszczowej marcowej nocy przed dziesięciu laty. Chłopak ukrywał się przed policją z dworca Anhalter. Wnukowie – wciąż jeszcze nie byli całkiem gotowi przeskoczyć od

stadionowej chuliganerii i rasistowskich wybryków do kierowania własnym krajem – zaatakowali w holu dworca inną grupę kibiców. Prywatna policja przerwała bójkę i wszyscy się rozbiegli, a Kapitan i jego poprzednik, Pułkownik Aldo, znaleźli się za dworcowymi barami szybkiej obsługi, w rzadko odwiedzanej strefie kubłów na śmieci i worków z odpadkami.

Gdy przykucnęli, cicho dysząc i wypatrując pościgu, Aldo usłyszał, że coś porusza się pod pobliską stertą worków. Obaj młodzi mężczyźni rozrzucili je na boki i znaleźli brudnego chłopca, który przykucnął pod nimi, z szyjką rozbitej butelki w jednej ręce i zupełnie nowym centrum multimedialnym Sony, we wciąż jeszcze zamkniętym pudełku, u boku. Kapitana zastanowiło, nawet wtedy, że w oczach chłopca w ogóle nie ma strachu. Próbowałby ich zabić, gdyby musiał.

– Szalony mały skurwiel – zachichotał Aldo.

– Powinniśmy go zatrzymać – powiedział Kapitan, który w tamtych czasach był znany jako Florian.

Aldo uniósł brew.

– Założę się, że byłby przydatny w walce – przyznał. – Co na to powiesz, mały? – zapytał chłopca. – Chciałbyś wstąpić do Wnuków Gavrila Principa?

– Odpieprz się, dziadku – warknął gówniarz i splunął z pogardą. Ale kiedy Aldo i Florian uznali, że zagrożenie minęło, i się zwinęli, poszedł za nimi do jednego z ich klubów, gdzie Frauen zrobiły wokół niego wiele zamieszania, a gdy go umyły, okazało się, że uciekł z państwowego sierocińca i nie ma dokąd pójść. Nie było już żadnej wątpliwości, czy zostanie z nimi, czy nie.

Nikt z nich nie potrafiłby powiedzieć, kim był Gavrilo Princip, nie uciekając się do Google’a, a gdyby nie oprogramowanie do rozpoznawania głosu, większość z nich nawet tego nie potrafiłaby zrobić, bo większość była analfabetami. Tak jak Dwudziestka – zażądał, żeby go nazywać Dwudziestką, i dopiero po kilku miesiącach odkryli pochodzenie tego imienia – większość Wnuków była albo wychowankami, albo uciekinierami z cieszących się złą sławą berlińskich sierocińców. Nawet ci, którzy mieli domy i rodziny, nie nazwaliby ich typowymi lub kochającymi.

Połączyła ich miłość do piłki nożnej i nienawiść do innych klubów oraz ich kibiców. Z wyrafinowaną zawziętością walczyli z kibicami innych berlińskich, niemieckich i europejskich klubów. Włoscy Ultrasi byli

najlepsi. Nie godzili się zaprzestać walki; po prostu parli nieustępliwie do przodu długo po tym, jak trzeźwo myślący przeciwnik już by się wycofał. Walka z Ultrasami była zaszczytem.

Aldo kiblował teraz w Plötzensee, przesiedziawszy już osiem lat z dożywocia, które dostał za podpalenie somalijskiego domu kultury w Dahlem i spowodowanie śmierci czternastu osób. Oskarżenie żądało kary śmierci, ale ostatecznie władze zadowoliły się okresowym odbieraniem Aldowi statusu więźnia odseparowanego, żeby sprawdzić, po jakim czasie muzułmańscy współwięźniowie spróbują go uśmiercić. Do tej pory najdłuższy czas, jaki spędził w ogólnodostępnej części więzienia przez nikogo nie atakowany, wynosił piętnaście minut. Kapitan odwiedzał go, gdy tylko mógł. Aldo wiedział, że strażnicy będą interweniować w razie jakichkolwiek zakłóceń porządku, ale mimo to osiem lat takiego życia zaczynało odciskać na nim piętno. Włosy mu już całkowicie zbielały.

Aldo miał prawie czterdzieści lat, był najstarszym z Wnuków, postacią w zasadzie matuzalemową, prawdziwym wizjonerem. Podczas gdy Xavier piął się w górę, walcząc o pozycję wśród innych Wnuków, Aldo dowodził swoich wizjonerskich kwalifikacji, spotykając się z liderami innych grup kibiców, dobijając z nimi targu, zawierając sojusze. Wnukowie Gavrila Principa zaczęli się łączyć z innymi gangami, a następnie je wchłaniać. Do czasu, gdy Aldo został aresztowany, liczyli już prawie dwa tysiące ludzi i rządzili własnym krajem.

Pomijając tę ostatnią, oburzającą napaść – na którą już zaplanował apokaliptyczną odpowiedź – poranki były raczej spokojne. Zamiłowanie Wnuków do iście przemysłowych ilości piwa i mocniejszych alkoholi oraz, dość często, różnych substancji jeszcze nie dopuszczonych do spożycia przez ludzi, powodowało, że poranki były w większości czasem introspekcji, a nie przemocy. Kapitan rządził swoją połową Kwartału za pomocą pięści, która aspirowała do bycia sprawiedliwą, ale w ostatecznym rachunku była jednak pięścią. Swoich ludzi podzielił na straże i biada temu, kto na mniej niż dwanaście godzin przed swoją wartą pozwolił sobie na jakikolwiek stymulant silniejszy niż kawa.

Kiedy więc tego ranka rozpoczął się atak rakietowy, wszyscy jego ludzie byli czujni, trzeźwi i wykonywali swoje zadania najlepiej jak potrafili, czyli tak, jak powinno być, i nadal je wykonywali, spokojnie i metodycznie.

Oczywiście, gdy tylko ich warta dobiegnie końca, dołożą wszelkich starań, żeby się narąbać do nieprzytomności…

Kapitan Todt uważał się za prawdziwego dowódcę wojskowego. Aldo nauczył go dyscypliny i jej wartości, a te lekcje teraz procentowały. Kiedy wojna z Rewizjonistami się skończy i Kwartał będzie znowu zjednoczony, pewnie będą mogli się odprężyć. Ale jeszcze nie teraz.

Aldo nauczył go też ufać swoim instynktom, ale nie było mu to żadną pomocą, kiedy szedł po korytarzach swojego królestwa z dziwnym uczuciem, że jest śledzony. Niewielka grupa doradców i podwładnych, którzy szli razem z nim, zdawała się niczego nie zauważać.

Plan Alda, którego celem było zjednoczenie lub wchłonięcie bądź po prostu wyeliminowanie wszystkich innych kibicowskich gangów w Berlinie, przybrał ostateczny kształt, gdy uznał on, że jego nowa armia potrzebuje własnego kraju, a on sam zainteresował się Kwartałem, starym osiedlem mieszkaniowym leżącym o kilka minut jazdy samochodem od eleganckich nowych domów we wschodnim Kreuzbergu.

Kwartał był czterema wielkimi blokami rozmieszczonymi w kwadrat wokół kawałka ziemi o powierzchni stadionu piłkarskiego. W przeszłości ten otwarty teren był parkiem, miejscem zabaw, gdzie dzieci mogły jeździć na rowerach i deskorolkach, ale dawni mieszkańcy osiedla zostali przeniesieni do nowszych osiedli za miastem i bloki były prawie puste. Garstka anarchistów i zielonych, którzy mieszkali tam na dziko, wyniosła się w pośpiechu, kiedy Aldo przyprowadził swój lud do Ziemi Obiecanej. Jednakże tak jak Mojżeszowi życie w niej nie było mu przeznaczone. Dzień lub dwa po tym, jak Wnukowie zajęli budynki i umocnili się w nich z myślą o stawieniu oporu władzom – które miały coś lepszego do roboty niż wyganianie grupy nastolatków z kilku starych bloków – Aldo został aresztowany na ulicy i usłyszał od swojego prawnika, że czeka go proces o życie.

Zająwszy jego miejsce, Kapitan – z Dwudziestką u boku – zajął się przekształcaniem Kwartału w państwo, którym Aldo chciał, żeby się stał. I przez siedem lat wszystko było dobrze. Pod przywództwem Kapitana Wnukowie rozszerzyli działalność z wymuszania haraczów za ochronę na prostytucję i handel narkotykami oraz bronią. Starali się też utrzymywać dobre stosunki z władzami miejskimi, by ograniczać do minimum wizyty policji, dzięki czemu dobrze zarabiali, a ich szeregi rosły.

I wtedy pojawił się Pływak i rozpoczęła się wojna domowa.

Choć tak naprawdę walki trwały tylko około tygodnia, rozlew krwi był koszmarny. Xavier stracił ponad połowę zwolenników, Kapitan mniej więcej tyle samo. Potem wszystko się uspokoiło i nastąpił zbrojny impas, przerywany chwilami ekstremalnej przemocy. Po kilku pełnych napięcia momentach na początku władze postanowiły się z tego wycofać i wynegocjować później jakieś porozumienia z tą stroną, która przeżyje. Pozwolenie na to, żeby Wnukowie przerzedzili własne szeregi, było czymś mniej pracochłonnym.

Ostatecznie, po wielu starciach, okazało się, że Kapitan kontroluje budynki 1 i 2, a Xavier zajmuje numery 3 oraz 4 i obie grupy znajdują się naprzeciwko siebie, po obu stronach zdewastowanego pustkowia usianego rdzewiejącymi przyrządami z placu zabaw, karuzelami, torami przeszkód dla rowerów oraz deskorolek, strzelając do siebie od czasu do czasu i przenikając na terytorium przeciwnika.

Dla Kapitana ta wojna była katastrofą. Zarządzał dużą i zdywersyfikowaną siecią przestępczą, a przez ostatni rok nie miał z kim tego robić. Gangi z innych miast, wyczuwając okazję, zaczęły się przenosić do Berlina, kiedy uwaga Wnuków była skierowana gdzie indziej. Już połowa interesów Kapitana związanych z ochroną przeszła w ręce Czeczenów z Hamburga, a handel narkotykami został całkowicie przejęty przez mozaikę organizacji mafijnych z całych Wielkich Niemiec.

Siedział za biurkiem w swoim gabinecie, właściwie nie odkładał słuchawki telefonu i patrzył, jak imperium, które założył Aldo, a on z takim trudem skonsolidował, rozwiewa się niczym mgła, i nic nie mógł zrobić, żeby to powstrzymać. Kontrola, jaką Wnukowie mieli nad berlińskim podziemiem, opierała się na skrajnej przemocy i liczebnej przewadze, a dopóki trwała ta wojna między nimi, niewiele mógł zrobić, by powstrzymać rozpad tego, co tak długo budowali. Kapitan wiedział, że jeśli wyśle większą liczbę ludzi, by zajęli się interesami, Dwudziestka i jego ludzie zajmą jego połowę Kwartału i to będzie koniec tej historii.

Skończywszy obchód, poszedł do sali jadalnej, usiadł samotnie z filiżanką kawy i zamyślił się, patrząc przed siebie. Przed laty, kiedy budowano Kwartał, architekci chcieli, żeby każdy blok był samodzielnym społecznym mikrokosmosem – prawie arkologią – ze sklepami,

przedszkolami i restauracyjkami. Eksperyment ów po cichu upadł. Restauracyjki zbankrutowały, przedszkola zakończyły działalność z braku finansowania, sklepy zostały zamknięte. Mieszkańcy wynieśli się do nowych osiedli za miastem, bloki zaczęły popadać w ruinę.

Wnukowie odwrócili ten proces. Pootwierali przedszkola, przekształcili restauracyjki w spartańskie, ale całkiem znośne stołówki. Uruchomili nawet niektóre ze sklepów, głównie po to, żeby sprzedawać w nich kradzione rzeczy lub narkotyki. W obliczu armii blisko dwóch tysięcy ludzi gotowych przeciwdziałać wszelkim posunięciom władz policja nie kwapiła się z interwencjami, które mogły doprowadzić do wojny, więc sklepy świetnie prosperowały. Na pozór Kwartał dziarsko wrócił do życia. Trzeba było tylko ignorować wszechobecną atmosferę przestępczości.

Usłyszawszy coś za sobą, Kapitan obrócił się na krześle i popatrzył na jadalnię, ale nikogo nie zobaczył. Tylko szeregi pustych krzeseł i stołów.

Dopił kawę, odniósł filiżankę na ladę – dyscyplina we wszystkim – i zszedł dziesięć pięter w dół, do holu. Pomieszczenie słabo oświetlały lampy zasilane z akumulatorów. Wielka szklana ściana, przez którą był doskonały widok na centralną przestrzeń między blokami osiedla, została zabita deskami, zabarykadowana i wzmocniona, a na wypadek gdyby Rewizjoniści spróbowali frontalnego ataku, przez cały czas był tam pododdział z wielolufowym karabinem maszynowym. Wszystkie okna na niższych piętrach – aż do piątego – były zamurowane, a pokoje usiane minami przeciwpiechotnymi. Kapitan przypuszczał, że Dwudziestka wprowadził podobne zabezpieczenia po drugiej stronie placu Apelowego. Porozmawiał chwilę z obsługą karabinu maszynowego, rzucił jej ze trzy pokrzepiające zdania, upewnił się, że są dobrze zaopatrzeni w jedzenie i kawę, po czym przeszedł do schodów prowadzących do piwnicy.

W ziemi pod blokami było aż gęsto od tuneli i różnych pomieszczeń. Kiedyś wszystkie one były połączone, można więc było przejść z bloku do bloku, nie widząc światła dziennego. Po wybuchu wojny Kapitan rozkazał zasypać gruzem tunele prowadzące do bloków Rewizjonistów, a także rozmieścić tam stanowiska karabinów maszynowych. Tak jak w holu, porozmawiał teraz z ich obsługami i wysłuchał ich meldunków – ludzie Dwudziestki próbowali od czasu do czasu utorować sobie drogę przez wypełniające tunele stosy cegieł, pryzmy ziemi i kawały betonu. Tutaj też miał nieodparte wrażenie, że ktoś go śledzi.

W końcu, gdy miał tego dość, wszedł na dwudzieste piętro budynku 1, żeby się poradzić Doktora Rocka.

– To żadna niespodzianka – powiedział Doktor Rock. – Praktycznie nie śpisz, źle się odżywiasz, a twoi wrogowie próbują cię zabić. W takiej sytuacji lekka paranoja nie jest niczym dziwnym.

Kapitan Todt poruszył się niecierpliwie w fotelu w gabinecie lekarskim – dawnym salonie fryzjerskim.

– Możesz mi coś na to dać?

– Prawie na pewno. Jednak zapewne niczego byś po tym nie zdziałał, i to przez wiele dni.

– Pieprz się.

– To ty się pieprz, Kapitanie. – Doktor Rock miał szesnaście lat i twarz pokrytą trądzikiem. Wyjął krótkiego jointa i zapalił go – jako jedynego medyka w budynku nie obowiązywał go zakaz przyjmowania na służbie substancji odurzających. Tylko dzięki temu mógł jakoś wywiązywać się ze swoich obowiązków. – Jako inną możliwość zalecam urlop.

Kapitan prychnął.

– Malta? – Z jakiegoś powodu medyk miał obsesję na punkcie tej wyspy.

Doktor Rock wciągnął do płuc dym ze skręta, przetrzymał go w nich dłużej, niż prawdopodobnie dopuszczały względy medyczne, po czym zrobił wydech, mówiąc przy tym:

– Są gorsze miejsca.

– Skoro już tu jestem, mogę wysłuchać twojego raportu.

Doktor Rock odchylił się na krześle i położył nogi na biurku.

– Brakuje mi wszystkiego. Koniec raportu.

Kapitan spokojnie popatrzył na medyka.

Doktor Rock westchnął.

– Opatrunki na rany – powiedział. – Nie mam już żadnych; drzemy T-shirty i gotujemy je, żeby wysterylizować. Antybiotyki. Prawie żadnych. Nici chirurgiczne… cóż, powiedzmy, że wolałbym, by nikt nie potrzebował operacji. Leki przeciwbólowe. Racjonowane. Środki znieczulające. To samo.

– Zapamiętam. A co z ogólnym stanem zdrowia naszych ludzi?

Doktor popatrzył na niego.

– Kiedy ostatnio mieliśmy jedną z tych małych pogawędek?

– W zeszłym tygodniu.

– No cóż, od tamtej pory nic się nie zmieniło, Kapitanie. – Zdjął nogi z biurka i pochylił się. – Już wkrótce mogą się pojawić pierwsze przypadki szkorbutu. To cud, że nie mieliśmy jeszcze tyfusu i cholery, ale kiedy tu wystąpią, przejdą przez te bloki jak ogień przez suchy las eukaliptusowy. Wszawica łonowa jest tak powszechna, że ma to charakter epidemii. Zaobserwowałem wiele przypadków wysypki na tle nerwowym, bezsenności, rozdrażnienia, apatii… – Westchnął. – To trwa zbyt długo. Ludzie po prostu zapadają na różne choroby, bo zbyt długo gnieżdżą się w tym miejscu. W końcu będziemy mieli krzywicę wśród dzieci, a wtedy, mój drogi Kapitanie, ja odejdę.

Kapitan Todt przez dłuższą chwilę przyglądał się medykowi. Mimo wieku Doktor Rock był więcej niż kompetentny. On i jego zespół dobranych ad hoc pielęgniarek pracowali niestrudzenie.

– Musimy przeprowadzić ostatnie, decydujące uderzenie – powiedział.

Jego słowa wyraźnie zirytowały lekarza.

– Nie mogę wyleczyć rannych po żadnym uderzeniu, Kapitanie. Nie słuchałeś? Osiągnęliśmy punkt, w którym nawet coś tak prostego jak pęknięcie wyrostka robaczkowego będzie oznaczało śmierć, bo po prostu nie mogę operować lub zapewnić nawet podstawowej opieki pooperacyjnej. Jeśli planujesz jakieś uderzenie, lepiej zrób wszystko, by żaden z naszych ludzi nie został ranny. – Zgasił skręta w starej puszce po tytoniu, która leżała na stole. – I lepiej, żebyście zwyciężyli.

Lunch ograniczał się do jednego bratwursta, którego zjadł przy biurku i popił kolejną filiżanką kawy. Zaczynało brakować jedzenia; upłynęło wiele dni od czasu, gdy mógł sobie pozwolić na wysłanie kogokolwiek po zaopatrzenie. Kiełbasa była złej jakości. Jeden z pracowników kuchni, rozmawiając z nim, zażartował, że została im już tylko „kiełbasa z pariasa”. Kapitan zanotował sobie w pamięci, żeby go przenieść do grupy wykonującej prace fizyczne.

Skończył kiełbaskę, popił kawą, po czym usiadł prosto za biurkiem.

– Wiem, że tam jesteś. Pokaż się – zażądał w akcie jakiejś absurdalnej wiary.

Ale został nagrodzony. Plama cienia w rogu pokoju zamigotała i nagle, ni z tego, ni z owego, ukazał się tam człowiek w jakichś szmatach i z nietypowo wyglądającym kaskiem motocyklowym na głowie.

Nieznajomy poruszył rękami i spomiędzy fałd jego stroju wyłoniła się lufa małego karabinka samopowtarzalnego.

– Ani drgnij – powiedział spokojnie. – Nawet nie piśnij.

Kapitan siedział nieruchomo, szykując się na śmierć.

– Florian Grüber – mówił dalej przybysz. – Przedstawiający się jako Kapitan Todt.

– Tak – potwierdził Kapitan Todt.

– Przysłano mnie, żebym pomógł ci stąd uciec.

Kapitan szybko przemyślał to oświadczenie. Uznał, że najwyraźniej dziś jeszcze nie umrze.

– Jeśli jesteś szefem kuchni, to spóźniłeś się ponad rok – powiedział.

Nieznajomy zdjął hełm, odsłaniając twarz młodego mężczyzny o zmierzwionych brązowych włosach.

– Co? – spytał.

Było to dzień lub dwa po wybuchu wojny, gdy zaczął wierzyć, że przegra, i pomyślał, że *coureurs* są dobrym wyjściem z tej sytuacji. Nie odczuwał w związku z tym żadnych skrupułów; jeśli miał w końcu pokonać Dwudziestkę, musiał przeżyć, pozbierać się i przegrupować siły.

Pływak doradził cierpliwość.

– Pozwól, że to dla ciebie przygotuję, Florianie – powiedział. – Wiem, jak coś takiego zrobić.

Tak więc Pływak zaczął nawiązywać kontakty i organizować sprawy, a Kapitan Todt czekał i czekał, ale *coureurs* nie przybywali, natomiast nadeszło trochę zwycięstw. Teraz mógł uciec z Kwartału w każdej chwili, kiedy tylko by zechciał. Uważał, że może nawet przedostałby się przez Wielkie Niemcy do Szwajcarii, gdzie miał rodzinę. Myśli o śmiałej ucieczce z pomocą *coureurs* już dawno wywietrzały mu z głowy. A teraz stał przed nim jeden z nich.

– Pływak chce z tobą porozmawiać – powiedział.

Coureur uniósł broń.

– Chcę wiedzieć, co się dzieje.

– Pływak ci powie. Mogę wstać? – Kiedy *coureur* nie odpowiedział, Kapitan dodał: – Wystarczy, że krzyknę, a przybiegnie tu kilkunastu uzbrojonych ludzi, którzy cię zabiją.

– Nie, jeśli ja zabiję ciebie pierwszy, ty szujo.

Kapitan wzruszył ramionami, ale i tak wstał.

– Miałeś się tu pojawić ponad rok temu. Co się stało?

– Musiałem się zająć czym innym. Kim jest Pływak?

– Zaprowadzę cię do niego. Może jednak lepiej… żebyś zniknął. Trudno by mi było wytłumaczyć twoje przybycie.

Coureur zastanowił się nad tym. W końcu włożył hełm, jakby wzruszył ramionami i znowu zniknął w cieniu.

– Będę tuż za tobą – dobiegł z kąta jego głos.

– Dobrze. Chodź ze mną, proszę.

W głębi budynku 2 znajdowało się duże pomieszczenie. Kiedyś był to ośrodek kultury, w którym organizowano przyjęcia, tańce i podobne imprezy. Kapitan rozkazał je tak bardzo wzmocnić, że część ludzi uważała to wręcz za śmieszne. Ściany i podłogę wyłożono grubą warstwą cegieł i pustaków. Do każdej płaskiej powierzchni przymocowali grube płyty plastiku pokryte trwałą białą farbą, a następnie w tym świeżo wybielonym pomieszczeniu, które było praktycznie nie do zdobycia, zainstalowali Pływaka.

Leżał pośrodku pokoju w szklanym zbiorniku wypełnionym przezroczystym żelem leczniczym. Niemal każdy cal jego ciała był straszliwie poparzony, a utrzymujące go przy życiu urządzenia, butle płynów oraz gazu stały pod ścianą połączone z nim biegnącymi po podłodze plastikowymi rurami. Na twarzy miał masywną maskę, przez którą do jego zniszczonych płuc płynęła jakaś nasycona tlenem ciecz.

Tylko Kapitan Todt i medyk mieli klucze do tego wzmocnionego pokoju. Kapitan wszedł do środka i odsunął się na bok, żeby niewidzialny *coureur* też mógł wejść, a następnie zamknął za nimi drzwi.

– W końcu się pojawił, wujku – powiedział.

Stojący za nim *coureur* znów stał się widoczny i zdjął kask. Po kilku sekundach z dwóch głośników zawieszonych obok zbiornika dobiegł zsyntezowany głos:

– Cóż, nie spieszyłeś się tu zbytnio, kucharzu.

Coureur wbił spojrzenie w zbiornik.

– Fabio?

Pływak pojawił się w okresie niezbyt dla Kwartału pomyślnym. Kapitan od lat uważnie obserwował Dwudziestkę i widział oznaki tego, co nadciąga.

Jego zastępca starał się zbliżyć do innych członków hierarchii, szepcząc im do uszu, składając obietnice. Nieżyjący już ojciec Kapitana nazwałby to Anschlussem. Napięcie między dwoma mężczyznami narastało od tygodni. Kapitan zaczął wierzyć, że mógłby wyjść z tego z życiem, jedynie gdyby wykonał jakieś śmiałe posunięcie, wbił Xaviera w ziemię niczym śledzia do namiotu.

Potem, pewnej nocy, pod budynkiem 1 pojawiła się duża furgonetka, w której w asyście kilku wielkich milczących mężczyzn przybył Pływak, zamknięty w wypełnionym przejrzystym żelem worku na zwłoki, wyraźnie bliski śmierci. Miał komputer z syntezatorem głosu, którym w jakiś sposób sterował ruchami gałek ocznych, dzięki czemu mógł przedstawiać swoje żądania.

Gdy Kapitan zwołał swoich starszych oficerów, aby im przedstawić sytuację, Xavier nie chciał o niczym słyszeć. Todt odrzucił jego sprzeciw i poczynił przygotowania do zainstalowania Pływaka w budynku 2, na co Xavier i jego współspiskowcy odpowiedzieli próbą przewrotu.

– Dwudziestka nie chciał mieć z tym nic wspólnego – mówił Kapitan. – Powiedział, że to szpiegostwo. I że zwróci to na nas niepożądaną uwagę, chociaż chciał tylko usprawiedliwić swoją próbę przejęcia władzy.

Coureur siedział na starym taborecie kuchennym przed zbiornikiem, gdzie Pływak mógł go widzieć, patrząc w zawieszone nad głową lustro. Sprawiał wrażenie, jakby owładnęło nim kilka silnych emocji jednocześnie.

– Co ci się stało, do diabła? – zapytał *coureur*.

Nastąpiła pauza, podczas gdy oczy Pływaka dobierały słowa. A później głośniki powiedziały:

– Zostałem zwolniony [1].

A potem dobiegł z nich okropny hałas, który Kapitan uznał za śmiech. Po chwili Pływak dodał:

– Miałem być przykładem dla innych. Oczywiście nie miałem tego przeżyć, ale potrafię sobie radzić.

Coureur wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć.

– Nie będę cię przepraszał za Poznań – kontynuował Pływak. – Obraziłbym twoją inteligencję. W konsulacie było coś, czego potrzebowałem, a dzięki tobie mogłem to zdobyć.

– Ty skończony draniu – powiedział *coureur*. – O mało mnie nie zabili.

– Musiałem skorzystać z okazji. To nie było nic osobistego.

– Ten skok też przygotowałeś, prawda? Na lewo. Dla niego. – Wskazał Kapitana.

– Dzieciak mojej siostry. Mały Florian. Wyszła za Austriaka. Nicponia. Ukrył mnie, gdy byłem w potrzebie; przynajmniej tak mogłem mu pomóc. Dlaczego dotarcie tutaj zajęło ci piętnaście miesięcy? Myślałem, że cię lepiej wyszkoliłem.

Coureur popatrzył na poparzonego człowieka w zbiorniku.

– Byłem w Nowym Poczdamie – powiedział w końcu. – Dostałem alarmową wiadomość o nowej „sytuacji". Miałem się spotkać z partnerem. Kiedy go znalazłem, okazało się, że został zamordowany. Ukryłem się i odtąd wszystko bardzo źle mi się układało. Czy to wszystko wiąże się jakoś z tobą?

– I tyle czasu dowiadywałeś się, jak wygląda ta „sytuacja"? Jestem rozczarowany.

– Fabio, ty kutasie, uciekam po całej Europie. Zostałem porwany. Mój brat został zabity. Moje życie się rozsypało. Czy to ma coś wspólnego z tobą?

– Wziąłem z konsulatu trzy rzeczy, dowody – odparł Pływak. – Florian wie, gdzie są. Da ci klucz. Zrób z nimi, co uznasz za stosowne. Szukają ich potężni ludzie, chcą wiedzieć, jak można je wykorzystać, chcą uniemożliwić ich wykorzystanie. Przekazuję je tobie. Idź już. Weź ze sobą Floriana; jest przestępczym gnojkiem o moralności padalca, ale wciąż należy do rodziny.

– Nie – rzucił *coureur*. – Nie. Nie ruszę się stąd, dopóki mi tego nie wyjaśnisz.

– Żadnych wyjaśnień – odrzekł Pływak. – Nie uwierzyłbyś. Sam musisz to zobaczyć.

– Co zobaczyć? Co muszę zobaczyć? Kto ci to zrobił?

– Centrala chciała dostać te dowody. Żeby nie wpadły w niepowołane ręce. Nie chciałem powiedzieć, gdzie są.

– Niewłaściwe ręce? Czyje?

– Twoje, na przykład. Teraz już idź.

Coureur rzucił mu gniewne spojrzenie, po czym lekko przechylił głowę. Patrzył niewidzącym wzrokiem gdzieś przed siebie i zdawał się czegoś słuchać. Nagle powiedział, do nikogo konkretnego:

– W porządku, wychodzimy. – Spojrzał na Kapitana. – Twój mały pedzio zdecydował się ruszyć za dnia.

Na przekór sobie Kapitan się uśmiechnął.

– Skurwiel – mruknął.

Coureur wstał i zaczął zapinać strój maskujący.

– A co z tobą? – zapytał Pływaka.

Poparzony znów zaniósł się tym okropnym śmiechem.

– Nie mam już żadnej przyszłości. Jeśli trafię do jakiegokolwiek szpitala w Europie, wieść o tym zaraz rozejdzie się po świecie i będę miał „wypadek". Ludzie Floriana zrobili, co mogli, ale jestem na skraju niewydolności wielonarządowej. Nie są w stanie mi dłużej pomagać. Idź już.

Coureur rozejrzał się po pokoju i powiedział:

– Jezus Maria, Fabio.

– Idź – powiedział zsyntezowany głos. – Po prostu idź.

Coureur najwyraźniej podjął w końcu decyzję. Chwycił Kapitana za rękę i pociągnął go do drzwi.

– Ty. Daj mi klucz, o którym on mówił, i mów, gdzie są te dowody.

– W moim biurze.

– W porządku. Zabierzmy je i spadajmy stąd.

Zatrzymali się na chwilę w biurze Kapitana, który otworzył sejf, wyjął z niego kopertę i podał ją przybyszowi. *Coureur* schował ją do kieszeni swojego stroju, a potem wyszli z biura i zaczęli biec korytarzami pełnymi ludzi ogarniętych paniką z powodu ataku Rewizjonistów. Kapitan wykrzykiwał jakieś rozkazy, próbował wprowadzić trochę spokoju, ale nic to nie dawało.

– On ma czołg! – krzyknął ktoś, gdy go mijali.

Zamiast na dół, szli do góry. Wspinali się po nie kończących się schodach, przechodząc przez coraz cichsze części budynku. W pewnym momencie rozległ się potężny huk i można było odnieść wrażenie, że cały budynek strząsnął z siebie kurz. Kapitan upadł na kolana i *coureur* pomógł mu wstać, po czym ponaglił go, zmuszając do biegu przez śmierdzące, zakurzone korytarze.

W końcu dotarli na ostatnie piętro. *Coureur* otworzył drzwi, ukazując skrawek popołudniowego nieba, po czym znaleźli się na kolosalnym

płaskim dachu budynku.

– Seth! – zawołał *coureur*, przekrzykując odgłosy strzelaniny dobiegające z placu Apelowego, i powietrze przy stercie pudeł oraz metalowych butelek zamigotało, stając się jeszcze jedną osobą w stroju stealth.

Podbiegli do tego człowieka, który ściągnął kaptur, ukazując zaniepokojoną twarz młodego czarnego mężczyzny.

– Ci ludzie nie są normalni – powiedział.

– Kibice piłkarscy – wyjaśnił pierwszy *coureur*. – Nie wiem, dlaczego nie mogą po prostu spokojnie żyć. – Złapał Kapitana i postawił go przed sobą. – Zabierz stąd tego zasrańca.

Drugi *coureur* owinął Kapitana nylonowymi pasami i przypiął do nich uprząż.

– Co zamierzasz? – zapytał po chwili.

– Spotkam się z tobą zgodnie z ustaleniami – odpowiedział pierwszy *coureur*. – Najpierw muszę coś zabrać.

– W porządku. – Drugi *coureur* otworzył jedno z pudeł leżących u jego stóp i przypiął do swojego stroju maskującego długą linę. Potem podszedł do Kapitana i połączył ich uprzęże, tak że stali teraz twarzą w twarz, oddaleni zaledwie o kilka cali. Uśmiechnął się szeroko. – Rozumiem, że jesteś prawicowym rasistowskim draniem.

Budynek znowu się zatrząsł, a ze ściany wychodzącej na plac Apelowy buchnęła ściana dymu.

– Wy dwaj będziecie mieli mnóstwo czasu, żeby się dobrze poznać – rzucił pierwszy *coureur*. – Ale teraz powinniśmy stąd zwiewać.

– W porządku, nie ma sprawy – odrzekł drugi *coureur*, po czym pociągnął za linkę i trzy pudła eksplodowały, gdy znajdujące się w nich balony napełniły się nagle gazem. Popatrzył Kapitanowi w oczy i uśmiechnął się. – Biegiem, skurwielu – rzucił cicho. I razem, niezgrabnie, ciągnąc za sobą trzy wielkie balony, które już ich unosiły, tak że musieli się wspiąć na palce, pobiegli ku krawędzi dachu, podczas gdy pierwszy *coureur* wciąż jeszcze wkładał swoją uprząż.

W ostatniej chwili podmuch wiatru porwał balony, unosząc je wysoko nad dach budynku, i przez kilka sekund, póki ich łączna waga nie wzięła góry i nie zaczęła ściągać balonów w dół po łagodnym łuku, który kończył się w bezpiecznym miejscu po drugiej stronie Landwehrkanal, Kapitan

mógł popatrzeć na plac Apelowy. Walczyły tam setki ludzi. Kolejne setki leżały na ziemi, bardzo nieruchomo. I tak, Xavier miał czołg. Sprytny chłopak.

To była ta sama skrytka bagażowa.

Rudi zatrzymał się i spojrzał na numer nadrukowany na kluczu, który dostał od siostrzeńca Fabia. Trzydzieści osiem. Próbował przypomnieć sobie numer skrytki, do której zajrzał, kiedy ostatnio był na Dworcu Zoo, i stwierdził, że nie może. Ale to był ten sam klucz. Wiedział, że tak jest. Skończyły się już przypadki: znalazł się w rękach kogoś, kto był, zasadniczo, złośliwym Bogiem.

Fabio, ty bezczelny draniu…

Zwracał uwagę, stercząc tam jak idiota. Wsunął kartę do szczeliny zamka i otworzył drzwiczki.

Niemal spodziewał się, że zobaczy tam głowę Leona, zmumifikowaną i skurczoną, ale wciąż z tym zaskoczonym wyrazem twarzy. Była tam jednak tylko walizeczka Fabia z cielęcej skóry, wyposażona w niszczarkę, która spaliłaby jej zawartość przy pierwszej próbie otwarcia zamka przez kogoś nieuprawnionego. Chwycił ją za rączkę, wyjął ze skrytki, zamknął drzwiczki i pokuśtykał przez halę dworca.

Przy każdym kroku spodziewał się, że zostanie zastrzelony, dźgnięty, napadnięty lub aresztowany. Nic takiego jednak się nie zdarzyło.

Opuścił dworzec, zszedł po schodach do stacji metra, wsiadł do pociągu jadącego na Hauptbahnhof, a tam do pociągu do Hanoweru.

Dwadzieścia godzin później siedział w hotelu na wybrzeżu Kanału, kilka kilometrów od Dieppe. Był o tysiąc lat starszy. Patrząc na siebie w upstrzonym przez muchy lustrze w swoim pokoju, pomyślał, że to cud, iż nie posiwiał.

1. W oryginale: „*I was fired*” (przyp. tłum.). [wróć]

CZŁOWIEK Z SYBERII

1

Z końcem tegorocznego sezonu Lew postanowił, że się zabije.

Stał na pomoście, obserwując ostatnich turystów wracających promami do swego pływającego kraju, i włożył rękę do kieszeni. Zmacał w niej trochę drachm, euro oraz dolarów i zrozumiał, że nie uda mu się przeżyć zimy. Nagle ugięły się pod nim nogi. Usiadł na pachołku cumowniczym i popatrzył na zatokę. Niektórzy z młodszych rybaków zaczęli się z niego śmiać. Starsi, którzy wiedzieli, jak szybko i całkowicie może się rozsypać życie człowieka, ponuro i z szacunkiem milczeli.

Wielki biały statek w zatoce nazywał się *Nation*. Był to kraj turystów i dla turystów odbywający całoroczny rejs po Morzu Śródziemnym oraz Egejskim i wracający na zimę do suchego doku w Kilonii. Był to kraj starych i bogatych z całego świata.

W tym roku wielki statek przyniósł mu Myrnę, która wybrała się w podróż, żeby znaleźć pociechę po śmierci piątego męża.

– Zrobiłam to też, gdy umarł Danny – powiedziała. – I George. I Charlie. – I uśmiechnęła się, a Lew poczuł, że kurczy się w środku. Kiedy się uśmiechała, przypominała mu sowę. Nie mądrą sowę z legendy, ale polującego na myszy drapieżnego ptaka.

Myrna. Z ciałem wygimnastykowanym i umięśnionym w stopniu graniczącym z mutacją, bez uncji zbędnego tłuszczu. Nie sposób było stwierdzić, ile miała lat, ale było ich sporo. Poiła go winem, karmiła i pozwalała mu się zadowalać, ale nie chciała mu dawać żadnych bardziej trwałych prezentów. Takich, na przykład, które mógłby sprzedać, żeby zapłacić czynsz.

Bogowie, ależ było gorąco, chociaż zima z wyciem wiatrów nadciągała już nad Morze Śródziemne. To nie było dobre miejsce dla Rosjan. Zbyt

gorące. Zbyt obce. Jedzenie było niesmaczne, alkohol straszny, choć można to było przeboleć, jeśli wypiło się go odpowiednio dużo.

Przybył tu przed czterema laty, przenosząc się z wyspy na wyspę, aż skończyły mu się pieniądze i nie stać go już było na bilet na prom. Po grecku nazwa wyspy oznaczała coś jak „miejsce, w którym zapomnieliśmy, gdzie jesteśmy", co wydawało się właściwe. Przybycie Lwa zbiegło się w czasie z przybyciem *Nation*, który rzucił kotwicę w zatoce i wyładował na brzeg swoją ludność, w tym Penny. Penny z Pittsburgha, której Lew tak przypadł do serca, że gdy po jej odjeździe sprzedał wszystko, co mu dała, miał wystarczająco dużo pieniędzy, by wynająć brudny pokój nad tawerną na starym mieście i przetrwać jakoś do przybycia następnego statku z turystami.

Kolejna wizyta *Nation* przyniosła Alice. Potem Corinne. W okresach między pobytami statku Lew utrzymywał się z nauczania angielskiego i rosyjskiego oraz korekty tekstów przewodników turystycznych, chociaż pieniądze z tego były niewielkie. Po jakimś czasie zaczął się odnosić do *Nation* z zapałem i żarliwością wyznawcy kultu cargo.

Ale wiedział, w głębi serca, że pewnego dnia to wszystko się skończy. Albo właściciele *Nation* i ludzie zajmujący się jego eksploatacją nagle postanowią wysłać go w rejs dookoła świata zamiast na Morze Śródziemne, albo statek uderzy w górę lodową i zatonie, albo po prostu on sam zwiąże się z kobietą, która zabierze więcej, niż da. I tak się stało. Myrna była w drodze na nowe pastwiska, rozpromieniona wspomnieniami rosyjskiego kochanka, a jej przymierający głodem rosyjski kochanek zostanie wyrzucony z mieszkania i koniec końców pójdzie do portu, weźmie jakiś bardzo ciężki przedmiot i skoczy z nim do wody.

A właściwie dlaczego, szczerze mówiąc, nie zrobić tego teraz? Po co jeszcze raz przechodzić przez te nieuchronne prośby, błagania i składanie obietnic panu Eugenidesowi, właścicielowi tawerny, skoro nie ulega wątpliwości, jaki będzie tego rezultat? Rozejrzał się po tętniącym życiem nabrzeżu i zauważył małą kotwicę leżącą na kamieniach. Zastanawiał się, czy zdołałby ją utrzymać dostatecznie długo, żeby to wystarczyło. Zastanawiał się też, czy ktoś będzie próbował go ratować.

Zamierzał właśnie podejść do kotwicy, gdy padł na niego cień.

– Profesor Łaptiew? – zapytał jakiś głos po rosyjsku. – Profesor Lew Siemionowicz Łaptiew?

Powiedział to młody człowiek w dżinsach i bawełnianej koszuli. W jednej ręce trzymał konopną torbę, drugą wspierał się na czarnej lasce, jednej z tych niezliczonych rzeczy wykonywanych z włókien węglowych, cienkiej jak mały palec, ale zdolnej wgnieść dach samochodu. Wyglądał nieszkodliwie, ale serce Lwa zamarło jak syberyjski staw w zimie.

– Kim pan jest? – zapytał.

Młodzieniec się uśmiechnął.

– Nazywam się Smith. Jestem kimś, kto chciałby pana zabrać na drinka, może nawet na jakieś *meze*. – Jego rosyjski był bez skazy, ale Lew wychwycił w nim bałtycki akcent. Smith, też coś.

– Doprawdy? – powiedział Lew.

Bałt rozłożył ręce.

– Bez żadnych zobowiązań. Chciałbym tylko poprosić pana o radę. Jestem przygotowany do uiszczenia opłaty konsultacyjnej, jeśli to panu odpowiada.

Strach i rozpacz stoczyły walkę w sercu Lwa. Rozpacz zawiązała sojusz z głodem i zwyciężyła.

– Zgoda – odparł.

Poszli do jednej z bardziej eleganckich tawern po drugiej stronie portu, gdzie Lew natychmiast poczuł się brudny, niechlujny i nie na miejscu. Bałt upierał się zamówić po małej porcji wszystkiego i kiedy na środku stolika pojawił się ogromny półmisek, uśmiechnął się szeroko i nalegał, żeby Lew zaczął jeść. Lew jednak się powstrzymywał, choć umierał z głodu.

Czyżby go w końcu dopadli? Lew wiedział, że wykorzystują ludzi takich jak jego towarzysz, agentów służb specjalnych, młodych mężczyzn o twardych spojrzeniach i zewnętrznych warstwach normalności starannie ułożonych na kryształowych rdzeniach ideologii. Ale ten był inny. Wyglądał na zmęczonego. Nie, tak naprawdę, kiedy Lew się teraz nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że to nie tak. Spojrzał w oczy Bałta i zobaczył w nich inny rodzaj zmęczenia. Nie było to zmęczenie kogoś, uświadomił sobie Lew, kto przez kilka dni nie spał, przejechał kilkaset kilometrów, poradził sobie w kilku średnio skomplikowanych sytuacjach. To było zmęczenie kogoś, kto przekroczył granicę kompletnego wyczerpania – fizycznego, umysłowego i emocjonalnego – a potem jakoś znalazł siły, by zacząć dochodzić do siebie. Jeszcze nie całkowicie, ale

wystarczająco, żeby móc chwilowo funkcjonować, wystarczająco, by móc zrobić to, co trzeba zrobić. Lew poznał to spojrzenie. Widział je, wcale nie tak dawno, w swoim lusterku do golenia. I tylko dzięki temu odprężył się, uwierzył, że może przetrwać. Jeśli Centrum miałoby wysłać zabójcę, żeby doprowadzić do końca drobną, nie załatwioną sprawę reprezentowaną przez Lwa Siemionowicza Łaptiewa, nie wysłałoby kogoś, kto wygląda tak, jakby cały jego świat został odkrojony. Ten chłopak nie był zabójcą; był kimś innym – kimś znacznie rzadszym, dużo bardziej przerażającym.

– Niech pan je – zachęcił go chłopak. – Wygląda to całkiem smacznie.

Lew popatrzył na półmisek. Nie było na nim prawie niczego, co sam by zamówił, jeśli nie byłby, jak teraz, tak bardzo wygłodniały.

– Nie, wcale nie wygląda.

Chłopiec westchnął.

– Rzeczywiście, nie wygląda. Jedzenie turystyczne. Mogłem zamówić coś lepszego. – Napełnił im kieliszki, odstawił butelkę, usiadł wygodniej i zmierzył Lwa wzrokiem. – Potrzebuję pianisty.

Lew pokręcił głową i opróżnił kieliszek.

– Obawiam się, że zwrócił się pan do niewłaściwej osoby. Widzi pan, słoń nadepnął mi na ucho.

Bałt się uśmiechnął.

– Nie tego rodzaju pianisty, profesorze Łaptiew. „Pianisty”.

Och, „pianisty”…

– My nazwaliśmy ich telegrafistami. – Lew wzruszył ramionami. – Mało oryginalne, wiem…

Bałt napełnił kieliszek Lwa.

– W takim razie „telegrafisty”. „Telegrafisty”, który jest ekspertem od szyfrów.

Lew odchrząknął.

– Nie ma już ekspertów od szyfrów, panie Smith. Jak pan myśli, dlaczego siedzę tu, na tej brudnej wyspie, zamiast błyszczeć jak gwiazda w Moskwie? Dzisiaj jest tylko Kolossal, a Kolossal jest nie do złamania.

– Mimo to założę się, że próbował pan go złamać.

Próbował? Lew przełknął drinka. Och, próbowali, a jakże. Kolossal był szyfrową wersją zasady wzajemnie zagwarantowanego zniszczenia. Pojawił się w sieci, w pełni rozwinięty, mniej więcej przed pięcioma laty, jako system szyfrowania całkowicie niezawodny i absolutnie nie do złamania.

Nawet jeśli wiedziałeś, jak działa, nie mogłeś odczytać wiadomości zakodowanej za jego pomocą, chyba że była skierowana do ciebie. Plotka głosiła, że opracowała go grupa maniaków kryptografii z Turynu, którzy uznali, że powinien go mieć każdy, po czym umieścili go w domenie publicznej. Teraz posługiwali się nim wszyscy: Moskwa, Langley, Londyn, międzynarodowe koncerny. Wszyscy.

Trzydziestu najlepszych, wyposażonych w superkomputer rosyjskich programistów, których wyznaczyła do tego Federalna Służba Bezpieczeństwa, pracowało nieprzerwanie cały rok, próbując odkryć tajemnice systemu, ale pod koniec byli niewiele mądrzejsi niż na początku. W akcie desperacji ludzie z FSB próbowali porwać któregoś z członków zespołu z Turynu, ale nie udało im się nikogo znaleźć. Krążyła pogłoska, że ukryła ich mafia, dla której rozwijali system Syn Kolossala; miał on nie tylko szyfrować wiadomości, ale i tańczyć gawota.

Pod koniec tego roku Lew ocknął się nagi na brzegu Moskwy, nie mając pojęcia, kim jest i co się stało z jego ubraniem.

– To cud, że wszyscy nie postradaliśmy zmysłów – powiedział cicho.

Smith popatrzył na niego z zagadkowym, trudnym do określenia wyrazem twarzy. Lew miał nadzieję, że nie jest to litość.

– To nie Kolossal – rzekł Bałt. – Ale też może być nie do złamania.

Lew zamrugał, patrząc na niego.

– Wszystko mniej wyrafinowane niż Kolossal – powiedział – nie jest po prostu bezpieczne.

Bałt uśmiechnął się nagle i z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął złożoną kartkę. Rozłożył ją i podał Lwu, który przyjrzawszy się wydrukowanym na niej grupom liczb, poczuł, że ogarnia go fala niemal seksualnej nostalgii.

– W jakim to jest języku? – zapytał.

– Rosyjskim.

Lew prychnął.

– Ma pan pióro?

Bałt nie miał. W końcu poprosili kelnerkę, która też nie miała pióra, ale pożyczyła im dość tępy ołówek do brwi, wszystko to w duchu zabawy, i Lew zaczął obliczać częstość występowania ciągów znaków w wiadomości, zapisując wyniki na serwetce. Bałt nalał sobie kolejnego drinka i rozsiadłszy się wygodnie, śledził jego poczynania.

Dziesięć minut później Lew uniósł wzrok i powiedział:

– Bardzo śmieszne.

Bałt się uśmiechnął.

Wiadomość była dość prostym szyfrem z kluczem w postaci wiersza, czymś, co okazało się niebezpiecznie nieszczelne podczas drugiej wojny światowej. Sam tekst składał się z kilkunastu nazwisk i adresów przepisanych z moskiewskiej książki telefonicznej. Wiersz… Lew poświęcił kolejne dziesięć minut na obliczenia… no cóż, był z pewnością rosyjski – ciemna brzezina, utracona miłość, groźba nadchodzącej zimy. Pasternak? Turgieniew? Lew miał wrażenie, że jest w nim coś znajomego, ale tak naprawdę mógł to być niemal każdy rosyjski wiersz – był prawie pełnym podsumowaniem rosyjskiej duszy. Z pewnością był podsumowaniem *jego* duszy. Lew nagle poczuł, że ogarnia go smutek i wstyd.

– Myślę, że powinien pan poprosić kogoś innego, by zrobił to dla pana – wymamrotał, wstając od stolika.

Bałt nawet się nie poruszył.

– Ostatnia osoba, której pokazałem ten wiersz, powiedziała mi, że potrzebowałaby co najmniej dwóch godzin i dostępu do wszelkiego rodzaju tabel i wydawnictw encyklopedycznych – odparł.

Lew wzruszył ramionami, nawet nie zdziwiony, że nie był pierwszym wyborem Bałta.

– Klasycyści – powiedział.

– Odszyfrował pan to w dwadzieścia minut, mając papierową serwetkę i ołówek do brwi. Myślę, że jest pan człowiekiem, którego szukałem. – Podczas gdy Lew stał bez ruchu przy stole, zastanawiając się nad jego słowami, Bałt dodał: – Sto tysięcy franków szwajcarskich w dowolnej, wybranej przez pana walucie na dowolne, wybrane przez pana konto bankowe, gdziekolwiek na świecie. Połowa teraz, druga połowa, gdy pan skończy.

Lew usiadł z oczami pełnymi łez, bo niewiele brakowało, żeby zgodził się to zrobić za kilka drinków.

– Minęło… – Pociągnął nosem i potarł oczy. – Minęło dużo czasu. Może nie zdołam panu pomóc.

– Może w takim razie wynagrodzenie konsultacyjne? – zaproponował Bałt. – Wypłacane co dnia. Tak byłoby bardziej sprawiedliwie?

Lew skinął głową.

– Wolałbym tak.

– Zanim zaczniemy, powinienem pana ostrzec, że może się z tym wiązać pewne niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo?

Po raz pierwszy Bałt wyglądał na trochę zakłopotanego.

– Nie wiem jakie ani dlaczego, ale może się z tym wiązać pewne niebezpieczeństwo. Ale to mój problem i dołożę wszelkich starań, aby pana chronić podczas pracy i później. – Mrugnął do Lwa. – Gdyby pan teraz wstał i odszedł, nie miałbym do pana żalu.

Lew zastanawiał się nad tym. Prawie sekundę. Potem machnął ręką, czując się jak spadkobierca Czeka, NKWD i KGB, dziecko Enigmy i Kolossala.

– Nie mam się już czego bać – odparł i wzdrygnął się w duchu. To, co powiedział, było takie rosyjskie…

Bałt rzucił mu smutne spojrzenie.

– Cóż, miejmy nadzieję, że nie okaże się to dla pana zbyt pouczającym doświadczeniem. Czy będzie pan czegoś potrzebował?

Lew popatrzył na niego, zastanawiając się, jakim sposobem jego życie tak nagle się odmieniło.

– Będę musiał odebrać laptopa od pana Keoshgeriana – powiedział.

Laptop Lwa był wykonany w całości z materiału. Wyglądał jak z reklamy płynu do zmiękczania tkanin. Klawiatura przypominała haft alfanumeryczny, a drukarkę z funkcją skanera i kopiarki można było pomylić z jaskrawokolorowym ręcznikiem do rąk. Wszystko to zwinięte i wepchnięte do niewielkiego, ściąganego sznurkiem worka wyglądało jak jedna z tych małych poduszek, które ludzie kupują, żeby odpocząć podczas długich podróży autokarami. Rudi nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego.

– Tworzyliśmy cuda, dawno temu – powiedział Lew z cieniem dumy w głosie. – I nigdy nikomu o tym nie powiedzieliśmy.

– Jak to działa? – zapytał Rudi, zastanawiając się nad związanymi z tym patentami.

Lew wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wystarczy podłączyć jeden koniec do gniazdka elektrycznego, drugi do domowego centrum multimedialnego i działa. Można to nawet wyprać, ale jeśli woda będzie zbyt gorąca, może zniszczyć pamięć oraz obwody procesorów i zostanie wtedy z tego kilka szmatek. Musimy kupić kable. I zewnętrzny dysk twardy. Duży.

– Żaden problem.

Lew przesunął palcami po tkanych powierzchniach.

– Nie mogłem go sprzedać. Od czasu do czasu go zastawiałem, ale nigdy do głowy mi nie przyszło, żeby sprzedać. Raz chciałem go zanieść do jednego z wielkich magazynów z częściami komputerowymi i sprzedać im technologię. Ale moi poprzedni pracodawcy by się o tym dowiedzieli i przysłaliby kogoś, żeby mnie zabił. Kogoś takiego jak ty.

Rudi popatrzył na Rosjanina. Przysłaliby kogoś, żeby mnie zabił. Lew nie powiedział tego ze smutkiem lub gniewem, raczej rzeczowo, jak ojciec, który właśnie dowiedział się z prognozy pogody, że będzie padało, i musi odwołać rodzinny piknik. I o co mu chodziło z tym kimś takim jak ja?

– Chce pan drinka? – zapytał.

Lew pokręcił głową.

– Muszę popracować.

Rudi nie sądził, żeby Lew musiał się martwić o swoich byłych pracodawców. Kiedy ostatni raz był w Rosji – to znaczy w Rosji europejskiej, którą właśnie znowu zaczynano nazywać Rusią – przekonał się, że tamtejsze służby wywiadowcze nie są jakieś nadzwyczajne.

Rudi miał pokój w jednym z eleganckich hoteli na Nowym Mieście, więc Lew przeniósł tam swój skromny dobytek – kilka książek, starego iPoda i torbę z ubraniami – i dopełniwszy formalności, kiedy miał już w kieszeni trochę pieniędzy, usiadł i zaczął przygotowywać do pracy laptopa z tkaniny. Kiedy wszystko było gotowe, powiedział:

– Niech pan mi pokaże to, czego nikt inny nie potrafi odszyfrować.

Rudi wyciągnął zza kanapy na oko ciężką walizeczkę i otworzył ją, przesuwając wzdłuż jej boku kartę magnetyczną, a następnie wpisując długą kombinację cyfr na klawiaturze zamka szyfrowego na górze. Wyjął z niej zrolowaną mapę i dwa staroświecko oprawione woluminy. Jeden był gruby, z podniszczonymi okładkami z tektury, a drugi okazał się cienkim notatnikiem w skórzanej oprawie.

– Na wypadek gdyby potrzebował pan jeszcze jakichś informacji – powiedział, podając notatnik – to jest mapa Linii. Standardowa, można je kupić wszędzie. To z kolei – mówił dalej, unosząc gruby tom – jest rozkład jazdy pociągów na terenie południowej Anglii z roku 1912. I nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy.

Lew wziął notatnik i otworzył go. W okładce schowano pięć kartek pokrytych wydrukowanymi cyframi i literami. Nie, nie wydrukowanymi… Lew przesunął opuszkiem palca po jednej z kartek i wyczuł lekkie wypukłości pozostawione przez maszynę do pisania. Kartki zostały zapisane maszynowo, przed bardzo wieloma laty.

Odłożył je i przekartkował notatnik. Więcej kolumn liczb i liter starannie zapisanych tuszem. Sprawdził wewnętrzne strony obu okładek i obie wyklejki, ale nie było tam żadnych zapisanych ołówkiem notatek ani obliczeń, które mogłyby stanowić dla niego wskazówkę, jaki sposób szyfrowania zastosowano.

– To może trochę potrwać – powiedział.

Rudi wzruszył ramionami, po czym podszedł do minibaru i zaczął sprawdzać jego zawartość.

– Jeśli to trochę potrwa, to w porządku, profesorze. Wiem, że w tych sprawach pośpiech nie jest wskazany.

Lew wzruszył ramionami. Rozwinął laptopa i skaner, podłączył nowo zakupiony twardy dysk i zaczął wszystko uruchamiać.

2

Cieszący się szczególnym zainteresowaniem studentów kartografii Arkusz 2000 – zwany też milenijnym – jest jedyną mapą, jaka pozostała po projekcie Pomiarów Alternatywnych, rozpoczętych przez generała H. Whittona-Whyte’a w 1770 roku.

POMIARY ALTERNATYWNE

Dlaczego generał Whitton-Whyte podjął się przeprowadzenia własnych pomiarów Wysp Brytyjskich, kiedy tę samą pracę wykonywał Brytyjski Urząd Kartograficzny, właściwie nie wiadomo.

Duża część historii jego rodziny jest okryta tajemnicą i o początkach Whittonów-Whyte’ów wiadomo bardzo niewiele. W *Great Families of the County Staffordshire* Bryce’a (Angel and Pediment, 1887) zasłużyła ona tylko na przypis dołączony do tekstu

dotyczącego Bracewellów z Leek. W wydaniu z roku 1888 przypis ten wspomina o plotce, która przetrwała w hrabstwie ponad sto lat, głoszącej, że Whittonowie-Whyte'owie „popadli w kłopoty finansowe za sprawą choroby", co zmusiło ich do sprzedaży ich domu, Whetstones, rodzinie Bracewellów, i przeniesienia się do Londynu. W późniejszych wydaniach dzieła Bryce'a przypis ten został pominięty.

W *Cartographie Anglaise* Seichais'ego (Spurrier, 1901) Whitton-Whyte został wymieniony głównie z powodu swojego „ekscentrycznego systemu numeracji map", którym generał podobno nadawał numery, jakie pierwsze przyszły mu do głowy w dniu opublikowania. Niektóre z nich miały wiele cyfr (czterdzieści siedem w wypadku mapy Birmingham) i później, dla ułatwienia katalogowania, zostały im przyporządkowane numery skrócone – tak zwane numery Whyte'a.

Co do samych pomiarów, znane są jedynie niektóre szczegóły dotyczące ich późniejszych etapów. Krąży wiele apokryficznych opowieści o generale przemierzającym Hebrydy Zewnętrzne czy Yorkshire Dales z rozwianymi włosem i teodolitem w ręce – przynajmniej na początku pomiarów – w towarzystwie niewielkiej armii pomocników ściągniętych z jego utraconych posiadłości w Staffordshire.

Niewątpliwie nie byłoby możliwe, aby jeden człowiek przeprowadził takie pomiary na własną rękę, i w Kumbrii, Peeblesshire i Kencie zachowały się zapisy, z których wynika, że gdzie było to możliwe, generał zatrudniał miejscowych mierniczych, zachował jednak ogólną kontrolę nad przedsięwzięciem.

W wielu dziedzinach takie zlecanie pracy mogłoby wywołać tarcia, do których jakoby dochodziło między Whittonem-Whyte'em a Brytyjskim Urzędem Kartograficznym, który wielokrotnie przeprowadzał pomiary do własnych map w tym samym czasie, gdy robili to ludzie generała. Mówi się, że w kilku wypadkach tarcia te doprowadziły do przemocy.

Krąży opowieść, powtórzona w *Maps and Mapmakers of the British Isles* Greya (Pitt & Sefton, 1892), w której mowa o kradzieży szkiców polowych Kornwalii i o tym, że – choć nie ma dowodów, że byli za to odpowiedzialni – ludzie Whittona-Whyte'a prowadzili tam pomiary w tym samym czasie co pracownicy Brytyjskiego Urzędu Kartograficznego.

Porównanie dat publikacji, pisze Grey, prowadzi do wniosku, że Arkusz 178923 z Pomiarów Alternatywnych (północna Kornwalia) został opublikowany w dwukrotnie krótszym czasie niż inne. Należy jednak zauważyć, że z wyjątkiem Arkusza 2000 do dziś nie zachowały się żadne zapisy o datach publikacji, a zatem nie sposób potwierdzić prawdziwości zawoalowanych oskarżeń Greya.

Pomiary Alternatywne trwały łącznie sto dwadzieścia lat. W swojej pracy naukowej *Mapa i pamięć* (Zakopane 1920) Walerian Mazowiecki obarcza nawet projekt

Pomiarów winą za ostateczny upadek Whittonów-Whyte’ów.

Skompletowano tylko jeden pełny zestaw map powstałych na podstawie Pomiarów, który przechowywano w Pokoju Map kamienicy Whittonów-Whyte’ów w Islington. Wszystkie one, z wyjątkiem jednej wersji Arkusza 2000 – wypożyczonej wówczas panu S.J. Rolfemu z British Museum – uległy zniszczeniu, wraz z resztą kolekcji, w lipcu 1912 roku, gdy dom spłonął, a cała nasza wiedza o niej opiera się na wynikach badań zachowanych notatek i szkiców polowych.

POMIARY

Tak jak było z wieloma innymi mapami powstałymi w rezultacie Pomiarów Alternatywnych, pomiary do Arkusza 2000 opierały się na już istniejących danych. Wykorzystano w nich linię bazową dla Hounslow Heath, zmierzoną przez generała Williama Roya w 1784 roku. Powiada się, że Whitton-Whyte zmierzył ją ponownie miesiąc później i oświadczył, że jest „zadowalająca”. Dlatego też ten arkusz, obejmujący obszar na zachód od Londynu, jest w ogólności zgodny z rezultatami triangulacji, które zaowocowały powstaniem Arkusza 7 Brytyjskiego Urzędu Kartograficznego. To, czy Whitton-Whyte rzeczywiście przeprowadził jakiekolwiek własne pomiary oprócz sprawdzenia linii odniesienia Roya, pozostaje w sferze domysłów.

SZKICE I RYCINY

Na podstawie ówczesnych relacji przyjmuje się, że pod koniec sierpnia roku 1820 przygotowano dla rysowników dwanaście szkiców polowych. W tym czasie w obiegu były już egzemplarze próbne Mapy 7 Brytyjskiego Urzędu Kartograficznego. Nie wiadomo, czy któryś z nich wpadł w ręce Whittona-Whyte’a.

Wiadomo natomiast, że Henry Hoskyns, który podjął się pomniejszenia szkiców polowych do postaci nadającej się do grawerowania, dokonał pod koniec sierpnia wielu poprawek, a jego terminator, James Summers, słyszał go krzyczącego, że szczegóły rysunków były „tak niedokładne, jak to tylko możliwe”.

Ten wybuch i kolejne poprawki doprowadziły do zerwania przez Whittona-Whyte’a wszystkich związków z Hoskynsem, który brał udział w opracowywaniu praktycznie wszystkich arkuszy projektu Pomiarów Alternatywnych, czemu poświęcił niemal całe życie. Hoskyns, któremu zaczął się gwałtownie psuć wzrok, przez rok zupełnie oślepł i rzecz jasna stał się niezdolny do pracy. Kiedy umarł sześć lat później, pochowano go w grobie dla nędzarzy.

Mówi się, że po nieporozumieniu z Hoskynsem Whitton-Whyte sam przywrócił mapę do stanu oryginalnego i przekazał szkic swojemu grawerowi, Mortimerowi Heathcoate'owi, któremu powiedział, że „nie wolno mu zmienić ani jednej linii, ani jednego punktu triangulacyjnego".

HISTORIA PUBLIKACJI

Generał Whitton-Whyte nie dożył publikacji Arkusza 2000. We wrześniu roku 1822, w wieku osiemdziesięciu lat, podczas podróży do Dorset doznał udaru mózgu i zmarł w Poole dwa dni później. Świadectwem wytrwałości starego człowieka jest to, że mimo trudności związanych z podróżowaniem w tamtych czasach po Anglii, Szkocji i Walii w ciągu swojego życia przejechał taki kawał kraju.

Żałoba nie spowodowała przerwania pomiarów, a Arkusz 2000, przygotowywany teraz pod nadzorem syna Whittona-Whyte'a, kapitana Johna, został wydany w postaci pojedynczego arkusza w Londynie 5 października 1822 roku, jakieś dwa miesiące po opublikowaniu mapy tego samego obszaru przez Brytyjski Urząd Kartograficzny.

Porównanie obu arkuszy prowadzi do wniosku, że zastrzeżenia Hoskynsa co do dokładności Arkusza 2000 były w większości bezzasadne, z wyjątkiem jednego obszaru na północ od Colnbrook, gdzie zaznaczono położenie wsi Stanhurst. Na mapie BUK żadnej takiej wioski nie było, a co więcej – żadna taka wioska nigdy w tym miejscu nie istniała.

Nie wiadomo, skąd się wzięła ta nieścisłość, a w zachowanych szkicach polowych nie można znaleźć żadnej wskazówki na ten temat. Wiadomo, że pomimo zaawansowanego wieku generał przeprowadził wiele pomiarów osobiście. Trudno teraz stwierdzić, czy to on sam naniósł na mapę „Stanhurst", czy też ten niewytłumaczalny błąd popełnił jeden z jego pracowników. Jednak ze względu na spór Whittona-Whyte'a z Henrym Hoskynsem błędu nie skorygowano.

1. Arkusz 2000 został poprawiony przez kapitana Johna Whittona-Whyte'a w latach 1830 i 1831, a jego nową wersję opublikowano w 1833 roku. Korekty tej dokonano, by doprowadzić do jego zgodności z kolejnymi wydaniami Arkusza 7 Brytyjskiego Urzędu Kartograficznego, drukowanymi w latach 1824–1840 przez Jamesa Gardnera, z uwzględnieniem jego licznych poprawek.

Jednakże fałszywa wieś Stanhurst nie dość, że nie została usunięta z poprawionej mapy, to jeszcze ukazano ją większą niż poprzednio i połączoną z sąsiednią osadą o nazwie Adam Vale, leżącą na obrzeżach Colnbrook. Współczesne relacje mówią

o tym, że kapitan John był „szczególnie zainteresowany” tą częścią mapy i spędzał wiele tygodni w okolicy Windsoru, gdzie zmarł na zapalenie płuc w grudniu 1842 roku.

2. Po śmierci kapitana Johna na czele projektu Pomiarów Alternatywnych stanął jego dwudziestodwuletni syn, porucznik Charles Whitton-Whyte, który nadzorował wprowadzanie nowych poprawek i powielanie pierwszych egzemplarzy Arkusza 2000 za pomocą galwanotypii.

Pierwszy nakład map wydrukowanych za pomocą galwanotypii ukazał się w 1849 roku, ale zamiast poprawić na nich błędy poprzednich wydań, jeszcze je pogłębiono. Zachowane szkice polowe wskazują na wzrost zainteresowania obszarem wokół Windsoru oraz, odpowiednio, na spadek dokładności w innych miejscach arkusza. Wydanie Arkusza 2000 z roku 1849 w dużej mierze przypomina więc jego stan z 1833 roku, z wyjątkiem jednego obszaru.

Na mapie z roku 1849 wymazano całkowicie Colnbrook, zastępując je Adam Vale, powiększoną do rozmiarów małego miasteczka. Katedra ze Stanhurst (pw. św. Antoniego) jest opisana w jednym zestawie szkiców polowych, podczas gdy w innym fałszywe wioski Vale, Minton i Holding przesłoniły Harmondsworth.

Po wprowadzeniu poprawek w latach 1851 i 1855 ten mały kącik Middlesex stał się całkowicie nierozpoznawalny. Wydawało się, że w nocy wyrosły wszędzie fałszywe wioski, osady i miasta. West Drayton zniknęło, a na jego miejscu na kilku zestawach szkiców polowych była jedynie legenda „Bagna Drew” i symbol dużego stawu.

Z niewielu zachowanych dokumentów wynika, że reszta mapy, choć całkowicie dokładna, była praktycznie rzecz biorąc ignorowana i po prostu kopiowana z wcześniejszych wydań lub (według niektórych relacji) z map Brytyjskiego Urzędu Kartograficznego.

Wyimaginowany obszar wokół Stanhurst zdawał się całkowicie zaprzątać uwagę Charlesa Whittona-Whyte’a, samotnego, wedle wszystkich relacji, człowieka, który zarządzał rodzinnym majątkiem, mocno nadwerężonym na skutek kartograficznych przedsięwzięć jego ojca i dziadka. W 1846 roku zrezygnował z tego zajęcia, żeby w pełni poświęcić się kreśleniu map.

Charles spędzał wiele czasu w Windsorze, zaniedbując inne posiadłości rodzinne, które popadały w ruinę. W czasie prac nad kolejną korektą z roku 1855 kupił mały dom w Datchet i podobno spędził wiele godzin, chodząc po okolicy, która według jego mapy nie istniała.

W 1860 roku, w wieku czterdziestu lat, Charles poznał i poślubił o dwadzieścia lat od niego młodszą Jane Breakhouse z Windsoru. Przeżyli razem dwadzieścia lat, starając się spłodzić dzieci.

3. Wiele kontrowersji budzi tak zwany Czarny Arkusz, aktualizacja Arkusza 2000 z roku 1863. Nie zachowały się żadne egzemplarze, notatki lub szkice polowe opisujące ówczesny stan tej okolicy, ale na podstawie relacji świadków można odtworzyć, jak to musiało wyglądać.

Na tej wydrukowanej metodą galwanotypii mapie Windsor zniknął, podobnie jak Staines, Uxbridge i Brentford. Na obszarze zajmowanym poprzednio przez te miejscowości jest „hrabstwo" Ernshire, z miastami, wsiami, osadami, drogami, strumieniami i linią kolejową do Paddington. Południowo-wschodni róg Ernshire przecina jak dawniej Tamiza, bez zmiany pozostały też wszystkie inne rzeczywiste cieki wodne oraz cechy krajobrazu.

„Jeśli pan White (sic) myśli, że to zabawne, pozwolę sobie go zapewnić, iż mieszkańcy tak nie uważają", napisał zirytowany mieszkaniec West Drayton w liście do „The Times" z 22 sierpnia 1863 roku.

Inni z pewnością podzielali jego irytację, ponieważ 12 listopada 1864 roku Czarny Arkusz stał się jedyną mapą w historii Wielkiej Brytanii, która została zakazana decyzją Parlamentu. „Dla dobra narodu", jak miesiąc później napisał jeden z ministrów do Whittona-Whyte'a. Odpowiedź adresata się nie zachowała.

4. Ostateczna wersja Arkusza 2000, nielegalny „Arkusz Urodzinowy", została opublikowana 7 lipca 1890 roku, w dniu urodzin syna Charlesa. Matka chłopca żyła jeszcze wystarczająco długo, by go zobaczyć i nadać mu imię Edwin, po czym umarła.

Wydrukowano tylko dwa egzemplarze Arkusza Urodzinowego i z tych dwóch zachował się tylko ten jeden.

Widzimy na nim wyraźnie ostateczny rozkwit osobliwej obsesji Whittonów-Whyte'ów. Ernshire się skonsolidowało – w umyśle Charlesa, jeśli nigdzie indziej. Jego stolica, Stanhurst, jest tętniącym życiem miastem mniej więcej wielkości dzisiejszego Loughborough. Ma połączenia kolejowe w czterech kierunkach, rozbudowaną sieć drogową, koszary w Anselmdale, farmy, kościoły, pocztę, wszystkie udogodnienia prawdziwego hrabstwa, nawet dwór w Eveshalt.

Pomimo zakazu Parlamentu – było to przecież uaktualnienie zakazanego Czarnego Arkusza – Arkusz Urodzinowy został wystawiony na pokaz w galerii w Islington, co, jak się zdaje, dało początek osobliwej fali oszustw.

Przez całe lato roku 1890 gazety i instytucje publiczne były bombardowane wiadomościami z miast Ernshire. „The Times" otrzymał listy od mieszkańców Stanhurst i Eveshalt. Pałac Buckingham – zaproszenie dla królowej do dokonania

przeglądu garnizonu w Eveshalt. Arcybiskup Canterbury – widokówkę przedstawiającą katedrę Świętego Antoniego w Stanhurst z zaproszeniem do złożenia wizyty duszpasterskiej. A pewna kobieta w Margate utrzymywała, że prowadzi korespondencję z młodzieńcem z Adam Vale. W napadzie obłędu, którego późniejszym skutkiem było zwolnienie jednego kierownika, oskarżenie drugiego o oszustwo, a także przymusowy wyjazd do nadmorskiego sanatorium trzeciego, Kolej Południowo-Zachodnia rozlepiła plakaty reklamujące jednodniowe wycieczki do „historycznego" miasta Stanhurst.

We wrześniu 1890 roku uchwalono specjalną ustawę parlamentarną zabraniającą członkom rodziny Whitton-Whyte publikowania w przyszłości kolejnych map. Zastanawiano się nad karą więzienia dla Charlesa, ale pomysł ten został odrzucony „z uwagi na jego chorobę". Propozycję kary pieniężnej także odrzucono ze względu na opłakany stan finansów rodziny.

W tym wypadku środki karne okazały się niepotrzebne. Pewnego dnia w następnym roku Charles Whitton-Whyte wyszedł ze swojego małego domu w Datchet (gdzie mieszkał, mimo że na jego mapie Datchet nie istniało). Zamknął frontowe drzwi, podał synka siostrze żony, pani Margaret Allen, i odszedł.

„Po jego chorobie nie było już śladu", napisała później pani Allen do kuzynki. „Głowę trzymał wysoko, krok miał sprężysty i pewny i energicznie wymachiwał laską, gdy oddalał się ode mnie i Edwina".

Charlesa nigdy więcej nie widziano.

5. Edwin Whitton-Whyte przyjął panieńskie nazwisko matki, Breakhouse, i wychowując się pod opieką ciotki, nigdy nie okazał żadnego zainteresowania kartografią. Pomimo wstydu, jakim okryło go szaleństwo ojca, został przyjęty do Eton, a później poszedł do Oxfordu, żeby studiować łacinę, grekę, a także literaturę i filozofię starożytnego Rzymu oraz Grecji. W 1914 roku wstąpił do wojska i został wysłany na Front Zachodni, gdzie wyróżnił się odwagą i uzyskał stopień sierżanta.

Edwin prowadził szczegółowe dzienniki, ale tylko raz wspomniał w nich o ojcu i Pomiarach Alternatywnych.

„Mój ojciec wierzył", napisał, „podobnie jak dziadek i pradziadek, że odkrył hrabstwo tam, gdzie niczego takiego nie ma, krainę nie dostrzeganą przez ludzi, którzy tam żyją. Mój dziadek pisze o mapach mających władzę nad ziemią i teoretyzuje, że jeśli wyimaginowany krajobraz zostanie naniesiony na mapę z odpowiednio dużą dokładnością, wyprze koniec końców rzeczywiście istniejący, niczym mokra szmata wycierająca kredę z tablicy.

Natomiast mój pradziadek pisał o wszystkich możliwych krajobrazach, nakładających się na siebie niczym strony książki, i o tym, że sprawienie, by któryś

z nich stał się rzeczywisty, wymaga jedynie sporządzenia jego mapy.

Niezależnie od ich motywacji członkowie mojej rodziny poświęcili ponad sto lat na zgłębianie tych teorii, bardzo szczegółowo dokumentując rozwój hrabstwa nazwanego Ernshire, które ewidentnie nie istnieje w świecie rzeczywistym.

A jednak otrzymałem dzisiaj list rzekomo od mojego ojca! Jeśli wciąż żyje, musi mieć prawie sto lat, ale chociaż nie pamiętam jego samego, rozpoznaję jego pismo z pamiętników i notatek, które po nim pozostały.

W liście tym życzy mi pomyślności i pisze, że jest ze mnie dumny, chociaż nie mam pojęcia, jak mógłby poznać historię mojego życia, chyba że ciotka Peggy była z nim w kontakcie. Utrzymuje, że mieszka w «Ernshire». Błaga mnie, żebym go odwiedził, i podaje szczegółowe instrukcje, jak tam dotrzeć. Pisze, że osobowy ósma siedemnaście z Paddington zatrzymuje się czasem w Stanhurst, a on ma «zaufanych» wśród personelu windsorskiego oddziału Kolei Południowo-Zachodniej, którzy zapewnią mi bezpieczny przejazd do hrabstwa, które nie istnieje.

Szaleństwo. Najwyraźniej jest to oszustwo i dlatego wysłałem list nakazujący moim adwokatom, panom Selhurstowi, Barleyowi i Cainforthowi, żeby wyśledzili nadawcę tego okropnego pisma i podali go do sądu. Podejrzewam jednego z byłych pracowników mojego ojca, chociaż dano mi także do zrozumienia, iż tego obfitującego w skandale lata moich narodzin wniesiono oskarżenie przeciwko pewnemu członkowi personelu Kolei Południowo-Zachodniej, po części z powodu histerii wywołanej przez mapy mojego ojca. Poleciłem panu Barleyowi, by odnalazł tego człowieka, traktując to jako sprawę nie cierpiącą zwłoki”.

6. Edwin Breakhouse został zabity, kiedy prowadził swoich ludzi do ataku podczas bitwy nad Somą. Do ciotki w Anglii nigdy nie dotarło wiele jego osobistych rzeczy, między innymi list, o którym wspomina w swoim dzienniku. Wszystkie informacje dotyczące jego kontaktów z adwokatami obróciły się w popiół w kwietniu 1918 roku, gdy biura kancelarii Selhurst, Barley i Cainforth spłonęły w pożarze, krótko po śmierci wszystkich trzech starszych partnerów w katastrofie kolejowej, do której doszło w marcu tego samego roku w pobliżu Staines.

7. Arkusz 2000 może być ostatnim zachowanym dowodem osobliwej angielskiej wrażliwości, tej samej, która skłaniała właścicieli ziemskich do wznoszenia w swoich majątkach „kaprysów”. Przybierały one najczęściej postać budowli nie mających pełnić żadnej funkcji oprócz zadowalania próżności tych, którzy je stawiali, i Arkusz 2000 można postrzegać jako „kaprys” Whittonów-Whyte’ów – w każdym znaczeniu tego

słowa. Przetrwał on jako kawałek papieru z wyjątkowo szczegółowym odwzorowaniem pewnego obszaru, pozostałość po pracy, która przez ponad półtora wieku wypełniała życie setkom ludzi, i być może pozostałość epoki, która już dawno minęła.

Studenci kartografii zauważą wielką skrupulatność i dbałość o szczegóły, z jaką przedstawiono nie tylko wyimaginowany rejon „Ernshire", ale także wszystkie inne obszary mapy. Po porównaniu z pochodzącymi z tego samego okresu mapami Brytyjskiego Urzędu Kartograficznego rzuca się w oczy swoista elegancja jej wykonania, której brakuje w materiale BUK. Arkusz 2000, mimo wszystkich wad, jest wykonany wspaniale, z wielką uwagą i starannością – a nawet, jeśli można użyć tego słowa do opisu mapy, poezją – które się z tym wiążą. Jest to coś, co dzisiaj, z naszymi mapami, rysowanymi przez współpracujące z satelitami komputery, utraciliśmy, i przypomina czas, kiedy mapy miały władzę nad krajobrazem – nawet jeśli tylko w wyobraźni.

8. Zachowała się pewna anegdota, która – choć jej źródło jest niepewne i nie sposób jej potwierdzić – jest zgodna z historią Arkusza 2000 i chyba zasługuje na to, żeby ją tu przedstawić.

W 1926 roku, kiedy Margaret Allen miała dziewięćdziesiąt cztery lata, odwiedził ją młody mężczyzna, który twierdził, że jest jej siostrzeńcem.

Siostra Ruth, kierująca domem opieki, w którym pani Allen spędziła ostatnie lata, podobno powiedziała przyjaciółce, że starsza pani była bardzo podekscytowana tym spotkaniem. Siostra Ruth zapamiętała, że młodzieniec ów, który powiedział, że ma na imię Stephen, mówił z trudnym do określenia wiejskim akcentem i zostawił pani Allen pewien dokument.

Pani Allen zazdrośnie strzegła tego dokumentu, a po jej śmierci nigdzie nie można go było znaleźć, ale siostra Ruth twierdziła, że raz go widziała i nazwała mapą.

Siostra Ruth, o ile wiadomo, nigdy nie opisała tej mapy swojej „przyjaciółce", ale wspomniała o jej charakterystycznej cesze. Powiedziała, że w dolnym prawym rogu była oznakowana. Znajdował się tam napis: Whitton-Whyte i Synowie. Kartografowie. Stanhurst.

3

– To jakaś powieść – zaryzykował domysł Lew. – Utopijna fikcja.

Rudi siedział, obejmując głowę, jakby walczył z potwornym kacem.

– To szaleństwo – mruknął, spoglądając na kartki z rozszyfrowanym tekstem rozłożone przed nim na stoliku.

Według Lwa szyfr był dość skomplikowaną odmianą czegoś, co zostało opracowane do celów komercyjnych w Anglii pod koniec osiemnastego wieku. Złamanie go zajęło tekstylnemu laptopowi trzy dni, ale teraz radośnie wypluwał kolejne strony odszyfrowanego tekstu w tempie dwóch lub trzech na dzień. Zagłębili się już na kilka stron w ręcznie zapisanej części notatnika. Kolumny cyfr oraz liter zostały przeskanowane i wczytane do laptopa, który oddawał je w postaci opisów miasteczek, wiosek, osad, a także ocen pubów, restauracji i pensjonatów.

– Jesteś pewny, że to coś działa prawidłowo? – zapytał Rudi, wskazując głową komputer.

– Gdyby nie działało, niczego byś nie przeczytał.

Rudi podniósł jedną z kartek i popatrzył na nią bezradnie.

– To jest… – pokręcił głową – „Wykaz nazw miast i miasteczek hrabstwa Ernshire” – przeczytał.

Lew wzruszył ramionami.

– Fikcja.

Rudi odłożył kartkę na stolik, wstał i pokuśtykał do okna.

– Chcesz, żebym został? – zapytał Lew.

Rudi odwrócił się i spojrzał na niego.

– Słucham?

– Laptop pracuje sam. Wystarczy wpisywać dane grupami. Nie jestem ci już potrzebny.

Rudi pokręcił głową.

– Czy ten wykaz mógłby sam w sobie być szyfrem?

– Oczywiście. Bierze się różne litery z każdej linii i otrzymuje wiadomość: „Komsomoł leci w nocy”.

– Czy laptop może wyszukać takie rzeczy w tekście?

– Tak, ale byłoby szybciej, gdybyś miał klucz.

– Którym mógłby być…?

Lew uniósł stary rozkład jazdy i przekartkował go zamyślony.

– Przejrzałem to – powiedział Rudi. – Nie ma żadnych znaków. Niczego, co sugerowałoby, że któraś z pozycji w tym rozkładzie jest ważniejsza od innych. Zanim zapytasz: zrobiłem też tak, żeby sam się otworzył. Nic. W każdym razie nic oczywistego.

– Może klucz pojawi się dalej w samym tekście – teoretyzował Lew. – Choć wtedy wszystko to byłoby bardzo nie zabezpieczone – dodał. – Nie chcę, byś myślał, że próbuję cię doić przy okazji tej pracy.

Rudi uśmiechnął się szeroko.

– Dlaczego, u licha, miałbym tak myśleć?

Lew wskazał na kartki z odszyfrowanym tekstem.

Rudi pokręcił głową.

– Cokolwiek tu się dzieje, to nie jest twoja wina, Lew. Zostań ze mną; sprawdźmy, czy uda nam się z coś tego zrozumieć, dobrze?

Lew skinął głową.

– Dobrze.

Okazało się jednak, że łatwiej było mówić o zrozumieniu, niż rzeczywiście coś zrozumieć. Wykaz dobiegł końca, po czym notatnik zaczął podawać informacje na temat historii i geografii kraju, który nie istniał.

Biorąc za punkt wyjścia napisaną na maszynie fikcyjną historię, którą Lew najpierw przetłumaczył, nieznany autor notatnika pisał dalej o kraju, który nazywał Wspólnotą. Wspólnota była największym marzeniem Whittonów-Whyte’ów, krajem, który na mapie zajmował górę całej Europy i był zamieszkany wyłącznie przez Anglików. To wyglądało jak sceneria jakiejś zakreślonej na ogromną skalę powieści Agathy Christie, ze wszystkimi stolicami hrabstw, wikariatami oraz dworami. Rudi doszedł do wniosku, że to prawdziwe szczęście, iż Fabio nie dożył chwili, kiedy mógłby się przekonać, jak bezwartościowa okazała się jego wielka zdobycz.

Z drugiej strony…

Laptop Lwa dostarczał teraz trzy strony odszyfrowanego tekstu dziennie. Po dwunastym dniu Rudi zaczął odczuwać jakiś nieokreślony niepokój i bez żadnego powodu, który mógłby wyartykułować, oraz na przekór głośnym protestom Lwa wymeldował ich z hotelu, po czym przenieśli się na inną wyspę.

Tydzień później zlokalizował źródło niepokoju.

Pewnej nocy, przeglądając zawartość walizeczki Fabia, wyjął jeszcze raz mapę Linii, rozłożył ją na podłodze ich pokoju, przycisnął jej rogi popielniczkami i butelkami piwa, po czym ukląkł i wspierając się na rękach, zaczął się jej dokładnie przyglądać.

Dotarło do niego, że źle się do tego wszystkiego zabrał. Fabio ryzykował życie – ryzykował życie ich obu – żeby ukraść coś, co wyglądało jak zupełnie zwyczajna mapa, jedna z tych, które można kupić w większości urzędów pocztowych w większości krajów. Fabio był ekscentryczny i nieodpowiedzialny, ale nie głupi. Dlatego nie mogła to być taka zwyczajna mapa. Powinien był to zrozumieć na samym początku i pewnie by tak było, gdyby odszyfrowane teksty tak bardzo nie przykuły jego uwagi.

– Jest mi wstyd – powiedział do Lwa. – To mapie powinienem się przyjrzeć w pierwszej kolejności. I to ja niby jestem *coureur*.

Lew, który siedział na kanapie, czytając owoc całodniowej pracy komputera i popijając wódkę, tylko mruknął coś pod nosem.

Oto była Linia i jeśli się miało jakiekolwiek zastrzeżenia co do tej nazwy, obraz na mapie był jej wytłumaczeniem. To rzeczywiście była tylko linia, ścieg, który biegł przez całą Europę, kraj o długości tysięcy kilometrów, ale o szerokości maksymalnie dziesięciu. Oto były miasta, przez które przechodziła, stacje rozrządowe, ambasady i konsulaty, bocznice, lokomotywownie… bocznice…

Rudi pochylił się tak nisko, że jego nos zawisł kilka centymetrów nad mapą. Linia potrzebowała bocznic do manewrowania, do umożliwienia pracy załogom remontowym, do łączenia się z niektórymi ambasadami i konsulatami, tak jak w Poznaniu, i sprowadzania zaopatrzenia z krajów, przez które przebiegała. Pod wieloma względami była mniej niezależna, niż lubiła udawać. Przesuwając palcem po dwóch torach głównej linii, Rudi widział dziesiątki oddzielających się od niej bocznic, biegnących a to do placu składowego tutaj, a to do miasteczka gdzie indziej.

A niektóre zdawały się biec donikąd.

Na końcu jednej z bocznic, tuż przed granicą między Wielkimi Niemcami a Polską, było słowo, które rozpoznał: Stanhurst.

Rudi wstał i sięgnął po kartki z tekstem odszyfrowanym poprzedniego dnia. I tam też to było. „Stanhurst, urzekająca stolica hrabstwa, szczyci się jedną z największych katedr we Wspólnocie”.

Złapał rozkład jazdy, zaczął go kartkować, i po minucie znalazł. Czasy przejazdu na trasie z dworca Paddington do Stanhurst.

Lew uniósł wzrok znad tekstu, który właśnie czytał.

– Co?

– Pakuj się – powtórzył Rudi. – Szybko. Wyjeżdżamy. To nie jest powieść. To przewodnik.

To był przewodnik po kraju, który nie istniał.

Kierując się, jak to Rudi później określił, odruchowym sarkazmem, Lew natychmiast nazwał go bedekerem. Z braku jakiegokolwiek innego nazwiska jego anonimowy autor stał się Karlem Baedekerem.

Wspólnota rozciągała się od Półwyspu Iberyjskiego aż do terenów leżących trochę na wschód od Moskwy i w roku 1918, kiedy notatnik był pisany, liczyła mniej więcej 15 milionów mieszkańców. Miała miasta, miasteczka i sieć kolejową, ale Rudi nie znał żadnej z ich nazw. To było tak, jakby Baedeker pod wpływem kaprysu wymyślił kraj, a następnie po prostu naniósł go na kontynentalną Europę. Albo raczej Whittonowie-Whyte'owie i ich potomkowie, nie usatysfakcjonowani stworzeniem własnego hrabstwa, po prostu przepisali od nowa Europę, a potem zaczęli, w wielkiej tajemnicy, ją podbijać. Niezależnie od tego, jak to osiągnęli, nie brakowało im ambicji. Według bedekera Wspólnota miała uniwersytet wielkości angielskiego hrabstwa.

– Nie – rzucił Lew, już trochę zirytowany, że musi się przenosić czwarty raz. – Nie.

– A cóż innego to może być? – zapytał Rudi.

– Niewidzialny kraj? Składający się z kawałków innych krajów? Utworzony przez rodzinę angielskich czarodziejów? – Lew prychnął. – To musi być coś innego.

Rudi spojrzał na pliki kartek z rozszyfrowanym tekstem.

– Na tych kartkach nie ma nic o tym, że oni byli czarodziejami – powiedział. – Mówią tylko o krajobrazach zawierających wszystkie możliwe krajobrazy. To mi nie brzmi jak magia.

– Najwyraźniej miałeś ciekawsze życie niż ja – odparł ponuro Lew, nalewając sobie kolejnego drinka. Pochylił się i oparł łokcie na kolanach. – Popatrz na mnie. Nie, na mnie. Spójrz mi w oczy. Dobrze. A teraz powtarzaj: „krajobrazy nie zawierają wszystkich możliwych krajobrazów". – Wyprostował się na krześle. – Nie powtórzysz tego, prawda? – mruknął cierpko, po czym opróżnił kieliszek.

Rudi spojrzał na kartki wydruku, na bedeker, na kolejowy rozkład jazdy, z którego wynikało, że w 1912 roku można było złapać pociąg z dworca

Paddington do nie istniejącego miasta gdzieś na zachód od Londynu, i na mapę Linii, z której z kolei wynikało, że wciąż można dotrzeć do tego samego nie istniejącego miasta, wybierając boczną linię odchodzącą od głównej gdzieś w Niemczech. Spróbował to wszystko ponownie złożyć w głowie, ale kawałki łamigłówki układały się tylko w jeden sposób.

Właśnie to Fabio ukradł z konsulatu Linii w Poznaniu. Trzy dowody istnienia równoległego wszechświata. I mapę pokazującą, jak się do niego dostać.

Wspólnota była topologicznym dziwadłem, krajem istniejącym w tym samym miejscu co Europa, ale dostępnym tylko w pewnych punktach na mapie. Jej stolica, Władysław, zajmowała mniej więcej tę samą przestrzeń co Praga, ale z opisu w bedekerze wynikało, że przypominała raczej mieszaninę Krakowa, Warszawy, Paryża i Genewy. 15 milionów ludzi w czasach, kiedy Baedeker pisał swój przewodnik. Ilu ludzi żyło we Wspólnocie teraz? Co oni wszyscy robili?

Czy to był sekret wart ochrony? Wart zabijania? Rudi doszedł do wniosku, że prawdopodobnie tak.

Pewnego wieczoru, kiedy jedli kolację – coś zupełnie niejadalnego, przyrządzonego z kałamarnic, bakłażanów i sosu na pomidorach z puszki – Rudi popatrzył na drugą stronę pokoju i zobaczył tam obok stolika walizeczkę Fabia. Uświadomił sobie, że ta rzecz, dla której Fabio ryzykował życie, stała mu się tak dobrze znana, że prawie jej już nie zauważał; było to po prostu coś, do czego chował dokumenty, kartki z odszyfrowanym tekstem i komputer Lwa, kiedy zmieniali hotele. Wciąż zamykał ją na zamek, na wszelki wypadek, chociaż nie wiedział, czy niszczarka jeszcze działa.

– Co? – zapytał Lew, widząc, że Rudi wstaje.

Młody człowiek, kuśtykając, podszedł do walizeczki i odwróciwszy ją dnem do góry, otworzył ją nad swoim łóżkiem. Na narzutę spadła kaskada kartek, notatników i kart pamięci.

– Chcę tylko coś wypróbować.

– Co wypróbować?

Odwróciwszy walizeczkę, włożył do niej lokalną gazetę z poprzedniego dnia, zamknął wieko, wprowadził odpowiednią kombinację cyfr do zamka

i dwukrotnie przeciągnął nad nim kartę magnetyczną, żeby uzbroić urządzenie.

– Chcę zobaczyć, co się dzieje, gdy ta rzecz zostanie uruchomiona – powiedział. Następnie przekręcił zatrzaski i zaczął na nie naciskać, jakby chciał je wyrwać.

Stało się tylko to, że Lew wrzasnął, odskoczył od stolika i zanurkował za monstrualnie brzydką kanapę stanowiącą główne wyposażenie pokoju. Po dłuższej chwili wynurzył się zza niej, kręcąc głową.

– Nie można powiedzieć, że Lew Siemionowicz Łaptiew kiedykolwiek nie zdołał zareagować przesadnie mocno – rzekł Rudi, który nie ruszył się od łóżka.

– Czasem – odezwał się Lew, starając się odzyskać spokój i nie podnosić głosu – konstruuje się walizki z myślą o zniszczeniu ich zawartości oraz osoby, która próbowałaby je otworzyć.

Rudi spojrzał na walizeczkę.

– Och. – Położył na niej dłoń i, tak, była ciepła. Nie gorąca, ale z pewnością ciepła, a promieniowanie cieplne z jej wnętrza przenikało przez izolację.

Wszystko to sprawiło, że pomyślał nostalgicznie o neseserze, który odebrał w Starym Poczdamie. Martwił się, że przemycając go do Berlina, mógł doprowadzić do zniszczenia jego zawartości, ale jeśli to tamten człowiek, „pakunek”, uruchomił niszczarkę, zanim cisnął walizeczkę przez druty ogrodzenia? A jeśli cały czas paliła ona swoją zawartość? A jeśli tą zawartością były mapy?

Dlaczego zatem w ostatnich chwilach swojego życia „pakunek” przerzucił walizeczkę przez druty, jeśli zaczęła już niszczyć swoją zawartość? W świecie Rudiego był tylko jeden powód, aby to zrobić – przekonanie ludzi, którzy chcieli odzyskać neseser, że został on dostarczony. A Bradley powiedział, że zawartość trafiła we właściwe ręce, a zatem albo wiedział, że walizeczka zniszczyła całą swoją zawartość, i kłamał, albo nie wiedział i przekazywał tylko kłamstwo swoich przełożonych.

Miał jeszcze inne sprawy do przemyślenia. Po pierwsze, napływał do niego stały strumień kartek z odszyfrowanym tekstem, strona po stronie, budujących obraz dziewiętnastowiecznej Wspólnoty. Było też wiele

bardziej przyziemnych spraw, które rozwiązywał, żeby móc się przenosić z Lwem z hotelu do hotelu, z wyspy na wyspę.

A jednak przez cały ten czas nie potrafił przestać myśleć o Poczdamie, wciąż na nowo wracając pamięcią do tego, co tam się wydarzyło, zastanawiając się nad każdym szczegółem.

Rudi siedział przez wiele godzin z wydrukiem bedekera, przeglądając strony, czekając na tę filmową scenę, kiedy to bohater klepie się dłonią w czoło i krzyczy: „Oczywiście!”. Na tę chwilę, kiedy wszystko staje się jasne.

Nic takiego się nie wydarzyło.

To był Wielki Sekret, z pewnością. Bez wątpienia. Sekret, dla którego bez dwóch zdań warto było zabić Fabia oraz jego samego. Ale obraz tego, co mu się przydarzyło w ostatnich mniej więcej dziesięciu latach, ciągle mu umykał. Był pewny, że Poczdam jakoś pasuje do tego obrazu, ale nie potrafił powiedzieć jak konkretnie.

Kiedy potraktował bedeker jako księgę przewodnią, cała jego kariera w szeregach *coureurs* przybrała inną postać. W książce było jedno zdanie, które zmieniało wszystko: „Wspólnota ma najbardziej zazdrośnie strzeżone granice w Europie”. Ile rządów, służb wywiadowczych, organizacji szpiegowskich i grup przestępczych wiedziało o Wspólnocie i starało się od lat uzyskać do niej dostęp? Jeśli się czegoś nauczył podczas swoich wieloletnich wędrówek po Europie, to tego, że ludzie naprawdę nie lubią się dowiadywać, iż są jakieś miejsca, do których nie mają wstępu. Tak więc włamywacze włamywali się do banków, oficerowie MI6 przemykali się przez Checkpoint Charlie, rezydenci CIA kierowali siatkami „korespondentów” w Moskwie i w Bukareszcie. Och, tak, okradali firmę albo zbierali informacje wywiadowcze o nieprzyjacielu. Ale tak naprawdę wszystko to sprowadzało się do tego, że przedostawali się tam, dokąd inni nie mieli dostępu. Rudi zdawał sobie sprawę, jakie poczucie siły, wręcz wszechmocy, coś takiego może dać człowiekowi.

A Wspólnota ich pokonała. Nie mogli uzyskać dostępu.

Kimkolwiek byli – i nie wykluczył komitetu aparatczyków reprezentujących Centralę oraz żadnego środowiska wywiadowczego w Europie – nie brakowało im subtelności. Rudi uświadomił sobie, że duża część czasu, który spędził w szeregach *coureurs*, była poświęcona prowokacjom – nie chodziło o to, żeby się bezpośrednio wedrzeć na teren

Wspólnoty, ale wypłoszyć tych ludzi, jak nagonka płoszy kuropatwy na wrzosowisku. Kim oni są? Gdzie są? Co robią? Odwieczne pytania szefa każdej służby wywiadowczej.

Możliwe, że jego pierwsza prawdziwa „sytuacja” z Fabiem była usankcjonowaną próbą kradzieży mapy wejść do Wspólnoty. Równie dobrze mogła to być operacja mająca wypłoszyć agenta Wspólnoty w poznańskim konsulacie Linii, by go następnie aresztować, przesłuchać, odwrócić i odesłać do Wspólnoty, żeby składał raporty swoim nowym panom. To mógł być sukces albo porażka. Albo Fabio naprawdę działał z własnej inicjatywy. Rudi był pewny, że nigdy się tego nie dowie.

Również w „sytuacji” z Poczdamu (a może nawet Strefy – zawsze myślał, że coś tam było nie w porządku) i śmierci Leona był jakiś element gry, i to gry wyreżyserowanej z myślą o celach tak wielkich, że indywidualni gracze nigdy nie zdołaliby ich dostrzec.

To oczywiście doprowadziło go do obecnej sytuacji. Czy znów był częścią prowokacji? Czy został wystawiony przeciwko Wspólnocie z powodów, których miał nigdy nie poznać, przez ludzi, których nigdy nie spotkał?

Kto wie? Oczywiście mógł na razie nic nie robić i zobaczyć, co się stanie. Mógł spróbować przewidzieć rozwój sytuacji i wybrać najmniej prawdopodobny kierunek działania, ale nigdy nie byłby pewny, czy nie jest to kierunek, który właśnie miał wybrać. Mógł rzucić się do morza i utonąć, ale gdzieś w głębi jego umysłu tliło się wciąż podejrzenie, że ktoś gdzieś uwzględnił już tę możliwość w swoich kalkulacjach. W przeciwieństwie do szpiegowskich seriali telewizyjnych, w których bohaterowi zawsze jakoś udaje się pokrzyżować wrogom szyki i wyjść obronną ręką nawet z najgorszej sytuacji, on był w rękach planistów, którzy przewidzieli każdą ewentualność. Posiłkowali się wiedzą gromadzoną od wieków przez podobnych sobie, od kurierów faraonów z tajnymi wiadomościami wytatuowanymi na skalpach, przez agentów Francisa Walsinghama i dobrze urodzonych poszukiwaczy przygód z czasu Wielkiej Gry, aż do ludzi takich służb jak MI6, SOE i OSS oraz Ochrana, NKWD i CIA. Znali się na rzeczy.

Na tym opierało się objawienie, którego doznał na ulicy w Londynie, wrażenie, że to, co robił, nie ma żadnego znaczenia, bo jest częścią Planu, Planu ułożonego w taki sposób, by mu się wydawało, że ma całkowicie wolną wolę. I mógł mieć rację: nie został aresztowany. Kimkolwiek Oni

byli, chcieli, żeby uciekł z pieniędzmi ze Smithson’s Chambers i użył ich tak, jak uzna za stosowne.

Co dziwne, zbytnio go to nie martwiło. Świadomość, że wszystko, cokolwiek by zrobił, zostało z góry zaplanowane, była dziwnie wyzwalająca. I dlatego postanowił skupić się na sobie. Rudim, jednym z *coureurs*. Rudim, który zobaczył zdanie o najbardziej zazdrośnie strzeżonych granicach w Europie i widział za tymi granicami ludzi chcących się przez nie przedostać.

– To mi wygląda – powiedział do Lwa – na wyzwanie.

Któregoś razu, rano, Rudi powiadomił Lwa, że wyjeżdża na dwa dni.

– Powinienem wrócić w ciągu czterdziestu ośmiu godzin – powiedział. – Jeśli nie będzie mnie dłużej i nie skontaktuję się z tobą, włóż wszystko do niszczarki i uruchom ją. Potem wyjdź stąd i wrzuć ją do morza. – Podał Lwu kartkę papieru, na której było wydrukowanych kilka ciągów liter i cyfr, zaszyfrowane kody do prywatnych kont bankowych. – Możesz to zapamiętać?

– Żartujesz? – zapytał Lew. Niektóre z ciągów miały do pięćdziesięciu znaków.

– Dobra. – Rudi się uśmiechnął. – Prawdopodobnie nie będziesz musiał ich użyć.

Miał rację. Przez pierwsze kilka godzin Lew brał z drukarki kolejne kartki listy kodów bankowych i zastanawiał się, dlaczego od razu nie wyszedł z hotelu, nie otworzył sobie dostępu do rachunków, nie przetransferował pieniędzy i po prostu nie rzucił się do ucieczki. Nigdy nie znalazł odpowiedzi na te pytania; zamiast tego spędził ten czas w pokoju, czytając kolejne kartki z odszyfrowanym tekstem, jedząc posiłki na miejscu i pustosząc minibar, a czterdzieści osiem godzin później, niemal co do minuty, Rudi wrócił, uśmiechnięty i niecierpliwie czekający na chwilę, kiedy będzie mógł rzucić okiem na to, co w czasie jego nieobecności wypluł dla nich tekstylny laptop.

Kilka dni później Rudi rzucił od niechcenia:

– Mam coś dla ciebie. – I podał Rosjaninowi paszport.

Lew obrócił małą kartę w palcach. Należała, jak napisano na niej cyrylicą, do niejakiego Maksima Fiodorowicza Koniewa, mieszkańca Nowosybirska, obywatela Niepodległej Republiki Syberii. Na karcie

w jakiś sposób znalazła się fotografia Lwa oraz, jak przypuszczał, niewidoczny odcisk kciuka, a zatopiony w niej chip prawdopodobnie zawierał również jego pozostałe dane biometryczne. Uniósł wzrok.

– Nie musisz tam mieszkać – powiedział Rudi z lekkim zakłopotaniem.

– Latem Syberia bywa niezwykle piękna – poinformował go Lew.

Rudi podał mu dysk w plastikowym opakowaniu.

– Tutaj jest też legenda, generalnie dość ogólnikowa, ale w Nowosybirsku i Norylsku jest kilka dokumentów, które ją potwierdzają. Możesz to zostawić tak jak jest albo trochę pouzupełniać, to zależy od ciebie. Weź kody bankowe; wszystkie twoje pieniądze są na tych kontach.

A więc tak to się kończyło. Lew znów popatrzył na kartę. Jeśli jego poprzednie życie nauczyło go czegoś, to tego, że zawsze widzimy tylko niewielką część pełnego obrazu. Dziś może to być kilkuwierszowa wiadomość od agenta znanego tylko z kryptonimu, jutro lista celów politycznych, a kiedy indziej zupełnie niezrozumiała dokumentacja ekonomiczna. Jakie były ich historie? Tu przynajmniej była nowa historia, nowe życie, które mógł przeżyć.

– Dziękuję – powiedział, szczerze wzruszony. Same pieniądze by wystarczyły.

Rudi odwrócił wzrok i wzruszył ramionami, a Lew uznał, że chłopak jest zażenowany jego wdzięcznością.

– Co teraz zrobisz? – zapytał.

Rudi spojrzał na niego i uśmiechnął się.

– Potrząsnę drzewem i zobaczę, co z niego spadnie.

TRZYDZIEŚCI PRZYPADKÓW MAJORA ZEMANA

1

Wojna rozpoczęła się w czwartek.

Petr zapamiętał to na zawsze, ponieważ w czwartek była jego kolej, by zawieźć dzieci do szkoły, a potem je odebrać, i właśnie siedział rano w samochodzie przed mieszkaniem Terezy, kiedy zadzwonił jego telefon.

– Szefie? – odezwał się Jakub. – Włącz radio. Zamach bombowy.

Jakub był dobrym, opanowanym detektywem, ale od czasu do czasu dawała o sobie znać jego skłonność do przesady. Petr westchnął, włączył radio i stwierdził, że tym razem Jakub nie przesadził.

Wyjrzał przez okno i zobaczył, że Tereza wychodzi z budynku z Elišką i Tomášem, ubranymi ciepło na złą pogodę, z tornistrami na ramionach i śniadaniówkami w małych rączkach. Serce w nim zamarło.

Podeszli do samochodu i Petr opuścił szybę.

– Przepraszam – powiedział do Terezy. – Przepraszam – powiedział do dzieci.

– Widziałam to w wiadomościach – odparła. – Zabiorę dzieci do szkoły. Będziesz mógł je odebrać?

– Trudno powiedzieć – odrzekł.

– Po południu mam spotkanie w sprawie pracy – powiedziała. – Wiesz o tym. Starałam się o nie od wieków.

– Idź na nie – rzekł. – Odbiorę dzieciaki.

– Albo przyślesz kogoś innego. – Pokręciła głową. – Jestem już tym zmęczona, Petr.

– Spodoba im się – rzucił wesoło. Popatrzył na dzieci. – Co powiecie na przejażdżkę samochodem policyjnym z wujkiem Jakubem? Dziś po południu?

Wyglądały na zadowolone, choć trochę niepewne.

Tereza prychnęła:
– Wujek Jakub.
Włączył silnik i wrzucił bieg.
– Przepraszam – powiedział jeszcze raz i odjechał.

Był taki bar o nazwie TikTok, tuż przy Karlovo náměstí na Nowym Mieście, który Petr oraz cały komisariat mieli od kilku miesięcy na oku. Dotarły do nich pewne mało konkretne informacje, że czeczeński przestępca przedstawiający się jako Abram, przepędzony z Bremy przez połączone siły lokalnej policji i miejscowych bandytów, kupił udziały dające mu kontrolę nad TikTokiem i przekształcał ten lokal w swój przyczółek w Pradze.

Oczywiście nie było to optymalne rozwiązanie dla nikogo, ale godziny nadzoru i gromadzenia informacji wywiadowczych nie potwierdziły plotek. TikTok był własnością niemożliwie splątanych ślepych funduszy powierniczych i offshore'owych oraz systemów finansowych utworzonych w celu unikania opodatkowania, tak złożonych, że były praktycznie świadome; jeśli Abram gdzieś tam był, był dobrze ukryty. Nie zaobserwowano także, żeby bywał w swym domniemanym nowym nabytku; nie zrobił też tego nikt z jego najbliższego otoczenia. Zespół, który Petr wysyłał do baru z trudnym zadaniem zdobycia statusu stałych klientów, nie zgłaszał niczego niezwykłego, tak jak młoda pani detektyw, którą wysłał tam, żeby zatrudniła się jako kelnerka. TikTokowi, na dobrą sprawę, nie można było niczego zarzucić.

– Co za cholerny bałagan – powiedział Jakub.

Choć raz, pomyślał Petr, mój sierżant posłużył się wyraźnym niedomówieniem. Ulica była pełna gruzu, potłuczonego szkła i zniszczonych samochodów. Wszystkie okna sklepowe zostały rozbite, tak jak większość okien mieszkań nad nimi. Na ulicę spadły ogromne kawały gzymsów i ceglanego muru.

Zniszczenia wyglądały gorzej, gdy przenosiło się spojrzenie wzdłuż ulicy aż do centrum, do dymiącej sterty cegieł, kawałków drewna i metalu, która kiedyś była barem znanym jako TikTok. To było tak, pomyślał Petr, jakby bar najpierw wybuchowo wyrzygał wnętrzności na ulicę, a potem zapadł się w sobie, zasysając wszystko, co nad nim i dokoła niego.

Na obu końcach ulicy było mnóstwo detektywów i funkcjonariuszy w mundurach, policjantów, strażaków i żołnierzy. Zespół wojskowych saperów wciąż wysyłał roboty do zniszczonego budynku, żeby szukały innych ładunków wybuchowych. Przed zakończeniem tych poszukiwań nie można tam było dopuścić straży pożarnej ani policji, tak więc do tego czasu nie można było odkryć, jak wielu ludzi straciło życie. Wstępne raporty mówiły, że zginęło piętnaście osób, a trzydzieści zostało rannych, ale Petr wiedział, że te liczby szybko wzrosną. Bomba wybuchła, gdy ludzie szli do pracy.

– Zakładamy, że to bomba – powiedział Jakub.

– Tak – zgodził się Petr. – Tak, zakładamy, że to była bomba.

Jakub kiwnął głową.

– GAT jest już w drodze.

Petr westchnął. Stosunki między jego wydziałem a Grupą Antyterrorystyczną były, delikatnie mówiąc, napięte.

– Jestem zaskoczony, że jeszcze ich tu nie ma – powiedział, ale żart nie znalazł uznania. – Czy coś się stało wczoraj wieczorem?

Jakub pokręcił głową.

– Normalny wieczór – odparł. – Według chłopaków.

Petr przełknął ślinę i zadał pytanie, które wisiało między nimi, odkąd tam dotarł:

– Milena?

– Nie odbiera telefonów – powiedział poważnie Jakub. – Ani domowego, ani komórki. Zaczynałaby pracę mniej więcej teraz.

Petr rzucił mu chmurne spojrzenie. Już sam wybuch bomby był czymś wystarczająco złym. Utrata młodej detektyw, którą umieścił w barze, byłaby katastrofą.

– Dalej próbuj się do niej dodzwonić – polecił. – Czy ktoś pojechał do jej mieszkania?

Jakub skinął głową.

– Nikogo tam nie ma.

Petrowi zrobiło się niedobrze. Wziął głęboki wdech.

– W porządku. Nie możemy tu nic zrobić, dopóki wojsko nie skończy węszyć. Chcę, żeby wszyscy ruszyli w teren i zaczęli przepytywać kapusiów. Chcę wiedzieć, jak to się mogło stać, że ktoś wysadził bar, a my nic o tym nie słyszeliśmy, i chcę wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny.

– Tak, szefie.

– I czy po południu mógłbyś odebrać moje dzieci ze szkoły?

Jakub zerknął na niego, po czym wrócił wzrokiem do szczątków i gruzu na ulicy.

– Tak, szefie.

Petr podszedł do ciężarówki zaparkowanej na sąsiedniej ulicy. Drzwi kontenera na jej platformie były otwarte. Petr wspiął się po schodkach na górę, wszedł do środka i popatrzył na rzędy detektywów oraz agentów siedzących przy konsolach mobilnego centrum operacyjnego. Do ściany na drugim końcu kontenera było przyklejonych co najmniej trzydzieści cienkich jak papier ekranów; każdy z nich pokazywał inny widok na zniszczoną ulicę.

– Brabec – odezwał się ktoś za nim.

Petr odwrócił się i zobaczył majora Větrovca, swojego odpowiednika w oddziale antyterrorystycznym, który stał w wejściu do centrum operacyjnego.

– Miloš – odpowiedział.

– Co mamy? – Větrovec był niedużym okrągłym i łysym mężczyzną w przyciasnym garniturze.

– Traktujemy to jako bombę, dopóki się nie dowiemy, że to było coś innego – odparł Petr. – Wszystkie media zostały odcięte, ulica jest zamknięta. Straż pożarna nie może się zbliżyć do miejsca eksplozji, dopóki wojsko się nie upewni, że nie ma tam jakichś innych ładunków, a my nie możemy się do niego zbliżyć, dopóki straż pożarna nie powie nam, że to bezpieczne.

Větrovec popatrzył na ekrany na końcu centrum operacyjnego i pokręcił głową. Odwrócił się i krzyknął przez otwarte drzwi:

– Ismail, sprawdź, czy możesz się skontaktować z panią minister! Ta leniwa suka powinna już tu być!

– Ach, świetnie – powiedział Petr. – Ściągnąłeś Ismaila.

– To mój zastępca – odparł Větrovec. – Oczywiście, że tutaj jest.

– Niech mi nie wchodzi w drogę – ostrzegł Petr. Ostatni raz, kiedy on i ten zabójca o martwym, nieobecnym spojrzeniu spotkali się na gruncie zawodowym, mało brakowało, a rzuciliby się na siebie z pięściami pośrodku mieszkania, w którym aresztowano podejrzanego o terroryzm.

– Jak sobie życzysz – powiedział Větrovec, jakby w ogóle go to nie obchodziło. – Rozumiem, że interesowałeś się tym barem?

Petr szybko opowiedział mu o rzekomej obecności Abrama w Pradze i o tym, co zrobił, żeby zbadać tę sprawę. Wydało mu się, że mina Větrovca złagodniała, gdy opowiadał mu o Milenie. Větrovec był nieprzyjemnym małym sukinsynem, ale był gliną, a każdy policjant odczuwa stratę jednego ze swoich.

Kiedy skończył, Větrovec powiedział:

– My także interesowaliśmy się tym budynkiem.

Petr uśmiechnął się z przymusem.

– Oczywiście, że tak.

– Nie barem – mówił dalej Větrovec – dlatego nie było cię na liście. Jedno z mieszkań na piątym piętrze. Grupa studentów z Arabii Saudyjskiej.

– Którzy byli, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, zupełnie niewinni.

– Którzy już spotkali się z bułgarską grupą mafijną i akurat negocjowali zakup siedmiu kilogramów semtexu. – Větrovec popatrzył na niego. – Nie jesteśmy amatorami.

Petr wskazał na ekrany.

– Czy tym miejscem interesował się jeszcze ktoś inny, o kim mi nie powiedziano? – zapytał. – Co? Imigracyjny? Straż miejska? – Zdawał sobie sprawę, że podniósł głos, ale nie obchodziło go to. – Bo gdyby ktoś pomyślał o umieszczeniu mnie na tej waszej liście, nie posłałbym tam mojej detektyw z tajnym zadaniem!

– Brabec – mruknął Větrovec, przyglądając się twarzom funkcjonariuszy siedzących w centrum operacyjnym, którzy bardzo się starali, żeby nie patrzeć na Petra. – Uspokój się.

– Zabiłeś ją – powiedział Petr groźnym głosem, dźgając Větrovca w klatkę piersiową palcem wskazującym. – Tak jakbyś ją sam wysadził. Bo ci się nie chciało powiedzieć mi, co robisz.

– To nie ja kazałem jej tam iść – odparł rozsądnie Větrovec.

Petr warknął i przepchnął się obok człowieka z GAT, po czym, potykając się, zszedł po schodach i oddalił się od ciężarówki. Gdy był już daleko, oparł się o ścianę domu, usiłując złapać oddech i zachować panowanie nad sobą.

Nagle zadzwonił jego telefon. Wyciągnął go, spojrzał na ekran i przyłożył do ucha.

– Sam nie możesz sobie z tym poradzić? – spytał.

– Nie wiem, szefie – odpowiedział Jakub. – Ale będziesz chciał to zobaczyć.

– Kim oni są?

– Nie wiemy, szefie – odparł Jakub. – Sprzątaczka znalazła ich cztery godziny temu. Powinniśmy się byli dowiedzieć wcześniej, ale przez to wszystko…

– Byliśmy zajęci. – Petr westchnął. – Tak.

Stali w elegancko urządzonym mieszkaniu na Pankrácu, niedaleko więzienia. Mieszkanie było w jednym z dwóch nowych bloków, na których budowę magistrat niechętnie, po wielu latach dyskusji o ich wpływie na panoramę miasta, ostatecznie dał pozwolenie. Wprowadzili się do nich młodzi specjaliści – graficy, informatycy, pracownicy mediów. Petr wiedział, że w tym bloku, w którym właśnie byli, mieszka kilkoro aktorów grających w telenowelach.

Żadna z osób leżących obok siebie w salonie nie grała w telenoweli. A przynajmniej nie przypominał sobie, żeby którąś z nich widział w telewizji. Mężczyzna i kobieta w wieku trzydziestu kilku lat, w ubraniach dość nijakich, ale trochę staromodnych. Oboje mieli podcięte gardła. Podłoga, meble i ściany były zalane krwią.

– Nie było jeszcze pełnego przeszukania i na razie nie wiemy, kim są – powiedział Jakub. – Nikt z sąsiadów też tego nie wie, choć jednemu się wydaje, że mogli być Anglikami.

Petr jęknął w duchu, pomyślawszy, że będzie musiał sobie poradzić z brytyjską ambasadą.

– Mów dalej.

– Cóż, naprawdę interesujące rzeczy są tutaj – zaczął Jakub, prowadząc go do małej sypialni na tyłach mieszkania. – Mundurowy policjant, który odpowiedział na wezwanie, upewnił się, że oboje już nie żyją, a następnie poszedł zabezpieczyć mieszkanie, ale wydało mu się, że usłyszał, jak ktoś się tu porusza. Okazało się, że tylko to sobie wyobraził – wiesz, jaki wpływ na człowieka może mieć taka scena – ale rozejrzał się i… cóż…

Sypialnię po rozmontowaniu łóżka i postawieniu ramy oraz materaca pod jedną ze ścian przekształcono w małą pracownię. Na środku podłogi stały dwa małe stoliki, na których leżały pudełka, narzędzia i rolki drutu. Nie dotykając ich, Petr zajrzał do jednego z pudełek.

– Detonatory? – zapytał.

– Tak, szefie. A w tych większych jest C4.

Petr wyprostował się i rozejrzał po pokoju.

– Wiele tych pudełek od C4 wydaje się pustych.

– Tak, szefie.

Wrócili do pokoju i stali przez chwilę nieruchomo, patrząc na ciała.

– Ach, było jeszcze coś – przypomniał sobie Jakub. Uniósł plastikową torebkę na dowody. Była w niej tania zapalniczka z nadrukiem „TikTok”.

– To zbyt proste – powiedział Petr.

– Tak, szefie.

– Coś takiego zdarza się tylko w filmach.

– Wiem, szefie.

Petr westchnął.

– W porządku. Gdy skończą z miejscem zbrodni i zabiorą ciała, rozejrzyj się po tym mieszkaniu. Szukaj wszystkiego, co pomogłoby nam ustalić ich tożsamość i co wygląda interesująco. Potem, dopiero potem, powiadom antyterrorystów.

Jakub wciągnął powietrze przez zęby.

– To im się nie spodoba.

– Mogą mnie podać do sądu.

– Prawdopodobnie to zrobią – powiedział Jakub.

Praga miała, ogólnie rzecz biorąc, bardzo niski poziom przestępczości. Kieszonkostwo od dziesięcioleci było niegroźnym chałupnictwem i zawsze można było paść ofiarą napadu rabunkowego lub mieć innego rodzaju problemy w okolicach „Sherwood”, parku otaczającego dworzec kolejowy, ale większa część starego miasta uniknęła fali przestępczości, która zalała inne europejskie stolice.

Jednak po wysadzeniu w powietrze baru TikTok przez miasto przetoczyła się fala morderstw. Zginęły znane postacie ze świata zorganizowanej przestępczości, zabite w swoich samochodach albo domach. Znaleziono kilku handlarzy narkotyków ukrzyżowanych na

drzewach w „Sherwood”. Rząd zaczął to zauważać, co nigdy nie było dobrym znakiem w świecie Petra.

Dwaj detektywi ze Scotland Yardu, którzy przylecieli obejrzeć ciała z Pankráca, nie zdołali ich zidentyfikować. Zgodzili się potraktować posiłek w restauracji na starym mieście jako wynagrodzenie za swój trud, po czym odlecieli, nie napomykając, dlaczego nie mógł tego zrobić ktoś z personelu ambasady. Petr, który odwiózł ich na lotnisko, patrzył, jak przechodzą kontrolę bezpieczeństwa, i pomachał na pożegnanie, cały czas się nad tym zastanawiał.

Pułkownik z Zespołu do spraw Gangów spotkał się z szefami wszystkich zorganizowanych grup przestępczych w Pradze – całkowicie nieoficjalnie i bez wiedzy, na ile to było możliwe, prasy oraz niektórych mniej wyrozumiałych parlamentarzystów – i opowiedział po powrocie, że bandziory też nic nie wiedzą. Wszyscy oni obwiniali się nawzajem o te zabójstwa, ale kiedy się ich przycisnęło, żaden nie potrafił podać choć jednego powodu, dlaczego do nich doszło.

– Powiedziałem, żeby przestali, a oni tylko wzruszali ramionami – powiedział pułkownik Petrowi przy drinku. – To sprawa terytorialna, zwyczajna i prosta. Zapamiętaj moje słowa. Oni się po prostu do tego nie chcą przyznać.

Z wyjątkiem tych dwóch ciał z poderżniętymi gardłami. Ta cała sprawa zniknęła w kieszeniach gniewnego majora Větrovca, ale w umyśle Petra wyróżniała się spośród wszystkich innych zabójstw. W jakiś sposób te dwa morderstwa i ten pokój pełen plastycznego materiału wybuchowego nadawały sens wszystkiemu innemu. Tylko nie było wiadomo jaki.

Prasa podchwyciła historię o wojnie gangów, w parlamencie zadawano pytania, aż pewnego dnia Petr znalazł się w gabinecie pani minister. W swoim jedynym dobrym garniturze czuł się mały i przesadnie wystrojony. Minister, rumiana kobieta, która upodobała sobie szare kostiumy ze spodniami i czerwone koszule, kazała mu czekać, aż skończy coś czytać na komputerze.

– Pańscy ludzie nazywają pana majorem Zemanem – odezwała się w końcu, nie patrząc na niego.

Petr westchnął. Major Zeman był głównym bohaterem osławionego i bardzo długiego serialu z okresu komunizmu, bardziej materiałem propagandowym niż czymkolwiek innym.

– To taki żart, pani minister – wyjaśnił. – Bohater filmu i ja mamy to samo nazwisko.

Minister popatrzyła na niego.

– Humor koszarowy – dodał.

– Tu nie ma się z czego śmiać, majorze – powiedziała minister.

– Nie, pani minister – zgodził się. – Nie ma.

Znowu spojrzała na ekran komputera.

– Trzydzieści siedem ofiar śmiertelnych. Nie licząc tych, którzy zginęli w wybuchu w barze TikTok. To wcale nie jest śmieszne.

– Czy ktoś się skarżył, że tak to traktujemy? – zapytał.

Kolejne nieprzychylne spojrzenie. Po chwili minister odpowiedziała:

– Prasa najwyraźniej sądzi, że praska policja jest niekompetentna. Na moje biurko, majorze, nie pańskie, spływają krytyczne artykuły, a prezydent i premier oczekują, że na nie odpowiem.

– Tak jest, pani minister.

– Zespół do spraw Gangów zdaje się wierzyć, że to się w końcu wypali.

– Naprawdę?

– Mają coś, co nazywają… – ponownie popatrzyła na ekran komputera – modelowaniem dynamicznym. Zna się pan na tym?

Petr pokręcił głową.

– Oprogramowanie komputerowe – wyjaśniła. – Ze Stanów Zjednoczonych. Buduje modele relacji między grupami. Grupami wszelkiego rodzaju. Modelarzy kolejowych, kibiców piłki nożnej, wielbicieli najnowszej nastoletniej gwiazdy popu, gangów kryminalnych. Rzekomo tworzy prognozy rozwoju stosunków między tymi grupami, przewiduje okresy stabilności i chaosu. Co pan o tym myśli?

– Myślę, że bardziej efektywne byłoby wróżenie z kurzych wnętrzności, pani minister.

Jej usta wykrzywił uśmiech.

– Z modelowania dynamicznego wynika, że te zabójstwa wreszcie dobiegną końca i wróci równowaga.

– Kiedyś skończą się nam przestępcy – odparł Petr. – Wtedy równowaga wróci na pewno.

Minister westchnęła.

– Tymczasem ostatnie cięcia budżetowe oznaczają, że wszędzie trzeba będzie poszukać oszczędności, we wszystkich obszarach. – Pozostawiła nie

dopowiedziane to, co było oczywiste: że w wydziałach, które się wykażą, cięcia będą najmniejsze. Z teczki leżącej na biurku wyjęła wydruk fotografii i pokazała mu go.

– Rozpoznaje pan tego człowieka?

Było to lekko rozmazane powiększenie zrobionej z profilu fotografii młodego mężczyzny. Miał zwyczajną twarz, krótkie brązowawe włosy. Zwykły człowiek, niczym się nie wyróżniający. Petr pokręcił głową.

– My uważamy, że ten człowiek jest jakoś zamieszany w tę wojnę gangów – powiedziała minister.

– Tak? – Petr z trudem się powstrzymał, żeby nie zapytać, kim są ci „my”.

– Od kilku tygodni jest w kraju.

– To dla mnie nowa informacja – odparł Petr. – Mogę zatrzymać tę fotografię?

– Nie. – Minister włożyła wydruk do teczki, schowała ją do szuflady i zamknęła na kluczyk. Petr obserwował to z zainteresowaniem, zastanawiając się, co tu właściwie zostało mu powiedziane. – Wiem, że pan i pańscy detektywi – cała policja – dajecie z siebie wszystko, ale te zabójstwa muszą się skończyć, majorze. Nie możemy czekać, żeby sprawdzić, czy to modelowanie dynamiczne daje trafne prognozy, czy nie. Zabójstwa muszą się skończyć teraz.

– Nie będę obrażał pani inteligencji, mówiąc, że moi ludzie pracują tak ciężko, jak tylko potrafią – powiedział Petr.

– A ja nie będę obrażała pańskiej, mówiąc, że to nie wystarczy. – Minister znów skierowała wzrok na ekran komputera. – Proszę mnie informować, panie majorze.

Wyglądało to na koniec rozmowy. Petr wstał.

– Oczywiście, pani minister.

I oczywiście ta rozmowa, mająca go zagrzać do wysiłku i podbudować, jeśli o to chodziło, nie przyniosła żadnego skutku. Wciąż dochodziło do zabójstw. Wysadzano w powietrze samochody, porywano krewnych, plądrowano sklepy, a policja nie mogła tego powstrzymać. Odwołano wszystkie urlopy i – ku niezadowoleniu funkcjonariuszy – wezwano na pomoc wywiad wojskowy.

– Pomyśl o dobrych stronach tego zamieszania – powiedział Jakub. – Prędzej czy później nie zostanie już żaden bandzior i będziemy sobie żyć w spokoju.

– Powiedziałem coś takiego pani minister – odparł Petr.

– I jak ona to przyjęła?

– Myślę, że doceniła żart.

Siedzieli przy stoliku w Operze, barze, którego jedyną zaletą było to, że nie bywali w nim inni policjanci. Jakub łyknął trochę piwa i zachichotał. Powiedział:

– Jest coś dobrego… – i nagle powietrze wypełnił dym i ogień, a Petr stwierdził, że siedzi pod ścianą z dala od stolika i coś zalewa mu oczy. Przetarł je, spojrzał na palce i stwierdził, że są lepkie od krwi.

Popatrzył na drugą stronę baru. Przez chwilę mózg nie chciał dopasować do siebie obrazów. Opera wyglądała tak, jakby wszystko rozpadło się na kawałki, a pośród tych zniszczeń zbliżał się do niego, kulejąc, młody mężczyzna z laską. Doszedł do miejsca, w którym siedział Petr, pochylił się i wyciągnął do niego rękę.

– Chodź ze mną, jeśli chcesz żyć – rzekł.

– Zawsze chciałem to powiedzieć – odezwał się nieznajomy. – A także: „Jedź za tym samochodem” i „Jestem za stary na takie bzdury”.

Stali w alejce za rogiem ulicy, przy której znajdował się bar Opera. Pod Petrem wciąż jeszcze uginały się kolana, zarzucił więc ramię na barki młodego człowieka. W pewnej chwili powiedział:

– Znam cię.

– Nie znasz, naprawdę – odparł nieznajomy. – Ale obawiam się, że jestem przyczyną wszystkich twoich nieszczęść, majorze.

– Minister pokazała mi fotografię.

Młodzieniec spojrzał w stronę końca uliczki. Samochody policji, straży pożarnej i pogotowia pędziły z wyciem syren do wysadzonego baru.

– Twoja minister? Minister policji?

– Tak.

– I co o mnie powiedziała?

– Że jesteś tu już od jakiegoś czasu i jakoś wmieszałeś się w tę wojnę.

– Cóż, jest w tym sporo prawdy. Jak się czujesz?

Petr się wyprostował.

– Lepiej. Gdzie Jakub?

– Twój kolega? Nie przeżył tego.

Petr wziął głęboki oddech i westchnął. Wsunął dłoń do kieszeni, wyjął z niej kajdanki i płynnym ruchem zapiął jedną obrączkę na nadgarstku młodego człowieka, a drugą na własnym.

– Jesteś aresztowany.

Młody człowiek spojrzał na kajdanki.

– A ty jesteś niewdzięcznym draniem, majorze. Ta mała bomba tam… a była rzeczywiście mała, bo inaczej nikt nie wyszedłby z tego żywy… miała podnieść stawkę, doprowadzić do zaostrzenia sytuacji między policją a zorganizowaną przestępczością. To była prowokacja. A ja uratowałem ci życie.

– Masz minutę – powiedział Petr. – Mów szybko.

– To potrwa dłużej niż minutę – odrzekł młodzieniec. – Łatwiej będzie, jeśli ci pokażę.

Dotarli do końca uliczki, potem przemierzyli drugą, trzecią i jeszcze jedną, po czym przeszli na drugą stronę ulicy, której Petr nie poznał, i znaleźli się na kolejnej. Przez cały ten czas młody człowiek – powiedział, że ma na imię Rudi – mówił i mówił. Opowiadał o *coureurs*, głowach w skrytkach bagażowych, mapach i światach równoległych. I nagle Petr uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, gdzie są. Wszystkie sklepy wyglądały obco, ludzie, których widzieli, byli ubrani trochę dziwnie, trochę staromodnie, wszystkie szyldy były w języku angielskim, a kiedy wyszli z ostatniego zaułka na wspaniały plac miejski, oświetlony i brukowany, pełen przechadzających się mężczyzn i kobiet, Petr, który mieszkał w Pradze całe życie, stwierdził, że nigdy wcześniej go nie widział.

– Lepiej, żebyśmy tam nie szli – powiedział Rudi. – Będziemy do nich pasować jak woły do karety. Wiem, gdzie możemy pójść.

– Co…? – zdołał wykrztusić Petr.

– Witam we Władysławie, majorze – odparł Rudi. – I lepiej zdejmij te kajdanki. Nigdy nie odnajdziesz drogi powrotnej beze mnie, a ja nigdzie nie pójdę, jeśli będę do ciebie przykuty.

Niedaleko od placu Rudi zapukał do drzwi niebrzydkiej kamienicy. Uchylił je starszy dżentelmen, który kilka razy zmierzył wzrokiem Rudiego i Petra,

nim ich wpuścił.

– Nie miej mi za złe, że nie podam ci prawdziwego imienia tego dżentelmena – powiedział Rudi, gdy szli korytarzem. – Mów mu John, jeśli chcesz. John szybko cię zbada i zajmie się twoimi obrażeniami.

Wyglądało na to, że „John” jest lekarzem. W jednym z pokoi na piętrze urządzono gabinet chirurgiczny. Petr usiadł na stole do badań i pozwolił, by gospodarz opatrzył mu rany, podczas gdy Rudi opowiadał:

– W Europie tylko Praga ma drogi bezpośrednio prowadzące do Wspólnoty. Nie wiem dlaczego. Wydało mi się jednak, że istniejące tak blisko siebie miasta musiały się jakoś do siebie dopasować. Chciałem się dowiedzieć, co do czego pasuje tutaj i w Pradze.

– Więc wywołałeś wojnę?

– Zdaje się, że obie strony sobie nie ufają. Po prostu lekko je ku sobie popchnąłem. Przy okazji dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy. Na przykład tego, co mi powiedziałeś o pani minister policji. To bardzo interesujące.

– Jest w to wmieszana?

– Może nie. Może ktoś po prostu dał jej zdjęcie i kazał je pokazywać ludziom z różnych zainteresowanych grup. Co jednak świadczy, że wmieszany jest w to ktoś wysoko w Pradze postawiony. – Dokuczała mu noga. Przesunął się na krześle, podczas gdy „John” przycisnął do rany na głowie Petra kulę z waty nasączonej jakimś alkoholowym roztworem. – W każdym razie, gdy wszyscy byli zajęci tą awanturą, ja wyłaniałem się to tu, to tam i rozmawiałem z ludźmi. Działa tutaj całkiem użyteczny ruch dysydencki. Dostałem od tych ludzi bardzo szczegółowe mapy, które się jeszcze przydadzą.

– Kto wysadził TikTok?

Rudi się zamyślił.

– Bar? Wielka bomba? Och, to oni. – Skinął głową w stronę ulicy. – Wywiad Wspólnoty. – Prychnął. – Też mi szpiedzy. Wysadzili niewłaściwy lokal. Mieli rozwalić bar na następnej ulicy, należący do jakiegoś podejrzanego Czecha. Nie wiem dokładnie dlaczego.

– A para na Pankrácu?

Rudi pokiwał głową.

– To oni podłożyli bombę. A potem zostali zabici… to ci się spodoba… przez kolegów młodych Arabów mieszkających nad barem, który

wysadzili. – Zamyślił się. – To pewnie oznacza, że Wspólnota jest obecnie stroną w GWT. Sytuacja zrobi się jeszcze bardziej interesująca.

– To mi w niczym nie pomaga – stwierdził Petr.

– Prawda – przyznał Rudi. – Co więcej, to, o co cię zaraz poproszę, też ci w niczym nie pomoże.

2

Był marzec i myślała o tym, żeby wziąć urlop. Zaczynały się już pojawiać ciemne plamy na coraz bardziej rozmakającym śniegu, ale wciąż było za zimno na piesze wędrówki lub opalanie się, chyba że ktoś miał końskie zdrowie. Szpiegostwo nie jest zajęciem uzależnionym od pór roku, ale wczesną wiosną wiele europejskich służb wywiadowczych deklarowało, jeśli nie rozejm na miarę tych, które zawierali Brytyjczycy i Niemcy podczas pierwszej wojny światowej, żeby pograć w piłkę na ziemi niczyjej, to przynajmniej nieformalne zmniejszenie intensywności działań. Przez te wszystkie lata, które przepracowała w kontrwywiadzie, nikt nigdy nie sprawił jej kłopotu wiosną. Poza tym miała dobry, sprawny zespół, który potrafił sobie radzić z problemami pod jej nieobecność. Kiedyś, dawno temu, tkwiła na swoim stanowisku cały rok, prześladowana myślą, że gdy tylko wyjedzie, stanie się coś strasznego. Ale od tego czasu nauczyła się już trochę odpuszczać. Mogła sobie pozwolić na kilka dni odpoczynku.

Musiała tylko podjąć decyzję, dokąd pojechać i co tam robić, toteż przez ostatnie kilka dni surfowała po Internecie, szukając czegoś ciekawego. Właśnie zafascynował ją pomysł paralotniarskich wakacji w Walii.

Zadzwonił telefon. Odebrała i powiedziała:

– Tak?

– Właśnie dzwonili z imigracyjnego – odezwał się Pavel. – Mieli sygnał alarmowy.

Zmarszczyła brwi i przeniosła wzrok ze strony paralotniarskiej na ekran swojego komputera, na którym sygnały alarmowe zwykle wyskakiwały niczym małe czerwone gremliny.

– Niczego nie widzę.

– To stary sygnał, jeszcze sprzed ostatniej aktualizacji systemu. Imigracyjny miał go w bazie danych, ale nie został skopiowany, gdy robiliśmy aktualizację.

Westchnęła.

– Jak się nazywa?

– Tonu Laara – odpowiedział Pavel. – Obywatel Estonii.

Popatrzyła przez okno. Za szybą ściana drzew spływała ukośnie w głąb górskiej doliny.

Podziwiała widok tak długo, że Pavel w końcu zapytał:

– Szefowo?

Zamrugała.

– Gdzie on jest?

– Zarezerwował pokój w hotelu na Pustevnach – odparł. – Sygnał był oznaczony „obserwować, nie zatrzymywać”, więc imigracyjni mieli go na oku i aż do teraz nie dali nam o tym znać. Jest tu od dwóch dni.

No cóż. Już dawno powinna była spokojnie porozmawiać z majorem Menzlem, szefem Służby Imigracyjnej. Ale jeszcze nie dziś.

– Mamy tam teraz kogoś? – zapytała.

– Rikkiego i Colina.

Potarła oczy.

– W porządku. Powiedz im, żeby nie stracili go z oczu, ale nie mogą się zbliżać. Jadę tam.

– Tak, szefowo.

– I, Pavel?

– Tak, szefowo?

– Tõnu, tak wymawia się to imię – powiedziała, niechętnie wstając. W duchu żegnała się z urlopem.

Siedział w hotelowym barze, popijając piwo i paląc cygaretkę. Był szczuplejszy, niż pamiętała, trochę bardziej stroskany. W jego włosach widać było siwiznę, a o stojące obok krzesło była oparta laska, wciąż jednak wyglądał absurdalnie młodo. Podeszła do stolika i usiadła naprzeciw niego. A potem siedzieli bez ruchu, patrząc na siebie. Między dwojgiem ludzi, którzy byli ze sobą i rozstawszy się, po wielu latach znów się spotkali, wytwarza się szczególna intymność. Zwłaszcza jeśli przez cały czas, kiedy byli ze sobą, okłamywali się nawzajem.

– Do twarzy ci z krótkimi włosami – odezwał się w końcu Rudi.

– Co tu robisz, tak konkretnie? – zapytała głosem, który miał być stanowczy, ale nie niemiły.

– Chcesz drinka? – odpowiedział pytaniem.

– Nie, dziękuję.

– Mam ci wiele do opowiedzenia – rzekł. – Ale najpierw chcę wystąpić o azyl polityczny.

Patrzyła na niego, nic nie mówiąc.

– A potem – dodał, podnosząc piwo – chcę porozmawiać z Węgrami.

Węgrzy przyjechali w piątek – pięciu ogromnych, świetnie ubranych mężczyzn w hybrydowym peugeocie z napędem na cztery koła, który wyglądał tak, jakby mógł przez cały dzień ciągnąć statki w górę i w dół Kanału Panamskiego. Dzięki dyskretnej obserwacji ustalono, że nie mają broni poza dziwnym szwajcarskim scyzorykiem. Zameldowali się w hotelu i natychmiast ruszyli do restauracji.

Już na dwie godziny przed spotkaniem wysłała do lokalu swoich ludzi, ale wciąż wchodzili tam i zamawiali posiłki prawdziwi goście, między innymi młody czarny mężczyzna, którego widziała w barze tego dnia, gdy Rudi ponownie pojawił się w jej życiu. Przeszła przez salę i usiadła przy jego stoliku.

– Wiesz – powiedziała swoim najseksowniejszym głosem – sądzę, że jesteś bardzo pociągający.

Oderwał wzrok od menu i odparł po angielsku:

– Słucham?

– Och, uwielbiam angielski – odpowiedziała w tym samym języku, zalotnie trzepocząc rzęsami.

Westchnął i odłożył menu.

– Dobrze, proszę pani – powiedział. – Zauważyłem pani ludzi. Choć lepiej byłoby powiedzieć, że wypatrzyłem ludzi, którzy nie są pani ludźmi.

Zobaczyła Rudiego, który właśnie wszedł do restauracji.

– Chodź – powiedziała do niego. – Równie dobrze możesz posiedzieć z nami i posłuchać, o czym mówią dorośli.

Jeśli Rudi był zaskoczony, że spotyka ją w towarzystwie Setha, nie dał tego po sobie poznać. Usiedli przy stole Węgrów i wszyscy popatrzyli na siebie.

– Cóż… – zaczął Rudi. – Mam propozycję.

Przywódca Węgrów, który przedstawił się jako Kerényi, popatrzył na niego.

– Dostałeś szkołę. Widać to na twojej twarzy.

– To były ciekawe chwile.

– I nie wszystkie w kuchni.

– Bardzo niewiele w kuchni. Opowiem coś teraz i wolałbym, żebyś się wstrzymał z pytaniami, komentarzami i dowcipami do czasu, aż skończę. Dobrze?

Kerényi kiwnął głową.

I tak Rudi jeszcze raz opowiedział o rodzinie angielskich kartografów i o równoległej Europie, w której wszelka opozycja była subtelnie i całkowicie stłumiona i której nikt nie mógł opuścić.

– W Coureur Central zdają się mieć mieszane poglądy na całą tę sprawę – mówił dalej. – Z jednej strony bardzo chcieliby dostać się do Wspólnoty, ponieważ ona nie ma granic. Możesz przejść z jednego końca na drugi i nigdy nie zobaczyć posterunku granicznego ani celnego. Co czyni ją bardzo przydatną. Możesz przejść z „pakunkiem” do Wspólnoty powiedzmy na obrzeżach Madrytu, przewieźć go przez całą Europę i wychynąć powiedzmy w Helsinkach, a nikt tu nie będzie miał o niczym pojęcia. Seth i ja zostaliśmy w taki sposób przeszmuglowani do Szkocji. Przynajmniej jedna dysydentka znalazła drogę wyjścia ze Wspólnoty i założyła tam własną małą organizację w rodzaju Les Coureurs.

Z drugiej strony – podjął po chwili – w Centrali nie chcą, żeby ktokolwiek inny wiedział, jak to zrobić, i są gotowi zabijać, aby utrzymać to w tajemnicy. Tak jak wszyscy, którzy chcą się tego dowiedzieć. Linia też wydaje się w to jakoś zamieszana, ale jeszcze nie wiem jak. A w tle tego wszystkiego jest jeszcze Wspólnota, która robi, co w jej mocy, żeby zabezpieczyć swoje granice. – Przyjrzał się ludziom siedzącym przy stole. – Mam dowody, że mogli być odpowiedzialni za grypę Xian.

– To wszystko bzdury – powiedział spokojnie Kerényi. – Walnąłeś się w głowę czy co?

– Mają uniwersytet. Bardzo, bardzo duży uniwersytet. Prowadzi się tam dużo badań biologicznych. Jakiś czas temu ich służba wywiadowcza bardzo się martwiła… czymś. Myślę, że to była budowa Linii, może się bali, że nie zdołają się dogadać ze Spółką czy coś, nie wiem. I ci, którzy stoją na czele Wspólnoty, usankcjonowali użycie broni biologicznej przeciwko nam, aby ją powstrzymać. W każdym razie tak mi to opisano. To był mord na niewyobrażalną skalę. Ktoś musi potrząsnąć tymi ludźmi.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu Kerényi zapytał:

– Do czego jesteśmy ci potrzebni?

– Brakuje mi ludzi. Potrzebuję pomocy. Mam Setha, który tu siedzi, i kogoś w policji w Pradze, kogo udało mi się namówić do pomocy, i myślę, że nasza przyjaciółka ze Strefy może być skłonna przyłączyć się do nas.

– Wciąż się nad tym zastanawiam – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Ale do tego, co mam na myśli, potrzeba więcej ludzi, większego wsparcia.

Kerényi zastanowił się nad tym.

– Co z tego będziemy mieli?

– Sto tysięcy franków szwajcarskich dla ciebie i każdego z twoich ludzi, przy czym będziecie ze mną, dopóki was będę potrzebował – powiedział Rudi. – I jeszcze sto tysięcy za wprowadzanie nowych rozwiązań w zakresie uzbrojenia.

Twarz Kerényego nie zdradziła najmniejszego zaskoczenia.

– Wybierasz się na wojnę?

– Bardzo możliwe – odparł Rudi.

Kerényi się zamyślił.

– Zanim odpowiem, mam dwa pytania – rzekł po chwili.

– Jasne.

– Dlaczego my?

Rudi się uśmiechnął.

– Ponieważ nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie się tego spodziewał. Jakie jest to drugie pytanie?

Kerényi uśmiechnął się szeroko.

– Co chcesz zrobić?

MYCIE NIEDŹWIEDZIA

1

Paweł obudził się przed świtem i jak miał w zwyczaju, jeszcze przez kilka minut leżał w łóżku, nasłuchując. Gdzieś z głębi lasu dobiegło go parsknięcie żubra nawołującego samicę, a z bliska sapnięcia i węszenie starej lochy, którą nazwał Elżbietą, po zmarłej żonie. Te wszystkie odgłosy były mu dobrze znane, uspokajały go, upewniały, że wszystko jest w porządku, że można bezpiecznie wstać z łóżka i zacząć dzień.

Ubierał się powoli, bo mięśnie i stawy zesztywniały mu w zimną noc. Jego głupi syn, który mieszkał w Berlinie, przysłał mu na ostatnie Boże Narodzenie koc elektryczny; jak zwykle był zbyt zajęty, aby samemu przyjechać. Zapomniał, że w domu Pawła nie ma elektryczności, co Paweł uznał za niezwykłe, gdyż chłopak w nim dorastał. To jednak prawda, pomyślał, w mieście człowiek głupieje. Powiedział mu to ojciec, który usłyszał to od swojego dziadka.

Paweł spał w ocieplanych kalesonach marki Damart, przysłanych z Anglii przez tę dziwkę, jego córkę. Gdyby któreś z jego dzieci miało choćby odrobinę rozumu, przysłałoby generator prądotwórczy lub jedno z tych wymyślnych amerykańskich ogniw paliwowych, o których powiedział mu Nowak. Koc elektryczny i bielizna termoaktywna. Zdumiewające.

Na kalesony naciągnął parę pikowanych spodni, a na podkoszulek gruby sweter. Włożył buty i powłócząc nogami, przeszedł do kuchni, w której było tak zimno, że oddech zmieniał się w delikatną mgiełkę.

W kuchni unosił się zadziwiający zapach, na który Paweł przestał zwracać uwagę, gdy miał około roku. Jego źródłem były żubrze udźce wiszące tuż poniżej niskiego sufitu, setki sznurów suszonych grzybów, a także grube, przesiąknięte potem skarpety schnące obok dwupalnikowej

kuchenki. Na to wszystko nakładały się jeszcze dziesięciolecia parzenia kawy i gotowania kaszy, suszenia mokrych wełnianych ubrań, palenia świec wyrabianych z łoju oraz zapachy co najmniej kilkunastu psów, które żyły tam, jeden po drugim, przez cały ten czas.

Jego obecny pies był olbrzymią białą bestią, psem pasterskim z południa. Nazwał go Halina, po swojej drugiej żonie, z którą dzielił pewne cechy osobowości.

Kiedy wyszedł z sypialni, pies poruszył się w swoim legowisku ze szmat i starych gazet w kącie pomieszczenia. Ważył prawie tyle co Paweł, a sierść miał pozlepianą i brudną. Podniósł ogromny łeb i patrzył na niego obłąkanymi oczami.

– Jeszcze nie, ty łajzo – mruknął Paweł. Wziął ze stołu rondel z zaskorupiałymi resztkami jedzenia i rzucił go psu. – Poczekaj, cholera.

Pies z nieprawdopodobną szybkością wysunął łeb i złapał zębami rączkę obracającego się w powietrzu rondla. Następnie położył go na podłodze i zbadał jego zawartość obrzydliwie czerwonym językiem.

– Łajza – rzucił raz jeszcze Paweł i otworzył drzwi. Były wypaczone niczym polityk, jak lubił powtarzać Nowak przy każdej swojej wizycie, i Paweł musiał je z całej siły pchnąć barkiem, żeby się otworzyły. Robiąc to, odkrył kilka nowych rodzajów bólu.

Wychodek był pięćdziesiąt metrów dalej, na skraju lasu. Jego spróchniałe drzwi odpadły już przed kilkoma laty. Paweł ściągnął spodnie, odpiął klapę ocieplanych kalesonów i usiadł, spoglądając w stronę domu.

Dom wciąż wyglądał jak domek myśliwski z bajki, na podobieństwo którego został zbudowany we wczesnych latach poprzedniego wieku, gdy przyjeżdżali tu diukowie i książęta, żeby polować na żubry, łosie i dziki. Wciąż wyglądał solidnie, chociaż czas nie był dla niego łaskawy. Wszystkie okna na górnym piętrze zostały wybite; większość szyb na parterze również wytłuczono i zastąpiono deskami, które z biegiem lat pokryły się srebrzystym nalotem. Frontowa weranda – co prawda późniejszy dodatek – była spróchniała, niebezpieczna i zaśmiecona. To było… cóż, nie pamiętał dokładnie, kiedy po raz ostatni unosił się dym z komina; tak się złożyło, że przez całe życie wolał korzystać z butli gazowej, a teraz komin musiał już być na dobre zatkany starymi gniazdami i ptasim łajnem.

Od czterech lub pięciu lat nosił się z zamiarem ponownego otwarcia piętra. Nie potrzebował dodatkowych pokoi, zwłaszcza od czasu, gdy ruch

turystyczny zupełnie ustał, ale myślał, że być może niektórzy z myśliwych z minionych lat zostawili tam coś cennego, a ponieważ jego głupim dzieciom nie chciało się mu pomóc, może nadszedł czas, by wszedł po schodach na górę i zobaczył, czy nie znajdzie tam niczego, co mógłby sprzedać we wsi.

Jego jelita, jak wszystko inne, zwolniły tempo pracy do żółwiego, ale jemu to nie przeszkadzało. Czasami siedział w wychodku przez godzinę lub dłużej, patrząc na dom i rozmyślając. Widok nigdy się nie zmieniał: był to po prostu widok na dom. Czasami Paweł zastanawiał się, co mógłby zrobić z tym domem; czasem myślał o wycięciu kolejnego metra lub dwóch w zaroślach, które wyrosły wokół polany, na której stał. Te rozważania rzadko go skłaniały do konkretnych działań, ale go uspokajały i odwracały myśli od coraz bardziej kapryśnej natury jego układu pokarmowego.

Tego ranka, na przykład, myślał o przeczyszczeniu komina. W pokoju dziennym – do którego nie odważył się wejść od jakichś trzech lat – był kominek szeroki prawie na trzy metry, z kunsztownym zabytkowym paleniskiem oraz popielnikiem wciąż jeszcze wypełnionym starym popiołem. Wiedział, że przeczyszczenie komina przekracza jego możliwości, a nie miał pieniędzy, żeby za nie zapłacić, lecz uspokajało go samo myślenie o tym. Ponadto teraz myślał już o czym innym: że mógłby gdzieś sprzedać antyczny ruszt, gdyby kiedykolwiek udało mu się go wyważyć i wydobyć z paleniska.

Skończywszy wreszcie, podtarł się kawałkiem starej „Gazety Wyborczej”, podciągnął kalesony i spodnie, po czym wyszedł z wygódki.

Dom zewsząd był otoczony lasem. Za wychodkiem ciągnęły się bez końca ciemne połacie dębów i jodeł, świerków, buków i olch, zamieszkane przez żubry i łosie, a także tarpany, bobry i dziki. Nowak nazywał to ostatnim ciemnym zakątkiem Europy. Znajdował się on na granicy między Polską a Litwą, ale od powstania koncepcji granic zmieniał się wraz z wymaganiami historii. Był polski, litewski, niemiecki, rosyjski. Pochowano tu wiele tajemnic, a w latach bezprawia po upadku komunizmu, zarówno w Polsce, jak i po drugiej stronie granicy, zakopano pod drzewami mnóstwo ciał. Paweł widział to wszystko, ale niewiele z tego zrobiło na nim wrażenie.

Wróciwszy do kuchni, zapalił dwa palniki i na jednym z nich postawił czajnik z wodą, a na drugim patelnię. Poczekał, aż roztopi się zestalony

tłuszcz, a gdy rozgrzany zaczął pryskać, odciął kilka plasterków sarniny i położył je na patelni. Pies Halina poruszył się i uniósł łeb; wciągał nosem woń smażącego się mięsa, a ze szczęk skapywały mu strużki śliny.

Woda zaczęła wrzeć; Paweł wrzucił kilka łyżeczek mielonej kawy do metalowego dzbanka oraz plastikowej miski i zalał je wrzątkiem. Następnie odczekał, aż kawa się zaparzy – Halina uzależnił się od kofeiny i jeśli kawa nie była wystarczająco mocna, stawał się bardziej niż zwykle nie do zniesienia.

Zanim dziczyzna była gotowa, kawa się zaparzyła. Paweł postawił miskę psa na podłodze i podłe stworzenie zaczęło siorbać jej zawartość. Swoją kawę przelał z dzbanka do pękniętego kubka z reklamą wiedeńskiego Tiergarten – jeszcze jednego prezentu świątecznego od syna idioty – i stanąwszy, zaczął jeść mięso z patelni.

Kilka kawałków rzucił na podłogę, żeby zadowolić psa.

– Jaki to mamy dziś dzień, łajzo? – zapytał, siorbiąc kawę. Pies, jak zwykle, nie miał rozsądnej odpowiedzi i tylko głośno przeżuwał śniadanie. – Myślę, że to dzień, żeby pójść do wioski.

Po słowie „wioski” pies przestał żuć i uniósł łeb. W dzieciństwie Paweł chodził do szkoły z chłopcem o imieniu Stanisław. Lubił on łapać owady i wyrywać im skrzydła oraz nogi. Trzymał je okaleczone, dopóki żyły, w małym kartoniku i lubił je pokazywać dziewczynkom.

Później Stanisław przeszedł do małych zwierząt – łapał i okaleczał psy oraz koty. Na tym etapie zrezygnował już z prób zainteresowania dziewczynek. To one stały się przedmiotem jego zainteresowania. Nim został aresztowany, zabił ich piętnaście. Paweł widział wyraz jego oczu na rozprawie i teraz od czasu do czasu w oczach Haliny dostrzegał coś ze Stanisława.

Zdumiało go, że pies rozpoznał słowo „wioska” i okazał takie zainteresowanie.

Paweł nigdy go tam nie zabrał – bał się, że pogryzie jakieś dziecko. Pokręcił głową i rzucił brudny talerz w stronę psa. Pies zignorował to i nadal się w niego wpatrywał.

– Nie mogę cię zabrać, łajzo – rzucił do niego gniewnie Paweł. – Głupie, bezużyteczne stworzenie.

Halina patrzył na niego przez chwilę, a potem jakby lekko wzruszył barkami i wrócił do kawy. Wydawało się, że zupełnie zapomniał o swoim

panu.

Paweł uświadomił sobie, że nie pamięta, ile dokładnie czasu upłynęło, odkąd ostatnio był we wsi. Wydawało mu się, że mogło to być późną wiosną lub wczesnym latem. Chociaż niewykluczone, pomyślał, że jeszcze wcześniej.

Nieważne. Poszedł do szopy i odkrył, że jego rower jest prawie do niczego. W obu oponach brakowało powietrza, a niemal każdą metalową część pokrywała rdza. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy zerwał się wiszący teraz bezużytecznie łańcuch. Paweł stał z dłońmi w kieszeniach grubej kurtki, wpatrując się w rower zwisający z belki stropowej. Stał tam dość długo, bezskutecznie próbując sobie przypomnieć, kiedy to ostatni raz z niego korzystał. Najwyraźniej minęło od tego dnia sporo czasu.

Mniejsza z tym. Wrócił do chaty dozorcy i pod stosem ubrań znalazł parę solidnych butów, tylko trochę pokrytych pleśnią. Zasznurował je, włożył płaszcz i zawiesiwszy na jednym ramieniu plecak, ruszył ścieżką ku gruntowej drodze, która prowadziła do szosy.

Wieś liczyła około siedemdziesięciu mieszkańców. Chlubiła się barem, sklepem i warsztatem samochodowym, które należały do tego samego człowieka, i urzędem pocztowym prowadzonym przez bladą i nerwową kobietę, która przed dwudziestoma laty albo przybyła tu z własnej woli, albo została wygnana z Warszawy. Paweł zawsze się spodziewał, że kobieta wyjedzie, nigdy więc nie chciało mu się zapamiętać jej imienia, ale lata płynęły, a ona tam była, cierpliwie gromadząc jego pocztę i czekając, aż zjawi się we wsi, by ją odebrać.

– I jak się dziś czujemy, panie Pawluk? – zaszczebiotała, gdy przeglądał stos kopert, paczek i pakunków, które zgromadziły się na zapleczu urzędu pocztowego od jego ostatniego pobytu w wiosce, i zaczynał myśleć, że naprawdę minęło bardzo dużo czasu, odkąd był tu ostatnio.

– My? – mruknął. – My? Ja tam czuję się dobrze, ale nie mam pojęcia, jak jest z panią. Jest tu gdzieś Nowak?

– Widziałam go z dziesięć minut przed tym, jak pan wszedł – odpowiedziała kobieta. – Wchodził do, hm… – Skinęła głową w stronę baru.

– Dobra, niech pani to włoży do torby – powiedział, popychając w jej stronę naręcze swej poczty. – Wrócę po nią później. – Wstał i łomocząc

butami, opuścił urząd, zszedł po schodach na chodnik, przebiegł na drugą stronę drogi i wkroczył do baru.

W środku, przy stoliku, na którym stała butelka wyborowej i dwa kieliszki, siedział Nowak.

– Słyszałem, że jesteś w pobliżu – odezwał się. – Napijesz się?

Paweł przyciągnął sobie krzesło i usiadł, patrząc, jak Nowak napełnia oba kieliszki wódką.

Opróżnili je w milczeniu i Nowak ponownie im nalał.

– No więc – powiedział, wyciągając kopertę z kieszeni marynarki – pisarz.

– Pisarz. – Paweł wziął kopertę, sprawdził zawartość, wyjął pieniądze i włożył je do kieszeni.

– Zarezerwował domek myśliwski na sześć tygodni – ciągnął Nowak. – Mówi, że potrzebuje spokoju lub czegoś, aby skończyć swoją ostatnią powieść. Pieprzyć go.

– Pieprzyć – zgodził się Paweł. Opróżnili kieliszki i Nowak znów je napełnił wyborową.

– Zapłacił jednak pełną cenę – mówił dalej Nowak. – Za cały domek, nie tylko parter.

– Kiedy przyjeżdża? – Paweł nie był leniwy, ale pomyślał, że czeka go kilka męczących dni, które będzie musiał poświęcić na uporządkowanie tego miejsca, i niezbyt mu się to podobało. Upłynęło sporo czasu, odkąd zrobił jakiekolwiek porządki w domku myśliwskim.

– W piątek.

– Co mamy dzisiaj? Poniedziałek?

– Środa.

– Cholera. – Paweł znów opróżnił kieliszek.

– Mówi, że nie chce żadnego specjalnego traktowania – ciągnął Nowak. – Mówi, że sam będzie sobie gotował. – I obaj mężczyźni zaczęli się śmiać, bo ostatnia osoba, która wynajęła domek myśliwski i powiedziała, że może tam sobie sama gotować, o mało go nie spaliła.

Paweł popatrzył na dokumenty najmu, które wyjął z koperty – domek był dla Nowaka zbyt kiepskim interesem, by opłacało się zainwestować w czytnik, tablet lub palmtop.

– Nie kojarzę tego nazwiska – powiedział.

– Pisarze – odparł Nowak. – Pieprzyć ich.

– Pieprzyć – potwierdził Paweł i znowu wypili. Paweł wstał i zapiął kurtkę. – W takim razie lepiej już pójdę ogarnąć chałupę na jego przyjazd.

Nowak napełnił swój kieliszek.

– Lepiej idź.

Wyszedłszy z baru, Paweł wyprostował się i pomaszerował przez ulicę do urzędu pocztowego, gdzie władczym głosem nakazał kobiecie za ladą, żeby podała mu torbę z jego pocztą. I ruszył z powrotem do lasu, tylko nieznacznie się zataczając.

2

Turysta był bardzo młody. Miał brodę, kulał i wyglądał na kogoś, kto miał ciężkie życie, ale Paweł, który naprawdę miał ciężkie życie, widział różnicę. Ten turysta, ten pisarz, był tylko chłopcem.

Przybył wcześnie rano, gdy Paweł siedział w wychodku. Usłyszał chrzęst butów na suchych gałązkach i sosnowym igliwiu, a gdy się zapiął i wyszedł z wychodka, zobaczył chłopaka w dżinsach i czarnej watowanej kurtce narciarskiej, z dużą oliwkowozieloną torbą na ramieniu, opierającego się na lasce i szeroko uśmiechniętego.

– Hej – powiedział Paweł, podchodząc do niego. – To własność prywatna.

– Wiem – odparł chłopak, z uśmiechem wyciągając do niego rękę. – Przez najbliższe kilka tygodni to moja własność prywatna.

Paweł nie uścisnął mu dłoni. Uważał, że to zwyczaj mieszczuchów, którzy nie ufają sobie nawzajem i sprawdzają w ten sposób, czy rozmówca nie ma w ręku broni.

Jeśli to choć odrobinę obeszło chłopaka, nie dał tego po sobie poznać. Nie przestając się uśmiechać, wsunął rękę z powrotem do kieszeni i wskazał laską domek myśliwski.

– Jest w bardzo dobrym stanie – skomentował.

– Jak się pan zranił w nogę? – zapytał Paweł.

Chłopak spojrzał na nogę, potem na Pawła i uśmiechnął się.

– Wie pan, jest pan jedną z niewielu osób, które kiedykolwiek mnie o to zapytały. Większość ludzi zakłada, że nie chcę o tym mówić. Miałem wypadek balonowy.

Paweł uniósł brew.

– Balonowy – powtórzył.

– Drobny błąd w obliczeniach stosunku siły nośnej do ciężaru. – Pochylił się do przodu i dodał konspiracyjnym tonem: – Szczerze mówiąc, jestem już za stary na to wszystko.

Paweł wzruszył ramionami.

– To wtedy zacząłem pisać – kontynuował chłopak i ruszył ścieżką okalającą domek. – W szpitalu. – Odwrócił się i mrugnął do Pawła, który szedł za nim. – Dobra rada, panie Pawluk. Każdy, kto mówi, że te urządzenia do łączenia złamanych kości nie sprawiają bólu, jest kłamcą. Proszę, niech pan weźmie zegarek. – I uśmiechając się radośnie, wyjął z kieszeni skomplikowane plastikowe pudełko, w którym był jeden z najbrzydszych zegarków, jakie Paweł kiedykolwiek widział: masywny, w krzykliwych kolorach, z grubą plastikową bransoletą.

– Proszę, niech pan spróbuje założyć – zachęcał chłopak, aż w końcu Paweł założył zegarek na rękę, a młodzieniec się uśmiechnął. – Tak właśnie – powiedział z zadowoleniem. – Niech pan go nie zdejmuje. Przynosi szczęście.

Paweł nosił więc zegarek na ręku przez te wszystkie dni i tygodnie, kiedy chłopak mieszkał w domku myśliwskim. Nie cierpiał go i postanowił sprzedać, gdy chłopak wyjedzie, ale dbał o to, by gość wiedział, że ma go przez cały czas na ręce.

Nie żeby się często spotykali. Czasem widywał chłopaka spacerującego w lesie w pobliżu polany, ale przeważnie spędzał on czas w domu – pisząc, jak zakładał Paweł. Raz czy dwa, idąc wykonać tę czy inną robotę, przeszedł obok okna domku myśliwskiego i widział przez nie chłopaka używającego jednego z tych komputerów, które obsługiwało się, pisząc w powietrzu, zamiast na klawiaturze, i po piętnastu minutach miało się obolałe ramiona. Prawdę mówiąc, w pokoju chłopaka było sporo sprzętu komputerowego. Wiele rzeczy z ekranami, światłami i kablami. Dużo więcej, niż – jak pamiętał Paweł – przyniósł on ze sobą.

Z drugiej strony, powiedział sobie w duchu, kładąc się jednego wieczoru do łóżka, miewali znacznie gorszych gości. Przypomniał sobie imprezę belgijskich biznesmenów, którzy… no cóż, na zawsze go to zniechęciło do odwiedzenia ich kraju. A potem sześciu Maltańczyków, którzy nigdy nie

zamienili z nim słowa i całkiem możliwe, że ze sobą też. Upiornych ponad wszelkie wyobrażenia.

Był już za stary, za wolny. Gdy próbował się odwrócić, para silnych, muskularnych rąk objęła go w pasie, uniosła i obróciła w przeciwnym kierunku, a potem znikąd wyłonił się cień, który zalepił mu usta taśmą klejącą i zanim Paweł zdążył coś z tym zrobić, ogromna dłoń chwyciła oba jego nadgarstki, przyciskając je do siebie, a ktoś inny owinął je kolejnym kawałkiem taśmy klejącej. Trzech. Trzech? Czy tylko dwóch? To nie mogła być tylko jedna osoba; było zbyt wiele rąk. Nie zdążył nawet krzyknąć.

Dwóch. Było ich co najmniej dwóch. Jeden wziął go pod pachy, drugi za nogi i przenieśli go tak przez chatę, obok ciała Haliny, leżącego z poderżniętym gardłem na kuchennej podłodze, i wyszli na rozjaśnione przez księżyc podwórko.

Gdzie klęczał już chłopak, w porozdzieranym ubraniu, z rękami splecionymi za głową i zakrwawioną twarzą. Paweł, zmuszony do klęknięcia obok niego, poczuł na karku zimną lufę pistoletu.

– To was oduczy kraść – usłyszał dobiegający zza jego pleców głos.

Chłopak powiedział coś w języku, którego Paweł nie rozpoznał, i nagle ciszę na polanie wypełniło brzęczenie jakby rojów pszczół, na które nałożyły się odgłosy walących się na ziemię wielkich przedmiotów, a na wszystko dokoła spadł gorący, lepki deszcz. Kiedy to się skończyło, Paweł otworzył oczy i zobaczył pięciu dużych, ubranych na czarno mężczyzn leżących w różnych miejscach polany, najwyraźniej zagryzionych i przeżutych przez coś z milionami malutkich zębów.

Chłopak, pokryty krwią, odwrócił się, żeby na niego spojrzeć, i – niewiarygodne – uśmiechnął się.

– Wszystko w porządku? – zapytał radośnie.

Paweł starł krew z twarzy i skinął głową.

– Dobrze. – Chłopak podniósł się i pomógł wstać Pawłowi, a następnie zerwał taśmę z jego nadgarstków i rozejrzał się po polanie. Najbliższa ściana domku myśliwskiego wyglądała tak, jakby ktoś zaatakował ją ogromną tarką do sera. – Lepiej załadujmy na nowo, na wszelki wypadek. – Kulejąc, wszedł po schodkach do domku i po chwili wrócił z aluminiową drabinką i dwoma ręcznikami. Jeden z nich rzucił Pawłowi, który zaczął wycierać się z krwi, a sam zaniósł drabinkę do drzewa rosnącego na skraju polany i z pewnym trudem wspiął się na nią.

– Magia – odezwał się chłopak, sięgając między gałęzie drzewa, żeby wyrwać coś niewidzialnego. – Magiczne działka.

Działka strażnicze były matowymi kulami wielkości grejpfruta i dopóki chłopak nie zaczął ich zdejmować z drzew, były zupełnie niewidoczne. W miejscach, gdzie dotknęły ich jego palce, pojawiały się nieregularne cieliste plamy, które rozszerzały się, dopóki nie skończył ładować działka, kiedy to całe kule były już koloru jego dłoni.

Było ich ponad czterdzieści, opasujących nierównym pierścieniem domek myśliwski, i chłopak podszedł po kolei do wszystkich. Każda kula, którą po naładowaniu umieszczał z powrotem na jej miejscu, zaraz ponownie zaczynała znikać, przyjmując kolory otoczenia.

– Cieszę się, że ma pan ten zegarek – powiedział do Pawła, kiedy zainstalował ostatnie urządzenie. – Działka są tak zaprogramowane, żeby strzelać na moje polecenie do wszystkich, którzy ich nie mają, ale i tak mógłby pan dostać parę pocisków, gdyby pan nie był nieruchomy.

Paweł nic nie odpowiedział.

Chłopak ruszył w stronę wejścia do domku, a Paweł za nim. W jadalni cały sprzęt komputerowy został tak rozbity, że nie nadawał się do naprawy. Chłopak zatrzymał się w drzwiach, patrząc na to wszystko.

– Lepiej uciekaj – poradził mu Paweł. – Tych pięciu na pewno ma przyjaciół. Będą cię szukać.

Chłopak pokręcił głową.

– Nie martwię się tym.

– Hmm, a może jednak powinieneś?

– To były po prostu osiłki do wynajęcia. Zanim pojawią się tu jacyś następni, dawno mnie już nie będzie. – Westchnął. – Z drugiej strony ma pan rację. Ich przyjaciele będą chcieli się zemścić, żeby zachować twarz. Pan też powinien stąd wyjechać.

Paweł roześmiał się.

– Nigdzie nie jadę.

Chłopak przechylił głowę.

– Tam gdzieś jest duży oddział SS – powiedział Paweł, wskazując las za oknami. – Przyszli tu w 1942 roku, szukając żydowskich partyzantów. Wróciło tylko trzech, a mój ojciec mówił, że wszyscy byli obłąkani. Nigdy nie odnaleziono ciał. Myślisz, że się boję mafii?

Chłopak się uśmiechnął.

– Na wszelki wypadek zostawię panu działka. – Rozejrzał się po pokoju. – Może pan też sobie wziąć wszystkie inne rzeczy. Nawet te zniszczone można sprzedać na części zamienne.

– Powiedzieli, że coś im ukradłeś.

– To nieprawda. Znalazłem coś, co ktoś inny chciał mieć. Zamierzam coś z tym zrobić. Wynajęli mafię, żeby mnie powstrzymać. A może nie. Może to był ktoś inny. Wciąż próbuję wypełnić luki.

– Kim są ci „oni”?

– Cóż, w tym właśnie rzecz. Nie wiem na pewno. Jest wiele możliwości. Najwyraźniej to może być mnóstwo ludzi. I prawdopodobnie w tle są inni ludzie, którzy mi pomagają. Sam nie wiem. – Uśmiechnął się promiennie do Pawła. – Ekscytujące, prawda?

– Czy ta rzecz, którą znalazłeś, była cenna?

Chłopak zastanawiał się przez chwilę.

– Nie można jej zanieść do banku, kantoru ani lombardu i dostać za nią pieniądze.

Zatem nic niewarte. Paweł stracił zainteresowanie tematem.

– Powinieneś już iść – powiedział, myśląc o podzespołach w rozbitych komputerach. Jeszcze tego wieczoru mógł je zanieść do Nowaka i wrócić następnego ranka z mnóstwem pieniędzy. Może wystarczyłoby mu na nowy śpiwór.

Z przybudówki do domku myśliwskiego wzięli łopaty i wrócili na polanę, żeby pochować ciała. Chłopak przeszukał martwych mężczyzn, zebrał poszatkowane portfele i podziurawione telefony i wrzucił je do plastikowej torby. Pochowali też Halinę. Była to powolna, brudna i ciężka praca, ale chłopak zrobił więcej, niż na niego wypadało, pomimo oczywistego bólu, jaki sprawiała mu noga. Kiedy skończyli, zaczynało już świtać. Paweł oparł się o łopatę i rozejrzał po polanie, która wyglądała dokładnie tak, jakby ktoś pochował na niej kilka ciał.

– Jest takie zdanie, które było popularne wśród agentów Stasi – odezwał się chłopak. – Coś o myciu niedźwiedzia.

– Umyć niedźwiedzia, nie mocząc się przy tym – odpowiedział Paweł. Zaraz potem zmarszczył się i popatrzył na niego wilkiem.

Chłopak się uśmiechnął.

– A to ci dopiero, panie Pawluk. Kto by pomyślał, że zna pan powiedzonka agentów Stasi?

Paweł poczuł nagle, że chłopak wie o nim wszystko, także o tym, ile czasu spędził w Berlinie w młodości, na kilka lat przed upadkiem Muru.

– To znaczy wykonać niebezpieczne zadanie, nie narażając się na ryzyko – wyjaśnił. Powiedział to bez wstydu. W tych ostatnich, ekscytujących dniach istnienia muru berlińskiego nie zrobił niczego, czego musiałby się wstydzić. Mówił to sobie wystarczająco często, by uznać, że to prawda.

Chłopak skinął głową.

– Rzeczywiście, o to właśnie chodzi w tym powiedzeniu.

Paweł rozejrzał się po polanie.

– Ale wydaje się, że narażasz się na dość duże niebezpieczeństwo.

Chłopak pochylił się, aż ich twarze były oddalone zaledwie o kilka cali, i spojrzał mu w oczy. W tej chwili Pawłowi wydało się, że dostrzegł na twarzy gościa przebłysk tryumfującego szaleństwa.

– To wcale nie było niebezpieczeństwo – zaczął młodzieniec. – To była tylko garstka wynajętych zbirów. Natomiast ten konkretny niedźwiedź, którego próbuję umyć, to zupełnie inna para kaloszy, i wiąże się z tym zupełnie inne ryzyko.

Paweł uniósł brew.

– Czy to jest warte tego ryzyka?

Chłopak się uśmiechnął.

– Przekonamy się? – zapytał.

Paweł miał odpowiedzieć, gdy nagle usłyszał jakieś głosy. Dochodziły ze ścieżki prowadzącej w głąb lasu. Spojrzawszy w tym kierunku, zobaczył przyćmione światła poruszające się w górę i w dół. Przez chwilę myślał, że pojawili się przyjaciele bandziorów, ale gdy głosy się zbliżyły, usłyszał, w jakim języku mówią przybysze, i się odprężył. To był angielski.

– No cóż – odezwał się chłopak, otrzepując ubranie z piasku, gałązek i liści. – Nie jesteśmy odpowiednio ubrani na przyjęcie gości, ale nie sądzę, żeby w tej sytuacji bardzo im to przeszkadzało. Chce się pan z nimi spotkać?

Było ich czworo, trzech mężczyzn i kobieta. Nieśli latarki, na plecach mieli plecaki, a na nogach buty turystyczne. Mężczyźni mieli wszyscy po pięćdziesiąt kilka lub trochę ponad sześćdziesiąt lat; kobieta była młodsza, może czterdziestoletnia. Wszyscy, jak to Anglicy, byli ubrani irytująco

staromodnie – w tweedy i koszule z krawatem. Kobieta miała na sobie tweedowe spodnie i kurtkę nałożoną na duży, grubo tkany sweter rybacki. Wszyscy wyglądali na przerażonych.

– Wszystko w porządku – powiedział chłopak po angielsku. – Wydostaliście się; nie macie się już o co martwić.

Jeden z mężczyzn podszedł niepewnie i wyciągnął rękę.

– Nie masz pojęcia, jak długo na to czekaliśmy – odpowiedział, wymawiając poszczególne słowa w sposób, który syn Pawła nazwał kiedyś akcentem z „Mummerset", czyli aktorską wersją akcentu z West Country. W uszach Pawła brzmiało to po prostu jak angielski.

– Wiem – odparł chłopak.

Nagle fragment lasu zamigotał niczym potwór w filmie ze Schwarzeneggerem, który Paweł kiedyś widział, i na polanę wkroczyła postać w okrywającym całe ciało stroju ze szarych szmat. Przybysz zsunął z głowy kaptur, odsłaniając twarz młodego czarnego mężczyzny. Tuż za nim pojawiły się jeszcze dwie osoby, które okazały się dwoma ogromnymi blondynami z karabinami automatycznymi w rękach.

– Jakieś problemy? – zapytał czarnoskóry, spoglądając na zrytą ziemię, gdzie Paweł i chłopak pogrzebali bandytów.

– Nic, czego byśmy się nie spodziewali – odpowiedział chłopak. – A co z tobą?

Czarny mężczyzna pokręcił głową, patrząc podejrzliwie na Pawła.

– Mapa jest dokładna: czekali na mnie w punkcie ewakuacyjnym. Musieliśmy tylko wrócić.

Chłopak pokiwał głową. Sprawiał wrażenie, jakby z ramion spadł mu ogromny ciężar.

– No dobrze – powiedział. – Wprowadź wszystkich do środka, żeby się umyli i przebrali. Dla każdego jest ubranie na zmianę. Przepraszam za bałagan.

– Czy tak będzie za każdym razem, kiedy to zrobimy? – zapytał czarnoskóry.

– Nie – odparł chłopak. – Czasem to może być naprawdę niebezpieczne.

Czarny mężczyzna prychnął i poszedł do drzwi domku ponaglić Anglików, którzy stali przed nimi nerwowo zbici w gromadkę. Gdy tam weszli, odezwał się jeden z wielkich blondynów:

– To trochę za duży rozlew krwi jak na coś, co miało być rutynową robotą.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Myślę, że wypłoszyliśmy innego gracza. – Rzucił blondynowi torbę z portfelami i telefonami. – Gdzieś w pobliżu musi być ich samochód; przeszukaj go, a potem się go pozbądź. A potem sprawdź, kim oni byli i dla kogo pracowali.

Wielki blondyn uniósł plastikową torebkę i zmrużywszy oczy, przejrzał jej zawartość.

– To nie powinno być trudne; jeśli mieli przy sobie dokumenty, nie byli profesjonalistami.

Chłopak skinął głową.

– Też tak pomyślałem. W każdym razie chcę stąd odejść za pół godziny. Wyślij kogoś, żeby poszukał wsparcia, a ja spotkam się z wami wszystkimi za dwa dni w punkcie zbiórki.

– W porządku. – I obaj mężczyźni nałożyli kaptury, po czym znowu zniknęli. Mimo że byli tak ogromni, poruszali się po leśnej ściółce niemal bezszelestnie; Paweł ledwo słyszał, jak idą.

Kiedy odeszli, chłopak zapytał:

– A zatem od jak dawna pan o nich wie?

– O Anglikach? – odparł Paweł. – Całe życie.

– Wie pan, skąd przychodzą?

Paweł znowu wzruszył ramionami.

– Jestem leśnikiem.

– Z wyjątkiem lat spędzonych w Berlinie.

– Jestem leśnikiem – powtórzył. – Leśnikiem był mój ojciec i jego ojciec. Chodzimy w lesie tam, gdzie chcemy. Czasem spotykamy angielskich leśników.

Chłopak popatrzył na las.

– Cóż, las jest po obu stronach granicy – powiedział na wpół do siebie. – Przypuszczam, że czasem trudno stwierdzić, po której jest się stronie. – Spojrzał na Pawła.

Przez dłuższy czas stali, patrząc na siebie. Wygląda na to, pomyślał Paweł, że nie ma sensu temu zaprzeczać.

– Mówią, że tych możesz mieć – powiedział w końcu, wskazując głową domek myśliwski. – Spróbuj jednak wyciągnąć kogoś jeszcze, a zostaniesz

powstrzymany.

– A ta wiadomość pochodzi od…?

– Czy to ma znaczenie?

– Od tych samych ludzi, którzy wysłali chłopców z mafii?

– Nie. To był ktoś inny. Nie wiem kto i nie wiem dlaczego. – Paweł patrzył, jak chłopak zastanawia się nad jego słowami. – Wydaje się, że masz dużo więcej wrogów niż przyjaciół.

– Trudno temu zaprzeczyć – zgodził się chłopak. Popatrzył na Pawła i spytał: – A tak na marginesie, ile pan ma lat?

Zważywszy na okoliczności, było to tak niezwykłe pytanie, że Paweł nawet nie pomyślał o tym, by go okłamać.

– Mam prawie dziewięćdziesiąt lat – odpowiedział.

– Ma pan dziewięćdziesiąt osiem lat – rzekł chłopak. – I nie wygląda pan na nawet o jeden dzień więcej niż sześćdziesiąt. Życie w lesie zdaje się panu dobrze służyć.

Paweł nachmurzył się.

– Wie pan – ciągnął chłopak – około osiemnastu miesięcy temu spotkałem człowieka, który zaklinał się na wszystkie świętości, że po drugiej stronie granicy czas biegnie wolniej. Uznałem, że gada bzdury. Jak czas może płynąć w jednym miejscu wolniej niż w innym? Ale może miał rację. Może spędził pan tam sporo czasu. Co?

Paweł rzucił mu gniewne spojrzenie.

Chłopak pokiwał głową.

– Tak myślałem. Tak, to byłaby tajemnica, dla której warto byłoby zabić, żeby ją chronić. – Potarł twarz. – Dobra, panie Pawluk. Wkrótce stąd pójdziemy i może pan wrócić do pilnowania ścieżek. Kiedy następnym razem zobaczy pan tych, dla których pan pracuje, kimkolwiek oni są, niech pan im powie, że to jeszcze nie koniec.

– Zostaniesz powstrzymany – ostrzegł Paweł. – Daj spokój; wyciągnąłeś czworo. To samo w sobie jest zwycięstwem. Czy to nie wystarczy?

– Wystarczy? – odparł chłopak. – Panie Pawluk, przez ostatnie dziesięć lat ścigano mnie po całej Europie. Zostałem porwany, pobity, postrzelony i byłem okłamywany praktycznie przez wszystkich, którym ufałem. – Odwrócił się, podniósł łopatę i ruszył z nią w stronę domku. Paweł pomyślał, że nagle zaczął wyglądać na wyczerpanego. – Wielu ludzi umarło – mówił dalej, nie rozglądając się dokoła. – Między innymi mój brat.

A wszystko dlatego, że ktoś gdzieś chce powstrzymać tych ludzi, nie pozwala im iść tam, dokąd chcą iść. – Przerwał i wskazał łopatą domek. – Albo dlatego, że ktoś inny chce wiedzieć, jak można się dostać do Wspólnoty. Albo dlatego, że jeszcze ktoś inny nie chce, by ludzie dowiedzieli się o Wspólnocie. Szczerze mówiąc, sam już nie wiem, i mam tego dosyć. Mam dosyć tego, że wszyscy jeżdżą na mnie jak na łysej kobyle. – Wpatrywał się przez chwilę w łopatę, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że trzyma ją w ręce, a potem rzucił ją w zarośla i ruszył zmęczonym krokiem ku drzwiom wejściowym do domku myśliwskiego.

– Niech pan powie swoim przyjaciołom, że jeszcze nawet nie zacząłem – dodał i wszedł do środka.

CYKL „PĘKNIĘTA EUROPA”

EUROPA JESIENIĄ

EUROPA O PÓŁNOCY

EUROPA W ZIMIE

Spis treści

***

CZĘŚĆ PIERWSZA: EUROPA JESIENIĄ

KUZYN MAKSA

UCZEŃ CZARNOKSIĘŻNIKA

ŚWIATŁO GRANICZNE

OSTATNI SKOK LEONA

UZDOLNIONY JĘZYKOWO

KING'S BENCH WALK

CZĘŚĆ DRUGA: GOŃCY W LESIE

LEGENDA

DZIEŃ W ŻYCIU KAPITANA ŚMIERCI

CZŁOWIEK Z SYBERII

TRZYDZIEŚCI PRZYPADKÓW MAJORA ZEMANA

MYCIE NIEDŹWIEDZIA

Cykl „Pęknięta Europa”

Tytuł oryginału: *Europe in Autumn*

Copyright © 2014, 2018 Dave Hutchinson.

First published in English by Solaris, an imprint of Rebellion Publishing Ltd.
This translation is published by arrangement with Rebellion Publishing Ltd.
www.rebellionpublishing.com

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2018

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Grzegorz Dziamski

Projekt serii i okładki oryginalnej: Clint Langley

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Sławomir Folkman

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Europa jesienią*, wyd. I, Poznań 2018)

ISBN 978-83-8062-919-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08
fax: 61 867 37 74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**